



R O B E R T

MAŁECKI

Prawdziwe piekło może być
wyłącznie dziełem człowieka

URWISKO



R O B E R T
MAŁECKI

URWISKO

Wydawnictwo Literackie

Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA
Redakcja: ANNA MILEWSKA
Korekta: JACEK BŁACH, MARIA ROLA, AGNIESZKA STĘPLEWSKA
Projekt okładki i stron tytułowych: TOMASZ MAJEWSKI
Zdjęcia na okładce: OLENA SERGIENKO/Unsplash, JOANNA NIX-WALKUP/Unsplash
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Robert Małecki
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07835-8

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60

61

62

63

64

Epilog

Podziękowania

*Pamięci Mateusza Kucharskiego,
mojego dzielnego chrześniaka,
który odszedł przedwcześnie*

PROLOG

To nie wyglądało na łagodną i szybką śmierć.

Roczna dziewczynka bezgłośnie płakała. Pot spływał jej po czerwonej z wysiłku twarzy. Prostowała drżące rączki, wyginała ciało w łuk, próbując się uwolnić z ciasno zapiętych pasów felika samochodowego.

Przeżrana kobieta niemal odskoczyła od szczelnie zamkniętego auta, wystawionego na słoneczny żar. Miało już być po wszystkim.

Tymczasem mała wciąż żyła.

Kilkanaście minut wcześniej tamtego czwartkowego przedpołudnia, w najgorętszy dzień czerwca dwa tysiące siedemnastego roku, ciszę zakłóciły krótkotrwałe terkot silnika oraz odgłos drapania wysokich traw o podwozie. Samochód potoczył się w dół po starej gruntowej drodze i zatrzymał w pobliżu tafli wody przy zapomnianym przez świat zwirowisku.

Zgrzytnął ręczny, a potem cisza znów na moment wypełniła to miejsce.

Przerwało ją głucho trzaśnięcie drzwi.

Kobieta zapamiętała, o której wysiadła z auta, lecz stres sprawił, że chwilę później straciła rachubę czasu.

Odeszła kilka metrów dalej, kucnęła w żółtej plamie sypkiego piasku i zmusiła się do wolnego recytowania tekstu piosenki, którą usłyszała rano w radiu. Wolała cięższe dźwięki, ale ten popowy utwór zagnieździł się w jej głowie i co rusz odtwarzał się na nowo. Poddała się tej melodii, bo tylko w ten sposób była w stanie zatrzymać natłok myśli.

Powtórzyła pierwszy wers i drugi, ale ten trzeci, jak na złość, uleciał jej z pamięci.

– Pokochać cię, mój Charlie, Charlie. Tak czułam, że mocna to rzecz – szeptała nad wodą kolejny już raz, jakby to miało sprawić, że zgubione słowa same ją odnajdą. Tymczasem czarna dziura w pamięci rozrastała się do monstualnych rozmiarów.

Nijak nie umiała sobie przypomnieć fragmentu tekstu.

Może to przez ten upał, pomyślała.

Promienie słońca obezwładniały, a w zagłębieniu terenu nie było nawet skrawka cienia. Woda, pokryta rzęsą przy zarośniętych brzegach, niesła mdły zapach i skądś, być może z pobliskiej kępy dzikich traw, dobiegało basowe brzęczenie much.

Strużka potu potoczyła się po skroni, bluzka przylepiła się do pleców.

Zamknęła oczy i próbowała przetrwać.

I wtedy to się stało.

Ciszę przerwał głośny sygnał telefonu. Serce zabiło jej szybciej, aparat omal nie wypadł z drżących rąk.

Odrzuciła połączenie, chociaż miała ochotę pogadać. Poczłaby się lepiej, zabiłaby czas. A tak jej myśli wciąż zaprzętał ten cholerny trzeci wers piosenki, zagubiony gdzieś w synapsach.

W przyptywie złości sięgnęła po kamień, leżący obok jej nogi, i cisnęła go w wodę. Chlupnęło, okręgi fal rozbiegły się do brzegów i tafli wody znów znieruchomiła.

Może to już?

Pomyślała, że powinna już jechać.

Na wszelki wypadek odczekała jeszcze chwilę. Z zamkniętymi oczami odliczyła do trzydziestu i w końcu podeszła do samochodu.

Szarpnęła za przednie drzwi.

Gorące powietrze nagromadzone w aucie smagneło ją po gołych nogach, jakby otworzyła wrota piekieł i uwolniła wrzącą lawę. Wraz z ciepłem w nozdrza uderzył ją ciężki i kwaśny odór moczu.

Z trudem powstrzymała torsje i pootwierała pozostałe drzwi.

Znowu musiała poczekać, aż wewnątrz niewielkiego pojazdu się wychłodzi. Chociażby odrobine, byle nie czuć tego smrodu.

Wierzyła, że Bóg, jeśli gdzieś jest, wynagrodzi jej te wszystkie stresy. Przecież robiła to z miłości.

Poczuła, że coś łązi jej po ramieniu i kieruje się w stronę obojczyka. Chciała strącić owada, lecz zdążył odlecieć, więc dotknęła tylko swojej wilgotnej od potu skóry. Po chwili natręt wrócił. Znowu pacnęła dłonią i tym razem udało jej się zgnieść niewielkiego robala o wąskim odwłoku zakończonym dwoma dłuższymi włoskami.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

Uznała, że nie zostanie tu ani chwili dłużej. Pozamykała drzwi, usiadła na rozgrzanym fotelu i mimo że kierownica wciąż była gorąca, przekręciła kluczyk w stacyjce.

Puściła sprzęgło i wycofała auto w górę po nierównej pochylni. Tam nawróciła, a dwieście metrów dalej, kiedy wjechała w las i przekręciła lusterko wsteczne, by nie widzieć obrazu tylnej kanapy, znowu coś usiadło jej na szyi.

Wcisnęła pedał hamulca do oporu, aż opony wgrzyły się w żwir.

Samochodem szarpnęło.

Wyskoczyła na drogę i cała się otrzepała.

Dopiero gdy była pewna, że nic jej nie grozi, wróciła do auta. Na wszelki wypadek obejrzała się w przekrzywionym lusterku i nagle zobaczyła, że taki sam paskudny owad znowu po niej spaceruje.

– Spierdalaj! – Chciała go zabić, ale i tym razem był szybszy.

Uciekł do tyłu.

Najważniejsze, żeby dał jej już spokój, bo musiała się skupić.

Poprawiła włosy i wyjechała z zacienionego leśnego traktu na zalaną słońcem asfaltową drogę.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Dlatego zdobyła się na uśmiech i włączyła ciężką muzykę.

Dokładnie taką, jaką lubiła najbardziej.

Kalendarz trójdzielny na dwa tysiące dwudziesty drugi rok wisiał po prawej stronie od biurka i przedstawiał pływaka w czarnym czepku z niebieskimi goglami, który przebijał się przez taflę wody.

Marcin Sikorski zawiesił wzrok na dacie. Maria Herman dobrze wiedziała, że pięć lat temu, w odstępie kilku miesięcy, mężczyzna stracił dwie najukochańsze osoby.

Najpierw pochował roczną wnuczkę, a kilka miesięcy później zaginęła jego jedyna córka.

Te dramatyczne zdarzenia wypaliły w sercu Sikorskiego dziurę wielkości krateru i dlatego policjantka doskonale zdawała sobie sprawę, że jej obecność, wtargnięcie w jego życie po kilku latach prób ułożenia go sobie na nowo, spowoduje rozdrapywanie nie w pełni zabliznionych ran.

Sikorski przez chwilę bawił się kluczykiem od samochodu, ale w końcu odłożył go, złączył dłonie i oparł na nich brodę. Wbił wzrok w fotografię w niebieskiej ramce za przymkniętym laptopem. Na brzegu biurka stała chromowana lampa, i to właśnie w jej kloszu odbijała się zniekształcona postać zasmuconego faceta w granatowym garniturze.

Biała koszula podkreślała jego opaleniznę.

W końcu mężczyzna spojrzał na komisarz Marię Herman zaczerwienionymi oczami. Chciał coś powiedzieć, jego usta się rozwarły, lecz wzruszenie odebrało mu mowę. Przełknął ślinę, zacisnął powieki i trwał tak jakiś czas.

Herman nie zamierzała go poganiać. Czekala cierpliwie.

Wentylator komputera szumił miarowo i mieszał się z dźwiękiem wydawanym przez klimatyzator.

Mężczyzna nabrał tchu, wolno wypuścił powietrze i wygładził czerwony krawat.

– Dlaczego teraz? – zdołał wydusić przez wciąż jeszcze ściśnięte gardło i ponownie spojrzał na fotografię.

Policjantka знаła to zdjęcie z akt sprawy. Teraz stało odwrócone do niej tyłem, ale zauważyła je wcześniej, kiedy weszła do gabinetu. Dwudziestoosmioletnia córka Sikorskiego, Monika Chudzińska, uśmiechała się na nim tajemniczo, przymykając jedno oko, bo raziło ją ostre letnie słońce. Wspólnie z roześmianą córką wpatrywały się w obiektyw.

Młoda matka farbowała się na blond, ale na fotografii miała kilkucentymetrowe ciemne odrosty. Włosy opadały na odsłonięte ramiona, kilkoma pasemkami targał lekki wiatr. Herman zapamiętała jej tatuaż, bo rzucał się w oczy. Sięgał niemal do łokcia prawej ręki i przedstawiał żółtawy księżyc w pełni na tle nieba złożonego z dwóch pionowych pasków przesuniętych względem siebie.

Intrygujący obraz na skórze Chudzińskiej powstał krótko przed tym, jak zaszła w ciążę. Na drugą rocznicę ślubu otrzymała od męża prezent: voucher na wymarzony tatuaż, o którym opowiadała mu tygodniami. Miała to być czaszka z dwiema karmazynowymi różami w miejscu oczodołów. Ostatecznie jednak, kiedy wybrała się do toruńskiego studia Kolektyw Bodyfikacji przy Bydgoskiej i artystka o pseudonimie Jay Elpis pokazała jej swoje bogate portfolio, Monika, oczarowana motywami mikrorealistycznymi, eksponowanymi w geometrycznych formach, z miejsca zmieniła zdanie. Nagle zapragnęła księżyc na tle nieba pociętego na paski.

– No więc? Dlaczego teraz? – powtórzył Sikorski, który zdołał już opanować emocje i jego głos wrócił do naturalnego, niskiego brzmienia. Dyrektor odsunął się od biurka i założył nogę

na nogę.

Kiedy Herman oglądała akta i natrafiła na materiały przedstawiające Sikorskiego, mężczyzna był mocno otyły. Jej zdaniem mógł ważyć wówczas nawet sto pięćdziesiąt kilogramów. I dlatego, gdy weszła do fabryki w podtoruńskim Ostaszewie, a on czekał na nią w eleganckim, nowoczesnym holu, nie rozpoznała go. Dyrektor działu personalnego wyraźnie schudł. Początkowo sądziła, że to efekt rodzinnej tragedii, ale Sikorski, widząc jej zaskoczenie, szybko wyprowadził ją z błędu. Opowiedział o intensywnych treningach pływackich i kilkunastokilometrowych spacerach z kijkami. Twierdził, że sport pozwalał mu poradzić sobie z traumą. Częścią żałoby, obok dojmującego bólu po stracie, były nieokiełznany gniew i łatwo wzbierająca wściekłość. Wysiłek fizyczny stał się jego wentylem bezpieczeństwa. Emocje znajdowały odpowiednie ujście.

Herman przyglądała mu się z uwagą i wówczas dostrzegła kupon totolotka wystający z terminarza.

Wzdrygnęła się i natychmiast zachciało jej się palić.

– W sprawie zaginięcia pana córki pojawiły się nowe wątki, ale na razie nie mogę mówić o szczegółach – odparła, nerwowo zakładając za ucho kosmyk włosów.

Sikorski zmarszczył brwi i stężał.

– Nowe wątki? Co to znaczy? Znaleźliście ją?

– Nie. Ale szczegółom przygląda się zespół do spraw przestępstw niewykrytych Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. Wspólnie z podkomisarzem Olgierdem Borewiczem analizujemy materiały.

– To jest to słynne Archiwum X? – zapytała, a Herman kiwnęła głową, chociaż nie określiłaby tak komórki, w której pracowała.

Dyrektor niespiesznie powiódł wzrokiem po gabinecie, a następnie prychnął.

– Więc naprawdę chcecie wznowić to śledztwo... – W kącikach ust błąkał się kpiący uśmiech.

– Taki jest plan.

– To bardzo ciekawe. Bardzo. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Bo kiedy przez kilka lat przynosiłem wam na tacy różne informacje, mieliście mnie w dupie. Po prostu postawiliście na Monice krzyżyk. Na samym początku uznaliście, że nie żyje, i w ogóle nie zamierzaliście jej szukać. Nie sprawdziliście koryta Drwęcę, ani nawet nie szukaliście jej ciała w pobliżu żwirowiska. A teraz nagle dzwoni pani do mnie, przyjeżdża do pracy, żeby mi powiedzieć, że macie nowe ślady...

– Wątki – wtrąciła.

– Niech będzie. Wątki. Więc macie nowe wątki, ale jednocześnie nie może mi pani nic powiedzieć. – Spojrzała na nią i spochmurniał. – To po co tu pani przyjechała? Po błogosławieństwo?

– Nie. – Siedziła niewzruszona.

Herman nie pracowała w toruńskiej komendzie od ponad dwóch lat, a wcześniej nie zajmowała się sprawą zaginięcia Moniki Chudzińskiej. Jednak nie dalej niż miesiąc temu spotkała się z tutejszym prokuratorem Arturem Legnerem, który poprosił ją, by wspólnie z Borewiczem przyjrzała się tajemniczemu zaginięciu młodej matki. Legner w rozmowie z Herman nie chciał za wiele zdradzić, ale wyczuła, że mu zależy, by to właśnie oni oboje wyciągnęli akta z policyjnego archiwum. Byli z Borewiczem na fali wznoszącej, po tym jak w ubiegłym roku w Grudziądzu udało im się z sukcesem zakończyć śledztwo w sprawie dwumiesięcznego chłopca, którego porwano w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. O mało nie przypłaciła tego życiem, co nadało tamtym zdarzeniom jeszcze większego dramatyzmu, a jej samej przyniosło niezasłużony splendor na komendzie i w prokuraturze. Tym bardziej że od tamtego

czasu oboje z Olgierdem ciągnęli za sobą długie cienie, splatające się w mroczną tajemnicę, o której nie sposób było zapomnieć. Dźwigali ją każdego dnia.

Od początku wizyty u Artura Legnera zastanawiała się, czy prokuratora coś łączyło z Marcinem Sikorskim. Zadała mu to pytanie, ale śledczy zaprzeczył. Prosił, by nie doszukiwała się rodzinnych koligacji, bo ich nie znajdzie.

Komisarz wróciła do rzeczywistości i odchrząknęła.

– Przyjechałam do pana – zwróciła się do Sikorskiego – bo chciałam raz jeszcze prześledzić, co się wydarzyło w dniu zaginięcia pańskiej córki. A potem wrócimy do tego, co stało się wcześniej.

Dyrektor przygryzł wargę.

– Matko Boska... – W oczach stanęły mu łzy. – Do śmierci mojej wnusi? Ale po co? Przecież to był wypadek!

– Oczywiście – przyznała. – Jednak tym razem skupimy się wyłącznie na zachowaniu pana córki.

Podkomisarz Olgierd Borewicz przeżuł ostatni kęs drożdżówki i uznał, że musi się napić.

Przystawił do ust butelkę napoju energetycznego o smaku limonki i wtedy z akt sprawy poświęconych Monice Chudzińskiej, które trzymał na kolanach, wysunęło się zdjęcie i upadło na samochodowy dywanik.

Od kilku minut siedział w toyocie corolli zaparkowanej w cieniu rzucanym przez wysokie klony na końcu ulicy Sezamkowej, w pobliżu domu Chudzińskich. Klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, chociaż nie chłodziła wnętrza tak dobrze jak kiedyś. Silnik mruczał miarowo, upał dawał w kość.

Zero Siedem z trudem sięgnął po zdjęcie i wtedy dopiero się zorientował, że w zasadzie jest to kserokopia fotografii klasy maturalnej I LO w Toruniu, o czym informował zamieszczony napis wraz z datą.

Przyjrzał się uważnie poszczególnym twarzom i w końcu w trzecim rzędzie, bliżej prawej, rozpoznał Karola Chudzińskiego, męża zaginionej młodej matki. Szczupły chłopak uśmiechał się szeroko, podobnie jak stojący obok niego kolega, którego gęste, kręcone włosy opadały na ramiona. Gdyby nie jasna karnacja, Borewicz mógłby go wziąć za Slasha, gitarzystę Guns N' Roses z czasów, gdy zespół młodości policjanta okupował szczyty listy przebojów.

Wyglądało to tak, jakby tuż przed naciśnięciem migawki przez fotografa coś tych dwóch uczniów nagle rozśmieszyło. Pozostali maturzyści mieli raczej neutralne miny.

Dłużej zajęło Borewiczowi odszukanie Moniki Sikorskiej, która po latach od chwili zatrzymanej w kadrze została żoną dawnego kolegi z klasy.

Dziewczyna siedziała na niskiej ławce w pierwszym rzędzie, druga od lewej. Miała na nogach czerwone converse'y za kostkę, czarne dżinsy z wywinętymi nogawkami i T-shirt w tym samym kolorze, z trudnym do odczytania logo zespołu metalowego.

Borewicz sięgnął po szkło powiększające, które zawsze miał przy sobie, gdy siedział nad aktami, i skierował je na twarz licealistki.

Dałby sobie głowę uciąć, że była wyjątkowo smutna. Ale czy powinno go to dziwić? Popatrzył na inne twarze i stwierdził, że mógłby z nich wywnioskować to samo. A może po prostu nie chciała się uśmiechnąć, bo uznała, że poważna mina doda jej powagi i uroku?

Tuż za nią, z opuszczonymi rękami, stał starszy mężczyzna, który zapewne był ich wychowawcą.

Borewicz odwrócił kserokopię, ale na drugiej stronie nie znalazł żadnej adnotacji. Co więcej, przewertował akta, żeby zrozumieć, dlaczego zdjęcie klasowe znajdowało się w tej teczce. Przeczytał każdą notatkę przygotowaną przez podkomisarza Michała Gąsiorka z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu, który jako ostatni uzupełniał teczkę o nowe materiały. Nie znalazł nic, co pomogłoby mu odpowiedzieć na to pytanie.

Policjant dopił energizera i kiedy słodki płyn spłynął mu do żołądka, uznał, że przynajmniej spróbuje wyjaśnić to z toruńskim funkcjonariuszem.

Wybrał numer komendy i połączył się z szefem wydziału kryminalnego.

– Panie poruczniku, kopę lat! – zaśmiał się komisarz Lesław Korcz, nawiązując w ten sposób do stopnia Sławomira Borewicza z serialu *07 zgłoś się*. – Chodzą słuchy, że razem z Herman wzięliście na warsztat zaginięcie Chudzińskiej.

– Nie inaczej. Dlatego dzwonię. Potrzebuję namiaru na Michała Gąsiorka. Wrzuciłbyś mi numer esemesem?

- A to ty nie wiesz? - zdziwił się kolega.

- O czym?

- Gąsiorek nie żyje. Z kryminalnego przeniósł się do sztabu i był pod Arkiem Grochem. Znasz Arka, nie?

- O tyle o ile - odparł enigmatycznie Olgierd. Arkadiusz Groch był dobrym znajomym Marii Herman.

- No więc Gąsiorek krótko po przeniesieniu zaczął narzekać na okropne bóle brzucha i w końcu dał się namówić na wizytę u mojego kuzyna gastrologa w bydgoskim Juraszu.

- No i?

- No i uwierz mi, że nie chcesz wiedzieć - rzucił Korcz. - Rak trzustki w zaawansowanym stadium. Pod koniec kwietnia pożegnaliśmy go z honorami na cmentarzu komunalnym. Zostawił żonę i pięcioletnią córkę.

- Cholera - jęknął Borewicz.

- Fajny chłopak z niego był. A poza tym miał nosa - kontynuował szef kryminalnych z Torunia. - Ale dlaczego o niego pytasz?

- On jako ostatni zajmował się sprawą zaginięcia Chudzińskiego.

- A, to prawda. Sam mu ją wrzuciłem.

- No, to może ty będziesz coś wiedział?

- Ale o czym?

Borewicz odchrząknął.

- Mam tu w aktach zdjęcie klasowe Karola Chudzińskiego i jego żony, pisali maturę w tym samym roku - wyjaśnił Borewicz.

- No i?

- Nie wiem, do czego to przyczepić. Ksero fotografii lata luźno w tych papierach, nie ma dołączonej żadnej notatki, adnotacji, cholera, nic. Jakby zapodziało się przypadkiem. Gąsiorek mówił ci coś na ten temat?

- Nie. Ale umówmy się, nie gadaliśmy zbyt często o starych sprawach.

Borewicz doskonale wiedział, że bieżąca policyjna orka była mocno absorbująca, więc dokładne omawianie spraw niewykrytych po prostu się nie zdarzało.

- Mówisz, że chłopak miał intuicję, tak? - dopytał Zero Siedem.

- Miał. To był, serio, łebski facet.

Borewicz pożegnał się ze znajomym i ponownie spojrzał na zdjęcie.

Smutna Sikorska na dole z lewej strony i niemal po przekątnej roześmiany Chudziński.

Policzył wszystkich i okazało się, że w klasie było dwadzieścia dziewięć osób.

Zamknął akta i wtedy dostrzegł, że w ulicę Sezamkową wjechała czerwona mazda cx-5.

Policjant odłożył teczkę, zniósł papierową torebkę po ciastku i rzucił ją na tylną kanapę.

Zgasił silnik i wysiadł z auta, gdy mazda zajechała pod bramę posesji. Bez trudu rozpoznał kierowcę. Ciężkie, gorące powietrze falowało w słońcu. Ciepło asfaltu wyczuwał przez podszwy czerwonych sneakersów. Od upału zakręciło mu się w głowie.

Zerknął na dom Chudzińskich, a potem popatrzył na chałupę z żółtego klinkieru, znajdującą się dokładnie naprzeciwko. Promienie słońca odbijały się od żaluzji w poziomym oknie, za którym zapewne znajdowała się kuchnia.

Gdzieś dalej, kilka ulic stąd, ktoś puszczał latawiec - kolorowy kształt szybował po niebie. Popatrzyli na niego dłużej, ale oślepiąło go słońce.

Chudziński skierował pilota na dom, po czym brama zgrzytnęła i zaczęła się odsuwać. Zerknął przez przyciemnianą boczną szybę, która opuściła się bezszelestnie.

– To pan do mnie dzwonił? – spytał młody blondyn, spoglądając na zbliżającego się Borewicza. Olgierd skinął głową, po czym oparł dłonie na biodrach i zmrużył oczy. Przedstawił się Chudzińskiemu.

– Pan poczeka. Wprowadzę wóz do garażu i zaraz otworzę furtkę domofonem – rzucił i zasunął szybę.

Olgierd odprowadził wzrokiem auto wjeżdżające do wykafelkowanego dwustanowiskowego garażu. Błysnęły światła stopu i brama zaczęła się zamykać. Borewicz zdołał jeszcze dostrzec, że na ścianie wiszą dwa duże rowery. Tuż obok stały spore regały, zastawione różnego rodzaju sprzętem motoryzacyjnym i ogrodniczym. W rogu pomieszczenia zmieścił się jeszcze stół do majsterkowania i organizer na drobne narzędzia.

Kiedy elektromagnes zabrzączał, policjant pchnął furtkę i wszedł na teren ogrodu dokładnie w chwili, gdy jeden z jego telefonów zawibrował.

Tylko raz.

Olgierd dobrze wiedział, co to może znaczyć. Powinien natychmiast oddzwonić, ale sądził, że wizyta w domu młodego biznesmena będzie krótka.

– Zapraszam, zapraszam – uśmiechnął się wysportowany gospodarz ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi liczne tatuaże, wśród których Zero Siedem rozpoznał jedynie minotaura i cyklopa. Szare chinosy kończyły się kilka centymetrów powyżej gólnych kostek i lśniących czarnych martensów.

Wymienili uścisk dłoni i mężczyzna poprowadził Borewicza do salonu. Zaproponował kawę. W oczekiwaniu na cappuccino Olgierd podziwiał basen z krystalicznie czystą wodą, nowoczesną drewnianą kostkę, służącą zapewne za domek narzędziowy, a także równo przyciętą soczystą trawę, po której snuła się kosiarka samobieźna. Mimo żaru z nieba murawa prezentowała się dużo lepiej niż korty Wimbledonu.

Olgierd pomyślał, że powinni wyprowadzić się z Kingą z apartamentowca w pobliżu bydgoskiego Balatonu na Bartodziejach, kupić działkę pod miastem i żyć z dala od tego cholernego zgiełku, wybudować dom i basen, w którym Amelka pluskałaby się w cieplej wodzie. Poza tym Kluska, biszkoptowy labrador, miałby gdzie hasać.

Kiedy Chudziński wszedł z kawą do salonu, Borewicz zajął miejsce na skórzanej narożnej kanapie i zagadnął gospodarza; był ciekaw, czy trudno jest utrzymać czystą wodę w basenie.

– No, nie powiem, żebym sobie wrywał rękawy – zaśmiał się Chudziński. – Czasami złowię siatką zdechłe robale, ale w zasadzie to wszystko robi się automatycznie. Robot czyści dno i ściany, chemię dozuje automat. Nic, tylko moczyć tyłek. Szczególnie w takie dni jak ten.

– Ile to kosztowało?

– Cały basen z osprzętem?

Borewicz skinął głową.

– Dwa lata temu, czyli jeszcze przed tą cholerną inflacją, dałem za niego coś koło osiemdziesięciu tysiąt. Jakoś tak.

Borewicz ponownie zerknął tęsknie w kierunku lazurowej plamy wody w ogrodzie. Miała kojącą moc.

Przez kilka chwil salon wypełniała cisza, zmałona jedynie szumem klimatyzacji.

– Tak jak wspominałem przez telefon. – Podkomisarz sięgnął po kubek i spojrzął na młodego gospodarza o pociągłej twarzy i silnych, wytatuowanych ramionach – policja wraca do śledztwa w sprawie zaginięcia pana żony.

Blondyn spowaźniał i pokiwał głową.

– To dobrze. Chociaż, jak zapewne pan wie, żyję już z inną kobietą – stwierdził, a Olgierd odniósł wrażenie, że facet oczekuje jakiejś jego reakcji, skinienia głową lub słownej aprobaty. Tymczasem Borewicz wypił łyk kawy i siedział cicho, czekając na dalszy ciąg. – Formalnie wciąż jestem żonaty, dlatego nie mogliśmy wziąć ślubu, ale mamy dwuletniego syna. W zasadzie więc wszystko się zmieniło. Oprócz tego, że nadal uważam... – zawiesił głos. – Niech mi pan wybaczy, to nic osobistego... – zastrzegł. – Po prostu mam do was ogromny żal, że daliście dupy w tej sprawie. Jestem przekonany, że od samego początku założyliście, że Monia popeliła samobójstwo.

Wyczuł w słowach młodego mężczyzny gorzkość.

Borewicz znał tę sprawę doskonale. Wersja śledcza zakładająca samobójstwo wzięła górę, bo młoda kobieta cierpiała na depresję. Pozostałe hipotezy – porwanie lub zabójstwo – z braku jakichkolwiek poszlak przestały być brane pod uwagę. Dlatego poszukiwania Moniki Chudzińskiej prowadzono bez werwy i nastawienia na sukces.

– Ona strasznie przeżyła śmierć Zuzki, ale...

Olgierd zauważył, że mężczyźnie zadrżała dolna warg, więc powiedział:

– Zdaję sobie sprawę, ile to pana kosztuje. Chciałbym jednak prosić, żebyśmy mimo wszystko wrócili do tamtego dnia. Do ósmego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku.

Z Chudzińskiego jakby nagle zeszło powietrze. Zwiesił głowę i trwał tak jakiś czas. Potem podniósł zażalony wzrok na podkomisarza i znów znieruchomiał. Minęło kilka sekund, gdy wreszcie zamrugnął, przetarł powieki opuszkami palców, które wytarł w spodnie.

– Moja córka zmarła, bo żona zostawiła ją w rozgrzanym samochodzie. Wszystko jest w aktach – dodał.

Borewicz wiedział, że mężczyzna ma rację. W zeznaniach było jasno napisane, że tamten poranek, po którym nastąpił nieoczekiwany dramat, przebiegał bez zakłóceń. No, może poza jednym. Do tej pory Karol Chudziński odwoził dziecko do żłobka, ale tamtego dnia poprosił o to żonę, a ona, według jego relacji, zgodziła się na to. Zanim wyjechała z domu, odebrała telefon od szefowej, która zezłościła się na nią, że nie przygotowała jakiegoś zestawienia, chociaż zdaniem Chudzińskiej sprawę zawałił kolega, bo nie dostarczył jej danych. Mąż Moniki musiał już wyjeżdżać do pracy, ale żona cały czas wisiła na telefonie. Dlatego wsadził córkę do nosidełka, a potem szepnął Monice, że zanosí małą do jej samochodu. Sam pojechał do Brodnicy, gdzie prowadził szkolenie z marketingu internetowego. Być może to całe zamieszanie sprawiło, że kobieta, wytraconą z równowagi przez szefową, zapomniała skrócić do żłobka i pognęła prosto do pracy. Na ogólnodostępnym, skąpanym w słońcu parkingu zatrzasnęła drzwi samochodu i natychmiast pobieęła do biura.

Olgierd zerknął do notatek, w których znajdował się raport pogodowy obejmujący tamten dzień. W Toruniu odnotowano trzydzieści trzy stopnie Celsjusza. Oczywiście w cieniu. To był najcieplejszy dzień miesiąca.

– Podczas pierwszej przerwy w szkoleniu, tuż przed jedenastą, dwukrotnie zadzwonił pan do żony, ale nie odebrała – przypomniał policjant.

– Akurat nie było w tym nic niezwykłego. Monia zawsze była roztrzepana, poza tym często narzekała na młyn w firmie, zapomniała o prywatnej komórce, która łądowała na dnie torebki. Dlatego zadzwoniłem do żłobka.

– I czego się pan dowiedział? – odezwał się cicho Borewicz, kiedy milczenie się przedłuęało.

– Powiedziano mi, że Zuzki u nich nie ma. – Westchnął i podrapał wnętrze dłoni. – Wtedy już wiedziałem, że stało się coś złego.

Policjant chciał zapytać o coś jeszcze, gdy telefon zawibrował w jego kieszeni.

Już drugi raz tego dnia.

Zły znak, pomyślał.

Przeprosił Chudzińskiego, który wyraźnie odetchnął, i zapytał, czy może wyjść na taras. A kiedy ten się zgodził, Olgierd poprosił o jeszcze jedną kawę. Gdy był już na zewnątrz i upewnił się, że nikt go nie słyszy, oddzwonił do swojego nieformalnego szefa. Z drugiej, niechlubnej, ale przynoszącej dużo emocji roboty.

– Posłuchaj mnie uważnie, bo mamy przejebane – usłyszał Borewicz i zamarł.

Herman przyglądała się sześćdziesięciolatce, któremu los odebrał najpierw ukochaną wnuczkę, a zaraz potem córkę.

Po śmierci dziecka w nagrzanym samochodzie kobieta doznała wstrząsu i na ponad dwa tygodnie trafiła do szpitala psychiatrycznego. Gdy tylko poczuła się lepiej, usłyszała zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci.

Sikorski nagle zerknął na zegarek i zamknął laptop. Odłączył go od ładowarki, po czym schował do czarnej teczki.

– Przepraszam, ale muszę już wracać do domu. – Wstał z fotela. – Możemy to dokończyć kiedy indziej?

Nie знаła go wcześniej, ale z materiałów, którymi dysponowała, wyłaniał się obraz mężczyzny wrażliwego, serdecznego, pełnego wewnętrznego ciepła. Teraz jednak miała wrażenie, że Sikorski zhardział. Jakby w wyniku tego, że stracił w życiu wszystko, co najcenniejsze, przestał bać się śmierci.

– Oczywiście – Herman też wstała i sięgnęła po torebkę. Ale nagle urodził się w jej głowie plan. – Jedzie pan do Torunia, prawda?

– Tak.

– Mogłabym się z panem zabrać?

– A jak pani tu dotarła? – zdziwił się.

– Koleżanka mnie podrzuciła.

Mężczyzna przygryzł wargę, ale pokiwał głową.

– Skoro tak, zapraszam. – Wskazał na drzwi, ale grymas na jego twarzy sugerował, że podrzucenie Marii do miasta nie jest mu na rękę.

Wyszli do przeszklonego holu wyłożonego drewnem i dyrektor poprosił policjantkę, by na niego zaczekała, bo miał jeszcze coś do załatwienia w hali produkcyjnej. Maria wyszła na zewnątrz i poczuła na policzkach podmuch gorącego powietrza od strony zatłoczonej krajowej dziewięćdziesiątki jedyńki.

Zdążyła wypalić papierosa.

W końcu Sikorski pojawił się na parkingu i zaprosił Herman do srebrnego SUV-a hyundaia. Usiadła w fotelu pasażera i zerknęła na kluczyk w stacyjce, ten sam, którym dyrektor bawił się w swoim gabinecie. Był bez breloka.

Maria przypomniała sobie, jak kiedyś, w latach osiemdziesiątych, jej ojciec zatrzasnął kluczyki od auta w dużym fiacie. Zaparkowali w centrum Torunia. Gdyby nie zapasowy klucz, po który pojechali autobusem na Wrzosey, pewnie musieliby wybić boczną szybę.

– Widział się pan z córką tuż po postawieniu jej zarzutów? – Herman wróciła do głównego wątku; pamiętała, że formalnie Chudzińska mogła trafić do aresztu, ale sąd nie uwzględnił wniosku prokuratury w tej sprawie. Wziął pod uwagę to, że nigdy nie była karana, ale przede wszystkim, że przeżyła traumę i leczyła się na depresję. Wobec tego zakazał jej opuszczania kraju i zastosował jeszcze jeden środek zapobiegawczy – nałożył na kobietę dozór policyjny. A kiedy Chudzińska, wciąż obciążona zarzutami, zaginęła, niemal z automatu prokurator wystawił za nią list gończy. Efekt jednak był taki, że po kilku latach śledztwo w tej sprawie zawieszono.

Szlaban się uniósł i wyjechali z terenu fabryki MOD21, spółki córki toruńskiego Erbudu, chociaż, jak Herman zdążyła się zorientować, pracownicy firmy używali modnego określenia

„start-up”. Hyundai zatrzymał się przed wjazdem na ruchliwą dziewięćdziesiątkę jedynek, po której w obu kierunkach poruszała się sznur aut. Chłodne powietrze z kratek nawiewu przynosiło ulgę.

Herman powtórzyła pytanie.

– Tak, była u mnie – odpowiedział mężczyzna.

– Co powiedziała?

– Chce pani wiedzieć, czy wzięła winę na siebie? – zirytował się. – Przecież doskonale zna pani odpowiedź. Więc po co te pytania? Myśli pani, że będę kłamał i wybielał córkę? Co to wszystko ma znaczyć?

Włączyli się do ruchu i auto sunęło wolno po nagrzanym asfalcie w kierunku skrzyżowania w Łysomicach, które w godzinach popołudniowych korkowało się zazwyczaj w obu kierunkach. Tuż obok drogi trwały ostatnie prace przy wymienianym torowisku kolejowym łączącym Dworzec Wschodni w Toruniu z Chełmżą.

– Pytam pana o to, bo zdarza się, że z czasem świadkowie przypominają sobie różne drobiazgi, które mogą mieć ogromne znaczenie – odezwała się, gdy stanęli za brudną naczepą tira. – Zależy mi na wyjaśnieniu sprawy zaginięcia pana córki. Po prostu chcę dobrze wykonać swoją pracę. Nie odpowiadam też za wcześniejsze działania kolegów z Torunia, chociaż ma pan pełne prawo wrzucać nas do jednego worka. Ale jestem tu po to, by pomóc. Dlatego zapytam raz jeszcze. Czy córka przyznała się do winy?

– Nie – odparł twardo i dodał: – Twierdziła, że jest niewinna, była pewna, że to jej mąż miał odwieźć dziecko do żłobka.

Podjechali kilka metrów i tir przed nimi znowu błysnął czerwonymi światłami. Klimatyzacja działała, ale Herman i tak czuła promienie słońca na brzuchu. Jakby chciały wypalić w nim dziurę.

Sikorski odchrząknął.

– Psychiatra mi wyjaśnił – wrócił do tematu – że pozostałością ostrej reakcji na stres, kiedy córka poczuła się lepiej i powoli wracała do rzeczywistości, był silny mechanizm wyparcia. Oczywiście na to wszystko nałożyła się depresja. Leki miały ustabilizować jej stan, ale kiedy przywoziłem ją do domu...

– Dlaczego nie wróciła do męża? – przerwała mu Herman, gdy w końcu w żółtym tempie doczołgali się do świateł na skrzyżowaniu.

– Nie mogła. To znaczy, nie chciała. Błagała mnie, żebym zabrał ją do domu.

– Chodziło właśnie o wyparcie, tak? O to, że według niej to mąż miał zabrać córkę do żłobka?

– I tak, i nie. To znaczy, córka cały czas uważała, że jechała w samochodzie sama. Że nie zabrała Zuzki, bo wtedy widziałaby ją w lusterku wstecznym, które miała ustawione w taki sposób, by obserwować małą.

– Policja tego nie potwierdziła – przypomniła Herman, bo pamiętała zapisy z protokołu oględzin forda focusa. W opinii technika kryminalistyki lusterko wsteczne w przypadku osoby o wzroście zbliżonym do wzrostu Chudzińskiej odbijało tylko obraz tylnej szyby. Mogła więc nie zauważyć córki.

Ruszyli spod świateł.

– Tak, wiem o tym – przyznał Sikorski i zaczął nerwowo gestykulować, puszczać kierownicę. – Ale moja córka nie dopuszczała do siebie myśli, że mogła zapomnieć o Zuzi i zostawić ją na pewną śmierć. Pozwolić na to, by zmarła z przegrzania, do cholery!

– Wróćmy jeszcze do momentu, kiedy pana córka wyszła ze szpitala. Jak Karol Chudziński zareagował na to, że nie wróciła do niego?

– Bardzo to przeżył. Przyjechał do nas, rozmawiał z Moniką, miałem wrażenie, że jej wybaczył. – Sikorski chyba się wzruszył, bo otarł oczy.

Jechali szeroką drogą. Zza drzew po prawej wyłaniały się ogromne oszklone zabudowania firmy farmaceutycznej Neuca, a kawałek dalej, po drugiej stronie, dostrzegli największą miejską nekropolię, Centralny Cmentarz Komunalny, i przedmieścia Torunia.

– Ale Monia się upierała, że jest niewinna. Żyła w przeszłości, chociaż nikt nie obarczył jej winą.

– Jednak w końcu wróciła do męża?

– Tak. Tydzień przed zaginięciem.

– Czy pana zdaniem to mogło mieć jakiś związek?

– Nie sądzę – odparł Sikorski, kiedy przejechali przez tory kolejowe w pobliżu stacji Lotos. – To była jej decyzja. Nikt jej nie przymuszał. Ani Karol, ani tym bardziej ja. Wiedzieliśmy, że potrzebuje czasu. Chociaż niewykluczone, że już wtedy planowała rozstać się z życiem. Kto to wie?

Herman uznała, że czas zmienić temat.

– Kilka miesięcy przed wypadkiem pana córka zmieniła pracę, prawda?

Mężczyzna po dłuższym czasie pokręcił głową z rezygnacją.

– O Jezu, po co te podchody? Przecież pani dobrze wie, że pracowała ze mną w Erbudzie.

Policjantka pominęła milczeniem jego kąśliwą uwagę.

– Czego dziewczyna po studiach politologicznych szukała w branży budowlanej?

– Zacznijmy od tego, że miała się różnych prac. Jeszcze jako studentka dorabiała w KFC, potem pracowała w kilku małych firmach i jako sekretarka, i jako sprzedawczyni. Poradziłem jej, żeby zrobiła podyplomówkę z logistyki, bo wiedziałem, że nasz dział w firmie stale się rozwija. W prezencie na urodziny wykupiłem jej studia. A potem załapała się na okres próbny w Erbudzie, właśnie w logistyce – odparł. – Ale, żeby nie było, nie załatwiłem jej tej roboty. Kiedyś Erbud był rodzinnym przedsiębiorstwem, ale obecnie to grupa kapitałowa działająca w sześciu krajach Europy i zatrudniająca kilka tysięcy ludzi. I liczą się tam umiejętności, a nie więzy krwi.

– Dlaczego ją zwolniono?

– Zaraz, to nie tak. Może dla pani to niewielka różnica, ale Monice po prostu nie przedłożono umowy o pracę.

Herman pokiwała głową i czekała na dalszy ciąg.

– Dobrze pani wie, dlaczego tak się stało. Monika miała w głowie setki myśli, była impulsywna i roztrzepana. Uwielbiałem ją za to, bo przez całe dorosłe życie miała w sobie coś z małego, niesfornego, ale kochanego urwisa. – Sikorski uśmiechnął się do wspomnień. – Niemniej nie umiała się dłużej skupić na robocie. Często o czymś zapomniała, nie domykała spraw, pomijała ważne maile.

Dojeżdżali właśnie do ronda łączącego Grudziądzką z Trasą Raczkiewicza, która dzieliła miasto w osi wschód–zachód. Herman patrzyła na wieżowce znajdujące się po lewej stronie. Przypomniały jej służbową klitkę w Bydgoszczy przy Głowackiego.

Blżej centrum uliczny ruch zgęstniał i częściej przystawali w krótkich kolejkach przed sygnalizacją świetlną. W tym czasie Sikorski odebrał połączenie przez zestaw głośnomówiący i wydał koledze instrukcje w sprawie menu bankietu z okazji oficjalnego uruchomienia fabryki MOD21, którą Herman dziś odwiedziła. Kiedy Sikorski skończył rozmawiać, włączył muzykę. Z głośników poleciały ciężkie dźwięki. Towarzyszył im niski, głęboki głos niemieckiego wokalisty.

– Lubi pan taką muzykę? – zainteresowała się, bo w życiu nie posądziłaby Sikorskiego o zamiłowanie do metalu.

– Monia lubiła – wyjaśnił. – Wiele razy prosiła mnie, żebym się wsłuchał w ten łomot, ale nigdy nie byłem zainteresowany. Jednak kiedy zaginęła, postanowiłem spełnić jej prośbę i wziąłem płyty jej ulubionego zespołu do samochodu. Przynajmniej w drodze mogę sobie ich posłuchać. I powiem pani, że jest w tej muzyce coś, co mnie pociąga. – Sikorski sięgnął do kieszeni w bocznych drzwiach i podał jej płytę z okładką, na której widniała twarz martwego płodu zachowanego w formalinie. Poznała to po ciemnej plamie w okolicy nozdrzy. Wzdrygnęła się, bo fotografia przypominała jej o tym, co widziała rok temu w Grudziądzu. Jakby tamta sprawa nie dawała o sobie zapomnieć.

W prawym górnym rogu zdjęcia odnalazła nazwę zespołu, wypisaną charakterystycznym grubym fontem.

Rammstein.

Pod nią drobniejszymi literami zapisano tytuł albumu: *Mutter*.

Herman odwróciła pudełko i chociaż nie była najlepsza z niemieckiego, przeczytała całą listę utworów. Tylko jednego słowa nie musiała tłumaczyć. Właśnie ono przyciągnęło jej wzrok.

Matka.

Niepokój wypełnił chłodem jej trzewia i rozszedł się po ciele. A może Sikorski przesadzał z klimatyzacją?

Przejechali przez centrum i na drodze prowadzącej na wyremontowany most Piłsudskiego Sikorski zjechał na przystanek dla autobusów PKS. Dwupasmową drogą w obie strony toczyły się wolno samochody. Włączył światła awaryjne, a Maria Herman odpięła pas.

– Ostatnie pytanie. Zna pan Jana Solskiego? – Zaobserwowała, że mężczyzna zacisnął dłonie na kierownicy.

– Słyszałem o nim.

– Był sąsiadem pana córki. Znał go pan?

– Nie. Muszę już jechać – rzucił, wpatrując się w przednią szybę.

– Rozumiem. Dziękuję za podwiezienie. Będziemy w kontakcie. – Herman wysiadła i zatrzasnęła drzwi.

Rozgrzany słońcem asfalt miał konsystencję plasteliny.

– Przejebane? – zapytał Olgierd. – W jakim sensie?

– Chodzi o faceta, który tydzień temu dołączył do grupy swingersów. Był tu z żoną, kruchą blondynką. Wiesz, o kim mowa, bo ostro się z nią zabawiałeś.

– No jasne – stwierdził Zero Siedem z rosnącym niepokojem, mając w pamięci tamtych dwoje.

– Okazało się, że to nie była jego żona.

Policjanta zamurowało.

– Że co, kurwa?! – niemal krzyknął.

– To, co słyszałeś. – Szczerbski nie żartował. – Trzeba to wyjaśnić.

Borewicz ściągnął brwi i podrapał się po głowie.

Zastanawiał się, czy to możliwe, by dał się oszukać, że zbyt łatwo stracił czujność. A dopiero potem zdał sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji tego niedopatrzenia.

– Ale jak to: nie była jego żoną? Przecież to sprawdziłem – usprawiedliwił się.

– Widocznie niezbyt dokładnie – prychnął rozwścieczony rozmówca.

Olgierda ścisnęło w żołądku, aż grymas bólu wykrzywił mu usta.

– Zajmę się tym – obiecał.

– I to natychmiast, kurwa.

– Skąd w ogóle o tym wiesz? – zainteresował się Borewicz.

– Z gazety. Zapierdalał do kiosku, to zobaczysz.

Chudziński pojawił się na tarasie i kiwnął ręką na Olgierda.

– Kawa gotowa – wyszeptał, a Zero Siedem skinął głową.

– No cóż, bardzo dziękuję za informację – rzucił do słuchawki. – Nie mogę dłużej rozmawiać, oddzwonię później. – Rozłączył się.

– Coś ważnego? – Chudziński usiadł z powrotem w fotelu, ale policjant zbył jego pytanie machnięciem ręki.

– Kawa pyszna – pochwalili, a potem, dając sobie czas na zebranie myśli, poprosił o namiar na sklep, w którym gospodarz ją kupuje. Chudziński obiecał, że prześle mu informację esemesem.

Zero Siedem rozejrzał się po salonie w poszukiwaniu gazet, ale zaraz pomyślał, że młodzi ludzie szukają informacji w internecie. Już dawno nie widział nikogo młodszego od siebie z gazetą w ręku. Dobrze wiedział, że prasa jest jak schorowany staruszek, który próbuje jeszcze podrygiwać, chociaż jego dni są policzone. Borewicz sam zresztą nie kupował już czasopism, ale tym razem poczuł nieodpartą chęć, by natychmiast wybrać się do kiosku.

Co mogło się stać tej blondynce? Dobrze wiedział, że powinien skupić się na rozmowie z Chudzińskim, ale nie mógł się uwolnić od myśli o dziewczynie. A przede wszystkim o tym, że ktoś go zrobił w konia.

– Wróćmy do poniedziałku szesnastego października dwa tysiące siedemnastego roku, czyli do dnia zaginięcia pana żony – zaproponował. – Padał wtedy rześisty deszcz i było zimno.

Mężczyzna skupił wzrok na ścianie za Olgierdem, na której wisiał spory obraz przedstawiający latarnię morską na tle szalejącego szarego morza i ciemnych skłębionych chmur. W oddali kuter przełamywał fale. Tak się przynajmniej wydawało Olgierdowi, gdy chwilę wcześniej kontemlował malowidło: że ta jaśniejsza plama to zmagający się z żywiołem statek.

Obok obrazu wisiały różne zdjęcia. Na żadnym z nich nie było Moniki, ale za to na jednym, czarno-białym, Borewicz rozpoznał roześmianą Zuzannę.

– O której wyjechał pan z domu? – spytał Olgierd, ale jego myśli wracały do chwil, gdy kochał się z kruchą blondynką. Wchodził w nią od tyłu i uderzał biodrami, wpatrując się w jej fałujące pośladki.

– Po dziesiątej, bo wtedy zmieniłem rozkład zajęć w firmie i godziny spotkań służbowych.

– Kontaktował się pan z żoną? – Borewicz przegonił wspomnienia.

– Dzwoniłem co jakiś czas. Nie wszystkie połączenia odebrała, w każdym razie ostatni raz usłyszałem ją po szesnastej. Ale wtedy nie martwiłem się zbyt, bo w zasadzie zostało mi jedno spotkanie z klientem i godzinę później miałem wracać do domu.

– I faktycznie przyjechał pan około siedemnastej trzydzieści, prawda?

– Tak. Światło paliło się jedynie na poddaszu, w pokoju, który miał być pokojem Zuzki, a był taką graciarnią, stały tam meble, które chcieliśmy sprzedać, deska do prasowania i suszarka na pranie.

– Zaskoczyło pana to, że świeciło się tam światło?

– Na początku nie, bo zdarzało się, że Monia przesiadywała tam popołudniami. Kładła się na podłodze albo odpoczywała na leżaku. Nie czytała, nie gapiła się w ekran komórki. Po prostu siadała i zamykała oczy.

– Ale tym razem jej tam nie było. – Borewicz dokończył kawę. Wiedział, że kobieta nie wzięła taksówki, bo policja zwróciła się z tym pytaniem do wszystkich korporacji przewozowych. Tamtego dnia żadna z nich nie realizowała kursu na Sezamkową. Kierowcy MZK też nie widzieli nikogo podobnego do zaginionej. – Dokąd mogła pójść bez kurtki i parasolki? – dopytał, a zasmucony gospodarz bezradnie pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Zastanawiałem się, czy nie pojechała do ojca, ale już wiemy, że jej tam nie było. Uznałem, że nie ma sensu czekać, trzeba działać. Wrzuciłem zdjęcie Moni na Fejsa i na Instagram, a potem zgłosiłem jej zaginięcie na policji.

– I wylał się na nią hejt – przypomniał Zero Siedem.

– Właśnie. Nie wiadomo, czy to jej nie zabiło. Bo kiedy znalazłem jej telefon, stało się jasne, że przeczytała te zjadliwe komentarze.

Borewicz pokiwał głową, jednak nie brał za pewnik teorii Chudzińskiego.

Z akt wynikało, że mąż odnalazł telefon żony w dniu jej zaginięcia. Oboje używali iPhone'ów i aplikacji umożliwiającej ustalenie miejsca, w którym aparat się znajduje. Chudziński twierdził, że rzadko korzystał z tego rozwiązania, ale kiedy sobie o nim przypomniał, był przekonany, że jeśli pojedzie na miejsce wskazane na mapie, znajdzie nie tylko telefon, ale przede wszystkim żonę. Próbował się do niej dodzwonić. Nie odbierała. Zaczął się obawiać, że coś jest nie tak. Łał deszcz, a telefon wciąż był w tym samym miejscu. Co więcej, GPS wskazywał stary most nad Wisłą. Chudziński zostawił samochód na światłach awaryjnych na samym środku przeprawy i pobiegł w deszczu w kierunku kładki dla pieszych, znajdującej się po wschodniej stronie mostu, tej, z której rozciągał się widok na podświetloną toruńską panoramę.

Aparat odnalazł przy stalowym wsporniku przęsła, ale bliżej jezdni niż chodnika. Zdaniem policjantów prowadzących sprawę wyglądało to tak, jakby Monika Chudzińska położyła tam aparat celowo. A potem, być może, przeszła przez barierki i rzuciła się do Wisły.

Policjanci analizowali nagrania miejskiego monitoringu oraz te z kamer w komunikacji miejskiej, przede wszystkim z autobusów przejeżdżających tamtego dnia wieczorem przez most, ale ślad po Monice zaginął.

Aktywności zapisane w pamięci telefonu nie przyniosły żadnej podpowiedzi, gdzie lub u kogo mogła przebywać zaginiona. Młoda kobieta odbierała połączenia tylko od męża. Nie

wysłała żadnego esemesa, z nikim się nie kontaktowała. Ale kiedy policjanci przejrzyli zainstalowane aplikacje, ich uwagę przykuł Facebook.

Borewicz pamiętał kilka wpisów:

„To ta idiotka, co zapomniała zawieźć córeczkę do żłobka i zostawiła ją w samochodzie w upale?! Oby nikt tej durnej baby nie znalazł. Niech zdycha. Najlepiej w męczarniach, jak to biedne maleństwo”.

„Moim zdaniem ta pinda po prostu pozbyła się dziecka. Może zemściła się za coś na mężu? Mało to już takich sytuacji było?”

„Jak cię dorwę, to już nikt cię nie znajdzie”.

Chudziński odgarnął z czoła blond kędziory i czekał na dalsze pytania.

– Na mnie już pora – uznał policjant i wstał, ale kiedy podszedł do drzwi, zapytał jeszcze: – Zna pan Jana Solskiego, który w tamtym okresie był waszym sąsiadem i mieszkał naprzeciwko?

– Znam.

– Byliście w dobrych relacjach?

– Raczej tak.

– Pomagał panu, gdy zaginęła, prawda? – dopytywał Borewicz.

– Tak, organizował wspólne poszukiwania – przytaknął gospodarz. – Okazał się bardzo pomocny. Ale czemu o nim rozmawiamy?

– Macie ze sobą kontakt? – policjant odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie. Od czasu, jak się wyprowadzili, to się nie widzieliśmy ani nie rozmawialiśmy ze sobą.

Olgierd podziękował i właśnie się pożegnał, gdy pod bramę posesji zajeżdżał pomarańczowy renault captur na numerach powiatu toruńskiego.

Wewnątrz siedziała dziewczyna z krótką chłopięcą fryzurą, w okrągłych, dobrze dobranych do kształtu twarzy okularach w ciemnej oprawie.

Na fotelu pasażera Borewicz zauważył fotelik, ustawiony odwrotnie do kierunku jazdy. Kobieta przyjrzała się policjantowi z zainteresowaniem i opuściła boczną szybę.

– Dzień dobry. Pan komisarz, prawda? – Obdarzyła Borewicza serdecznym uśmiechem, po czym zerknęła na Chudzińskiego, wciąż stojącego w drzwiach. – Jestem Hania Pilewska. – Nachyliła się i wyciągnęła drobną dłoń, którą Borewicz uściśnął. – Karol mówił mi, że pan przyjedzie.

– Właśnie skończyliśmy rozmawiać – odparł.

– Już? Myślałam, że dopiero zaczynacie. – Zrobiła zawiedzioną minę.

Borewicz przyjrzał się dziecku, odnotowując jego podobieństwo do matki. Między innymi dołeczki w policzkach i identyczny wykrój warg.

– A miałyby pani coś do dodania w sprawie, o której rozmawialiśmy? – Zerknął na drzwi domu, ale gospodarza już w nich nie było. Widział tylko fragment korytarza, jasne płytki na podłodze i jasnozieloną ścianę z ażurowymi drewnianymi schodami.

– Ja? Nie, raczej nie. Wszystkie interesujące komentarze, sugestie i pomysły przesyłam od razu na policję.

– Jakie komentarze? O czym pani mówi? – Nie bardzo rozumiał, co miała na myśli.

– Karol nic panu nie powiedział? – spytała. Silnik wciąż pracował.

– Nie.

– Prowadzę stronę internetową i profil na Facebooku poświęcone zaginięciu Moniki.

Herman wróciła do domu odziedziczonego po rodzicach. Pustego, pełnego wspomnień z dzieciństwa, od których nie umiała się uwolnić. Niezmiennie tkwiły w półcieniu korytarza pozbawionego okien, w boazerii na parterze, w startym parkiecie w jodełkę w salonie i wzorach nanoszonych dawno temu wałkiem na zakurzone już dziś ściany. Miała wrażenie, że żaden remont by tego nie zmienił.

Weszła po schodach do swojego dawnego mieszkania, które pomógł jej urządzić ojciec.

Na zacienionym balkonie z ruchomymi płytkami, odspojonymi już od zeszłej zimy, zapaliła chesterfielda. Siwy dym zawisł w ciężkim, rozgrzanym powietrzu i długo nie znikał.

Maria myślała o zaginięciu Moniki Chudzińskiej i o jej ojcu, który przeżył dwie tragedie i nie najgorzej sobie z nimi radził. Zastanawiała się, jaką siłę trzeba w sobie mieć, by codziennie mierzyć się z pytaniami, na które trudno znaleźć odpowiedzi.

Wrzuciła peta do popielniczki, za którą służył stojący przy balustradzie słoik z deszczówką. Oprócz popiołu i niedopałków topiły się w nim muchy.

Maria wróciła do pokoju i odtworzyła na YouTube tytułową piosenkę z albumu niemieckiej grupy grającej metal industrialny.

Obejrzała wideoklip, na którym, jak jej się zdawało, wokalista niemieckiego zespołu występował w podwójnej roli. Najpierw zobaczyła go w czarnym płaszczu skórzanym, jak brodził w jeziorze i ciągnął przez szuwary drewnianą łódź. A chwilę potem łysy mężczyzna z nagim torsem, ubrudzony ziemią i uwięziony w lochu, zaczął śpiewać rymowany tekst przy wtórze dziecięcego głosu. Zerkał przy tym w górę – nad jego głową znajdowała się gruba krata przesłaniająca niebo.

Herman wysłuchała utworu do końca, po czym odtworzyła go ponownie, ale tym razem bez obrazu. Wpisała w wyszukiwarkę tytuł piosenki i znalazła tłumaczenie tekstu na tekstowo.pl.

Było dalekie od ideału, ale policjantka chciała zrozumieć przekaz.

Wczytała się w słowa i dotarło do niej, że utwór może opowiadać o dziecku, które jest owocem przerażającego eksperymentu, pozbawionym matczynej miłości i zwracającym się przeciwko matce, a nawet pragnącym jej śmierci. Przynajmniej tak to rozumiała, chociaż po lekturze miała mętlik w głowie.

Zjechała kilka linijek niżej i przeczytała coś, co wstrząsnęło nią do głębi.

W rubryce „Ciekawostki” podano, że inspiracją do napisania tekstu były fatalne relacje dwóch muzyków zespołu Rammstein z ich matkami.

Maria Herman znów włączyła ten sam utwór, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w ciężkie dźwięki niesione spokojnym rytmem. Wspomnienia napływały gwałtownie jak wezbrana fala. Pod powiekami miała obraz nieżyjącej matki. Jej twarz ściągniętą zmarszczkami, powieki przysłaniające zmęczone, suche oczy, ciężące ku dołowi kąciki wąskich ust, niezdolnych do uśmiechu. Widziała kobietę pozbawioną głębszych uczuć do własnego dziecka, która traktowała kilkuletnią córkę jak życiowy balast, przeszkodę na drodze do szczęścia. Taka była dla Marii, ale za to zupełnie inna dla jej ojca. Musiał to widzieć i być może dlatego ten wysoki mężczyzna o żyłastej sylwetce kochał swoje dziecko niejako za dwoje. Zabierał ją na lody pistacjowe w słodkim wafelku, które szybko się topiły i spływały po palcach, chuchał w zdarte, brudne kolana, gdy uczyła się jeździć na rowerze na wysypanej żużlem ulicy przed domem. Był zawsze obok, gdy go potrzebowała. Zrobił też remont piętra, by miała tam swoje miejsce na ziemi. Podłączył zlew w kuchni i czyścił syfon, gdy brudna woda w komorze nie znajdowała ujścia.

Maria całe życie kochała ojca i nie godziła się na niemiłość matki. Nie potrafiła zrozumieć, czym jej zawiniła. Nigdy się tego nie dowiedziała. Najpierw umarł ojciec, na zawał, do czego Herman się przyczyniła swoim uzależnieniem od hazardu. Wtedy matka wyrzuciła ją z domu, a kilka miesięcy później zmarła w szpitalu na skutek udaru.

Maria została sama bez szansy na wyjaśnienie, dlaczego matka nigdy nie obdarzyła jej miłością.

Ale czy ta wiedza w czymkolwiek by jej pomogła? Czy zadziałałaby jak balsam na dziecięce, dziś wrzodzące rany?

Z przykrych wspomnień wyrwał ją dźwięk telefonu.

Wyłączyła muzykę, otarła wilgotne policzki i sięgnęła po aparat.

Dzwonił Borewicz.

– Wracam od Chudzińskiego – powiedział po krótkim powitaniu. – Ale nie dowiedziałem się nic nowego.

– Nie taki był nasz cel – przypomniała koledze.

– Racja. Więc tak tylko mówię – odparł z pełnymi ustami.

– Ej, a co ty tam wcinasz? – spytała, czując, jak żołądek przyrasta jej do krzyża. Od wielu godzin nie miała nic w ustach.

– To, co jedzą tylko prawdziwi kowboje. Czyli wiaderko strips and bites z fryteczkami i sosem azjatyckim, moja droga. Ale do tego, żeby nie było, wzięłem pepsa bez cukru. Dobrze wiesz, jak cenię sobie zdrową dietę.

Zaśmiała się i postanowiła rozprostować kości. Wyszła na balkon, ale duchota wciąż obezładniała.

– Jak mąż Chudzińskiej odebrał twoją wizytę? – wróciła do sprawy, odpalając papierosa. Zauważyła, że wciąż jeszcze trzęsą jej się ręce.

– Zero stresu. Był rzeczowy, pomocny i otwarty – Borewicz zamlaskał. – A Sikorski?

– Odrobinę nerwowo, ale generalnie radził sobie z emocjami. Trzymał je na wodzy – wyjaśniła i się zaciągnęła. Wodziła wzrokiem po wysuszonych kępach trawy i nędznie wyglądających tujach; niepodlewane straciły blask. Gdzieś tam dostrzeżała w krzewach brązowe igły. Co jakiś czas obiecywała sobie, że zajmie się umierającym ogrodem, ale nie miała na to ani siły, ani ochoty. Szczególnie w taki upał.

– Powiedziałaś Sikorskiemu, na jakich podstawach ponownie wszczęto śledztwo?

– Nie. I jestem przekonana, że go tym uraziłam. – Herman wypuściła kłąb szarego dymu. Mała chmura z trudem się rozwiwała.

– Przejdzie mu.

Oczywiście wyobraźni widziała, jak Borewicz macha ręką.

– Ale, słuchaj! Zapomniałem ci powiedzieć, że poznałem tę jego dziewczynę, Hannę Pilewską. Jak wychodziłem od Chudzińskiego, podjechała z synkiem pod dom. Czy wiedziałaś, że to ona prowadzi stronę internetową o poszukiwaniach Moniki?

– Nie. – Zaskoczył ją.

– Od paru miesięcy. Twierdziła, że chciała w ten sposób pomóc Karolowi. Podobno na Facebooku ma też profil i grupę. Zebrała wszystkie informacje o Monice i działa.

– Ciekawe. Sądziłam, że to robota Karola. – Maria zerknęła na wypielęgnowany trawnik w ogrodzie sąsiadów.

– Jeszcze ciekawsze jest to, że ona podobno podrzuca wybrane komentarze i różne teorie na temat tego, co się stało z Moniką, komuś z toruńskiej komendy.

– Trzeba będzie to sprawdzić – uznała Herman.

- Jakby co, biorę to na siebie. Tylko pytanie, co teraz robimy? Jedziemy zgodnie z planem czy...

- Zgodnie z planem - Herman weszła mu w słowo. - Widzimy się jutro.

- Okej, to wpadnę po ciebie z samego rana - Borewicz znowu miał pełne usta.

Herman poczuła jeszcze silniejszy głód i uznała, że musi się przejść po zakupy.

- Super. A ty wracasz do Bydży?

- Tak.

- Bo jakby co, to dół jest wolny i możesz spać u mnie.

- Dzięki, ale wiesz, jak jest. Najlepiej się wyspać na swoim.

- Jasne. Spokojnej drogi, Zero Siedem.

Niemal wyczerpana bateria starej nokia 6310i dała o sobie znać krótkim dźwiękiem.

Herman zerknęła na aparat, po czym wrzuciła niedopałek do słoika i cofnęła się do pokoju. Podpięła telefon do ładowarki. Z korytarza wzięła niewielki plecak i poszła na zakupy.

Nim zdążyła dojść do najbliższego skrzyżowania, usłyszała za plecami swoje imię.

Spojrzała przez ramię, ale nie zauważyła nikogo ani na chodniku, ani na jezdni. Droga osiedlowa, przy której rosły wysokie drzewa, rzucające wieczorem długie czarne cienie, zdawała się pusta. Nie zauważyła żadnego z sąsiadów.

- Maria! - Tym razem głosów było już kilka.

Nie pierwszy raz je słyszała.

Puls przyspieszył i zimny pot natychmiast zrosił jej czoło. Błądźnik się rozszalał, Herman miała wrażenie, że droga rozkołysała się na boki. Była przekonana, że zaraz straci przytomność. W dodatku nie mogła nabrać tchu.

Przystanąła i złapała się siatki ogrodzeniowej.

- Maria, Maria, Maria! - grzmiało jej w uszach.

Panikowała. Z całej siły zacisnęła powieki i wykrzywiła usta.

Reagowała tak, chociaż wiedziała, że nikt jej nie woła, że te krzyki odbijają się echem tylko w jej głowie.

Pierwszy raz usłyszała je niemal rok temu, krótko po tym, jak wrócili z Zero Siedem z Grudziądza. Rozwiązywali tam dramatyczną sprawę porwania dziecka, ale koszty, jakie ponieśli, były zbyt wysokie. Maria sprzeniewierzyła się sobie i wszelkim zasadom, które wyznawała. I teraz poczucie winy nie pozwalało jej normalnie funkcjonować.

Uspokoila oddech i uchylila powieki.

Rozejrzała się po osiedlowej drodze.

Wzięła kilka wdechów i puściła siatkę. Wydobyła z kieszeni bawełnianych spodni paczkę chesterfieldów, zapaliła papierosa i ponownie przymknęła oczy.

Nikotyna zawsze ją uspokajała.

Świat wokół wracał do normalności.

- Maria? - znów usłyszała swoje imię.

Herman stężała, bo tym razem głos był jak najbardziej realny.

Zero Siedem wrzucił do kartonowego wiaderka po kurczaku tłuste opakowanie po frytkach, zużyte serwetki i zmięte papierowe torby, które woził na tylnej kanapie.

Zatrzymał się na stacji BP, przy drodze wylotowej na Bydgoszcz, wyrzucił śmieci do kosza, po czym zatankował do pełna. Nie dlatego się jednak zatrzymał. Zrobił to z powodu niestrawności.

Skorzystał z toalety, ale ostry ból brzucha nie ustąpił i Borewicz dobrze wiedział, że nie chodzi o to, co zjadł. To była reakcja na stres. Jeszcze pod domem Chudzińskiego szybko odnalazł post zamieszczony na profilu toruńskich „Nowości”. Na zdjęciu ujrzał drobną blondynkę z farbowanymi, niezbyt długimi kędzierzawymi włosami. Przypominała mu Ruth Langmore z serialu *Ozark*, w którą wcielała się znakomita Julia Garner. Oglądał go niedawno z żoną w ramach przedłużających się prób odbudowania relacji małżeńskiej. Nie wiedział, czy był dzięki temu bliżej celu, ale czasu poświęconego na serial nie żałował.

Pod zdjęciem znajdowała się niezbyt długa notka rozpoczynająca się od pytania: „Gdzie jesteś, Doroto?”.

Przyglądał się fotografii i nie miał wątpliwości, że patrzy na tę samą kobietę, którą znał pod innym imieniem i nazwiskiem.

Ponownie przeczytał notatkę. Informowano w niej, że dwudziestotrzyletnia Dorota Lewandowska zaginęła około godziny osiemnastej w miniony piątek dziewiętnastego sierpnia, po tym jak pojechała odwiedzić babkę w Suchatówce. Sprawdził, że chodziło o wieś położoną kilkanaście kilometrów za Toruniem w kierunku na Poznań. Od północy i wschodu otaczał ją las, skrywający olbrzymi poligon wojskowy.

Telefon młodej kobiety nie odpowiadał, a jej zaginięcie zgłoszono następnego dnia, gdy się okazało, że Lewandowska nie dotarła do domu krewnej. Borewicz zanotował w pamięci opis ubioru dziewczyny przekazany przez policję: szorty dżinsowe niebieskie, biały T-shirt z wizerunkiem Myszki Miki, białe adidasy typu superstar z trzema różowymi paskami po bokach.

Przypomniał sobie, że gdy w zeszłym tygodniu przyjechała na imprezę, wyglądała zupełnie inaczej. Mała czarna opinała jej krągłe biodra, a szpilki podkreślały linię smukłych nóg.

Borewicz odszukał profil Lewandowskiej na Facebooku.

Dziewczyna opublikowała ostatni post kilka dni temu – udostępniła informację o petycji do prezydenta miasta, w której mieszkańcy domagali się rozbiórki dwóch pawilonów na terenie Bulwaru Filadelfijskiego nad Wisłą. Ich zdaniem obie budowle ustawione w linii historycznych bram miasta szpecily unikatową panoramę Torunia, wpisaną razem z zespołem staromiejskim na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Policjant zauważył, że Lewandowska w zasadzie nie publikowała własnych treści, a jedynie przekazywała dalej informacje z innych źródeł. Z jakiegoś powodu uznawała je za interesujące i ważne. Doszukał się jeszcze krytyki podręcznika do historii i teraźniejszości autorstwa profesora Wojciecha Roszkowskiego, a także cytatu z wypowiedzi ojca dyrektora o „niepolskich Polakach”, który tym mianem określił osoby krytykujące działania ministra edukacji, broniącego wspomnianej książki do nauki HiT-u w liceach.

Borewicz polubił Lewandowską jeszcze bardziej. Nie tylko za jej biseksualizm, brak zahamowań i gotowość do uprawiania seksu grupowego, ale także za poglądy.

Raz jeszcze przyjrzał się młodej twarzy, wesołym oczom i jasnym sprężynkom włosów.

Potem przejrzał listę jej znajomych. Przesuwał palcem po ekranie i już miał odłożyć telefon, gdy jego wzrok przyciągnęło pewne zdjęcie profilowe.

Przyjrzał się fotografii i przygryzł wargę, bo patrzył właśnie na przystojnego faceta z wytatowanymi przedramionami, który założył ręce za głowę pełną blond kędziorów. Nie miał wątpliwości, że był to Karol Chudziński.

Głos należał do Sławomira Jaronia, grudziądzkiego policjanta, którego poznała przy okazji zesiorocznego pobytu w tamtym mieście.

– Maria! Dobrze cię widzieć. – Mężczyzna zrobił kilka długich kroków w jej stronę. Wysoki i szczupły, kołysał się na patykowatych nogach i się garbił. Herman stwierdziła, że ciemne włosy zaczęły mu się przerzedzać.

– Co tu robisz? – nie kryła zaskoczenia.

– Możemy pogadać? – spytał. Stał przy niej i oparł dłonie na biodrach. Z kieszeni wystawał mu brelok od kluczyków. Dopiero teraz zauważyła dużego granatowego vana zaparkowanego w głębokim cieniu po drugiej stronie drogi.

– Tak bez zapowiedzi? Mogłeś chociaż zadzwonić. – Herman nie chciała, by zabrzmiało to jak pretensja, ale uśmiech Jaronia przygasł. Zrozumiała, że nie takiej reakcji się spodziewał. Miała pretensje do siebie, że zareagowała lękiem.

– Wracam z Inowrocławia od rodziców – powiedział. – Pomyślałem, że wpadnę i pogadamy.

Herman lubiła młodszego kolegę. Z początku wydał im się z Olgierdem zwykłym służbistą, ale szybko się zorientowali, że przybierał taką pozę wyłącznie w obecności komendanta. Później Jaroń okazał się pomocny, wymieniali się informacjami i ich końcowy sukces w sprawie z lat dziewięćdziesiątych dotyczącej porwania dziecka nie byłby możliwy, gdyby nie wsparcie tego funkcjonariusza, szefa wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Grudziądzu.

Maria patrzyła na niego przez chwilę, po czym zwalczyła pierwotną niechęć, wynikającą być może z niedawnego ataku paniki, i się uśmiechnęła.

– No to chodź – zachęciła go, cofając się do furtki.

Zaproponowała mu kranówkę lub kawę, ale, o dziwo, nie chcieli mu się pić.

Sama wypita duszkiem szklankę wody, żeby na chwilę zagłuszyć szalejący głód i suchość w gardle.

Usiedli na spēkanym betonowym tarasie w trzeszczących wiklinowych fotelach. Wschodnia elewacja domu wieczorami zawsze tonęła w cieniu, ale o chłodzie można było pomarzyć.

Powspominali wspólne śledztwo, opowiedzieli sobie, czym się obecnie zajmują, ale nie wchodzili w szczegóły. A kiedy w końcu wyczerpali tematy zawodowe, Herman zapaliła kolejnego chesterfielda. To był już dziewiąty tego dnia. Obiecała sobie zredukować liczbę wypalanych papierosów o połowę, ale słabo jej to wychodziło.

Zaciągała się raz po raz, aż wreszcie poczuła ulgę.

Dobre i to, pomyślała.

Dym, podobnie jak wypita wcześniej woda, pozwalał skutecznie oszukać mózg i stłumić sygnały wysyłane przez pusty żołądek do ulokowanego w podwzgórzu ośrodka sytości.

Rozmowa z Jaroniem sprawiła, że wspomnienia wydarzeń w Grudziądzu powróciły niczym seria klatek na kliszy filmowej.

Herman znowu widziała siebie w nowoczesnym domu, złożonym z dwóch prostopadłościaków, schowanym w lesie nad Jeziorem Rudnickim Wielkim. To właśnie tam, przekonana o konieczności ratowania Olgierny Borewicz, wycelowała do mężczyzny, który pierwszy wystrzelił pocisk w jej kierunku. Na szczęście spudłował. Herman do dziś słyszała gwizd kuli, która przemknęła obok jej ucha.

A potem wszystko działo się tak szybko, że w zasadzie mogłaby to wziąć za wybryk szalonej imagacji.

Przynajmniej tak się pocieszała, bo prawda była zgoła inna.

Strach wciąż ciążył jej na barkach i Herman się obawiała, że ten ciężar w końcu odbierze jej zdolność oddychania.

Strzepnęła popiół, a Jaroń założył nogę na nogę i przyglądał jej się przez chwilę.

– Pamiętasz byłego policjanta, który zaginał w czasie, gdy pracowaliśmy nad sprawą Witbergów? – Położył dłonie na podłokietnikach.

Herman poczuła ukłucie w dole pleców. Musiała uważać, żeby nie zdradził jej żaden, nawet najmniejszy gest, chociaż zmuszenie ciała do całkowitego bezruchu okazało się niemałym wysiłkiem.

– No, faktycznie, mówiłeś nam o tym. I co? Ruszyło się coś w tej sprawie? – Znów się nachyliła do popielniczki i strzepnęła popiół, po czym założyła kosmyk włosów za ucho.

– To niesamowite, że przez cały rok, mimo sporego wysiłku naszych ludzi i kolegów ze Świecia, nie zdołaliśmy popchnąć tej sprawy nawet o krok. Owszem, ktoś z sąsiadów widział Głacowskiego, jak kręcił się przed domem. Ba, Marian Kurek, którego poznaliście, mój poprzednik, od dawna już na emeryturze, widział się z nim tego dnia, w którym prawdopodobnie zaginał. I nic.

– Serio? A monitoring? Albo logowania komórki?

– Dupa. Mówię ci: nic, zero. – Policjant rozłożył długie ręce, a Herman odetchnęła w duchu.

Zaciągnęła się, żeby uspokoić kołatanie serca, gdy nagle zaniepokoił ją tajemniczy uśmiech, który wykwitł na ustach Jaronia. Wpatrywał się w nią uważnie.

– Nie mieliśmy żadnego sygnału. – Kolega stopniował napięcie. – Żad-ne-go – przesyłabizował.

Herman nie wiedziała, co powiedzieć, więc pokiwała głową.

– Aż do wczoraj – dodał Jaroń.

Klimatyzacja dmuchała raz zimnym, a raz zaledwie chłodnym powietrzem.

Zero Siedem zastanawiał się, jakie kroki powinien przedsięwziąć, i z nerwów rozdrapał strupa na kostce dłoni. Przy drobnej ranie wezbrała kropla krwi, którą spił. Żelazisty smak wypełnił mu usta.

Karola Chudzińskiego postanowił zostawić sobie na później. Był u niego kilka godzin wcześniej, dlatego uznał, że nagły powrót do Kaszczorka lub wypytywanie faceta przez telefon o znajomą z Facebooka mogłyby niepotrzebnie zwrócić jego uwagę. Borewicz musiałby mu wyjaśnić, że dziewczyna nie miała żadnego związku z zaginięciem Moniki Chudzińskiej. Ale dobrze wiedział, że zadziałałoby to w taki sam sposób, jak prośba, by nie myślał o różowym słoniu. Dlatego wołał odpuścić. Poza tym to, że kobieta i Chudziński byli znajomymi w social mediach, jeszcze o niczym nie przesądzało. Relacje w internecie nie zawsze przekładały się na realne życie. Zero Siedem miał też świadomość, że jeśli Chudziński oświadczy, że nie zna Doroty Lewandowskiej, policjant nie będzie mógł tego szybko zweryfikować. Na razie więc uznał, że powinien skontaktować się z Grzegorzem Lipskim, który złamał zasady klubu, wprowadzając do niego nieznaną.

Sięgnął po laptop. W zabezpieczonym hasłem pliku, ukrytym pomiędzy folderami systemowymi, odszukał numer telefonu do Grzegorza Lipskiego.

Wpisał numer na wirtualnej klawiaturze smartfona i czekał na połączenie.

Dobił do ósmego sygnału i odpuścił.

Pamiętał, że zweryfikował ten numer, łącząc się z mężczyzną w trakcie pierwszego spotkania w czerwcu.

Umówili się wtedy w Cafe Lenkiewicz przy Rynku Staromiejskim, ale nie w ogródku, tylko w oficynie. Tam znajdował się nowoczesny oszklony budynek kawiarni z parasolami rozstawionymi w zacisznej przestrzeni obszernego tarasu. Borewicz zamówił trzy olbrzymie gałki lodów i czekał na Lipskiego. Około czterdziestoletni mężczyzna przyszedł po kwadransie. Stał w pobliżu wejścia do kawiarni i się rozejrzył. Policjant uniósł rękę, tamten się uśmiechnął i podszedł do stolika. Zero Siedem uznał, że facet chyba każdą wolną chwilę spędza na siłowni i nawet w luźnej koszulce nie ukryłby elegancko wyrzeźbionych mięśni. Bardziej jednak przypominał lekkoatletę niż karka z bmw. Lipski przywitał się mocnym uściskiem dłoni. Przeprószył, że żona nie przyszła razem z nim, ale obiecał, że dotrze po kwadransie. Sprawy służbowe, wyjaśnił.

Policjant zamówił dla gościa espresso i wodę, a dla siebie lemoniadę na kostkach lodu. Kiedy kelnerka przyniosła napoje, opowiedział o zasadach przyjmowania do klubu nowych par. Za Lipskiego reczył jeden z polityków, stały bywalec imprez, którego partia propagowała chrześcijańskie wartości.

Samo poręczenie było jednak niewystarczające, bo na rozszerzenie grona swingersów zgodę musieli wyrazić członkowie klubu. Zrobili to po zapoznaniu się z odpowiedziami na pytania w kwestionariuszu. Chodziło nie tylko o upodobania seksualne, ale przede wszystkim o to, kim się jest i jak zarabia na życie. Czy jest się w stanie wpłacić wysoką kaucję i wносить miesięczne opłaty, które znacznie przekraczały możliwości klasy średniej. W ten sposób eliminowano przypadkowych gości, gołodupców żądnych wrażeń na jedną noc. W tej grupie wolność seksualna i spełnienie nie były najważniejszymi wartościami. Gdyby tylko jej członkowie umieli się modlić, modlili by się o dyskrecję.

Grzegorz Lipski słuchał tego wszystkiego z zainteresowaniem, a kiedy Borewicz poprosił go o numer telefonu, mężczyzna potarł nos i wyciągnął aparat. Zero Siedem wprowadził na klawiaturze ciąg cyfr i zadzwonił. Komórka Lipskiego ożyła mocnym rockowym brzmieniem.

Porozmawiali jeszcze kilka minut, po czym do ich stolika podeszła młoda kobieta. Położyła Lipskiemu na ramieniu dłoń, którą on pocałował. Usiadła obok i przedstawiła się jako Alicja Lipska. Wydawała się lekko spięta, ale tak bywało praktycznie na każdym wstępnym spotkaniu, kiedy ludzie w zasadzie już samą obecnością odkrywali przed Olgierdem swoje seksualne pragnienia i fascynacje.

Zero Siedem na myśl o tym, że wkrótce będzie mógł zbliżyć się do tej kruchej blondynki, całować jej szyję i piersi, poczuł ciepło w dole brzucha. Pochwycił kilka nieśmiałych spojrzeń młodej kobiety w chwili, gdy przyciągała do siebie silne ramię Lipskiego – potem, gdy ich palce się splotły. To dziewczęce zawstydzenie wydało mu się czarujące i podniecające zarazem. Zastanawiał się, jaka jest w łóżku.

Rozstali się po trzydziestu minutach. Na koniec Borewicz obiecał, że się do nich odezwie i poinformuje o decyzji członków klubu.

Stało się tak miesiąc później. Wówczas Lipski odebrał po kilku sygnałach. Wylewnie dziękował Olgierdowi za dobrą wiadomość.

A teraz, siedząc w samochodzie, Borewicz kolejny raz próbował skontaktować się z Lipskim. Znowu spił krew z rany i czekał.

Nadaremnie.

Zero Siedem nie miał zamiarów na kobietę, która podawała się za żonę Lipskiego, ale miał ich adres. Dom znajdował się w północnej części Torunia, na zapleczu nowoczesnego budynku handlowo-usługowego, gdzie mieściły się kawiarnia Beza i dwie restauracje. Bezpośrednio za pawilonem z czerwonej cegły i przylegającym do niego wąskim parkingiem wyrastały nowoczesne domy.

Borewicz dojechał tam w niecały kwadrans i zatrzymał się przy wysokim ogrodzeniu z gabionów. Jasne kamienie w stalowej klatce wyglądały efektownie, ale przede wszystkim odcinały mieszkańców domu od widoku miejsc postojowych dla samochodów i stale kręcących się tam ludzi.

Pomarańczowa tarcza słońca, która wisiała nad horyzontem, kładła długie czarne cienie. Ale wieczer nie zapowiadał ulgi, rozgrzane powietrze stało w miejscu. Zero Siedem modlił się o burzę. Taką, za którą przyszedłby chłodny front atmosferyczny i spadek temperatury o co najmniej dziesięć stopni.

Zadzwonił domofonem i spojrzał na front domu z minimalistycznym ogrodem. Strzyżone iglaki wyrastały z kwater wysypanych naprzemiennie białym i szarym łupkiem. Drogę do drzwi wejściowych wyłożono jasnymi płytami. Po bokach rozstawiono niskie chromowane lampy.

– Pan do kogo? – Usłyszał kobiecy głos, ale nie dostrzegł jego właścicielki. – Tutaj – dodała kobieta. Stała w pobliżu narożnika domu, gdzie rósł duży różanecznik. Wyłoniła się zza krzewu i zatrzymała w połowie drogi do furki.

Mogła być po pięćdziesiątce. Nosiła dresowe szorty, które podkreślały jej szerokie biodra i masywne uda. Kasztanowe loki okalały okrągłą twarz. Miała na dłoniach rękawiczki ogrodowe, sięgające niemal do łokci, i taszczyła stertę gałęzi. Zatrzymała się w miejscu, jakby bała się podejść bliżej.

– Ja do Grzegorza Lipskiego – odpowiedział.

– Do kogo? – Dmuchiła w grzywkę i włosy zafalowały.

Powtórzył imię i nazwisko mężczyzny, ale dotarło do niego, że kobieta przecież je usłyszała.

– Nikt taki tutaj nie mieszka. – Pokręciła głową.

Spojrzał na numer domu zawieszony na elewacji i upewnił się, czy trafił pod właściwy adres.

– No tak, to tutaj, ale nie mieszka tu żaden Grzegorz.

Borewicz wypchnął językiem policzek i znieruchomiał. Kobieta przyglądała mu się z ciekawością, lecz on zapatrzył się w jakiś punkt nad jej głową. W końcu uznał, że czas się pożegnać. Podziękował i przeprosił za pomyłkę.

Wrócił do toyoty, uruchomił silnik i przełączył klimatyzację na wyższy bieg.

Głośny szum urządzenia odzwierciedlał mętlik w jego głowie.

Alicja Lipska okazała się Dorotą Lewandowską, a Grzegorz Lipski nie mieszkał pod adresem, który podał. Borewicz płuł sobie w brodę, że nie sprawdził tego wcześniej.

– Wyruchali mnie – wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Otarł twarz i poklepał się mocno po policzkach, aż zapiekła go skóra.

Myśl, Borewicz, myśl, nakazał sobie.

Do zaginięcia kobiety doszło tydzień temu, ale media dopiero teraz podchwyciły tę informację. Lipski nie odbierał telefonu. Zero Siedem znowu próbował się z nim połączyć i kolejny raz musiał skapitulować. Nie napawało go to optymizmem, chodziło jednak nie o dobry nastrój, ale o rzetelną analizę tego, co się stało. A przede wszystkim – dlaczego tak się stało.

Lipsy, a raczej młodzi ludzie, którzy tak mu się przedstawili, wydali kupę kasy na wejście do klubu i byli tylko na jednej jedynej imprezie. Po co w takim razie to zrobili? Jaki mieli cel? Co zamierzali osiągnąć?

Pierwsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy, była taka, że chcieli kogoś skompromitować albo zaszantażować, ale trafili na lepszych przeciwników, którzy postanowili wymierzyć im karę. Wtedy zaginięcie Lipskiej, a tak naprawdę Doroty Lewandowskiej, okazałoby się porwaniem lub zabójstwem. To samo mogło spotkać Lipskiego. I to – być może – byłoby dla Olgierda najlepszą opcją. Zero wysiłku i sprawa rozwiązana. Intuicja jednak podpowiadała mu, że powinien być czujny. Nic w życiu nie przychodziło mu łatwo.

Po chwili namysłu uznał, że o próbie skompromitowania członków klubu, a tym bardziej ich szantażowania, nie mogło być mowy. Młodzi ludzie nie mieli przy sobie żadnego sprzętu rejestrującego. Kiedy weszli na górę do sali zbliżeń, byli przepasani ręcznikami.

Musiało chodzić o coś zupełnie innego.

Jednorazowy wygłup?

Borewicz pokręcił głową.

Doskonale wiedział, że to zbędny wydatek. O wiele tańsze były imprezy w ogólnodostępnych klubach dla swingersów albo wycieczki do zagranicznych kurortów otwartych na tego typu klientelę.

Policjant musiał się zatem skupić na innych aspektach tej sprawy. Po pierwsze, powinien się dowiedzieć, jak na zaginięcie Lewandowskiej zareagowali klubowicze. Co prawda jego szef nic mu na ten temat nie powiedział, ale być może mleko się jeszcze nie rozlało.

Po drugie, uznał, że najbardziej niebezpieczne w skutkach mogą okazać się policyjne działania w sprawie zaginięcia tej laski. A szczególnie próba odtworzenia tego, co robiła wcześniej. Doskonale zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później operacyjni otrzymają dane z logowania telefonu w stacjach bazowych. A to sprawi, że będą o krok od dotarcia do miejsca intymnych spotkań. W takim razie powinien działać i natychmiast zmienić lokal. Przeszło mu przez myśl, że być może należało wyprowadzić klub z Torunia. Nawet na krótko. Tylko do momentu wyjaśnienia sprawy z Lipskimi. Byłaby to już druga wyprowadzka po tym, jak jego nieformalny szef uznał, że willa w lesie w Grudziądzu, której był właścicielem, nie może już pełnić tej funkcji. Lekko odremontował obiekt i sprzedał go za grube pieniądze, co ucieszyło Borewicza. Ten

dom budził w nim złe wspomnienia. Wiedział, że nigdy nie wymaże z pamięci tego, jak naprawiał dziury po pociskach i czyścił posadzkę, na której znajdowała się plama krwi. Potem, przed sprzedażą, wyszliłował to miejsce i był przekonany, że to załatwiło problem. Tak samo jak dokładne czyszczenie ram okiennych, wlotów wentylacyjnych czy opraw lamp. Ze szkoleń dla policjantów służby kryminalnej dobrze wiedział, że właśnie w takie miejsca muchówki mogą roznieść krew. Działo się tak wówczas, gdy owad brodził w kropli posoki, próbując się jej napić, a potem odlatywał. W ten sposób na wspomnianych właśnie przedmiotach mokre odnoża zostawiały drobne ślady DNA. Poza tym zdarzało się tak, że opite muchówki po prostu wymiotowały ludzką krwią.

Borewicz zamrugał, by pozbyć się obrazów z przeszłości.

Wrzucił jedynek i odjechał.

Powinien się uspokoić. Uznał, że wróci do Bydgoszczy, do żony i córki, a po drodze skontaktuje się z politykiem, który poręczył za Lipskiego. Wiedział, że poseł przebywa na zagranicznych wakacjach gdzieś na Malediwach albo w innym raj, ale uznał, że ma w dupie jego raj, skoro sam trafił do przedsionka piekła.

Na światłach na skrzyżowaniu Polnej z Szosą Chełmińską, w pobliżu terenu dawnej jednostki Armii Radzieckiej, odliczał sygnały.

– Halo? – odezwał się skrzekliwy męski głos.

Oczyma wyobraźni Borewicz ujrzał przed sobą niskiego faceta o nalanej kwadratowej twarzy z podwójnym podbródkiem i w prostokątnych okularach na nosie.

– Wojciech? Olgierd mówi. Dzwonię w sprawie Grzegorza Lipskiego.

– Aaa, to ciekawe. O co chodzi?

– Mam wrażenie, że zostaliśmy oszukani...

– Czyli że co? – Obruszył się mężczyzna, gdy Borewicz przeciął skrzyżowanie.

– Lipski był z żoną na ostatniej zabawie i...

– Jak to: był na zabawie?

Olgierd poczuł narastającą złość na polityka, nawykłego do ciągłego przerywania rozmówcy. Ale, do cholery, nie byli w mediach, nie przerwali się poglądami na antenie rozgłośni lub telewizji.

– Daj mi powiedzieć, to się w końcu dowiesz – syknął Borewicz. – Lipski był na imprezie wraz z żoną Alicją, która, jak się okazało, nie jest jego żoną i nazywa się Dorota Lewandowska. A jakby tego było mało, kobieta zginęła tydzień temu.

– Co ty pierdolisz? – Zdenerwował się Wojciech Cichocki.

– Mówię, że...

Polityk kolejny raz wszedł mu w słowo.

– Grzesiek i Alicja od miesiąca siedzą na Malediwach. Jestem tu na ich zaproszenie. I zapewniam cię, mój drogi, że jeszcze ani razu nie przyszli do nas na żadne ruchanko. Żadne! – Parsknął skrzekliwym śmiechem. – Owszem, mieli na to ochotę, bo my tu sobie czasami na jachcie takie podchody robiliśmy, ale chyba potrzebują więcej czasu. Miałem ci nawet o tym powiedzieć, ale jakoś tak, no wiesz... Się zapomniało, nie? – Zarechotał.

Borewicza oblał zimny pot.

– Wyślij mi ich zdjęcie – polecił.

– Co ty, ochujałeś? Po kiego ci ich zdjęcie?

– No to mów, kurwa, jak wyglądają! – Olgierd ruszył spod świateł.

– Jak wyglądają? Hmm... – zamyślił się polityk. – Normalnie. Jak zdrowi ludzie po sześćdziesiątce. Ona jest niska, ale z cycami do pasa, a on jest prawie tak gruby jak ja.

Zero Siedem zacisnął szczękę. Miał ochotę zgnieść telefon.

- Ale wiesz, jak to jest - śmiał się Cichocki. - Podobno chłop bez brzucha słabo rucha.

Maria Herman zamknęła drzwi za Jaroniem.

Przyłożyła do nich czoło, wciąż z dłonią na klamce.

Słyszała jeszcze chrzęst kroków na chodniku, a potem odgłos uruchamianego silnika, chociaż zagłuszał go łomot jej serca.

Zerknęła przez świetlik z lustra weneckiego i odprowadziła wzrokiem granatowego forda, aż zniknął jej z pola widzenia. Warkot ucichł, za to gdzieś w oddali rozległ się sygnał karetki. Fała śmiercionośnych upałów sprawiła, że erki kursowały znacznie częściej niż taksówki.

Odetchnęła, po czym wróciła na taras.

Odruchowo włożyła papierosa do ust. Przestała już liczyć, ile nadprogramowych fajek wypaliła tego dnia. Przeraziło ją to. Umiała zwalczyć pokusę uprawiania hazardu, ale nie umiała powiedzieć „stop” nikotynie. Próbowwała zrzucić winę na Jaronia i jego niespodziewaną wizytę, a przede wszystkim na to, co powiedział. To przez niego ten stres, lęk i niepewność.

Jaroń znalazł świadka, który w dniu zaginięcia Krzysztofa Glacowskiego widział go, jak otwierał bramę ośrodka Biały Żagiel w pobliżu niestrzeżonej plaży nad jeziorem. Było ciemno, ale rozpoznał mężczyznę po posturze i dłuższych, sięgających do ramion włosach. Zestawił zdjęcie Glacowskiego, które policja przekazała mediom w rocznicę zaginięcia emerytowanego kolegi, z odległym wspomnieniem z działek nad jeziorem, i wybrał się na komendę. Był przekonany, że niemal rok temu właśnie tego faceta widział w pobliżu dzikiego kąpieliska.

Herman nerwowo odtwarzała w myślach niedawną rozmowę z Jaroniem.

– Biały Żagiel? Co to jest? – spytała, chociaż wciąż miała przed oczami drewniane domki letniskowe opustoszałego ośrodka. Chodziła wśród nich tamtej feralnej nocy z nadzieją na odnalezienie Olgierda.

– Stary kemping w pobliżu jeziora – wyjaśnił Jaroń.

– I był otwarty we wrześniu?

– Nie. – Policjant zdjął okulary i chuchnął na oba szkła, po czym potarł je o T-shirt. – Zresztą w ogóle jest zamknięty od kilku lat. Ale na tym terenie, z dala od oczu spacerowiczów, jest dom. Nowoczesna architektura dosłownie w środku lasu. Wcześniej nie miałem o nim pojęcia.

– Nieźle. – Herman musiała jakoś zareagować. – Ładna ta chata?

– Robi wrażenie. Dwa obszerne prostopadłościany, ułożone jeden na drugim i ustawione na krzyż.

Policjantka pokiwała z uznaniem głową.

– Udało mi się spotkać z właścicielem, który kilka miesięcy wcześniej kupił willę od faceta z Gdańska – kontynuował śledczy z Grudziądza.

– I co?

– Okazało się, że Krzysztof wynajmował od niego ten dom.

– Czekaj. Jeśli dobrze pamiętam, Glacowski mieszkał sam w dużej chałupie. Po cholere miałby wynajmować willę?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć.

– A ten właściciel? – Herman odszukała wzrokiem paczkę papierosów leżących na stoliku i już chciała po nią sięgnąć, lecz się powstrzymała. Jaroń mógłby dostrzec, że drżą jej ręce. – Nic więcej nie wie?

– Nie. Dodał tylko, że umówili się z Glacowskim na barter. Krzychu miał zajmować się domem pod jego nieobecność. W zasadzie domem i ogrodem. W zamian mógł tam mieszkać – oznajmił Jaroń i poprawił się w fotelu, który głośno zatrzeszczał. – Ale mam te same wątpliwości co ty. Tym bardziej że syn Krzyśka i inni członkowie rodziny nie mieli pojęcia o istnieniu willi.

– Ale skąd się znali? To znaczy, jak ten Glacowski trafił na tego, no... Jak mu tam? – Herman zależało na poznaniu nazwiska właściciela ośrodka.

– Adama Szczerbskiego – odparł Jaroń i założył okulary. – Szczerbski twierdzi, że poznali się kilkanaście lat wcześniej, kiedy tworzył składy opału na terenie północnej Polski. Glacowski z kolei nudził się na emeryturze. A ponieważ miał na utrzymaniu syna na studiach w Anglii, zaczął myśleć o dodatkowym zarobku i tak trafił na informację w prasie. O tych składach było wtedy głośno w całej Polsce. Biznes się rozwijał do tego stopnia, że Szczerbski, chcąc ostro wejść na grudziądzki rynek, sypnął groszem na żużel.

– Ale to nie wypaliło, co? – zgadła Maria, a Jaroń pokiwał głową. – Dlaczego?

Policjant się nachylił i oparł łokcie na udach.

– Trochę przez koniunkturę, ale też przez jego ułańską fantazję – wyjaśnił. – Początkowo składy były mocną konkurencją dla rozdrobnionych handlowców. Szczerbski kupował towar hurtowo, więc sporo taniej, a to pozwalało mu zaniżać ceny i wywalać z siodła lokalnych przedsiębiorców. Ale nie czekał na upadek firm, tylko zjawiał się jak ksiączę na białym koniu i zdesperowanym właścicielom oferował kasę za przejęcie niedochodowych biznesów. Chyba się w tym zapędził, bo przeinwestował i w końcu sam zaczął się zwijać.

– No, ale jaki to ma związek z Glacowskim?

– Wtedy się poznali i polubili. A po kilku latach spotkali się przypadkiem w Grudziądzu. Szczerbski zapytał go, czy nie chciałby się zająć jego domem nad Rudnikami. Odpłatnie. Tyle że wtedy Glacowski już nie chciał pieniędzy.

Herman nie bardzo interesował ten wątek.

– A ten świadek? Widział coś więcej?

– Widział. Jest przekonany, że tamtego dnia, gdy dostrzegł Glacowskiego, wydarzyło się coś jeszcze. Kiedy wracał wieczorem ze spaceru z psem, pod bramę Białego Żagla podjechała osobówka. Wysiadł z niej facet. Otworzył bramę i wjechał na teren. Ale mój świadek nie był w stanie podać marki auta, bo było ciemno.

– O cholera. Szkoda.

– Zapamiętał natomiast coś innego.

Maria Herman uniosła brwi.

– Co takiego?

– Początek numeru rejestracyjnego.

– No i?

– To był wóz z Bydgoszczy. – Jaroń wbił w nią wzrok.

Maria bała się przełknąć ślinę. Czekwała na jego ruch.

– Kiedy spotkaliśmy się z tobą i Olgierdem na komendzie, mój szef, który zachował się wtedy jak ostatni fiut, wspomniał o patrolu, który skontrolował Olgierda przy Drodze Jeziornej. Nie wiem, czy wiesz, ale to ulica prowadząca do Białego Żagla – wyjaśnił policjant.

– No i? Co chcesz przez to powiedzieć? – Maria ściągnęła brwi i poczuła, że zaczyna jej drżeć powieka.

– Bydgoska rejestracja, facet, noc. Ten sam dzień, który uznajemy za dzień zaginięcia Glacowskiego. To się jakoś układa w całość – wnioskuje Jaroń.

Herman zmusiła się do uśmiechu.

– Ej. Ty tak serio? Sądziś, że wtedy w Grudziądzu był tylko jeden samochód na bydgoskich blachach?

Jaroń zwiesił głowę i nią pokiwał. Między pasmami przerzedzonych włosów prześwitywała skóra głowy.

– Żle mnie zrozumiałaś – stwierdził, gdy ponownie na nią spojrział. – Idę innym tropem. I chciałbym jak najszybciej wykluczyć Olgierda. Jest tylko jedno ale.

– Jakie?

– Wtedy na komendzie powiedziałaś mojemu szefowi, że Olgierd realizował tam obowiązki służbowe. Dlatego muszę cię zapytać, czy ta sprawa miała coś wspólnego z Białym Żaglem.

– Pytasz oficjalnie? – Herman skrzyżowała ramiona na piersiach.

Jaroń milczał.

– W takim razie informuję, że z powodu tajemnicy śledztwa nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie. – Maria patrzyła mu prosto w oczy i po chwili mężczyzna parsknął śmiechem.

– Okej. A nieoficjalnie?

– Tak dużo lepiej – odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, a potem usłyszała swój głos, brzmiący pewnie i mocno: – Zapewniam cię, że nie miała.

Nadal patrzyli sobie w oczy, ale Jaroń skapitulował pierwszy i klepnął się w uda.

Marię przeraziło to, że kłamstwo dodało jej odwagi. Bo na tym właśnie polegały jej dawne mechanizmy, wtedy gdy z każdym kolejnym łgarstwem pogrążała się w uzależnieniu. Jakby stała nad urwiskiem i zaciekle tupała nogami tylko po to, by ziemia usunęła się jej spod stóp i porwała ją w piekielną otchłań. Wstrętne krętaczka i manipulantka, która dzięki niecnym zdolnościom wyciągała pieniądze od innych po to, by mieć na granie, by odpalić apkę z zakładami bukmacherskimi i poczuć strzał adrenaliny. Z wypiekami na twarzy obstawiała wyniki meczów sportowych, wierząc, że szczęśliwy los będzie dla niej łaskawy, że drużyna, która przed końcem spotkania przegrywała trzy do zera, jeszcze się odbije, zerwie do heroicznej walki i wygra.

Jaroń wstał.

– Tak myślałem. Kamień z serca. – Policjant poczekał, aż Maria podniesie się z fotela, a kiedy to zrobiła, dodał: – Na mnie już czas.

– Kim jest ten świadek? – zainteresowała się Herman.

– Pytasz o nazwisko? – Wydawał się szczerze zaskoczony.

– Nie, bo wiem, że i tak mi go nie podasz. Bardziej chodziło mi o to, co on tam robił – wyjaśniła.

– Mieszka na pobliskich działkach.

– Jest wiarygodny?

– A na ile wiarygodny może być alkoholik? – Wypuścił powietrze z płuc. – Niestety to jedyny trop, jaki mam.

– Słabo – zauważyła Maria.

– Nawet bardzo.

Weszli do domu i skierowali się do korytarza. Jaroń siedł pierwszy i schylał się, ilekroć przechodzili przez drzwi.

– Rozumiem, że zaginięcie Glacowskiego traktujecie jak przestępstwo i że w zasadzie ważnym celem jest odkrycie miejsca, w którym ukryto zwłoki.

Jaroń odwrócił się do niej i położył dłoń na klawce.

– Na to wygląda – stwierdził i wyszedł na zewnątrz. – W takich sprawach tylko trup mówi prawdę.

Herman skończyła palić i stłumiła chęć, żeby zadzwonić z rewelacjami do Olgierda Borewicza. Skarciła się za paranoiczne myśli, że oto oboje są na celowniku wydziału spraw wewnętrznych i mają założone podsłuchy. Oddychała płytko, tłoczyła nagrzane powietrze do płuc i wyraźnie czuła, że brakuje jej tlenu.

Miała świadomość, że grudziądzki policjant nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Zbyt łatwo odpuścił, pomyślała. Szczególnie w sytuacji, gdy kilka poszlak układało się w prawdopodobny łańcuch zdarzeń.

Kim był ten pieprzony facet, który widział Glacowskiego, a potem Olgierda? Może należało z nim pogadać? Ale to mogłoby wzbudzić jego podejrzenia i jeszcze bardziej zaszkodzić Borewiczowi.

Chciała przegadać sprawę, lecz dobrze wiedziała, że pośpiech jest złym doradcą. Dlatego odłożyła to do następnego dnia. Mieli się udać z Olgierdem na spotkanie z informatorem, który po pięciu latach wpłynął na ponowne otwarcie sprawy zaginięcia Moniki Chudzińskiej.

Herman martwiła się tylko, że w nocy pozwoli się dręczyć powracającym koszmarom, które – jak wcześniej sądziła – udało jej się okiełznać.

Ale to była ułuda.

Jaroń na nowo obudził w niej strach.

W takich sprawach tylko trup mówi prawdę, przypomniała sobie jego słowa.

Musiała się przygotować na to, że duchy przeszłości powrócą ze zdwojoną mocą.

Olgierd Borewicz przekręcił klucz w zamku i od razu usłyszał chrobot pazurów na panelach w przedpokoju. Po chwili brązowy nochal wcisnął się w szparę w uchylonych drzwiach i dyżący labrador z wywalonym jęzorem entuzjastycznie zamachał ogonem.

– Cześć, mordo – wyszeptał Olgierd i poklepał psa po boku, ale Kluska liczył na więcej i zaczął cicho popiskiwać, a potem kilkakrotnie szturchać Borewicza kufą, aż mężczyzna w końcu kucnął i przyłożył czoło do psiego łba. Wpatrywał się przez jakiś czas w ufne czekoladowe oczy. Następnie podrapał Kluskę za uszami, a ten liznął go jęzorem po twarzy.

Borewicz potrzebował się oderwać od wyniszczających myśli.

Sięgnął po szelki i założył je psu, który ponownie zaczął popiskiwać, tym razem z radości.

Przez kilkanaście minut dreptał z Kluską wokół Balatonu. Noc była gorąca. Pies węszył w trawie, a po powrocie do mieszkania długo chleptał z miski świeżą wodę.

Zero Siedem wzięł długi prysznic i raz jeszcze ułożył sobie w głowie wszystko, czego dowiedział się o Lipskich. Strach mieszał się w nim z przeświadczeniem, że sprawa rozejdzie się po kościach. Nie z takich opresji wychodził. Uznał jednak, że trzeba ją wyjaśnić do końca, a na następnych spotkaniach z kandydatami do klubu zachować chłodny umysł.

Zgasił światło w korytarzu, poklepał psa na dobranoc i przeszedł do sypialni. Kluska chciał tam wejść razem z nim, ale Borewicz wydał komendę i pies położył się z łoskotem na panelach.

Uchyliwszy drzwi, Olgierd poczuł przyjemny, rześki powiew klimatyzacji. A kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegł Amelkę w łóżku. Spała z lekko rozchyłonymi ustami i piąstkami ułożonymi po bokach głowy. Poprawił jej kołdrę, po czym przytulił się do żony, która leżała na boku tyłem do niego. Zamruczała coś niezrozumiale i pogładziła go dłonią po udzie.

Długo wsłuchiwał się w cichy szum nawiewu i walczył z natłokiem myśli, których nie umiał ani uporządkować, ani zatrzymać. Męczyły go i nie pozwalały mu zasnąć.

Myślał o tym, jak z polecenia szefa, Adama Szczerbskiego, jakiś czas temu wynajął dom w podtoruńskim Rogówku, na wschód od autostrady A1. Półhektarowa działka, otulona z trzech stron lasem, leżała na uboczu, z dala od innych zabudowań. Mieścił się na niej gustownie odrestaurowany piętrowy dworek z zadbanym ogrodem w wiejskim stylu.

Na potrzeby klubu Olgierd zaadaptował dużą salę jadalną na wyższej kondygnacji. Wyposażył ją w obracające się okrągłe łóża, które zabrał z willi w Grudziądzu, oraz kilka narożnych kanap. We wszystkich oknach zainstalował solidne karnisze i zawiesił nieprzezroczyste czarne kotary. Także w przeszklonych drzwiach balkonowych. Na tym zależało mu najbardziej, ponieważ zawsze istniało ryzyko, że ktoś podleci tam dronem albo się wdrapie na ogrodzenie i będzie mógł nakręcić film lub zrobić zdjęcie.

Na koniec Borewicz ustawił przy wejściu do sali zbliżeń duży parawan z czarnym suknem, chcąc w ten sposób sprawić, by otwieranie drzwi, które zresztą odpowiednio wygłuszył, nie przeszkadzało imprezującym. By po prostu tego ani nie słyszeli, ani nie widzieli, i mogli się skupić wyłącznie na przyjemnościach.

Pamiętał moment, w którym przyjechali Lipscy, a raczej ci, którzy ich udawali. Natychmiast wykryłby podstęp, gdyby nie to, że w tamtej sesji nie uczestniczył polityk z żoną. Olgierda zdziwiła nieobecność Wojciecha Cichockiego, ale trwał sezon urlopowy. Poza tym pieniądze od polityka wpłynęły na konto klubu, więc nie było powodu do niepokoju. Lipscy też dokonali wpłaty, inaczej nie mogliby się tam pokazać.

Grzegorz i Alicja wydawali się Borewiczowi spięci, ale nie był tym zaskoczony. Przejął ich telefon i jej torebkę, po czym skierował ich do salonu, w którym rozpoczęła się kolacja. Na górę, do sekretnego pokoju, chętni udali się po niespełna godzinie, kiedy słońce dawno już zaszło, a alkohol zaszmukał w głowach. Pozostali uczestnicy zabawy zajęci byli rozmowami, przesiadywali w ogrodzie, kąpali się w otwartym basenie lub w jacuzzi.

Borewicz dał znać Szczerbskiemu, facetowi przed sześćdziesiątką z siwiejącą fryzurą zaczesaną na bok, że idzie na górę, co ten przyjął ze zrozumieniem. Umówili się, że Olgierd organizuje sesję, dba o bezpieczeństwo, ale w zamian w pełni korzysta z głównej oferty klubu.

Wchodząc po schodach na górę, czuł narastające podniecenie, dziką chęć szybkiego spełnienia, a jednocześnie przeciągania przyjemności w nieskończoność. Od chwili, w której zobaczył Alicję Lipską i przyjrzał się jej figurze, nie mógł doczekać się momentu, kiedy wejdzie w nią od tyłu, chwyci za wąską talię i będzie przypatrywał się jej krągłym pośladkom.

Wsunął się bezszelestnie do pokoju, w którym rozlegały się pojękiwania z rozkoszy i unosił się zapach ciał splątanych na wolno obracającym się łożu.

Kiedy się rozebrał i wyszedł zza parawanu, poszukał wzrokiem Lipskiej. Dosiadała grubasa w jednym z narożników. Mąż Alicji, a raczej facet, który się za niego podawał, zabawiał się w przeciwnym rogu z dwiema starszymi babkami, wśród których Borewicz rozpoznał znaną lekarzkę i panią mecenas z prywatnej kancelarii.

Olgierd podszedł do dziewczyny i sędziego, który dyszał jak parowóz. Poruszała się na nim rytmicznie, wyginała plecy w łuk i prostowała się, prężąc piersi. Borewicz wszedł na kanapę, poślinił palce i chwycił ją za sutek. Wtedy otworzyła oczy i uniosła głowę. Obdarzyła go tajemniczym uśmiechem i złapała za penisa. Kiedy ten zrobił się twardszy, dziewczyna, tłumiąc jęk, przyciągnęła go do siebie.

Na samo wspomnienie tamtej chwili, a także tego, co wydarzyło się później, Borewiczowi zrobiło się gorąco.

Pod powiekami wciąż widział nagą Lipską. Dlatego wsunął dłoń pod koszulkę żony i zaczął delikatnie uciskać jej pierś. Kinga jednak powstrzymała jego zapędy. Chwyciła go za rękę i wysunęła ją spod pizamy.

– Chyba będę miała okres – wyszeptła.

Ocknął się.

Obraz nagiej nieznanym odplynął.

Borewicz chciał powiedzieć coś żonie, ale stłumił gotujące się w nim emocje.

Miał wrażenie, że miała okres od chwili, gdy urodziła Amelkę. Kochali się niezwykle rzadko. W zasadzie coraz rzadziej. Pomijał już to, że rok temu jego żona cierpiała na depresję poporodową i wtedy oddalili się od siebie. Kinga stale miała do niego pretensje. Fakt, często nie wracał do domu, bo atmosfera w nim zrobiła się nie do zniesienia. Wołał wir pracy i organizację imprez, która przynosiła mu spory lewy dochód. Nie mógł pozwolić, by utrzymywała go bogata żona, a raczej teściowie. Cała trójka zachęcała go do rzucenia pracy w policji. Oferowali mu wysoką pensję i ważne stanowisko w spółce handlującej stalą. Borewicz zdawał sobie jednak sprawę, że jego zgoda wiązałaby się z utratą wolności, którą dawała mu praca w policji. Wystarczyło powiedzieć Kindze, że wzywają go na komendę, po czym ubierał się i wychodził. Policyjna blacha była dla niego przepustką do życia na własnych zasadach.

– Dobranoc – wyszeptał i odwrócił się na drugi bok.

A potem, kiedy szum klimatyzacji zaczął kołysać go do snu, trafił do miejsca, o którym nie mówił nikomu i które raz na zawsze chciał wygnać z pamięci. Ale nie mógł.

To miejsce wciąż pamiętało o nim.

Znów miał osiem albo dziewięć lat, był na koloniach nad morzem. Podobno z powodu bólu gardła trafił do izolatki, małej klatki z obdartą tapetą i odklejonym linoleum w narożnikach.

Ale nie czuł się chory. Nie miał kataru ani kaszlu. Usiadł na stalowym łóżku z niemilosierne skrzypiącymi sprężynami rozpiętymi pod materacem, który śmierdział kurzem. Zwiesił stopy i machał nimi nad podłogą. Pod oknem stał składany stolik turystyczny; położył na nim komiks o przygodach Kajka i Kokosza, bez okładki, bo oderwał mu ją ten głupi rudy Rafał ze starszej grupy. W obszernej szafie obok wychowawca schował jego torbę z ubraniami, którą spakowała mu mama.

Podobały mu się cisza i spokój. Hałas rozlegał się za drzwiami tylko wtedy, gdy grupa chłopców szła się myć. Owszem, brakowało mu szumu morza, widoku fal uderzających głośno o piaszczysty brzeg i zbierania muszelek dla mamy, ale czasami zdarzało się, że kilku starszków pod przewodnictwem piegowatego rudzielca niszczyło mu te muszle. Właściwie więc się cieszył, że dadzą mu spokój. Chociaż na chwilę. Przesaną go szturchać na stołówce, podkładać nogę i walić z plaskacza w kark. Skóra piekła go wówczas nieznośnie.

Tu, w izolatce, był bezpieczny i mógł wreszcie napisać kartkę do mamy. Miał jeszcze jedną z naklejonym znacznikiem i wypisanym eleganckim pismem adresem mieszkania w Bydgoszczy. Wsunął język, kreślił koślawe litery. *Mamo zabieź mnie z tont. Koham cie, tylko mnie zabieź.* Podpisał się tak, jak nazywała go mama: Olus. A potem poczuł, że ma mokre policzki. Łza skapnęła na kartkę, więc ją starł, przy okazji rozmazując tusz.

Schowwał pocztówkę pod materac, bo się bał, że i tego listu do mamy nie wyśle. Kiedy pisał przy Rafale poprzednią wiadomość, tamten zaczął się z niego śmiać i wyzywać od maminsynków. Potem wyrwał mu kartkę, podarł i splukał skrawki w toalecie.

Borewicz pamiętał te zdarzenia tylko z jednego powodu.

Pierwszej nocy, kiedy spał w izolatce, obudziło go skrzypienie drzwi.

Światło wlało się z korytarza i kiedy Olgierd zmrużył oczy, zauważył duży cień na starym li-leum.

A potem w panującej ciszy rozległy się kroki.

Nocą temperatura nieznacznie spadła i Maria Herman, leżąc w swojej dawnej sypialni na piętrze, czuła, jak nagrzane za dnia ściany oddają ciepło.

Przez otwarte okna zamiast chłodnego powiewu wpadały odgłosy miasta, niewyraźne rozmowy, szum opon, poszczekiwanie psów.

Długo wierciła się pod prześcieradłem, którym nakryła gołe ciało. Co jakiś czas zerkała na elektroniczny zegar stojący na szafce nocnej.

Pierwsza jedenaście.

Druga trzydzieści osiem.

Trzecia dwadzieścia siedem.

Nadchodził świt i Maria Herman coraz bardziej się denerwowała, bo wiedziała już, że brak snu wpłynie na skupienie i pracę. Ale nic nie mogła na to poradzić – sen nie nadchodził, a ona roztrząsała stare sprawy, dawne niezabliźnione rany, które już nie miały dla niej żadnego znaczenia. A może tak jej się tylko wydawało?

Kiedy wreszcie usnęła, zadzwonił budzik i Herman z trudem uniosła ciężkie powieki. Czuła się, jakby przed chwilą przyłożyła głowę do poduszki, a już musiała wstać.

Otumaniona, z trudem się podniosła i poczłapała do łazienki, gdzie pod prysznicem opłukała ciało chłodną wodą.

W kuchni, z ręcznikiem na mokrych włosach, wypila kawę i zjadła kanapkę. Wtedy usłyszała szum nadjeżdżającego samochodu, a chwilę później dostrzegła ruch przed domem. Po-deszła do okna.

Olgierd zaparkował wzdłuż płotu, wysiadł z reklamówką i skierował się do furtki. Zazwyczaj puszczał jej wędkę.

Herman przeszła do korytarza i otworzyła drzwi.

– Co tak wcześniej? – rzuciła niespokojnie.

Skóra na łysej głowie partnera połyskiwała w gorących od samego rana promieniach słońca.

– Życie stygnie, a poza tym mam świeżutkie drożdżówki. – Uniósł reklamówkę.

Maria zdjęła z widełek słuchawkę domofonu i nacisnęła przycisk.

Poczekala na Borewicza przy drzwiach, po czym oboje przeszli do kuchni.

– Chcesz kawę? – zaproponowała, ale policjant sięgnął do reklamówki po puszkę napoju energetycznego.

– Nie, dzięki. To jest lepsze od kawy.

– No jasne. Lepsze. Rozwali ci jelita i żołądek. W Danii takie gówno można kupić tylko w aptece. To chyba o czymś świadczy, nie?

– Mamusia się nie martwi. I się nie złości, bo jej się brzydkie zmarszczki zrobią. – Usiadł ciężko na krześle. Herman przemknęło przez głowę, że Borewicz przytył. Koszulka napięła się na jego zaokrąglonym brzuchu.

Wyjął drożdżówki z torby papierowej, a Maria podała talerze.

– No więc, dlaczego tak wcześniej przyjechałeś?

Zero Siedem westchnął.

– Spać nie mogłem.

– To możemy sobie podać ręce. Zmrużyłam oko dopiero nad ranem – pozialiła się. Włożyła filtr do ekspresu przelewowego i nasypała kawę. – Tylko że mnie wykańczają upały. A ty co?

Mała ząbkuje?

– Nie. Po prostu. Czasami kładę się skrajnie zmęczony, łeb mi leci na wszystkie strony, ale jak już się znajdę w wyrku, to wiercę się i wiercę, i za cholere nie mogę zasnąć. – Wzruszył ramionami i wgrzył się w ciastko. Kruszonka posypała się na talerz, ale szybko ją pozbierał i wsunął palcami do ust.

– Pij więcej tego gówna – wskazała na puszkę – to na pewno będziesz się wysypiał.

– Oj, mamusia już sobie daruje – stęknął.

Herman przewróciła oczami. Ekspres zaszumił i ciemny płyn zaczął skapywać do przezroczystego dzbanka. Zapach kawy wypełnił kuchnię.

Usiadła naprzeciwko Olgierda, ale odsunęła talerz z drożdżówką. Niedawno zjadła śniadanie i nie miała ochoty na słodką przekąskę. Sięgnęła za to po paczkę papierosów.

Kiedy się zaciągnęła, Borewicz otworzył puszkę energizera i pociągnął spory łyk.

Dokończył drożdżówkę i przeciągnął językiem po zębach.

– Słyszałaś o jednym takim Amerykańcu, co odwinał podobny numer jak Monika Chudzińska?

Maria zaprzeczyła ruchem głowy.

– No więc, wyobraź sobie, ten gość, a to było siedem lat temu, wsiadł z żoną do samochodu, zapiął dziecko w foteliku i ruszyli. Zawsze najpierw odstawił syna do opiekunki, a potem odwoził żonę do roboty. Problem w tym, że z powodu remontów dróg stale się spóźniała. Więc uznali z mężem, że tego dnia zrobią odwrotnie. To znaczy, najpierw pojadą do jej roboty, a potem on wpadnie z dzieckiem do niani.

– Złamał rytuał – wtrąciła Herman.

– Dokładnie! Zresztą podobnie jak u Chudzińskich – potwierdził. – I teraz tak: żona wysiada, dziecko zasypia, a on śmiga do domu. Jest, jak to nazywa, na autopilocie. Już myśli o pracy, gada z kimś przez telefon. W końcu podjeżdża pod dom, zostawia auto na podjeździe w pełnym słońcu, wiadomo, czerwiec w Teksasie. Zatrzaskuje wóz i wita się ze starszymi dziećmi, które zostały w chałupie. Potem kawka, sroty pierdoty i w końcu siada za biurkiem. Po jakimś czasie ma jakiś flashback z drogi powrotnej. Dociera do niego, że minął zjazd do opiekunki. Ergo, nie podrzucił do niej dziecka. Więc rzuca się pędem do samochodu i widzi w nim swojego syna. Jest przekonany, że mały odwalił kite, ale okazuje się, że jeszcze dyszy. No więc dawaj go pod zimny prysznic, chłodzi drobne ciało i wzywa karetkę. No i teraz zgadnij, co się stało.

Herman się zaciągnęła.

– Mały przeżył?

– Skąd wiedziałaś? – Zmartwił się, że zepsuła mu niespodziankę. – Przeżył. Ale lekarze nie dawali mu żadnych szans. Gadali, że nawet jeśli jakimś cudem wywinie się śmierci, to będzie marchewką do końca życia. A on, fakt, długo z tego wychodził, ale po kilku miesiącach rehabilitacji był już w pełni sprawnym dzieckiem. Nie ma żadnego śladu po hipertermii, czaisz?

– O, cholera, nieźle – omal nie zagwizdała.

– Ale wiesz, co jest w tej sprawie najciekawsze?

– No?

Borewicz spojrział na drożdżówkę Herman, a ona przesunęła talerz w jego stronę i zapewniła, że nie jest głodna. Wgrzył się w ciastko i popił energizerem. Kiedy przełknął, odpowiedział:

– To, że jego ojciec do dziś walczy z depresją i stresem pourazowym – oznajmił. – Syn przeżył, jest zdrow jak ryba, a ten Amerykanin walczy z myślami samobójczymi.

Herman zgasła peta w brudnej popielniczce i spojrzała na kolegę z ukosa.

- Ale po co mi o tym mówisz?

- Bo mam wrażenie, że ten informator, z którym mamy się spotkać, próbuje nas nabrać - oświadczył. - Chudzińska naprawdę mogła targnąć się na swoje życie.

Ekspres przestał syczeć i Herman wstała, żeby nalać sobie kawy do kubka.

- Od samego początku braliśmy to pod uwagę, nie? Więc po cholere z góry zakładasz takie rozwiązania? - Maria przyglądała mu się uważnie. Ciężko unosił powieki, energizer jeszcze nie trafił do krwiobiegu.

- Ja pierdolę - jęknął zniesmaczony Zero Siedem. - Serio się nie wyspałaś. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Niczego nie zakładam, ale to najbardziej prawdopodobna wersja zdarzeń. Nie możemy zapominać, że Chudzińska była w depresji. Myślę, że to jej całe wybielanie się, ten mechanizm wyparcia, jest sprytną zagrywką. Mówiła tak, bo zawsze zrzucała winę na innych. Oskarżyłaby wszystkich wokół, byle tylko odsunąć od siebie choćby cień podejrzeń.

- Jesteś uprzedzony - zauważyła Herman.

- Ja? Uprzedzony? Proszę cię - Zero Siedem się zachnął. - Więzienia są pełne niewinnych kobiet po procesach, w których materiał dowodowy nie pozostawiał nawet cienia wątpliwości. Ale one cały czas uważają, że są niewinne.

Herman milczała.

- No co? - Borewicz przeżuł kolejny kęs drożdżowego ciasta. - Nie jest tak?

Napiła się kawy i spojrzała w kierunku tarasu. Miała dość tej rozmowy. Olgierd bywał uparty, ale potrafił zmienić zdanie, kiedy w sprawie pojawiły się nowe fakty.

- Mam w dupie, jak jest z Chudzińską - stwierdziła. - Wczoraj był u mnie Jaroń.

Borewicz znieruchomiał.

- Czego chciał?

- Ma świadka, który widział Glacowskiego w dniu zaginięcia. Ekspliniarz wchodził na teren Białego Żagla.

- Okej - powiedział ostrożnie Olgierd. - Coś jeszcze?

- Tak. Wczoraj ten sam świadek wracał ze spaceru z psem i zauważył samochód pod bramą ośrodka oraz mężczyznę, który ją otwierał.

Grdyka Borewicza przesunęła się w górę i w dół.

- Zapamiętał markę? - spytał spokojnie.

- Jeśli ufać Jaroniowi, to nie. Ale zwrócił uwagę, że wóz był na bydgoskich blachach.

Borewicz wstał i potarł dłonie nad stołem.

- No to nie mają nic.

- Kto to jest Adam Szczerbski?

- Słucham?

- Dobrze słyszałeś. Może pora, bym wreszcie usłyszała prawdę?

Borewicz zerknął na zegarek.

- Rozmawialiśmy już o tym - odezwał się spokojnym głosem. - Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej. Przynajmniej nigdy nie będziesz musiała kłamać w tej sprawie.

- Tak sądzisz? Bo ja jestem innego zdania. Właśnie zaczęłam okłamywać Jaronia.

- Dlaczego?

- Bo mnie pytał o twoje występy na Drodze Jeziornej. Połączył fakty.

- I co mu powiedziałaś?

- Że realizowałam działania komendy w Bydgoszczy i nie mogę zdradzić szczegółów śledztwa. - Herman dopiła kawę.

- No więc gównno ma. - Postukał palcem wskazującym w blat stołu.
- Na razie tak. Ale on nie przestanie drażnić - zapewniła i ściągnęła turban z głowy. Wilgotne włosy rozsypały się na ramiona i szyję.
- Do niczego nie dojdzie, bądź spokojna - stwierdził, gdy uniosła głowę i ich spojrzenia się przecięły. - A teraz bierzmy się do roboty. - Złożył talerze i wstawił je do zlewu.

Olgierd Borewicz nacisnął przycisk domofonu.

Stali wraz z Herman przed furtką białego domu z antracytowym dachem. Niewielki budynek, kryty dachówką ceramiczną, znajdował się na działce otoczonej ogrodzeniem panelowym. Za nią rozciągało się olbrzymie pole kukurydzy. Pędy były jeszcze niskie, dzięki czemu Olgierd zauważył, że trochę dalej rosła kępa drzew i majaczyły zabudowania gospodarcze.

Policjant spojrział na Herman, która zmrużywszy oczy, zerknęła na horyzont z drugiej strony, tam gdzie kłosa pszenicy błyszcząły w gorących promieniach słońca.

Borewicz raz jeszcze zadzwonił domofonem.

Brunatna ziemia wokół domu była wyschnięta na wiór i tylko gdzieniegdzie porastały ją chwasty. Przed drzwiami leżało kilka drewnianych palet zastępujących schody.

Policjant powachlował się T-shirtem, ale nic to nie dało. Czuł, że koszulka zrobiła się wilgotna na plecach i pod pachami. Uderzenie gorąca odbierało mu siły, a do tego informacja o świadku Jaronia nie dawała spokoju.

– I co? – spytał partnerkę, ale ta tylko wzruszyła ramionami i sięgnęła po stary telefon komórkowy, którego używała, gdy chciała odciąć się od internetu.

Borewicz ją rozumiał.

Po prostu się bała, że w chwili słabości uruchomi sieć i ściągnie aplikację z zakładami bukmacherskimi. A wtedy dwa lata terapii poszłyby z dymem.

Szanował ją za to, że dawała radę.

– Dzwonisz do niego? – zagadnął, patrząc, jak Maria opędza się od natrętnej muchy.

– No przecież nie do ciebie. Mam nadzieję, że o nas nie zapomni. – Herman przyglądała się domowi, a Olgierd rozejrzał się po drodze gruntowej, wysypanej białym tucznikiem.

Powietrze drgało.

W oddali zauważył samochód, który wzbijał tumany jasnego pyłu. Jechał drogą wzdłuż pól. Promienie słońca odbijały się od przedniej szyby.

– Może to on? – rzucił, a Herman odsunęła aparat od ucha.

– Oby, bo inaczej dostaniemy tu udaru.

Miejsce pozbawione było drzew, które dawałyby schronienie przed słońcem. Borewicz dotknął zroszonego potem czoła i wytarł dłoń w spodnie.

Znajdowali się w Głogowie, wsi położonej kilkanaście kilometrów na wschód od Torunia. Dojechali tam krajową dziesiątką i skręcili w lewo, przy przychodni weterynaryjnej Avimedius. Potem kluczyci gruntowymi drogami i dotarli na teren, na którym zgodnie z informacją na banerze reklamowym miało powstać osiedle szesnastu domów jednorodzinnych. Baner wyglądał jednak na stary, jaskrawe kolory dawno wyblakły. We wskazanym miejscu zamiast szesnastu domów stał tylko jeden, wciąż pozbawiony trawy i roślin w ogrodzie.

Zero Siedem zmrużył oczy i przystawił dłoń do czoła.

Stary biały mercedes klasy c ciągnął za sobą biały welon kurzu. Odgłos silnika narastał.

Wóz zwolnił, a potem przejechał obok nich i znów przyspieszył. Za kierownicą siedziała kobieta, która zdążyła ich obrzucić uważnym spojrzeniem. Z tyłu w foteliku spało dziecko.

Oboje z Herman się odwrócili, by podmuch powietrza nie cisnął im pyłem w oczy.

Maria ponownie wybrała numer do mężczyzny, ale wkrótce się poddała.

– Nie odbiera i nie ma go w domu. Co robimy? – spytał Zero Siedem i raz jeszcze przyjrzał się nowemu budynkowi. W oknach nie było firan ani żaluzji, ale z daleka i tak niewiele mógł zobaczyć.

– Wyślę mu esemesa – uznała Maria.

– Mogliśmy coś pomylić? Może adres? – głośno myślała, ale partnerka nie odpowiedziała, skupiona na pisaniu wiadomości. Zanim skończyła, jej telefon się rozdzwonił.

– No, dzień dobry. Czekamy tu na pana pod domem – rzuciła do słuchawki. – Aha... Dobrze. Rozumiem... Jasne, do zobaczenia. – Zakończyła rozmowę.

– I co? – spytał Olgierd.

– Przeprasza za spóźnienie. Twierdzi, że już jedzie.

– Za ile będzie?

– Za dziesięć minut.

– Każdy tak gada, a potem przyjeżdża po dwudziestu. – Usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik i włączył klimę. Z kratki wentylacyjnych uderzył w niego podmuch gorącego powietrza. – Może skoczmy do sklepu po coś do picia?

Herman przytaknęła i ruszyli z opuszczonymi szybami.

Na Jana Solskiego trafili w aktach przypadkiem.

Wertowali dokumentację dotyczącą śmierci córki Moniki Chudzińskiej, siedząc wieczorami w gabinecie zespołu do spraw przestępstw niewykrytych Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. To był kolejny długi dzień pracy i nie zdążyli przejrzeć wszystkich papierzyśk, które gnioły się w teczkach. Dokumentacja leżała w nieładzie na złaczonych biurkach, ale uznali, że zostawią tak materiały do następnego dnia.

Borewicz pamiętał, że gdy przed południem zajrzał na komendę, Herman była już w pracy. Kręciła się nerwowo z poślódką kartką w dłoni.

– A ty co? Zespól niespokojnych nóg czy *Taniec z gwiazdami*? – zażartował. – Był kiedyś taki dowcip, że chłop wraca nad ranem do domu... – zaczął, ale nie zdążył dokończyć.

– Znalazłam notatkę z rozpytania sąsiadów Chudzińskiej – Herman weszła mu w słowo. – Której chyba nikt nigdy wcześniej nie widział. – Podała mu papier.

– Jak to? – Borewicz spoważniał i spojrział na odręczne pismo.

– Musiała się zawierzyć w dokumentacji. Może ktoś ją przyniósł później, a prowadzący sprawę po prostu wrzucił ją między kserówki materiałów prasowych poświęconych śmierci dziecka.

– Mówisz serio?

– Czytaj! – ponagliła.

Borewicz skanował wzrokiem treść.

– Na głos – poprosiła.

– „Starszy sierżant Piotr Rycki, dzielnicowy komisariatu policji Toruń-Rubinkowo. Wtorek, dwunasty lutego dwa tysiące dziewiętnastego roku”. – Spojrział na nią. – To prawie półtora roku po zaginięciu, nie?

– Dalej, Zero Siedem, dalej – rzuciła zniecierpliwiona.

Wrócił do notatki.

– „W dniu dzisiejszym w godzinach trzynasta–czternasta z polecenia kierownika rewiru dzielnicowych starszego aspiranta Kowalca prowadziłem obchód w rejonie służbowym numer dwadzieścia siedem – czytał dalej Borewicz. – Zostałem skierowany na ulicę Sezamkową w celu rozpytania Jana Solskiego, sąsiada zaginionej w dniu szesnastym października dwa ty-

siące siedemnastego roku Moniki Chudzińskiej, lat dwadzieścia osiem, zamieszkałej przy ulicy Sezamkowej. Przybyłem na miejsce o trzynastej dwanaście. Jana Solskiego zastałem w domu, wylegitymowałem i zapytałem, czy pamięta okres poprzedzający tragedię w rodzinie Chudzińskich (śmierć dziecka pozostawionego w nagrzanym samochodzie w dniu ósmym czerwca dwa tysiące dwanaście). Jan Solski stwierdził, że przebywał wtedy na zwolnieniu lekarskim, konkretnie w dniach od dwudziestego dziewiątego maja do drugiego czerwca bieżącego roku. Wówczas w odstępie kilku dni dwukrotnie zaobserwował nieznaną kobietę, która wychodziła z domu Chudzińskich. Jan Solski widział ją w poniedziałek i czwartek w godzinach przedpołudniowych, kiedy sąsiedzi, czyli Monika i Karol Chudzińscy, dawno już wyjechali z domu.

W jego opinii nieznaną kobietą była ubrana w jasny T-shirt i luźne szare spodnie dresowe. Na nogach miała białe obuwie sportowe.

Na pytanie, czy mogła to być opiekunka do dziecka, stwierdził, że nie słyszał o żadnej opiece. Pamiętał, że wcześniej, z samego rana tego dnia, kiedy widział kobietę, zauważył Karola Chudzińskiego, który zaniósł nosidełko z małą Zuzanną Chudzińską, jego córką, do swojego samochodu, zaparkowanego na podjeździe do garażu, i odjechał.

Zapytałem go, czy Chudziński często zostawiał samochód na zewnątrz, i to w upał, skoro obszerna brama garażowa wskazywała na to, że w domu jest garaż dwustanowiskowy. Rozpity wyjaśnił, że Karol Chudziński miał zajętą część garażu, bo, jak powiedział Solskiemu, zamówił meble ogrodowe, które przyjechały w kartonie na palecie.

Jan Solski odpowiadał na wszystkie pytania od razu, nie zasłaniał się niepamięcią, przypomniał sobie wiele szczegółów”.

Borewicz odłożył kartkę.

– Ciekawe – stwierdził, gdy Herman usiadła przy swoim biurku.

– A co szczególnie? – Uniosła lekko brodę, tak jak zawsze, gdy go sondowała.

– Dwie rzeczy. – Wysunął w jej stronę kciuk i palec wskazujący. – Jedna to ta oczywista, czyli nieznaną, która przychodziła do domu. Nigdy wcześniej o niej nie słyszeliśmy. Ale druga jest dużo bardziej interesująca. – Sięgnął po skoroszyt leżący na brzegu biurka, bo nagle go olśniło. Niedawno, przygotowując się do tego śledztwa, zrobił zdjęcia wszystkim materiałom prasowym, które ukazały się do tej pory w lokalnych gazetach, a następnie wydrukował je, oznaczył datami i ułożył chronologicznie. Kiedy czytał je na nowo, nie zauważył w nich nic istotnego i miał poczucie, że stracił czas. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. – Zerknij – poprosił Marię i podał jej otwarty skoroszyt, przedstawiający artykuł ze zdjęciem z „Gazety Pomorskiej”. Tekst opowiadał o poszukiwaniach Moniki Chudzińskiej, które podjęli jej sąsiedzi z Kaszczorka. Na fotografii stali ramię w ramię ubrani w kurtki przeciwdeszczowe. A kilka metrów przed nimi, niczym szef grupy poszukiwawczej, spoglądał w obiektyw wysoki mężczyzna. Jan Solski.

Pod zdjęciem widniały wytłuszczony podpis z jego imieniem i nazwiskiem oraz informacja, że z powodu opieszałości policji mężczyzna sam zebrał sąsiadów i przeprowadził poszukiwania Chudzińskiej. Przy okazji zapraszał do udziału w nich wszystkich chętnych z Kaszczorka i okolic.

Okazało się też, że Solski, jako jedyny z mieszkańców tego toruńskiego osiedla, relacjonował swoje działania w tej sprawie w wielu gazetach. Reporterzy za każdym razem rozmawiali łącznie z Solskim. Z nikim więcej.

– Co o tym sądzisz? – spytał, gdy Herman uniosła głowę znad artykułu.

– Chyba mnie to nie dziwi – uznała i sięgnęła po kilka kartek odłożonych obok klawiatury. Wręczyła plik partnerowi. – Solskiego jest tu znacznie więcej. A to tylko z teczki poświęconej śmierci dziecka.

Zero Siedem usiadł w fotelu.

Pierwsza wzmianka o sąsiedzie Chudzińskich pojawiła się już drugiego dnia po tragedii w czerwcu dwa tysiące siedemnastego roku. Solski wybrał się na Komendę Miejską Policji w Toruniu. Chciał rozmawiać z dyżurnym o sprawie śmierci Zuzanny Chudzińskiej, ale kobieta w cywilu, pracująca w recepcji, przełączyła go do prowadzącego śledztwo.

Borewicz skupił się na treści kolejnej notatki służbowej i oniemiał.

– No nie! To są jakieś jaja – wymamrotał podekscytowany, kiedy skończył czytać. – Solski twierdził, że Chudziński kazał mu się dowiedzieć, kiedy będzie mógł odebrać samochód żony? Serio? Przecież to jakaś bzdura. Oboje trafili wtedy na oddział psychiatryczny.

Maria pokiwała głową, wpatrując się w dokumenty rozłożone na biurkach.

– Może Solski odwiedził go w szpitalu, a tamten na prochach papłał jak potłuczony – stwierdziła. – Ale przeczytaj jeszcze to, co masz pod spodem.

Borewicz odłożył poprzednią notatkę na biurko i ponownie zatopił się w lekturze. Nazwisko Solskiego powtarzało się w kolejnych dokumentach. Policjanci, którzy pojawili się w domu Chudzińskich w celu zabezpieczenia przedmiotów należących do kobiety i zawierających jej DNA, natrafili przy wyjściu na Jana Solskiego. Facet czekał przy radiowozie i oferował funkcjonariuszom wsparcie w poszukiwaniach. Twierdził, że żył się z Chudzińskimi i nie potrafił przejść obojętnie wobec tragedii, które spotkały tę kochającą się rodzinę. Z opinii aspiranta sporządzającego zapis z tego spotkania wynikało, że Jan Solski łączył ze sobą te dwie sprawy. Na pytanie, czy widział Monikę Chudzińską w dniu jej zaginięcia, odparł, że nie jest pewien. Bo kiedy wracał z pracy do domu, wydawało mu się, że Monika Chudzińska mogła stać na przystanku komunikacji miejskiej. Nie rozpoznał jej jednak na sto procent, bo w zasadzie widział ją przez ułamek sekundy. Dziewczyna jakby ukrywała się za wiatą przystankową. Pomyślał, że to jakaś małolata w wyciągniętym swetrze i glanach.

Borewicz odłożył materiały i odchylił się w fotelu.

– I co myślisz? – spytała Herman.

– Myślę, że nikt nie czytał akt. Bo gdyby ktoś to zrobił, mieliby Solskiego jak na dłoni.

Maria pokiwała głową.

– Jedno jest pewne. Solski kręcił się wokół Chudzińskich, ale nie wiemy, jaki miał w tym cel – zamysliła się.

– Wrzuciłaś go na bęben?

– Mhm. Jest czysty. Jeden stary mandat za przekroczenie prędkości i zaledwie kilka punktów karnych.

Olgierd westchnął.

– Tak czy siak, nie mamy nic oprócz tych papierzyśk – wskazał brodą stos kartek.

– Mamy – odparła Herman. – Rano pogadałam sobie z Arturem Legnerem, to on poprosił nas, żebyśmy przyjrżeli się zaginięciu Chudzińskiej.

– I co ci powiedział? – Borewicz potarł suchą skórę czoła.

– Że w komendzie miejskiej ma świetnego operacyjnego. I ten policjant, Marcel Semczuk... Wiesz, który to?

Olgierd ściągnął brwi; nie kojarzył funkcjonariusza z nazwiska.

– Ten kolega Przemka Woźniaka, którego poznałeś niedawno – przypomniała Herman.

– Ano tak – zaskoczył.

– No więc ten Semczuk gadał z Legnerem i powiedział mu, że jeden z jego informatorów ma newsa.

– Czekał. – Uniósł dłoni. – Prokurator o takich sprawach gadał przez telefon?

- Nie, no skąd! Przyjechał do jednostki – wyjaśniła policjantka.
- Jaja sobie robisz? Kiedy? – Borewicz podrapał się po brzuchu.
- Rano zadzwonił, że to pilne, a ponieważ miał tu jakąś sprawę do załatwienia, wpadł do mnie na chwilę.
- No to czemu nie dałaś mi znać? Przecież bym przyjechał.
- Wiem, że byś przyjechał. Właśnie dlatego nie dzwoniłam.
- Że co? – uznał, że się przesłyszał.
- Przynajmniej pobyłeś trochę z córką i żoną.
Borewicz sapnął i pokręcił głową z rezygnacją.

Rozumiał jednak intencje Marii. Ostatnio znowu zaniedbywał swoje dziewczyny. Tyle tylko, że nie odbijał karty na zakładzie, nie sączył kilku kaw przez osiem godzin przy biurku. Miał robotę, która wymagała czasu i pełnego poświęcenia.

- Dobra, mów, co z tym operacyjnym – poprosił i wyciągnął wafel teatralny z szuflady, w której gromadził słodczyce. Opakowanie zaszeleściło, a Borewicz, zanim odgryzł kawałek, zaproponował Herman, że się z nią podzieli. Odmówiła.

- Informator Semczuka twierdzi, że Solski może mieć coś za uszami i trzeba mu się bliżej przyjrzeć – relacjonowała Herman. – Podobno żona odeszła od niego wcale nie dlatego, że miała kochanka.

- To znaczy? – odezwał się z pełnymi ustami.

- Sprawa nie jest potwierdzona – zastrzegła.

Wsunął do ust ostatni kawałek teatralnego i wyrzucił papierek do śmietnika, po czym spojrzała na nią i przełknęła kęs.

- Mario, łaskiś pełna! – Złożył ręce jak do modlitwy. – Powiesz wreszcie, czy mam napisać podanie?

- Podobno to tyran. Gwałcił żonę i bił dzieci.

Kiedy wrócili ze sklepu napojeni chłodną wodą gazowaną, przed domem Jana Solskiego stał srebrny Citroën C4 Picasso. Otwarta brama zapraszała do wewnątrz. Borewicz jednak zaparkował wzdłuż płotu i grzęznąc w sypkim piachu, oboje przeszli do drzwi. Policjant stanął ostrożnie na skręconych ze sobą paletach i głośno zapukał.

Otworzył im mocno opalony czterdziestoletni mężczyzna w dżinsowych szortach i spranym T-shirtcie z logo Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Gestem zaprosił ich do środka.

- Przepraszam, że musieli państwo czekać – kajał się Jan Solski, który wydał się Olgierdowi pogodny jak ksiądz proboszcz na odpuszcie.

- Drobiazg – odparła Maria, gdy Zero Siedem przepuścił ją w drzwiach.

Znaleźli się w pustym salonie połączonym z kuchnią, wyposażoną w białe meble. Fronty lśniły. Na panelach w kolorze dębu leżały kartonowe prostokąty. Przestrzeń dzieliły stół jadalniany z grubym blatem z prawdziwego drewna i sześć krzeseł z wysokimi oparciami.

- Warunki trochę spartańskie, ale dopiero zacząłem się urządzać. Kanapa i fotele miały być wczoraj, ale wiecie państwo, jak to jest. – Gospodarz wysunął krzesła. – Siadajcie, proszę – zachęcił.

Na blacie leżała gazeta złożona na pół, a także papiery, faktury i rachunki. Mężczyzna przesunął je na bok, a kiedy Herman i Borewicz zajęli miejsca, przyniósł wodę z cytryną i listkami mięty w przezroczystym dzbanku, który wyjął z lodówki. Rozlał napój do szklanek i skręcił klimatyzację, a potem usiadł przed policjantami, splótł dłonie i oparł je na blacie.

- Można umrzeć od tych upałów. Dlatego co rano przygotowuję dwa takie dzbanki i trzymam w lodówce. I jakoś dzięki temu łatwiej znoszę tę piekielną temperaturę. - Zasmiał się i powachlował gazetą. - No, ale na pogodę wpływu nie mamy. W czym mogę wam pomóc?

Jeszcze w sklepie Borewicz uzgodnił z Marią, że to ona będzie nadawała rytm tej rozmowie, więc tylko się uśmiechnął i odwrócił głowę w kierunku siedzącej obok partnerki.

Nie przespała dobrze nocy. Powieki jej ciążyły, zmarszczki mimiczne stały się wyraźniejsze, pod oczami odznaczały się sine półksiężyce. Zastanawiał się, dlaczego Maria nie dba o makijaż i stroni od farby do włosów, którą mogłaby pokryć siwe pasma. Nie używała kredki do oczu ani innych kosmetyków, których jego żona, dużo młodsza od policjantki, miała tyle, że mogłaby nimi wypełnić reklamówkę z Biedronki. A przecież widział w Marii kobietę, która, gdyby o siebie zadbała, mogłaby zwracać uwagę mężczyzn. Może właśnie przed tym się broni, pomyślał.

- Chcielibyśmy porozmawiać o sprawie zaginięcia Moniki Chudzińskiej - zaczęła policjantka, a właściciel domu pokiwał głową. - Znał ją pan, prawda?

- Byliśmy sąsiadami. Wynajmowałem dom na Sezamkowej.

- Gdzie konkretnie? - wtrącił Olgierd.

- No, dokładnie naprzeciwko Chudzińskich. Brama w bramę. - Mężczyzna potarł kilkunastodniowy zarost. Lekko posiwiiałe włosy miał potargane, co dodawało mu artystycznego sznytu.

- Kiedy? - Herman otworzyła notes.

- O kurczę. Niech pomyślę. - Uniósł głowę i wbił wzrok w sufit. - Zaraz, zaraz... Chyba od kwietnia albo maja dwa tysiące szesnastego roku do końca dziewiętnastego. Tak, jakoś wtedy wyprowadziliśmy się z żoną i dziećmi, krótko przed świętami Bożego Narodzenia, które spędziliśmy już w mieszkaniu na Rubinkowie. Swoją drogą, tamto też wynajmowaliśmy. To znaczy żona, a raczej była żona, wynajmuje je do dziś.

- Dobrze znaliście się z Chudzińskimi? - zapytała policjantka.

- Czy dobrze? Chyba tak, jak to między sąsiadami bywa. To znaczy lepiej znałem się z Karolem. Szybko znaleźliśmy wspólny język. Dogadywałem się z nim, czasami pożyczałem od niego jakieś narzędzia, czasem piwko w garażu strzeliliśmy za zdrowie dzieci. Poza tym widywaliśmy się, kiedy kosił trawę albo laził z odkurzaczem do liści, które potem przesypywał do brązowych worków. Bo tam na końcu ślepej ulicy rosły stare klony. I jesienią mieliśmy armagedon.

- Tragedia w rodzinie Chudzińskich wydarzyła się na początku czerwca dwa tysiące siedemnastego roku. Pamięta pan ten dzień? - Herman założyła kosmyk za ucho.

Borewiczowi wydawało się, że precyzyjnymi pytaniami partnerka stara się dać znać Solskiemu, by trzymał się sedna sprawy.

Gospodarz pokiwał głową.

- Na samą myśl o tym robi mi się słabo. - Przeciągnął dłońmi po twarzy. - Nasz Hubert był w tym samym wieku co ich Zuzia, więc zdają sobie państwo sprawę z tego, co wtedy przeżywaliśmy z żoną. To był jakiś horror. Strasznie im współczuliśmy. A w zasadzie chyba głównie jej. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co myśli o sobie matka, która... No wiecie, która zapomniała o dziecku. - Westchnął. - Ona była wtedy wrakiem człowieka, Karol zresztą też, dlatego poprosił mnie, żebym w razie czego porozmawiał z dziennikarzami, zdjął z nich ten balast, jakby przeczuwał, że zainteresują się tą sprawą. Trochę się bałem, że nie udźwignę tematu, ale nie umiałem odmówić.

- Kiedy o to poprosił? - wtrącił Borewicz.

- Jeszcze zanim się załamała. - Solski podrapał paznokciem ciemny słoń drewna. - No a potem organizowałem sąsiedzkie poszukiwania Moniki, bo zwyczajnie było mi żal tej rodziny. A raczej Karola, który został z traumą. To wszystko nam, to znaczy mojej żonie i mnie, nie

mieściło się w głowie. Wiecie, jakby dosłownie w ich dom uderzyło tsunami albo jakby mieszkali nad jakimś urwiskiem, z którego stale osypywała się ziemia, i bali się, że w końcu chałupa zsunie się w przepaść.

Olgierd przyglądał się pociągłej twarzy mężczyzny i jego spokojnym niebieskim oczom, a Herman drążyła dalej.

– Dotarliśmy do materiałów, z których wynika, że półtora roku po zaginięciu Moniki Chudzińskiej odwiedził pana dzielnicowy z Kaszczorka. Pamięta pan tę rozmowę? – spytała.

– Fakt. Był u mnie. Coś tam mi się w głowie kołatało.

– W notatce z waszej rozmowy...

– To wy robicie notatki z takich zwykłych pogaduch? – Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

– W notatce z waszej rozmowy – powtórzyła Maria, nie zaszczycając go odpowiedzią – zapisano, że krótko przed śmiercią córki państwa Chudzińskich widział pan kogoś, kto, jeśli dobrze pamiętam, wychodził z ich domu.

– Rzeczywiście tak było.

– Chodziło o mężczyznę czy kobietę? – dopytał Borewicz.

– O kobietę. A w zasadzie o młodą dziewczynę.

– Rozmawiał pan o niej z Karolem Chudzińskim albo jego żoną? – drążył Zero Siedem.

– Nie, ale już mówię dlaczego. Wtedy dopadła mnie ostra angina. Można to sprawdzić. Nie wychodziłem z domu i z nikim nie gadałem, a z Chudzińskimi to już w ogóle, bo jeszcze bym im dzieciaka zaraził. Chciałem im o tym powiedzieć, jak wydobrzeję. No, ale potem sami wiecie, co się stało. Doszło do tej tragedii i to nas wszystkich kompletnie rozbiło. Zapomniałem o bożym świecie i o tej dziewczynie.

– Mógł pan zadzwonić. – Herman postukała długopisem w notes.

– Nie wpadłem na to.

Zapadła chwila milczenia, w której Solski przyglądał się swoim dłoniom, a Borewicz zastanawiał się, o czym ten mężczyzna teraz myśli.

– Czy to była pana pierwsza rozmowa z policją w tej sprawie? – Herman odezwała się pierwsza.

– Ale o co pani pyta? O tę nieznaną, co się tam kręciła? – Gospodarz nie uniósł głowy, tylko zerknął spod oka.

– Nie. Chodziło mi raczej o śmierć córki Chudzińskich – wyjaśniła.

Solski wyprostował się i nabrał powietrza. Nadął policzki, a potem głośno wypuścił powietrze.

– Chyba tak.

Olgierd Borewicz zrozumiał intencje Marii.

Notatka służbowa, którą spisał dzielnicowy, powstała dlatego, że ktoś z operacyjnych, przeglądając akta, zorientował się, że wśród zeznań sąsiadów Chudzińskich nie ma żadnej informacji od Solskiego. Brakujące ogniwo, pomyślał Zero Siedem, gdy Herman założyła nogę na nogę.

– Potrafiłby pan opisać tę nieznaną? – spytała policjantka.

– Potrafiłbym. – Uśmiechnął się tryumfalnie i sięgnął po gazetę. – Ale tak się składa, że łatwiej mi będzie ją pokazać.

Solski rozłożył „Gazetę Pomorską”. Poślinił palce i przewracał strony, aż dotarł do artykułu ze zdjęciem uśmiechniętej blondynki z krótkimi włosami. Odwrócił gazetę, tak by policjanci mogli przyjrzeć się fotografii.

- To ona - popukał palcem w zdjęcie.

Herman nachyliła się nad gazetą.

Borewicz zrobił to samo i bardzo się starał zachować spokój. Bał się, że zdradzi go jakiś grymas lub gest.

Ze zdjęcia patrzyła na niego uśmiechnięta Dorota Lewandowska.

– Jest pan pewien, że to ona? – Borewicz odebrał gazetę z rąk Marii i udał, że uważnie przygląda się zdjęciu.

– Czy jestem pewien? – zaśmiał się Solski. – W stu procentach. Kiedy zobaczyłem ją w gazecie, nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Maria Herman spojrzała na niego podejrzliwie. Miała wrażenie, że facet lubi wzmoczony szum wokół siebie. Nie zdziwiłaby się, gdyby celowo spóźnił się na spotkanie z nimi.

Pomyślała, że go sprawdzi.

– Ile razy widział pan tę kobietę, jak wychodziła z domu Chudzińskich? – Herman wskazała na fotografię w prasie.

– Kilka.

– Kilka?

Borewicz odchrząknął, po czym odłożył gazetę na bok, tam gdzie leżała wcześniej, przy innych dokumentach.

– No nie wiem, nie pamiętam już tak dokładnie – odpowiedział Solski nieco zbity z tropu. – Ale to na bank ona.

– W notatce dzielnicowego jest mowa o dwóch przypadkach. Zaledwie dwóch – przypomniała mu Herman.

Facet splótł dłonie i wygiął je tak, że aż chrupnęło mu w kościach. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Mogło tak być – przyznał.

– Widział ją pan przed południem czy po południu?

– Przed. To musiało być jakoś z rana. No, może nie o ósmej czy dziewiątej, ale około jedenastej.

Olgierd mrugnął ukradkiem do Marii i włączył się do dyskusji:

– Był pan wtedy w domu czy na zewnątrz?

Maria się ucieszyła, że partner wyczuł jej intencje.

– W domu – odparł z pełnym przekonaniem Solski.

– Zatem widział pan tę kobietę przez okno?

– Tak.

– Jak była ubrana? – Herman przystawiła długopis do notesu i zastanawiała się, czy Solski kłamie i jakie ma ku temu powody.

– Normalnie. To znaczy miała T-shirt i spodnie dresowe. Takie luźne, do kostek, zwężane na dole.

– A buty? – dopytywała Maria.

Mężczyzna podrapał się w głowę.

– Była w białych adidasach.

– Ma pan na myśli markę obuwia? – Herman wołała uściślić.

– Tak.

– Pan zawsze zapamiętuje tyle szczegółów? – Borewicz wstał od stołu i podszedł do okna. Maria Herman zastanawiała się, do czego zmierza jej partner.

– No jakoś tak samo wychodzi – odparł Solski.

– To gratuluję. Chociaż mam sporo wątpliwości. – Borewicz odwrócił się do niego i oparł o kamienny parapet. – Słońce przed południem, z tego, co mi wiadomo, wali prosto w okno pana dawnej kuchni. Wiem, bo byłem tam ostatnio. A to utrudnia obserwację. O której zauważył pan nieznajomą na posesji sąsiadów?

– Jak to o której? – zaniepokoił się Solski. – Przecież powiedziałem. Około jedenastej. Otworzyła sobie furtkę i skręciła w lewo, czyli w stronę ulicy Na Przelaj.

– Chodzi mi o to, czy widział ją pan, jak wychodziła z domu Chudzińskich, w sensie: jak otworzyła sobie drzwi i wyszła na zewnątrz? Czy może widział ją pan w połowie dystansu do furtki?

– Raczej to drugie.

– I tak pan współczuł swoim sąsiadom, że zapomniał ich pan poinformować, że po ich ogrodzie kręciła się nieznajoma?

– Mówiłem już, że o tym zapomniałem. Miałem anginę, a potem stała się ta tragedia. Ale gadałem z Karolem później, bo mi się to przypomniało.

– Kiedy później?

– Nie wiem, nie pamiętam. Pod koniec lata chyba. – Zamyślił się. – Tak, bo wtedy dzikie wino, które porastało słup energetyczny na działce, miało już czerwone liście. Więc to mógł być nawet początek września. W każdym razie opisałem mu tę dziewczynę i powiedziałem, kiedy ją widziałem.

– I jak zareagował?

Herman czekała na ciąg dalszy, lecz Solski znieruchomiał na chwilę.

– Co wtedy powiedział Chudziński? – ponagliła go.

– Że to jego kuzynka.

Herman i Borewicz dyskretnie wymienili spojrzenia.

– A co tam robiła?

– Tego już mi nie mówił.

– A widział ją pan później?

– Nie. Już nigdy. To znaczy do chwili, kiedy kupiłem tę gazetę. – Wskazał brodą na „Gazetę Pomorską”.

- Nie wierzę w ani jedno jego słowo – stwierdził Borewicz, kiedy wyprzedzili tira.
- Z wyrokami poczekajmy. Najpierw zweryfikujmy to, co powiedział.
- Nie, no jasne, biorę to na siebie. Sprawdzę tę Lewandowską i Chudzińskiego też. Chodzi mi o wrażenie z rozmowy – podsumował Olgierd i się skrzywił. – Strasznie dziwny facet.
- Dziwny, niedziwny, ale może ta zaginiona rzeczywiście jest kuzynką Chudzińskiego? – Herman wpatrywała się w boczną szybę.

Olgierd miał na końcu języka, że widział zdjęcie profilowe Doroty Lewandowskiej w gronie znajomych Chudzińskiego na Facebooku, ale wołał tę informację – przynajmniej na razie – zachować dla siebie.

Wjeżdżali do Torunia prostą dwupasmówką, która ciągnęła się wzdłuż lasu po lewej stronie i rozmaitych siedzib firm po drugiej. Minęli salon Suzuki i Nissana. Ustawili się w długim sznurze aut i czekali na zmianę światła.

- Gdyby to rzeczywiście była kuzynka Chudzińskiego, chyba mi o tym wspomniał, nie? – spytał, ale Herman pograżyła się w rozmyślaniach i nie odpowiedziała.

Zostawił ją, tak jak się umówili, w centrum, a sam pojechał na toruńską komendę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o zaginięciu Lewandowskiej. W jakimś sensie ucieszył się, że może to zrobić oficjalnie, ponieważ jej nazwisko wypłynęło w sprawie, którą zajmował się wspólnie z Herman.

Uznał, że najlepiej będzie, jeśli się spotka z kolegą, komisarzem Lesławem Korczem, od niepełna roku szefem wydziału kryminalnego. Ten obiecał przełożyć ważne spotkanie i czekał na przyjazd Borewicza w swoim gabinecie.

- No jesteś wreszcie. Chodź, śmiało – przywitał go Korcz, ubrany w niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i jedwabne granatowe spodnie w kant do brązowych zamszowych moka-synów. Wyglądały na nowe, jakby przed chwilą wyjęte z pudełka. – Siadaj, proszę.

Olgierd zajął miejsce przy stole do odpraw, a Korcz wrócił za biurko. Za plecami miał dwa okna otwarte na oścież, lecz powietrze nawet nie drgnęło. Komisarz rozlał do szklanek wodę mineralną, ale była ciepła i Olgierd tylko zamoczył usta.

Pogadali najpierw o starych czasach, o rodzinie i trudach policyjnej służby, powspominali wspólny udział w kursach w Szczytnie.

- No mów, co cię sprowadza, bo zaraz będę musiał zmykać na spotkanie. – Korcz zerknął na elegancki zegarek z lśniącym skórzanym paskiem na przegubie.

Borewicz naświetlił mu sprawę w kilka minut, opowiedział o Janie Solskim, sąsiedzie Chudzińskich, który podobno widział Lewandowską kilka dni przed śmiercią ich dziecka.

- Okej. Co byś chciał wiedzieć? – Korcz w skupieniu położył wypielęgnowaną dłoń na blacie biurka.

- Wszystko na temat tej Lewandowskiej.

- Rozmawialiśmy dziś o niej na odprawie. I nie wygląda to dobrze. Nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- Bez jaj.

- Serio. – Korcz się zachmurzył.

- Kim ona jest?

Korcz wygładził koszulę, która podkreślała jego szczupłą sylwetkę.

– Bezrobotna, bezdzietna, lat dwadzieścia trzy. Mieszkała w wynajętym pokoju na Broniewskiego, bliżej Reja, w takiej niewysokiej kamienicy. Mieszkanie należy do Eugenii Lipskiej, emerytki.

Borewicz drgnął i zaczął się zastanawiać, czy to zbieżność nazwisk, czy jednak jakaś rodzina znajomych polityka. Ale gdyby tak było, Wojciech Cichocki już wierciłby policji dziurę w brzuchu i Korcz by mu o tym powiedział. Zero Siedem interesowało coś innego.

– Czy z tą Lipską, oprócz Lewandowskiej, mieszkał ktoś jeszcze?

– Nie. Ale Lipska ma syna, który od czasu do czasu do niej zagląda, robi zakupy, sprząta.

– Pamiętasz, jak ma na imię?

– Nie sposób gościa zapomnieć – zasępił się Korcz i dodał: – Grzegorz.

Borewicz drgnął.

– Znasz go? – spytał szef toruńskich kryminalnych.

– Nie, pierwsze słyszę. – Serce zadudniło Borewiczowi w piersi. Poczul, że pot zrosił mu czoło. – A powinienem? Jest notowany?

– Nie, skąd. To taki samozwańczy dziennikarz, trochę Zorro.

– Dlaczego Zorro?

– Bo nie pokazuje twarzy. Ma stronę internetową i kanały w social mediach. Jak wpiszesz sobie w Google hasło „lipa w mieście”, będziesz miał wszystko na tacy. Wszystko oprócz jego twarzy. Nie ma go na żadnym zdjęciu. Ale to detal. W każdym razie Lipski nie jest związany z żadną gazetą, ale ma świetnych informatorów albo jest hakerem i włamuje się na skrzynki mailowe. – Korcz się zaśmiał. – Oczywiście żartuję. Ale potrafi napsuć krwi urzędnikom i prezydentowi. Nas też nie oszczędza. W zasadzie nikogo nie oszczędza.

– Dobrze wiedzieć. – Borewicz zmusił się do uśmiechu. – A z czego się utrzymuje? Bo chyba nie z dziennikarstwa?

– Nie pamiętam, musiałbym zerknąć w papiery.

– Okej. To wróćmy do Lewandowskiej.

– Zaginęła tydzień temu – przypomniał Korcz. – Kiedy właścicielka położyła się spać, słyszała, jak tamta krząta się po łazience. Potem Lipska zasnęła, a rano wyszła na zakupy do pobliskiego netto. Wróciła z siatkami, nastawiła rosół na gazie i zamierzała zaprosić Lewandowską na obiad. Zdziwiły ją niedomknięte drzwi. Zapukała, ale odpowiedziała jej cisza. Weszła do środka i okazało się, że pokój jest wysprzątany, żadnych rzeczy osobistych, żadnych torebek, ubrań, komputera, nic. Nul. Na biurku leżały klucze od mieszkania i pieniądze na wynajem za najbliższe dwa miesiące z góry.

– Za dwa miesiące?

– Podobno w umowie miały zapis o dwumiesięcznym terminie wypowiedzenia. Naszym się wydaje, że Lewandowska chciała pokryć chesne za dwa miesiące, żeby Lipska nie martwiła się o pieniądze i miała czas na znalezienie nowego lokatora. Żyły zgodnie, Lewandowska zawsze płaciła na czas, a poza tym była cichą, niekłopotliwą lokatorką.

– I co? Lipska zgłosiła zaginięcie?

– Najpierw zadzwoniła do syna, żeby się poradzić. I ten Grzesiek uznał, że skoro dziewczyna nie odbiera telefonów i nie odpowiada na esemesy, to matka powinna zgłosić jej zaginięcie. Przywiózł ją na policję.

– Myślicie, że wyjechała z miasta? – spytał Borewicz.

– Przejrzeliśmy nagrania z monitoringu na dworcach PKP i PKS. Zero trafień. Oczywiście mogła skorzystać też z BlaBlaCar albo innych aplikacji, a wtedy raczej nie dowiemy się, dokąd pojechała.

– To co was tak naprawdę zaniepokoiło?

- W noc poprzedzającą zaginięcie jej telefon nie logował się do żadnej stacji bazowej, a po ogłoszeniu informacji w prasie zgłosił się do nas mężczyzna, który twierdził, że nad ranem, kiedy było jeszcze ciemno, widział ją w parku Miejskim przy Bydgoskiej. To niedaleko kamienicy, w której mieszkała. Cztery przecznice.

- Co tam robiła?

- Rozmawiała z jakimś facetem, wyglądało na to, że się kłócili.

- A ten świadek to niby jak ją rozpoznał? Przecież mówiłeś, że było ciemno.

- Miał chorego psa, którego musiał często wyprowadzać na dwór, żeby się załatwił. Stał z nim na trawniku pod kamienicą i patrzył na scenę. Słyszał podniesione głosy, ale nie były na tyle wyraźne, by wiedział, o czym rozmawiali. W każdym razie po jakimś czasie Lewandowska zaczęła się szarpać z tym gościem, a w końcu wyszła z parku. No i akurat minęła tego chłopca z psem.

- A ten, z którym rozmawiała?

- Właściciel psa mówił, że zniknął. Jakby rozplynął się we mgle. - Korcz ponownie spojrzął na zegarek. - Wybacz, Olgierd, ale na mnie już czas.

- Jasne. Powiedz mi jeszcze tylko, z czego Lewandowska się utrzymywała, skoro była bezrobotna?

Lesław Korcz oparł łokcie na podłokietnikach fotela obrotowego i splótł palce.

- Pani Lewandowska była gwiazdą internetu - mrugnął.

- Możesz jaśniej?

- Mogę. Po prostu wystawiała dupę do kamerki.

Maria Herman wydeptywała bruk Starego Miasta i co rusz wpatrywała się w czworoboczną wieżę gotyckiego ratusza, przy którym w cieniu drzewa chował się pomnik Mikołaja Kopernika. Astronom jedną ręką wskazywał na niebo, w drugiej trzymał astrolabium.

Popołudniowy upał nie przeszkadzał turystom i mieszkańcom. Pomarańczowe promienie słońca ślizgały się po dachówkach, błyszcząły, odbijając się od bruku.

Słyszała rozmowy w różnych językach, ktoś z grupy młodych ludzi mówiących po niemiecku poprosił ją, by zrobiła im zdjęcie z widokiem na postument. Podziękowali jej uśmiechem.

Ludzie oblegali ogródki restauracji i barów rozstawione na Rynku Staromiejskim.

– Maria! – Odwróciła się na dźwięk swojego imienia i dostrzegła na Szerokiej potężnego faceta z burzą włosów i gęstą ciemną brodą zmierzającego w jej stronę. Miał luźne jasne bermudy i T-shirt opinający się na wystającym brzuchu. Uśmiech mu się nie zmienił.

Dotarł do niej zasapany.

– Cześć, mała – rzucił Arek Groch, gliniarz, od którego pożyczyła pieniądze na pogrzeb matki, mimo że wciąż jeszcze nie spłaciła w całości hazardowego długu.

Mężczyzna rozłożył szerokie ramiona i wyściskał ją serdecznie. Herman wyczuła przyjemną woń klasycznych męskich perfum.

– Chodź, usiądziemy gdzieś – Arek rozejrzał się po rynku.

– Nie bardzo mam czas – próbowała się wymigać.

– Ej, mała, nie pierdol Grochowi smutnych bajek, dobra? – Policjant zmrzążył oczy, przyglądając się jej uważnie. – Może coś zjemy? Jesteś głodna?

– Nie – pokręciła głową, chociaż żołądek mówił co innego.

– Coś marnie wyglądasz. – Podniósł palcem jej brodę, zmuszając Marię, by spojrzała mu w oczy. – A do tego brzydko kłamiesz.

Rozśmieszył ją.

– Grochowi kłamać nie wolno, mała, nie z Grochem takie numery. – Pogroził jej palcem, ale w jego oczach widziała wesołość. – To co? Może opierdolimy jakiegoś burgera?

– Grochu, wybacz, ale serio, jestem zajęta. – Sięgnęła do torebki po kopertę.

Wyplaciła pieniądze w bankomacie krótko przed spotkaniem, a potem drżała, bo dawno nie była na Starym Mieście. Nie wiedziała, czy idąc pod pomnik Kopernika, nie trafi na punkt zakładów bukmacherskich. Dlatego spanikowała. Serce tłukło jej się w klatce piersiowej, a wnętrze dłoni miała wilgotne. Zanim się uspokoiła, minęło kilkanaście minut.

– Na razie dwa tysiące – wyjaśniła. – Przepraszam, że tylko tyle i że tak długo to trwało.

– Wyluzuj, mała. – Groch odebrał kopertę, nie spuszczać wzroku z Marii.

– Resztę postaram się oddać wkrótce. – Wołała nie określać konkretnej daty zwrotu pożyczki. Początkowo liczyła na to, że odda mu kasę z zasiłku pogrzebowego, ale musiała ją w całości przeznaczyć na opłaty związane z domem, który otrzymała w spadku po rodzicach. Poza tym wciąż spłacała inne hazardowe długi, a nieszczęście polegało na tym, że co jakiś czas odzywali się kolejni wierzyciele. Skrupulatnie odnotowywała sumy zadłużenia i na nowo układała listę priorytetowych spłat, martwiąc się czasami, że psychicznie tego nie udźwignie. Dlatego marzyła o tym, by sprzedać drogi w utrzymaniu dom rodzinny i pozbyć się od razu dwóch problemów. Budynek pilnie wymagał remontu. Tynk się sypał, płytki na schodach i balkonie odpadały. Do tego zaniedbana działka skutecznie odstraszała potencjalnych nabywców.

Agent nieruchomości w hawajskiej koszuli wycenił posesję na znacznie niższą kwotę, niż Herman się spodziewała. Pieniądzy ze sprzedaży domu powinno jednak starczyć na kawalerkę w Toruniu, którą Maria chciała kupić pod wynajem, bo wciąż miała do dyspozycji służbowe mieszkanie w Bydgoszczy. Natomiast resztę kasy zamierzała przeznaczyć na spłatę zobowiązań. Może wtedy by odetchnęła.

Groch złożył kopertę na pół i schował do bocznej kieszeni bermudów. Nie przeliczył pieniędzy.

– Dzięki, mała. Ale jeśli potrzebujesz tej kasy, to wiesz, Groch poczeka.

– Muszę spłacać zaciągnięte długi – powiedziała twardo.

– Okej. Szanuję i koniec tematu – odezwał się niskim głosem. – No dobra, skoro nie chcesz nic jeść, to może chociaż usiądziemy gdzieś i napijemy się mrożonej kawy, co?

– Wolałabym innym razem.

– Dokąd tak ci spieszo, mała?

– Na terapię – przyznała.

– No to trzeba było tak od razu. O której zaczynasz?

– Za kwadrans.

– A gdzie? Na Bydgoskim Przedmieściu? – Miał na myśli ośrodek profilaktyki i leczenia uzależnień, znajdujący się w pobliżu skrzyżowania ulicy Bydgoskiej z Reja.

Skinęła głową.

– To dawaj, podrzucę cię – zakomenderował i ruszył w kierunku placu Teatralnego. – Zaparkowałem na płatnym przy urzędzie. Chociaż przez chwilę sobie pogadamy, bo widzę, że mnie unikasz.

Herman rzeczywiście unikała dawnego kochanka, odkąd się dowiedziała, że wrócił do żony i próbował ułożyć sobie życie na nowo. Nie chciała budzić starych demonów. Tym bardziej że kiedy z nim była, wyciągnęła od niego pieniądze, które odłożył na studia dla starszego syna, i obiecała je pomnożyć, przedstawivszy policjantowi swoje pierwsze złudne sukcesy w obstawianiu wyników sportowych. To było początkowe stadium hazardu. Z perspektywy czasu widziała, kiedy to się zaczęło i jakie mechanizmy decydowały o tym, że chciała grać dalej. O dziwo, wcale nie chodziło o pieniądze. One były na szarym końcu. W hazardzie chodziło wyłącznie o emocje. O to, by dać się porwać wysokiej fali. To właśnie emocjonalny haj wciągał niczym grząska ziemia. A mimo to czuła się jak w raj. Dlatego bez trudu omotała Grocha, owinęła go sobie wokół palca, a wszelkie jego obawy rozwiewała w łóżku. W sumie wyciągnęła od niego na raty kilkadziesiąt tysięcy złotych.

I wszystko przegrała.

Także tę miłość.

Bo rzeczywiście mogłaby zakochać się w Grochu. Gdyby nie hazard, może dziś byłaby szczęśliwa u jego boku.

– Słyszałem, że wzięliście się do sprawy Chudzińskich – odezwał się były partner, gdy minęli ratusz.

Przytaknęła.

Gęsta rzeka spacerowiczów opływała ich jak wyspę. Po lewej stronie kilkoro dzieci z rodzicami czekało na swoją kolej, żeby zrobić sobie zdjęcie z figurką Filusia. Sympatyczny psiak w łebkiem wyświeconym od nieustannego głaskania trzymał w pysku melonik swego pana i tęsknie czekał na profesora Filutka, którego parasolka opierała się o latarnię.

– Nasi trochę się wkurwiają – rzucił policjant. – Ale to normalne. Nie martw się i rób swoje.

Patrzył przed siebie i parł spokojnym krokiem w kierunku placu Teatralnego.

– A co im nie pasuje? Sami dali dupy i mieli burdel w dokumentacji.

Groch machnął ręką.

– Wiesz, jak jest. Przecież nie muszę ci tłumaczyć.

– Więc po cholere mi to mówisz?

– Żebyś była gotowa na niechęć i brak współpracy.

– Zero Siedem miał się dziś spotkać z Korczem – powiedziała.

– W takim razie dobrze wybrał. Korcz, co prawda, zna sprawę z drugiej ręki, nie zajmował się nią bezpośrednio. Ale jeśli z kimś warto tu rozmawiać, to chyba tylko z nim.

– Dobrze i to – uznała Herman, zerkając co rusz na sklepowe wystawy. Minęli papierniczy i księgarski, którą pamiętała jeszcze z okresu studiów. – Nie ruszylibyśmy tematu, gdyby nie Legner – dodała.

– Legner? Serio? – Groch aż się zatrzymał.

– Tak. On dał nam zielone światło. Dlaczego mu na tym zależało? Akurat na tej sprawie? Mógł wybrać wiele innych, a zdecydował się na taki świeży temat.

– Ciekawe. – Groch potarł brodę i ruszyli dalej.

– Prosił mnie, bym nie doszukiwała się żadnych koligacji rodzinnych, ale cały czas mnie to zastanawia.

– Nie dziwię się – odparł. – Wejdźmy tu na chwilę – wskazał na lokal, w którym serwowano rolki sushi. – Kupię coś na kolację.

Herman odprowadziła Grocha wzrokiem, gdy szedł do lady, i sięgnęła po papierosa.

Odrzuciła się od witryny. Przyglądała się miastu, chłonęła gwar rozmów i odgłosy samochodów przejeżdżających przez pobliskie skrzyżowanie. Wciąż nie mogła się uwolnić od sprawy Chudzińskich i od Legnera.

Kiedy Groch wyszedł, wręczył jej niewielki kartonik.

– Masz tam dwie rolki z krewetkami i dwa różne sosy – stwierdził.

– Dzięki, ile jestem ci...

– Przestań – uciął. – Zjedz, wiem, że jesteś głodna.

Ruszyli w kierunku urzędu miasta.

– Możesz mi pomóc? – odważyła się spytać, a Groch zerknął na nią przez ramię.

– W sensie? – zmarszczył brwi.

– Chodzi mi o Chudzińską. W śledztwie dotyczącym zaginięcia, ale też wcześniej, w sprawie śmierci jej dziecka, w aktach stale przewija się ich ówczesny sąsiad z Sezamkowej.

– Jak się nazywa?

– Jan Solski. Teraz mieszka za Lubiczem, w Obrowie.

– Czym się zajmuje?

Przeszli obok magistratu, budynku z czerwonej cegły porośniętego bluszczem, i blisko przejścia dla pieszych, przy którym czekała spora grupa osób.

– Jest architektem. Ma swoje biuro.

– A, to ten Jan Solski? – Groch uniósł brwi. – Którego żona oskarżyła o gwałt, a potem wycofała zarzuty?

– Ten sam. Teraz układa sobie życie chyba jako singiel. Ale wtedy był blisko Chudzińskich.

– Masz na myśli to, że był za blisko?

Weszli na teren częściowo zacienionego parkingu i Groch wyjął kluczyki od auta. Po chwili kilkanaście metrów przed nimi błysnęły kierunkowskazy dużego terenowego samochodu, zdaniem Herman – jakby żywcem wyjętego z amerykańskiego serialu. Chromowany grill błyszczał w słońcu.

Groch pootwierał drzwi i z wnętrza buchnęło gorące powietrze, a wraz z nim – mocny waniliowy zapach, uwolniony z żółtej choinki zawieszanej na lusterku.

– Tak mi się przynajmniej wydaje. – Herman usiadła na wygrzanym fotelu, szerokim i wygodnym.

– No i? Co miałbym zrobić? – Groch zajął miejsce za kierownicą nissana patrola; mimo że wnętrze samochodu było obszerne, szurał włosami po podbitce dachowej.

– Mógłbyś z nim pogadać?

– Chciałabyś, żebym go odwiedził?

– A możesz?

Groch prychnął.

– Nie mogę. Dobrze o tym wiesz. – Uruchomił silnik i przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Wyjechali z miejsca parkingowego i skierowali się w stronę wyjazdu. – Jak miałbym to uzasadnić? Poza tym ten facet jest uczulony na gliniarzy. Więc co by to dało?

– Presję.

– Ale co on takiego zrobił? – spytał Groch.

– Po prostu kłamie. Pamięta zbyt dużo szczegółów z tego, co wydarzyło się pięć lat temu.

– Okej, jeśli nawet tak jest, to co z tego? Może ma dobrą pamięć?

Herman nie odpowiedziała.

– Mała, on może wam nagwizdać, bo wznowiliście śledztwo i macie prawo brać go na spytki. Ale dobrze wiesz, że gdybym się u niego pojawił, a on doniósłby na mnie do góry, miałbym problemy.

Groch zatrzymał terenówkę obok drewnianej budki, w której cieniu na krześle turystycznym siedział parkingowy i rozwiązywał krzyżówkę.

Policjant wysiadł z samochodu, którym lekko zabujało. Z nawiewu wydostawało się chłodne powietrze, ale plastik deski rozdzielczej wciąż był nagrзany i oddawał ciepło. Waniliowy zapach drażnił nozdrza Marii Herman. W zasadzie wszystko ją drażniło, a przede wszystkim to, że Groch ma rację.

Kiedy usiadł z powrotem za kierownicą i wyjechali na jezdnię, odezwał się:

– Proponuję coś innego. – Spojrzał na nią.

Milczała.

– Dam ci namiar na jego byłą żonę.

Szlaban się uniósł i terenówka wyjechała na Wały Generała Władysława Sikorskiego. Groch wrzucił kierunkowskaz, bo musiał nawrócić, żeby przebić się przez centrum i dojechać do ulicy Mickiewicza.

– Skąd go masz?

– Bo to ja prowadziłem jej sprawę, zanim wycofała zarzuty wobec Solskiego. Dawno to było, ale odkopię – stwierdził. – I jeśli tylko dobrze ją podejdziesz, sprzeda ci sporo informacji o swoim byłym mężu.

Herman nie była co do tego przekonana.

– A jeśli nadal się go boi? – spytała.

– Twoja w tym głowa, żeby przestała się bać.

– Ale po co mam ją nachodzić, skoro sam możesz mi opowiedzieć o Solskim?

Groch uśmiechnął się smutno.

– Nie zdążyłem się od niej niczego dowiedzieć. Była skryta. Klasyczna ofiara przemocy domowej – westchnął i dodał: – Panicznie się go bała.

Borewicz otworzył schłodzonego energizera i obserwował dymek ulatniający się z puszki.

Pociągnął kilka łyków. Napój gazowany przyjemnie laskotał gardło.

Wcześniej Zero Siedem zdążył zjeść w pobliskim bistro kebab, po którym zrobił się senny. Z trudem wstał od stołu, wystawionego w niewielkim ogródku w cieniu rozległego parasola. Dlatego wybrał się do netto po napój energetyczny. Kupił dwa. Małą puszkę wypił od razu przy wejściu, z drugim, półlitrowym, skierował się do trzykondygnacyjnej kamienicy na rogu Brońskiego i Reja.

Za plecami Olgierda zgrzytnął tramwaj, który przeciął ruchliwe skrzyżowanie, i wtedy, jak na zawołanie, z bramy budynku wyszedł starszy mężczyzna. W opinii Olgierda wyglądał na osiemdziesiąt kilka lat. Kępki siwych włosów sterczały mu nad uszami. Był w długich spodniach w kant, brązowych półbutach i zielonkawej koszuli z długimi rękawami, na którą założył brązową kamizelkę od garnituru. Borewiczowi zrobiło się gorąco od samego patrzenia na niego. Brakowało mu tylko krawata. W dłoniach mężczyzna trzymał słomkowy kapelusz.

Policjant podszedł do niego z przyklejonym uśmiechem i poprosił, by razem cofnęli się do bramy. Po pierwsze, szukał w niej cienia, po drugie, miał nadzieję, że hałas z pobliskiej drogi wjazdowej do miasta nie będzie tam tak dokuczliwy, a po trzecie – marzył o jakimkolwiek ruchu powietrza. I marzenie się spełniło. Od razu poczuł chłodny powiew od strony zacienionego podwórka znajdującego się za kamienicą.

Zero Siedem się przedstawił i powiedział starszemu mężczyźnie, że szuka Eugenii Lipskiej.

– A co, Genia coś nabroiła, że policja jej szuka? – zaśmiał się jej sąsiad.

– Ależ skąd. Chciałem porozmawiać z panią Lipską o tej lokatorce, która zaginęła. Tej, o której pisali w gazetach. Na pewno pan czytał.

– Ach, o tę pannicę chodzi. – Mężczyzna spojrzał w kierunku podwórka, jakby to tam ukrywała się Dorota Lewandowska, i Borewicz automatycznie zrobił to samo. Dostrzegł jedynie blaszany garaż, przed którym parkował granatowy mercedes haleron, czyli niezniszczalny model niemieckiej marki znany częściej pod numerem w124. Wóz, uniesiony na lewarku, miał zdjęte przednie koło. Leżało obok razem z narzędziami, kolorową szmatą i zużytymi klockami hamulcowymi.

– Widywał ją pan? – spytał policjant.

– Nie, w zasadzie w ogóle. Sąsiedzi mi powiedzieli, że tu mieszkała.

– A przychodził ktoś do niej?

– Do niej to nie, tylko do Geni. Jej syn, Grzesiu.

– O, widzi pan, z nim też chciałbym pogadać – stwierdził Borewicz.

– No to musi pan pojechać na trzecie Rubinkowo. Genia poda panu adres.

– A gdzie ona mieszka?

– Tutaj pan zapuka. – Mężczyzna wskazał na drewniane drzwi.

Olgierd popił słodkiego napoju i poczuł krótkotrwały, ale bolesny skurcz w jelitach.

– Pan nie tyka tego świństwa. Wszędzie ostrzegają, że to niezdrowe – doradził mu starszy mężczyzna.

– Ma pan rację – przytaknął Zero Siedem.

Sąsiad Lipskiej pożegnał się i odszedł, skręcił na chodniku w prawo i zniknął Borewiczowi z oczu.

Wtedy Olgierd usłyszał dźwięk esemesa.

Wydobył z kieszeni komórkę i przeczytał wiadomość.

Palarnia kawy Winami w Sosnowcu. Polecam!

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, ale przypomniał sobie, że prosił Chudzińskiego o polecenie sklepu, w którym on i jego konkubina kupowali kawę.

Zadzwoił do niego i podziękował.

– Nie ma za co. Naprawdę robią dobrą robotę – stwierdził Karol Chudziński. – Miałem wysłać ten namiar wcześniej, ale zapomniałem.

– Nic nie szkodzi. Moja żona na pewno się ucieszy – odparł Borewicz. – A tak przy okazji, chciałbym pogadać o innej sprawie. Ale to nie na telefon. Mogę pana odwiedzić?

– Teraz?

– Mniej więcej za pół godziny. – Borewicz podszedł bezwiednie do mercedesa.

– Jeszcze mnie nie będzie, ale Hania jest na miejscu, to znowu się pan tej kawy napije i chwilę na mnie zaczeka.

Borewicz podziękował i przerwał połączenie, w chwili gdy nastoletni chłopak podszedł do samochodu, przyglądając się uważnie Zero Siedem.

– Twój wóz? – spytał przyjaźnie policjant.

– A bo co?

– Wiem, że świetnie się prowadzi. Kilka razy takim jeździłem. – Borewicz uśmiechnął się na to wspomnienie.

Młody poprawił grzywkę, która wpadała mu do oczu.

– Zresztą o mało go nie kupiłem. Tamten był brązowy. W kolorze kawy z mlekiem. Piękny. – Policjant zajrzał przez otwarte drzwi kierowcy do wysprzątanego wnętrza. – Świetnie utrzymany – pochwalił chłopaka.

– Staram się. O samochód trzeba dbać – stwierdził młodzian.

Zero Siedem zgodził się z nim, po czym skierował się do drzwi wskazanych wcześniej przez starszego sąsiada Lipskiej.

Skorzystał z dzwonka i czekał. Ale nic się nie wydarzyło.

– Pani Genia wieczorem chodzi na zakupy, bo rano za gorąco – powiedział nastolatek, grzebiąc przy klockach hamulcowych.

– Widziałeś, jak wychodziła? – zainteresował się Olgierd.

– Tak, jakieś piętnaście minut temu. – Chłopak poprawił proste włosy, które lepiły mu się do spoconego czoła.

– W takim razie powinna zaraz wrócić, nie?

– Niekoniecznie. Bywa, że najpierw idzie do parku karmić kaczki – wyjaśnił. – Pan lepiej z rana przyjedzie. Wtedy ją pan zastanie.

Maria nie zaliczyła tej sesji terapii grupowej do udanych.

Zazwyczaj wiele wynosiła z tych spotkań, ale tym razem jej myśli krążyły wyłącznie wokół kobiety, która straciła dziecko w rozgrzanym samochodzie, a później wpadła w depresję i prawdopodobnie popełniła samobójstwo. Czytała wcześniej o sprawach, w których ludzie odbierali sobie życie, ale w wyniku nieszczęśliwych splotów okoliczności ich szczątki albo nigdy nie zostały odnalezione, albo odkrywał je ktoś po wielu latach, i to zazwyczaj przez zupełny przypadek.

Zapadła jej w pamięć historia, którą usłyszała na jednym ze szkoleń policyjnych. Rzecz dotyczyła młodego mężczyzny, który poszedł do lasu i nikt go nigdy więcej nie widział. Tymczasem zdesperowany facet wspiął się wysoko na drzewo, przysiadł na gałęzi, założył sobie pętlę na szyję, drugi koniec liny owinął wokół pnia i tak się odchylił, że naprężony sznur skutecznie odciął mu dopływ tlenu. Jakiś czas później odnaleziono w lesie czaszkę i wtedy policja rozpoczęła akcję poszukiwania szczątków. Bezskutecznie starano się odnaleźć płytki grób rozkopany przez dziką zwierzynę. Nie natrafiono na żadne inne kości. Wówczas ktoś wpadł na pomysł, żeby rozejrzeć się po koronach drzew. Z dołu nic nie było widać. Dopiero sprowadzony do lasu sprzęt pozwolił odkryć prawdę i potwierdzić wersję śledczą o samobójstwie.

Jadąc w kierunku centrum tramwajem, który długi czas sunął po torach wzdłuż granicy starego parku Miejskiego ze znajdującą się tam Martwą Wisłą, Maria myślała o losie Chudzińskiej. O skoku do rzeki, telefonie odnalezionym na moście i o ciele, które mógł porwać silny nurt.

Przygotowując się do prowadzenia tego śledztwa, przepokopała się przez protokoły z oględzin zwłok kobiecych znalezionych w Wiśle na odcinku od Torunia aż do północnych granic województwa, nieco za Grudziądzem. Cofnęła się do października dwa tysiące siedemnastego roku i w sumie musiała przejrzeć jedenaście dokumentów. W trzech przypadkach, ze względu na daleko posunięty rozkład zwłok, nie udało się przeprowadzić identyfikacji. Z badań w zakładzie medycyny sądowej wynikało jednak, że ofiary mogły mieć od czterdziestu lat wżwyż. Zatem żadna z nich nie była Moniką Chudzińską.

Herman zdawała sobie sprawę, że być może zawężenie poszukiwań jedynie do odcinka rzeki w Toruniu i na północ od niego było błędem. Uznała jednak, że zazwyczaj zwłoki samobójców skaczących do Wisły z mostu Piłsudskiego wypływają najdalej w okolicach bydgoskiego Fordonu. Jeśli więc ciało kobiety nie podczepiło się pod barkę lub inny sprzęt pływający, powinno dryfować na powierzchni albo zahaczyć o powalone drzewa przy zarośniętym brzegu bądź w pobliżu główek, wrzynających się w nurt rzeki. Maria liczyła też na wędkarzy, którzy najczęściej informowali służby o dryfujących ciałach.

Myślała o tym wszystkim, o zwłokach rozkładających się w rzece i przerażającej samotności samobójców, ale także o swoim uzależnieniu, które nieraz doprowadziło ją do ściany. Pograżona w czarnych myślach, w tym geście rozpacz widziała często jedyny sposób na uwolnienie się od piętrzących się problemów. Powstrzymywała ją przed tym jedynie miłość do ojca. Nie umiała mu tego zrobić, chociaż nie mogła wykluczyć, że gdyby odebrała sobie życie, wówczas jej matka odetchnęłaby z ulgą.

„Miłość zawsze zwycięży nienawiść”, mawiał jej ojciec.

Herman się ocknęła, kiedy zadzwonił telefon.

Tramwaj zostawił za sobą Stare Miasto i kołysał się na torowisku dzielącym dwupasmowe jezdnie ulicy Lubickiej. Wspinali się na wzniesienie w pobliżu Winnicy.

Zerknęła na wyświetlacz i przegoniła ciemne chmury, które zebrały jej się w głowie. Dzwoniła Joanna Mitras.

– Cześć, słońce, przepraszam, że nie zdążyłam na sesję – odezwała się przyjaciółka w słuchawce. – Jesteś jeszcze w centrum?

– Nie, jadę tramwajem na Rubinkowo – wyjaśniła Maria.

– A potem? Znalazłabyś dla mnie chwilę?

– Coś pilnego? – zainteresowała się Herman.

– Nie. W zasadzie nie. Ale nie chciałabym tego przekładać – oznajmiła Mitras wesołym tonem.

Maria wyobraziła sobie swoją starszą przyjaciółkę, kobietę niezwyklej urody, której uśmiech rozpromieniał twarz i nadawał blasku oczom. Joanna nosiła w sobie traumę uzależnienia od hazardu, któremu dziesięć lat temu wytoczyła wojnę i wygrywała wszystkie bitwy. Ale ważniejsze było to, że Maria Herman zawsze mogła na nią liczyć. Nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na tę przyjaźń, a jednak ona się wydarzyła.

Czy miała za to dziękować hazardowi?

Joannę Mitras poznała już po śmierci ojca, ale w zasadzie tylko dzięki niemu. To on poprosił swoją młodszą koleżankę o pomoc dla córki. Joanna Mitras zadzwoniła do Marii w chwili, gdy jej hazardowy świat, od początku budowany na kłamstwie, runął.

Właśnie wtedy zrozpaczona Maria Herman, która znalazła się na dnie, splukana, bez perspektyw, pogrążona w żałobie po ojcu, zdecydowała się odebrać połączenie. Na niczym jej już nie zależało. Spodziewała się, że usłyszy krzyk, że ktoś znowu będzie ją wyzywał, domagając się zwrotu pieniędzy. Lecz zamiast gróźb usłyszała ciepły, kojący głos kobiety, która zaferowała jej chwilę rozmowy. Z tej chwili po kilku miesiącach zrodziła się przyjaźń.

– To może zrobimy tak, że jak skończę, to się do ciebie odezwę i wtedy uzgodnimy, co i jak, dobrze? – zapytała Herman.

– Jasne! Czekam na sygnał, słońce.

Kilka minut później Maria wysiadła na pierwszym przystanku na Rubinkowie. Przecięła szeroką arterię, po której nieustannie jechały samochody, i poszła w kierunku najbliższego wieszowca, za którym rozciągało się osiedle z wielkiej płyty, największa sypialnia Torunia, licząca już blisko pięćdziesiąt lat.

Dogasało słońce, rozpalając czubki drzew w lesie porastającym nadwiślańską skarpe. Ciepłe powietrze trwało w bezruchu, zwiastując nadejście burzy.

Policjantka przeszła do drugiej klatki i odszukała numer mieszkania na domofonie.

– Halo? – odezwała się Katarzyna Solska.

Maria Herman się przedstawiła.

– Czego pani chce?

– Porozmawiać o pani byłym mężu.

– Nie jestem zainteresowana. Do widzenia.

W głośniku coś trzasnęło i zapadła cisza.

Herman uznała, że Groch miał rację. Kobieta była trudna, dlatego policjantka musiała zmienić repertuar.

Nacisnęła kilka przycisków po kolei na tabliczce z numerami mieszkań. Ktoś się odezwał, najpierw mężczyzna, a potem kobieta, aż w końcu usłyszała to, co chciała usłyszeć – zwolnienie blokady zamka. Otworzyła drzwi i znalazła się w chłodnym przedsionku klatki schodowej. Weszła na parter i ściągnęła windę, po czym wjechała na ósme piętro. Rozejrzała się po korytarzu, a kiedy odnalazła właściwe drzwi, energicznie w nie zastukała.

– Kto tam?

W odpowiedzi Herman jedynie uniosła blachę do wizjera.

Zgrzytnął zamek i drzwi się uchyliły, ukazując czterdziestoletnią kobietę ze spiętymi włosami, w krótkich sportowych spodenkach i obcisłym topie do ćwiczeń.

– Powiedziałam już pani, że nie będę rozmawiała o tym psychopacie. Nie zmusi mnie pani do tego.

– W takim razie porozmawiajmy o Monice Chudzińskiej. Teraz albo na komisariacie – rzuciła policjantka.

Na twarzy Solskiej odmalowało się zdziwienie pomieszane z niedowierzaniem. Na chwilę zeszywniała z lekko otwartymi ustami.

– Odnaleźliście ją?

– Jeszcze nie. Ale przyda nam się każda pomoc.

Solska przyjrzała się uważnie Marii, po czym otworzyła szerzej drzwi.

– Dobra, niech pani wejdzie – powiedziała.

Wyrazisty zapach kawy rozszedł się po salonie.

Borewicz rozsiadł się na skórzanej kanapie i założył nogę na nogę. Hanna Pilewska, dziewczyna Chudzińskiego, zostawiła syna w kojcu na dywanie i Borewicz obserwował malca, który wsunął sobie do ust schłodzony gryzak żelowy i gaworzył, przyglądając się uważnie obcemu mężczyźnie.

Zero Siedem przypomniał sobie, że Amelce jeszcze nie tak dawno też podawał gryzaki. Przynosiły ulgę swędzącym dziąsłom, gdy wyrzynały się mleczne trzonowce.

– Pan słodzi? – usłyszał głos dziewczyny Chudzińskiego.

– Dwie łyżeczki.

– Myśmy się odzwyczaili, ale gdzieś tu była cukierniczka. Zaraz znajdę.

W wyciszonym telewizorze Borewicz zauważył zdjęcie zaginionej dziewczyny. Pogłodził dźwięk pilotem.

– Wciąż nieznanne jest miejsce pobytu młodej kobiety. Policja apeluje do wszystkich, którzy widzieli Dorotę Lewandowską w dniu jej zaginięcia, o kontakt z komisariatem policji w Śródmieściu – mówiła prezenterka z gęstymi blond lokami.

Hanna Pilewska przyniosła tacę z filiżankami i rozstawiła je na niskim stoliku. Wyprostowała się, zatrzymując wzrok na ekranie.

– To nieprawdopodobne – stwierdziła, kiedy Borewicz podziękował za kawę ze spienionym mlekiem.

– Co takiego?

– Te tajemnicze zaginięcia.

– Tajemnicze?

– No, wie pan, tak jak w przypadku Moniki – wyjaśniła. – Boże, to się w głowie nie mieści. Chociaż pan, jako policjant, zapewne inaczej na to patrzy.

Zero Siedem posmakował kawy. Była mocna, tak jak lubił, i nie przeszkadzało mu, że pije taką na wieczór. Smakowała wybornie, szczególnie karmelowa nuta, która zostawała na języku.

Pilewska cofnęła się do kuchni i przyniosła talerz z piernikami w białej czekoladzie.

– W większości te niewyjaśnione zaginięcia to niewykryte zbrodnie, rzadziej samobójstwa – powiedział, gdy kobieta wzięła na ręce syna i pocałowała go w policzek. Chłopiec się rozpromienił. Usiadłszy z nim w fotelu, usadowiła go przodem do siebie.

– Sądzi pan, że Monika została zamordowana? – zainteresowała się.

– Tego wciąż nie można wykluczyć. – Zero Siedem sięgnął po ciastko i odgryzł kawałek. Wziął łyk kawy, a kiedy przełknął kęs, spytał: – Od jak dawna się znacie?

– Z Karolem?

– Tak.

– Poznaliśmy się trzy lata temu na szkoleniu. Do dziś się śmiejemy, że wyszłam z zajęć nie tylko z certyfikatem.

– Kto przejął inicjatywę?

– Szczerze? – Poruszała kolanami, a jej synek, którego trzymała za rękę, balansował ciałem i tak się zaśmiewał, że Olgierd nie mógł powstrzymać uśmiechu. – Ja. Zostałam po szkoleniu

pod pretekstem omówienia pewnej kwestii, ale kiedy zostaliśmy sami, powiedziałam mu, że moglibyśmy kontynuować temat w mojej kawiarni. Zaprosiłam go na degustację.

- Ma pani swój lokal?

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Kawiarka, przez „v”. Na rogu Sienkiewicza i Bydgoskiej. Jeśli będzie pan w pobliżu, to zapraszam. Kawa gratis, oczywiście.

- Dziękuję, jeśli smakuje tak jak ta - uniósł filiżankę - to wpadnę na pewno.

Pilewska odpowiedziała uśmiechem, a Borewicz ściszył telewizor, bo rozpoczęły się wiadomości sportowe.

- Ostatnim razem wspominała pani, że prowadzi fanpage na Facebooku poświęcony zaginięciu Moniki - stwierdził.

- Tak, to prawda. Fanpage i grupę.

- Grupę też?

- Tak. W zasadzie uruchomiłam je jednego dnia.

- Fanpage widziałem, grupy nie. Podesła mi pani link?

- Oczywiście. Teraz? - Odszukała wzrokiem telefon, który leżał na stole obok porcelanowej filiżanki.

- Może być później - odparł.

Pilewska chwyciła syna pod pachy i odwróciła plecami do siebie, po czym oparła go o klatkę piersiową. Oczy malca wpatrywały się w policjanta, który uśmiechnął się na widok zdziwionej miny chłopca.

- Dlaczego pani to robi? - spytał po chwili, przynosząc na nią wzrok.

- Słucham? - Spojrzała zaskoczona, ale Borewicz nie odpowiedział. - Jak to dlaczego?

- Mąż prosił, żeby się tym zająć?

- Nie. - Ściągnęła brwi. - Sama na to wpadłam, bo żaden z nich tego nie zrobił. Ani on, ani jego teść. Tymczasem zaginęła bezbronna, chora kobieta, a policja nie ma pojęcia, co się z nią stało.

- I czego dowiedziała się pani od ludzi z internetu?

Westchnęła.

Chłopiec wiercił się na jej kolanach, więc podała mu niebieską grzechotkę, którą natychmiast włożył do buzi.

- Widzę, że pan nie wierzy, że takie działania mogą pomóc - odezwała się smutnym głosem.

- Nie mam nic przeciwko, jeśli nie utrudniają pracy policji.

- A niby jak miałabym ją utrudniać? Zależy mi tylko na tym, żeby przypominać ludziom o Monice. Zawsze istnieje nadzieja, że ktoś sobie coś przypomni, prawda?

Borewicz skinął głową.

- Mówiłam już panu, że wszystkie sygnały przekazuję policji. Sama przecież ich nie sprawdzę.

- Rozumiem i do tego sprowadza się moje pytanie. Jakie to były sygnały? Co zgłaszały osoby, które są w tej grupie?

- Jezu, różne rzeczy. Zdarzały się informacje, że ktoś gdzieś widział Monikę.

- W Toruniu?

- Nie. Chociaż... - zamyśliła się. - Ze dwa lata temu rzeczywiście miałam takie zgłoszenie. Jeden z naszych grupowiczów nagrał z ukrycia film w galerii Copernicus. Laska zajrzała do

sklepu z bielizną, a on kręcił ją z ukrycia. Obraz się trząsał, gubił ostrość. I rzeczywiście, jakiegoś podobieństwo do Moniki można było zauważyć, ale to nie była ona.

– Skąd ta pewność?

– Natychmiast skontaktowałam się z policją. Wysłano patrol do galerii i udało się porozmawiać z tą kobietą. Pokazałam film również Karolowi i on od razu stwierdził, że to nie ona.

– Po czym rozpoznał?

– Po chodzie. Tamta babka stawiała stopy na zewnątrz jak kaczką.

– Kto podesłał ten film?

– Nie pamiętam. Jakiś student chyba.

– A inne sygnały?

– W sumie podobne. Niby ktoś ją gdzieś widział, ale zazwyczaj nie ma ani zdjęć, ani filmów. – Chłopiec zrzucił grzechotkę na podłogę, lecz kobieta nie zareagowała. – Czy jak przekazujecie te informacje policji, to wy tam coś z nimi w ogóle robicie? Weryfikujecie je jakoś?

– Inaczej to nie miałyby sensu – zapewnił, ale z doświadczenia wiedział, że nie da się sprawdzić wszystkich sygnałów w sprawie zaginionych. – A ostatnio? Działo się coś na grupie? – Borewicz dopił kawę i dyskretnie spojrzął na zabytkowy zegar kominkowy, który stał na komodzie.

– Nie – pokręciła głową. – To znaczy niewiele. Grupa ożywia się zazwyczaj przy okazji rocznicy śmierci Zuzi i zaginięcia Moniki. Ale w tym roku, mimo że wrzuciłam przypomnienie o tragedii małej, było jakoś tak spokojnie. W każdym razie żadnych nowych sygnałów nie było od kilku miesięcy.

Zza okna dotarł narastający terkot silnika, a po nieskazitelnie białym suficie przesunęły się światła samochodowe i smagnęły zabytkowy zegar.

– O, tatuś przyjechał. – Hanna Pilewska uśmiechnęła się do dziecka i zabrała je na korytarz.

Borewicz podziwiał jej figurę w krótkich żółtych szortach, które odsłaniały zgrabne uda i opinały pełne pośladki. Dokładnie takie, jak lubił.

Sięgnął po kolejnego piernika w białej czekoladzie i zapił ciastko wodą z karafki, która stała wraz ze szklankami pośrodku stolika kawowego. Podniósł odwrócony do góry dnem kubek z logo jej kawiarni, wokół którego krążyły owocówki, i zauważył kilka plasterów cytryny ułożonych na spodku. Przegonił drobne owady i odstawił kubek na miejsce, w chwili gdy zgrzytnęła brama garażowa.

Zaraz potem opony zapiszczały na kaflach. Warkot silnika ustał nagle i dobiegł go głuchy odgłos zamykanych drzwi.

Pilewska czekała w przedpokoju na partnera i czule mówiła coś do synka, ale Borewicz nie słyszał słów. Za to widział ich w lustrze. Poczł się nagle tak, jakby podglądał tę rodzinę z ukrycia. Kiedy Chudziński wszedł do korytarza, odstawił teczkę i pocałował kobietę w usta, a następnie podniósł chłopca. Wtedy zerknął w kierunku salonu.

– Masz gościa – powiedziała Pilewska.

– Wiem, wiem. Widziałem samochód.

Chudziński wszedł do salonu z chłopczykiem na rękach.

– Dobrze, że pan jest, panie komisarzu – oznajmił, marszcząc czoło.

– A co się stało? – Borewicz wstał, żeby wymienić z nim uścisk dłoni.

– Chciałbym pojechać z panem w jedno miejsce.

– Teraz? Dokąd? – Policjant nie krył zdziwienia.

Hanna Pilewska weszła do pokoju i wsparła rękę na biodrach.

– O co chodzi? – spytała.

Mężczyzna spojrział na nią przez ramię.

- Podobno wyłowiono z Wisły szczątki jakiejś kobiety - odparł i przeniósł wzrok na policjanta.

Katarzyna Solska miała wysportowane ciało, jędrne uda i wyrzeźbione mięśnie brzucha.

Stała przy szeroko otwartym oknie mieszkania na ósmym piętrze, wpatrywała się w nadciągające chmury i gęsty las porastający skarpe wiślaną na Rubinkowie. W dole – co Herman widziała wcześniej, gdy czekała na gospodynię, która zwinęła karimatę, odsunęła stepper w róg pokoju i poszła do kuchni – arterią szeroką na trzy pasy gnały samochody niczym resorówki. Szum opon i zgrzyt tramwaju odjeżdżającego z przystanku niósł się w rozgrzanym powietrzu. Nie był uciążliwy, ale Herman nie była pewna, czy zdołałaby się przyzwyczaić do takiego osiedlowego zgiełku.

Z nagranych za dnia betonowych ścian biło ciepło.

Maria Herman siedziała w dużym niewygodnym fotelu i od kilku minut próbowała rozgryźć Solską. Lecz ta konsekwentnie unikała odpowiedzi na pytania.

– Mieszka pani sama z dziećmi? – zwróciła się do gospodyni.

– I z psem – odparła kobieta, wciąż plecami do gościa.

Jednak żaden pies nie przywitał się z policjantką.

– Uciekł mi – dodała Solska, jakby czytała jej w myślach. – Ale przyjdzie. Wieczorem zawsze wraca pod klatkę. Muszę tylko po niego zejść.

– Jaka rasa?

– Czarny kundelek z białym krawatem. Mały. Wzięłam go ze schroniska z myślą o Ali i Hubercie, bo dzieci bardzo przeżyły rozwód, chciałam, żeby w tym całym bałaganie miały odrobinę radości – wyjaśniła. – Teraz oboje są na koloniach i opieka nad Brando oczywiście spada na mnie.

Herman zapragnęła zapalić chesterfielda i nawet miała na końcu języka pytanie, czy może wyjść na balkon, powstrzymała ją jednak lęk wysokości.

Solska skrzyżowała ręce na klatce piersiowej.

– Dlaczego wracacie do sprawy Chudzińskiej?

– Jej ojciec chciałby raz na zawsze wyjaśnić, co się stało z jego córką. – Herman zerknęła na szklankę z parującym ciemnym naparem. Podobno gorąca herbata jest najlepszym sposobem na ugaszenie pragnienia w upały.

– Wszyscy chcielibyśmy to wiedzieć. – Solska ponownie spojrzała za okno. – Ale skoro wracacie do śledztwa, musicie mieć konkretny powód.

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć.

– No tak. Mogłam się tego spodziewać – westchnęła kobieta i usiadła po drugiej stronie ławy na taniej wersalce z Ikei. – Dobrze. Miejmy to za sobą. Niech pani pyta.

Herman sięgnęła po notes.

– W aktach obu spraw, zarówno z czerwca, jak i października dwa tysiące siedemnastego roku, pani mąż bardzo często...

– Nie będę o nim rozmawiała – kobieta przerwała Herman i zamknęła oczy.

– Nie zamierzałam o niego pytać. Chciałam tylko powiedzieć, że pani mąż przewija się w aktach spraw. A o pani nie ma ani słowa.

Skinęła głową.

– Dlaczego? – drążyła Herman.

– Niech pani jego zapyta.

– Wolałabym najpierw usłyszeć pani wersję.

Katarzyna Solska podciągnęła kolana i oparła stopy na krawędzi wersalki. Chwyliła palce u nóg.

Ciemne chmury za oknem zdawały się zbliżać do miasta.

– To był okres, w którym zdałam sobie sprawę, że muszę się z nim rozstać. Nie wiem, czy bardziej ze względu na siebie, czy na dzieci. W każdym razie podjęłam decyzję i wynajęłam to mieszkanie.

– Bardzo mi przykro.

Solska skinęła głową.

– Policja nie próbowała dotrzeć do pani?

– Nie. To znaczy nie przypominam sobie nic takiego. A dlaczego mieliby to robić?

– Każda informacja od osoby, która znała Monikę Chudzińską i ją widywała, może być przydatna.

– Od października dwa tysiące siedemnastego roku mieszkalam z dziećmi tutaj i rzadko jeździłam do domu na Sezamkowej.

– Pani mąż twierdzi, że dwukrotnie widział dziewczynę, która wychodziła z domu Chudzińskich...

– Serio, tak wam powiedział? – Solska parsknęła śmiechem.

– W dodatku rozpoznał tę kobietę.

– A wy mu uwierzyliście?

– Nie mamy podstaw, żeby mu nie wierzyć – oświadczyła Herman i umoczyła usta w czarnej herbacie.

Gospodyni pokręciła głową, nie przestając się uśmiechać.

Herman usłyszała pierwsze pomruki burzy, głucho odgłosy zderzających się ze sobą kamieni. Docierały gdzieś z oddali.

– A nie zastanawia was, dlaczego mój mąż niejako zawładnął tymi poszukiwaniami?

Herman już chciała odpowiedzieć, gdy nagle zrozumiała, że nadmiar, o którym rozmawiali wcześniej z Olgierdem, może nie mieć tu zastosowania. Dodała dwa do dwóch i uznała, że odejście Katarzyny Solskiej od męża, w czasie gdy doszło do śmierci Zuzanny Chudzińskiej, a potem także do zaginięcia młodej matki, mogło mieć inne podstawy. Mogło nie chodzić wyłącznie o przemoc w rodzinie.

– Zdradzał panią? – zapytała.

– Tak.

– Z Moniką Chudzińską? – doprecyzowała komisarz.

– No proszę, brawo – ironizowała Solska. – Jak pani na to wpadła?

Herman musiała trzymać nerwy na wodzy.

– Lepiej by było, gdyby mogła to pani udowodnić.

Kobieta zsunęła stopy na podłogę, podniosła się i przeszła do korytarza.

Wróciła po kilku minutach, które Herman spędziła na wpatrywaniu się w skłębione granatowe obłoki, w których raz po raz się błyskało. Drzewa kołysały się szarpane wiatrem, a liście tarły o siebie, i wszystko to brzmiało jak szemranie deszczu, chociaż nie spadła jeszcze ani jedna kropla.

– Proszę. – Solska wróciła i podała jej brązową kopertę dużego formatu.

Wewnątrz znajdował się plik zdjęć.

Fotografie robione obiektywem wysokiej klasy nie pozostawiały złudzeń. Na pierwszej z nich Chudzińska tkwiła w objęciach Solskiego na kanapie w salonie. Na kolejnej uwieczniono ich pocałunek, a potem w serii zdjęć fotograf zdołał uchwycić, jak zrzucał z siebie ubrania.

– Wystarczy? – Solska poprawiła wiązanie blond kitki.

Maria Herman przejrzała resztę materiałów i miała ochotę wrzasnąć na Solską.

– Czy pani wie, co pani grozi za zatajenie tych informacji? – zapytała i poczuła, jak krew w jej skroniach pulsuje nieznośnie.

– Zatajenie? – Solska ponownie się uśmiechnęła. – Chyba coś się pani pomyliło. Przecież nikt mnie nigdy o to nie pytał.

– Powinna się pani zgłosić z tymi materiałami na komendę i przekazać je policji.

– Ale to się wydarzyło przed śmiercią córki Chudzińskiej – broniła się kobieta. – A ja ze swoim zrujnowanym życiem i facetem, który bił dzieci i traktował mnie jak szmatę, nie chciałam mieć nic wspólnego. Musiałam od niego odejść. Zresztą te zdjęcia to moja polisa. Powiedziałam mu, że pokażę je wszystkim, policji też, jeśli kiedykolwiek moim dzieciom lub mnie spadnie włos z głowy. – Herman dostrzegła łzy w jej oczach. Kobieta zamrugała kilkukrotnie, po czym oznajmiła: – Muszę iść po psa. Za chwilę lunie jak nic.

Komisarz przeniosła wzrok na ciemne niebo, miała mętlik w głowie. Przeszła do przedpokoju, gdzie Solska włożyła klapki i sięgnęła po klucze, zawieszony na haczyku w pobliżu drzwi.

– Mogę pani pożyczyć te zdjęcia, ale musi mi je pani oddać – zaznaczyła.

– Dziękuję. Tak zrobię. – Herman wyszła na korytarz i przywołała windę.

W windzie Solska ponownie się odezwała.

– Ta kobieta, o której pani mówiła i którą rzekomo widział mój były mąż, to jedna wielka ściema.

– Słucham?

– On jej nie widział.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo to ja mu o niej powiedziałam. – Twarz Solskiej ponownie rozjaśnił uśmiech.

Mijały kolejne piętra.

Światło padające z górnej lampy nadawało ich twarzom niezdrowy, żółty wygląd. Głęboko osadzone oczy Solskiej tonęły w cieniu.

– To znaczy, co mu pani powiedziała? – spytała Herman.

– Że jakaś kobieta kręciła się po ogrodzie Chudzińskich.

Winda zwolniła, po czym z głuchym stukiem zatrzymała się na parterze. Kobieta pchnęła stalowe drzwi. Zawiasy jęknęły. Wyszły przed klatkę wieżowca na wyasfaltowany plac pełen samochodów, za którym rozciągało się boisko do piłki nożnej.

Solska przystanęła i rozejrzała się w poszukiwaniu psa.

– Brande! Brande! – zawołała, a potem gwizdnęła przeciągle głośno.

– Czegoś tu nie rozumiem – Maria Herman podzieliła się wątpliwościami. – Była pani skłócona z mężem i, ot tak, powiedziała mu o nieznanym w ogrodzie sąsiadów?

Solska przygryzła wargę, przyglądając się policjantce.

– Serio? Nadal pani nie rozumie? Przecież to proste – stwierdziła.

Komisarz Herman zmarszczyła brwi, a jej wzrok powędrował w stronę koperty z dowodami zdrady Solskiego. Dopiero teraz jej się przyjrzała. W lewym górnym rogu widniało słabe odbicie pieczęci biura detektywistycznego B. Walter.

Znała to nazwisko. Beata Walter kilka lat temu pożegnała się z pracą w toruńskiej kominde i dorabiała, oferując usługi detektywistyczne.

- To ona chodziła po tym ogrodzie, tak? Beata Walter?

Blondynka skinęła głową.

- Dałam mężowi do zrozumienia, że wiem więcej, niż mu się wydaje - wyznała. - A kolejnego dnia na stole w kuchni zostawiłam kilka zdjęć.

- Jak zareagował?

- A jak miał zareagować? Groził mi. Ale po raz pierwszy poczułam, że się wystraszył. Zdał sobie sprawę, że z tymi dowodami nie wygra. A mnie zależało tylko na rozwodzie. I to niekoniecznie z orzeczeniem o winie.

- Chudziński o tym wiedział? - zainteresowała się Herman.

- Nie. Obiecałam mężowi, że nikt się o tym nie dowie, jeśli zgodzi się na rozwód.

- Czyli Monika Chudzińska nie widziała tych zdjęć?

- Ja na pewno jej ich nie pokazywałam - odparła kobieta, ale na jej twarzy odmalowało się wahanie.

Herman cierpliwie czekała.

- Zastanawiałam się, czy to zrobić, ale co bym na tym ugrała? - Solska wpatrywała się w pas wolnej przestrzeni pomiędzy blokami. - Przecież najbardziej zależało mi na uwolnieniu się wraz z dziećmi od tego idioty. To było dla mnie najważniejsze. - Przeniosła wzrok na policjantkę, która zapytała:

- Usługi detektywistyczne nie są tanie, a przemocowy mąż zazwyczaj trzyma rękę na kasie. Skąd miała pani pieniądze na opłacenie biura?

- Beata Walter jest moją ciotką, młodszą siostrą mojej mamy. Od zawsze miałyśmy bardzo dobry kontakt. Beti po prostu mi pomogła.

Herman pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Mówiła pani, że te zdjęcia - uniosła kopertę - Walter zrobiła przed śmiercią córki Chudzińskich, prawda?

- Tak, to prawda.

W niebie rozległ się głęboki, basowy pomruk, a chwilę później pierwsze krople deszczu uderzyły o asfalt.

- Pani były mąż twierdzi jednak, że widział kobietę w ogrodzie Chudzińskich dwukrotnie, w czasie gdy był na zwolnieniu lekarskim w tygodniu poprzedzającym tragedię. I na pewno nie chodziło mu o Beatę Walter.

- Bzdura! - oburzyła się Solska. - Nie wierzcie w żadne jego słowo. On kłamie.

- Ale dlaczego miałby to robić?

- Owszem, wziął zwolnienie, ale po pierwsze lewe, a po drugie, to było w tym tygodniu, w którym doszło do śmierci Zuzki.

Wzrok Karola Chudzińskiego wwiercał się w Olgierda, gdy ten rozmawiał ze swoim kolegą, dyżurnym z komendy wojewódzkiej. Kiedy się rozłączył, zatrzymał telefon w dłoniach.

Hanna Pilewska zabrała syna na wieczorną kąpiel, a oni obaj przenieśli się na taras, żeby nie przeszkadzać głośną rozmową w usypianiu chłopca. Usiedli w fotelach z ratanu, wyłożonych wygodną gąbką.

– Rzeczywiście, w pobliżu bydgoskiego Fordonu wyłowiono z Wisły zwłoki kobiety. Ale na pewno nie jest to pana żona.

– Niby skąd to wiadomo?

– Bo to starsza, schorowana kobieta, której od dwóch dni szukano w Bydgoszczy – wyjaśnił podkomisarz.

Chudziński nabrał powietrza i wypuścił je powoli, rozluźniając mięśnie. Oparł głowę na zagłówku fotela i przymknął oczy.

W tej samej chwili telefon Zero Siedem zawibrował. Policjant z niepokojem pomyślał, że być może to kolejna wiadomość od szefa. Powinien był zadzwonić do niego i zdać mu relację z tego, jak idą poszukiwania Grzegorza Lipskiego i dziewczyny, ale wciąż niewiele wiedział.

Sięgnął po aparat i odblokował ekran.

Chudzińska zdradzała męża z Solskim. Mam dowody.

Odczytał wiadomość od Marii Herman i mimowolnie potarł czoło.

– Coś się stało? – zapytał gospodarz.

Zero Siedem przeniósł wzrok na Karola Chudzińskiego.

– Robota mnie wzywa – odparł i wystukał odpowiedź na klawiaturze smartfona: *Jestem u niego. Czy on o tym wie?*

– No tak – uznał gospodarz i spojrzął w kierunku drzwi tarasowych. Za nimi znajdował się rozświetlony pusty salon. Kilka zabawek leżało na podłodze obok kolorowej maty edukacyjnej. Po chwili odezwał się przyciszonym głosem: – Zawsze gdy słyszę, że odnaleziono ciało kobiety, boję się, że chodzi o Monikę.

Podkomisarz ścisnął w dłoni aparat i czekał na wiadomość, która wciąż nie nadchodziła.

– To zupełnie zrozumiiałe – uznał Zero Siedem, ale nie chciał brnąć w te dywagacje. – Byliście zgodnym małżeństwem?

Chudziński skinął głową, co miało wystarczyć za odpowiedź.

– Nie kłóciliście się? – drażył policjant.

– Nie – zapewnił gospodarz. – To znaczy, wie pan, zdarzały się jakieś tam drobne sprzeczki, jak w każdym związku, ale generalnie byliśmy zgodni. Monia była dobrą matką i żoną.

Borewicz odnotował te słowa w pamięci i cofnął się do chwili, w której przeglądał akta sprawy poświęcone zaginięciu Chudzińskiej. Jedną z pierwszych wersji śledczych, szybko odrzucona, zakładała możliwy romans kobiety lub jej męża. Zazdrość często prowadzi do zbrodni. Tym razem jednak policyjne działania nie przyniosły żadnych rezultatów. Obserwano Chudzińskiego, który przeżywał żalobę po stracie żony i nie spotykał się w tamtym okresie z żadną kobietą. Żadna go nie odwiedzała. Zero Siedem ani Maria Herman nigdy nie natrafili na notatkę o kobiecie kręcącej się po ogrodzie, nikt o niej nie wspominał.

Chudzińska też wydawała się czysta. Świadczyć mogły o tym jej billingi. Miała jeden aparat i jedną kartę SIM, zarejestrowaną na firmę męża. On otrzymywał faktury i wykazy połączeń, które bez zwłoki udostępnił policjantom, a ci z kolei ustalili jej rozmówców i rozpracowali

każdy numer, na który kobieta dzwoniła w ciągu trzech miesięcy poprzedzających jej zaginięcie. Na podstawie logowań do stacji bazowych zweryfikowali także miejsca, w których bywała. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Dlatego uznano, że nie było żadnego romansu. Kłopot polegał na tym, że wskazania BTS-ów nie były dokładne, określały jedynie mniejszy lub większy obszar miasta. Zatem jeśli dane wskazywały na to, że Chudzińska jest w Kaszczorku, to nie można było stwierdzić, że siedzi w domu. Równie dobrze mogła być kilkanaście metrów dalej, na przykład w łóżku Solskiego.

– Ale dlaczego pan o to pyta? – odezwał się Chudziński, przywracając Borewicza do rzeczywistości.

– To znaczy?

– No, o te kłótnie z żoną.

– Musimy brać pod uwagę każdy scenariusz – wyjaśnił Zero Siedem.

– Czyli?

– Romans.

Chudziński się zaśmiał.

– Pan tak serio? – Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Tak. Pański lub jej.

– Bez jaj – zachnął się gospodarz.

– Dowodów na pana zdradę koleżdy wówczas nie znaleźli... – zaczął Borewicz, ale Chudziński przerwał mu, podnosząc palec.

– Chwila. Nie znaleźli też nic, co mogłoby wskazywać na to, że żona mnie zdradzała. Byłśmy szczęśliwym małżeństwem.

Szczęście w małżeństwie, pomyślał Olgierd, zastanawiając się, co to właściwie jest. Czy był szczęśliwy w związku z Kingą? A jeśli tak, to dlaczego robił te wszystkie rzeczy, które dawały mu jeszcze więcej szczęścia?

– Ma pan jakieś konkretne podejrzenia? – Chudziński jednak się zaniepokoił.

– Nie, ale dobrze pan wie, że sprawdzimy te tropy.

– Słusznie. Chociaż, moim zdaniem, tylko zmarnujecie czas. Ale lepsze to, niż kręcić się w kółko, prawda?

Borewicz nie wiedział, czy zobaczył na twarzy Chudzińskiego uśmiech, czy grymas niesmaku.

– Mam nadzieję, że poinformuje mnie pan o wynikach dochodzenia – dodał gospodarz.

– Oczywiście. – Zero Siedem klepnął dłońmi w podłokietniki. – Na mnie już czas.

Chudziński dźwignął się z fotela, Borewicz poszedł w jego ślady, i wskazał ręką na ścieżkę wzdłuż domu:

– Odprowadzę pana do furtki.

Kiedy zatrzymali się przy ogrodzeniu, zadarł głowę i omiatając wzrokiem czarne niebo, dodał:

– Czuję, że zaraz będzie pompa.

– Jeszcze jedno. – Zero Siedem przytrzymał otwartą furtkę. – Mówi coś panu nazwisko Dorota Lewandowska?

Chudziński potarł brodę.

– Nie. A powinno? – spytał.

– Tydzień temu zaginęła w Toruniu, jej zdjęcie można znaleźć w mediach.

– Fakt, coś słyszałem.

Borewicz odblokował ekran telefonu i odszukał informację prasową. Powiększył zdjęcie kobiety z krótkimi blond sprężynkami, a następnie pokazał je Karolowi Chudzińskiemu.

– Kurczę, możliwe, że gdzieś mi mignęła ta fota. Ale nie znam tej dziewczyny – powiedział.

Policjant zastanawiał się, czy wspomnieć o tym, że Chudziński ma ją wśród znajomych na Facebooku.

– Dlaczego pan mnie o nią pyta? – zainteresował się gospodarz.

W tej chwili zerwał się gwałtowny wiatr i cisnął drobinkami piachu z drogi. Obaj zmrużyli oczy.

– Jeden z sąsiadów zwrócił pana uwagę na to, że kiedy nie było was w domu, po waszym ogrodzie kręciła się kobieta. I pan podobno twierdził, że to kuzynka.

– A, faktycznie. Było tak.

– Co pana kuzynka robiła wtedy ogrodzie?

– Nic wielkiego. Po prostu wyświadczyła mi przysługę. Prowadziłem szkolenie, a zapomniałem zabrać z domu pendrive'a z prezentacją. Nie mogłem sam podjechać, więc poprosiłem Alę, żeby wzięła ode mnie klucze do domu i przywiozła mi go.

Zero Siedem pokiwał głową.

– Dziękuję za kawę. – Pożegnał się z gospodarzem.

Wsiadł do starej toyoty. Wiatr zagwizdał, wciskając się w szczeliny karoserii. Korony pobliskich drzew kołysały się na tle ciemnego nieba. Kilka kropel spadło na szybę.

Zero Siedem uruchomił silnik i wyjechał z drogi osiedlowej, przyglądając się domowi, w którym Jan Solski mieszkał kilka lat temu. W kuchni świeciło się światło, ale przez zaciągnięte żaluzje widział jedynie cień osoby, która się tam krzątała.

Musiał pogadać z Herman, dopytać, skąd wie o romansie Solskiego z Chudzińską. Potem będą musieli raz jeszcze przeanalizować akta pod kątem tej dwójki. A przede wszystkim dowiedzieć się, co Jan Solski robił szesnastego października dwa tysiące siedemnastego roku.

Kiedy Borewicz mijał zabudowania dawnego szpitala dziecięcego, deszcz przybrał na sile. Nieznośny grzechot kropel bijących w dach toyoty niemal zagłuszył dźwięk jego telefonu.

Gdzieś obok błysnął piorun, a chwilę później przez niebo przetoczył się głośny ryk.

Zero Siedem wyjął aparat z kieszeni i rzucił okiem na wyświetlacz.

– Kurwa – szepnął, po czym odebrał połączenie. – Halo?

– Czego się dowiedziałeś? – Szef nie bawił się w uprzejmości.

– Zlokalizowałem Grzegorza Lipskiego.

– Rozmawiałeś z nim?

– Jeszcze nie. Jutro go dorwę.

Wycieraczki tarły o szybę na najwyższym biegu, ale i tak kształty i kontury bloków się rozmywały.

Cisza w słuchawce nie zwiastowała nic dobrego.

– Więc jutro do ciebie zadzwonię – dodał Olgierd.

– Najlepiej będzie, jak się zaraz spotkamy.

– No jasne, ale powiedz przynajmniej, o co chodzi – Zero Siedem nie dawał za wygraną.

– Po prostu przyjeżdż – uciął szef.

Borewiczowi wydawało się, że burza zakłóciła połączenie, ale kiedy odstawił telefon od ucha, przekonał się, że po prostu zostało ono przerwane.

Sprawy musiały się mocno skomplikować.

Burza przetaczała się przez miasto i dudniła niczym lawina kamieni.

Deszcz zalewał ulice i chodniki. Z okna na piętrze, które wychodziło na drogę osiedlową, Herman bezradnie patrzyła na szalejący żywioł. Z niepokojem obserwowała też zaschnięte plamy na suficie. W dużym pokoju, na ścianie kominowej, pierwsze zacieki pojawiły się już wiosną. Herman rzadko korzystała z salonu, bo większość czasu spędzała w mieszkaniu służbowym w Bydgoszczy, jednak była przekonana, że kiedy przejęła dom po rodzicach, sufit był czysty. Obawiała się, że opady, zamiast spłynąć po papie do rynny, znajdą szczeliny w poszyciu, a wówczas z nieregularnych brunatnych kleksów na suficie zacznie kapać.

Miała w odwodzie dwie duże miski i wiadro, które poustawiała w pobliżu ściany z kominem. Czekala.

Niebo raz po raz przeszywały błyskawice.

Wracając tramwajem z Rubinkowa, zgodnie z obietnicą odezwała się do Joanny Mitras, ale obie uznały, że z powodu nawałnicy przełożą spotkanie na następny dzień. Aśka wydała się Marii jakaś tajemnicza, jakby miała wobec niej konkretne plany, a Maria niespecjalnie lubiła niespodzianki. Zaufanie do przyjaciółki, klona, jak nazywała Aśkę, pozwoliło jej przewyciężyć uczucie lekkiego dyskomfortu.

Herman zostawiła te rozważania na boku i zadzwoniła do Borewicza. Odebrał szybko i wyraziła, że partner nie jest w nastroju do rozmowy, ale mimo to wymienili się niezbędnymi informacjami na temat tego, czego oboje się dowiedzieli w ciągu dnia.

– I co teraz? – spytał Olgierd.

– Odezwe się do Walterowej i zapytam, dlaczego ukrywała informacje o romansie Solskiego z Chudzińską.

– Ciekawe, co powie.

– Mnie bardziej ciekawi to, jak potraktować ten romans. Co on nam daje? – zastanowiła się na głos.

– Wydawało mi się, że Chudziński na serio nie miał pojęcia, że żona przyprawiała mu rogi – dodał Olgierd. Jego głos rwał się nieco, burza utrudniała połączenie. Do uszu Herman czasami dolatywały pojedyncze sylaby. – Albo jest cholernie zdolnym aktorem.

– Gdyby o tym wiedział, od początku mielibyśmy go na celowniku. Miałby motyw – uznała Maria.

– Okej, motyw to jedno. Ale alibi nie przeskoczysz.

– Fakt. Chyba że nie działał sam.

– To już jest fantazja, nie sądzisz? Nie ma na to żadnych dowodów. Co by zyskał na jej śmierci?

– Nic. No, chyba że chciał być wolny.

– Mógł wziąć rozwód.

– Masz rację, Zero Siedem. – Herman zeszała na dół, bo zaniepokoił ją dziwny głuchy stukot dochodzący z parteru. – A co z Solskim? – spytała.

– Musimy mu się dokładniej przyjrzeć.

Natarczywy dźwięk dochodził zza drzwi sypialni rodziców.

Nie wchodziła tam od miesięcy.

Położyła dłoń na klamce i nacisnęła ją w chwili, gdy błyskawica rozświetliła gwałtownie wnętrze domu i rozległ się potężny grzmot. Herman niemal odskoczyła od drzwi. Sekundę później usłyszała głuchy łoskot. Pobiegła do kuchni i wyjrzała na zewnątrz. Po starym kasztanowcu pozostał złowrogo sterzczący kikut. Korona zwała się wzdłuż drogi. Herman musiała wybiec na dwór, żeby sprawdzić, czy nikt nie ucierpiał.

– Oddzwonię – rzuciła, po czym włożyła dżinsową katanę i nasunęła ją na głowę. Wiatr niemal wyrwał drzwi. Kiedy dotarła do złamanego drzewa i upewniła się, że nikt nie ucierpiał, wróciła do domu. Zimny deszcz chłostał ją bezlitośnie; miała wrażenie, że obrywa nie wodą, ale lodowatymi kulkami ciskanyymi z szaleńczą siłą.

Przemoczona do suchej nitki, zamknęła za sobą drzwi, odcinając się od odgłosów szalejącej burzy.

Poczłapała do łazienki, zdjęła mokre ubrania, owinęła się ręcznikiem i poszła na górę. Kiedy przebrała się w suche rzeczy i podsuszyła włosy, zadzwoniła do Olgierda.

– Już jestem. Drzewo się złamało od wiatru – odparła, dygocząc, i wtędy ponownie dotarł do niej dźwięk, który wcześniej ją zaniepokoił i ściągnął na dół.

– Wszystko okej?

– Tak, skończyło się na strachu – stwierdziła, schodząc po schodach. – O czym gadaliśmy?

– O Solskim – przypomniał.

Herman uchyliła drzwi do sypialni rodziców i włączyła światło. Skromnie umeblowany pokój, z zabudowaną szafą z jednej strony i łóżkiem z drugiej, zalała jasność. W rogu znajdowała się toaletka i Herman przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w dużym lustrze.

W nozdrza uderzyła ją wyraźna woń naftaliny.

Chrobot się powtórzył, wyrazistszy i głośniejszy. Maria zrozumiała, że na zewnątrz coś uparcie drapie o ścianę domu.

– Halo? – rzucił Borewicz.

– Jestem, jestem – odezwała się i podeszła do okna. Przyłożyła czoło do chłodnej szyby. Niśka wierzba, rosnąca przy ścianie, też była złamana; korona, która wcisnęła się między szpaler innych krzewów wzdłuż ściany, szarpał wiatr.

– Masz jakiś pomysł na tego Solskiego? – zapytał partner.

– Na razie nie. – Herman się cofnęła, a potem przysiadła na taborecie obrotowym stojącym przy toalecie. – Ale musimy wziąć go na warsztat.

– Tyle tylko, że chłop nie ma motywu. Jeśli dobrze zrozumiałem, rozwodził się z żoną, która miała twarde dowody zdrady. Jeśli Solski miałby kogokolwiek posłać do piachu, to prędzej ją niż Chudzińską. Co mu zawiniła kochanka?

– Nie wiem, ale jedno jest pewne. Kurtyna jeszcze nie opadła.

– Racja – przyznał. – Słabo cię słyhać, Maria, pogadamy jutro. Trzymaj się.

– Do jutra, Zero Siedem.

Kolejny błysk rozświetlił świat za oknem i Herman drgnęła.

Znowu miała zaledwie kilka lat, krótką spódniczkę i czerwoną koszulkę. Wróciła właśnie z ogrodu, w którym zastała ją gwałtowna burza. Kiedy piorun uderzył gdzieś w pobliżu i pojaśniało jej w oczach, rzuciła się pędem do domu. Ojca nie było, a matka czekała przy otwartych drzwiach i chyba nawoływała Marię, ale dziewczynka nic nie słyszała. Mała Marysia wpadła do domu i zalękniona chciała się przytulić do matki. Gdy tylko objęła ją za uda, kobieta się odsunęła i kazała córce iść się przebrać. Potem Maria, już w suchych ubraniach, ale wciąż drżąca ze strachu, chciała się wtulić w matkę, kiedy ta przy świeczce rozwiązywała krzyżówkę. Dziewczynka szczykała zębami przy każdym pomruku nawałnicy i trzęsła się, gdy ciemny dom rozjaśniały nagłe błyskawice.

– Boję się – wyszeptwała ze spuszczoną głową i rękoma zwisającymi wzdłuż ciała.

Ale matka nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

Maria zupełnie bezradna stała przed kobietą, która z nogą założoną na nogę wypełniała kolejne kratki krzyżówki. Ostro zaostrzony ołówek drapał szorstki papier.

Wtedy do pokoju wszedł ojciec i chwycił córkę w ramiona. Wyrwała się, bo chociaż go kochała, chciała chociaż raz być blisko mamy. Czuć ciepło jej ciała i dłoń, która gładziłaby ją po włosach.

– Nie rozpieszczaj jej – rzuciła sucho kobieta znad okularów, po czym wróciła do rozwiązywania krzyżówki.

Kolejny błysk przerwał wspomnienia Marii.

Odwróciła się na taborecie w stronę toaletki. Mleczne żarówki, które otaczały lustro, oświectyły jej twarz i Maria Herman przyjrzała się sobie, tak jak nie robiła tego od dawna.

Potem dotknęła kosmetyków.

Odnalazła kredkę do oczu i zdjęła skuwkę. Przeciagnęła delikatnie sztyftem po wierzchu dłoni, między palcem wskazującym a nasadą kciuka.

Czarny ślad był wyraźny.

Herman nachyliła się do lustra i przyjrzała się swoim zmęczonym oczom i opadającym powiekom.

Spojrzała na zaokrągloną końcówkę kredki, a potem na swoje palce, poźółkłe od tytoniu paznokcie i na szarą skórę dłoni.

Dlaczego od chwili, kiedy zaczęła wychodzić z nałogu, odmawiała sobie bycia zadbaną kobietą? Nie farbowała włosów, choć miała już w nich srebrne nitki, nie malowała paznokci, nie robiła makijażu. Ilekroć próbowała, miała wrażenie, że w lustrze pojawia się zupełnie inna osoba. Taka, jaką nigdy nie chciała być. Że wtedy gdy optycznie powiększa oczy, kładzie cień na powieki, przykrywa korektorem przebarwienia na skórze, staje się coraz bardziej podobna do niej. Do swojej matki.

Czy miała siłę bawić się w to ponownie?

Przyłożyła kredkę do górnej powieki i drżącą ręką pociągnęła kreskę wzdłuż linii rzęs.

Starła ją wilgotną chusteczką i spróbowała ponownie.

Początkowo Kinga nie chciała się kochać.

Mimo to Borewicz nie dał się zbyć tak łatwo, jak poprzedniego dnia, i zerwał z żony lekką koldrę. Przywarł do niej, zaczął całować jej rozgrzany brzuch. Wodził językiem po skórze pomiędzy pępkiem a linią majtek, coraz niżej i niżej. W końcu wsunął dłonie pod jej pośladki i chwycił za figi. Uniosła nogi, żeby ułatwić mu ściągnięcie bielizny, a kiedy to zrobił, rozchyliła uda.

Pieścił ją językiem i widział, jak zagryzła poduszkę, żeby stłumić jęk, nie chciała obudzić córki. Kilka minut później, gdy wszedł w nią powoli, zanurzał się raz głębiej, raz płycej i delikatnie przyspieszał, jej ciało przeszył w końcu gwałtowny skurcz.

Borewicz doszedł chwilę później, a potem został w niej i oboje dyszeli, wracając do rzeczywistości.

Kiedy Kinga włożyła górę od piżamy i położyła się na boku, Zero Siedem wyszedł z sypialni. Wziął prysznic, dał kilka smaczków Klusce, który zamerdłał ogonem i wywalił jęzor, po czym zostawił psa w korytarzu i wrócił do łóżka z nadzieją, że dzięki rozładowaniu napięcia szybko zaśnie.

Mimo to nie mógł zmrużyć oka.

Myślał o tym, co zdarzyło się przed paroma godzinami, o wizycie u szefa w willi w Rogówku.

Adam Szczerbski czekał na niego w volvo xc90, zaparkowanym przy okazałym rondzie znajdującym się przed wejściem do dworku. Miał na sobie płócienną koszulę, wsuwaną przez głowę, i czarne dżinsy. Gestem zaprosił go do wozu.

Borewicz usiadł na fotelu pasażera i zamknął drzwi, które przyłgnęły głucho do uszczelki.

Szef w milczeniu wpatrywał się w duży budynek z pogaszonymi oknami. Po burzy zostały spore kałuże na drodze dojazdowej, mokra trawa, błyszcząca w świetle reflektorów ledowych auta, i oblepiająca, nieznośna wilgoć w nagrzanym powietrzu.

– Czekamy na kogoś? – zagadnął Olgierd, ocierając czoło.

Szczerbski podał mu klucze, które Zero Siedem natychmiast rozpoznał.

– Zrób porządek, zabierz rzeczy i sprzęt – westchnął siwy mężczyzna. – Zwijamy się.

Borewicz odebrał brelok i przez jakiś czas ważył go w dłoni.

– Okej, spierdoliłem sprawę, ale...

– Tak, spierdoliłeś najprostszą sprawę i takie są tego efekty! – zagrział Szczerbski, po czym zamilkł, odczekał chwilę, by odтаяć ze złości, i odwrócił głowę w stronę bocznej szyby. – Po Grudziądzu dałem ci szansę, żebyś naprawił swoje błędy, ale chyba poniosła mnie fantazja.

– Adam, posłuchaj... – zaczął Olgierd.

– Nie, to ty posłuchaj! – Szczerbski uderzył dłonią w łuk kierownicy. – Jeśli klub upadnie, nie wypłacisz mi się, kurwa, do końca życia, rozumiesz? Okradniesz swoich bogatych teściów, chuj mnie obchodzi, skąd weźmiesz kasę, ale mi ją oddasz. Co do złotówki, kurwa!

– Rozumiem – odparł Borewicz tylko po to, by uspokoić impulsywnego szefa. Odczekał kilka chwil, wsłuchując się w delikatny szum nawiewu, po czym zapytał: – Co się stało?

Szczerbski przyjrzał się swoim dłoniom i wypielęgowanym paznokciom.

– Trzy pary chcą się wycofać. Uznali, że to za duże ryzyko. A jeśli oni to zrobią, za nimi pójda kolejni członkowie i wtedy nie da się już tego zatrzymać.

– Oddałeś im pieniądze?

– Jeszcze nie, ale odebrałem kilka nieprzyjemnych telefonów.

– Rozpoznali ją w mediach?

– Tak. I pomyśleli, że zrobiłem ich w chuja. Że dopuściłem do klubu ludzi, którzy nigdy nie powinni się do niego dostać.

To się nie powinno zdarzyć, pomyślał Zero Siedem, i ponownie przeprosił.

– Na chuj mi twoje przeprosiny. Chodzi tylko o konsekwencje – wyjaśnił szef. – Poza tym ten polityk... – Pstryknął dwukrotnie palcami, jakby zapomniał nazwiska.

– Cichocki – odpowiedział Olgierd.

– Właśnie, Cichocki. On też uważa, że czas się rozstać.

Borewicz wiedział doskonale, że Szczerbski nie będzie chciał oddać kaucji tylu osobom, bo to by oznaczało, że jednorazowo pozbędzie się dużej sumy pieniędzy, a co gorsza, pozostali później również wycofają swój wkład. Olgierd sądził, że kasy z kaucji już dawno nie ma, i dlatego ta wpadka tak ciążyła Szczerbskiemu.

– Załatwię to – obiecał. – Ile dasz mi czasu?

– A co zamierzasz zrobić?

– Odnajdę fałszywych Lipskich i dowiem się, co kombinowali.

Szczerbski pokiwał głową na znak, że się zastanawia.

– Jaka jest szansa, że dziewczyna znajdzie się żywa? – spytał, przymykając oko.

– Spora – odpowiedział Borewicz, ale nie był pewien, czy sam jest o tym przekonany.

– To masz dobrą. Na tyle ich powstrzymam, a potem módl się, do kogo chcesz, o pieniądze, bo ja nie będę płacił za twoje błędy.

Olgierd oddał Szczerbskiemu klucze.

– Nie panikujmy – rzucił. – Chata nie ucieknie, najwyżej jutro ją sprzątnę, ale nie sądzę, by to było potrzebne.

– Oby. Ale jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Sławomir Jaroń, gliniarz z Grudziądza. Węszy wokół zaginięcia Glacowskiego. Chce ze mną jutro pogadać.

– I co? Zamierzasz tam pojechać?

– Nie, on przyjedzie do Torunia.

Borewicz zrozumiał, że być może Jaroń uzyskał zgodę na działania na obcym terenie. Sprawy były więc zaawansowane. Na szyi Olgierda powoli zaczynała się zaciskać pętla.

– Co mu powiesz? – zapytał.

– Postaram się odwołać spotkanie i przenieść je na inny dzień, więc módl się, żebyś miał dla mnie dobre wieści.

Kiedy Szczerbski odjechał, Borewicz został sam na działce i długo wsłuchiwał się w głośny, tężący w uszach, niezwykle intensywny koncert świerszczy.

Przypomniał sobie tę rozmowę, gdy zasypiał, lecz nagle, zawieszony między rzeczywistością a jawą, poczuł, że gwałtownie spada. Leciwał wprost na bruk.

Gdy uderzył z impetem o ziemię, drgnął i otworzył oczy.

Zerknął na Kingę, która spała na boku, tyłem do niego, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Znów przyłożył głowę do poduszki, ale niemal całkowicie rozbudzony, długo nie mógł zasnąć.

Nie wiedział już, czy mu się to śni, czy ponownie wróciły do niego wspomnienia z wyjazdu na nadmorskie kolonie.

Serce zabiło mu mocniej i czuł, jak krople potu roszą czoło.

Przeżywał na nowo ten sam koszmar co wtedy.

Jakby właśnie się to działo.

Jakby teraz, kiedy spał obok żony, nieznajomy mężczyzna wsunął się pod kołdrę, a następnie wziął jego drobną chłopcę dłoń i położył ją na swoim nabrzmałym kroczu.

Arek Groch zaparkował pod domem Herman krótko przed południem. Nie pytała go, czy powiedział żonie, do kogo się wybiera, wołała nie drażnić ryzykownego tematu i nie wkurzać byłego kochanka. Uznała, że lepiej po prostu cieszyć się z tego, że bez mrugnienia okiem zaoferował jej pomoc.

Potężny gliniarz wyciągnął z bagażnika pilarkę i osprzęt, po czym uruchomił maszynę i tuż za oknem rozległ się głośny wizg łańcucha tnącego drewno.

Herman zrobiła kawę i drugie śniadanie, ale napar zdążył wystygnąć, zanim Groch wypełnił sobą drzwi kuchni. Miał brudne ręce, trociny wczepiły się w jego ubranie i włosy.

– Wierzba załatwiona – oznajmił, oparłszy się o framugę.

– Zniszczyła tynk? – Maria zaciągnęła się chesterfieldem.

– Eee, najwyżej lekko porysowała. Ale bez przesady. To stara dobra robota, wytrzyma jeszcze lata.

Herman z ulgą pokiwała głową.

– O, kawa jest – ucieszył się Groch i chwycił kubek, który niemal zniknął w jego wielkiej dłoni. Wypił kilka łyków. – A co z dachem?

Maria wzruszyła bezradnie ramionami.

– Ojciec miał w garażu rolkę papy.

– Widziałem, nie nadaje się. Jest jak wilgotny stary karton – zawyrokował. – A te kanapki dla mnie?

Herman skinęła głową.

Usiadł na taborecie i zaczął jeść.

– Zanim podjadę do brico, muszę wejść na dach i zobaczyć, co tam się zesrało – odezwał się z pełnymi ustami. – Ale pewne jest jedno: że trzeba to naprawić.

– Długo ci zejdzie?

– A co?

– Muszę jechać. Sprawę mam.

– No to jedź. Przecież Groch sobie poradzi.

Maria położyła pęk kluczy na blacie i obiecała przywieźć obiad.

Wyszła z domu odprowadzana wzrokiem sąsiadów, którzy zebrali się wokół strażaków usuwających z drogi powalony kasztanowiec. Czuła na sobie ich spojrzenia i wiedziała, co o niej myślą, co sądzą o córce, która doprowadziła rodziców do śmierci, a teraz przejęła po nich w spadku dom.

Kiedy Herman intensywnie zatracala się w świecie zakładów sportowych, nienawidziła sąsiadów za spojrzenia pełne pogardy. W myślach układała scenariusz, jak to przyjedzie do rodziców najnowszym mercedesem, jak da im pieniądze na remont chałupy, na odnowienie tynku i malowanie, na wymianę drzwi i okien, a oni wszyscy, każdy sąsiad i sąsiadka z tej ulicy, będą ją podziwiali za ten szczodry gest, za wspaniałomyślność. Będą chwalili za opiekę nad rodzicami i z uznaniem pokiwają głowami nad jej dobrym sercem, bo tak postępuje tylko prawdziwie kochająca córka, która jest oparciem na starość, wzorem dla innych. I będą o niej mówić po mszy, gdy już zasiądą do gorącego rosołu, będą mówić same pochlebne rzeczy o dobrej Marii Herman, zaradnej kobiecie, która z sukcesem pomnaża majątek i dzieli się nim z bliskimi. Bo grała niby po to, żeby nieść rodzinie pomoc.

A przecież nie każdego stać na to, by tak postąpić.

Z tym się trzeba urodzić.

Rano Maria Herman umówiła się na spotkanie z ojcem Moniki Chudzińskiej u niego w firmie. Zbliżał się moment uruchomienia linii produkcyjnej drewnianych obiektów modułowych i praca nad tym pochłaniała jego energię i wolny czas, o czym nie omieszczał jej przypomnieć, ale potem skapitulował i obiecał, że będzie czekał w gabinecie.

Kiedy Herman przyjechała do fabryki MOD21 taksówką spod Komety przy Grudziądzkiej, dokąd dotarła komunikacją miejską, żeby było taniej, okazało się, że Marcin Sikorski wciąż jest w hali produkcyjnej.

– Pani Herman? – usłyszała swoje nazwisko, wypowiedziane z silnym niemieckim akcentem. Odwróciła się i ujrzała siwego faceta z głębokimi zakolami. Miał rumianą prostokątną twarz i oczy pełne serdeczności.

– A kto pyta? – zmarszczyła czoło.

– Marcin mówił, że pani przyjdzie. Prosił, żebym się panią zajął. – Mężczyzna podszedł do Herman i wyciągnął dłoń. – Theodor Kaczmarczyk, jestem prezesem firmy. – Skłonił się szarmancko.

Miał na sobie elegancki prążkowany garnitur szyty na miarę i białą koszulę ze sztywnymi mankietami, rozpiętą pod szyją. Pachniał dobrą wodą kolońską.

– Kawy, herbaty? – zaproponował.

– Wody.

– Bardzo proszę – zgodził się uprzejmie. – Toruń czy Düsseldorf?

Nie zrozumiała, ale zaprosił ją gestem, więc poszła za nim korytarzem. Otworzył przeszklone drzwi do sali, w której na przeciwległej ścianie rozciągała się panorama niemieckiego miasta nad Renem ze smukłą wieżą telekomunikacyjną. W pomieszczeniu znajdowały się duży stół na kilka osób i ogromny ekran telewizyjny po lewej.

– Proszę usiąść. Marcin zaraz przyjdzie – oznajmił i nalał jej wody do szklanki z karafki, która stała na komodzie. – Jest moją prawą ręką.

Maria upiła łyk i się rozejrzała.

Kaczmarczyk usiadł naprzeciwko niej.

– Na pewno pani wie, co tu robimy – rzekł.

Nie miała pojęcia, więc tylko wzruszyła ramionami. Zresztą niespecjalnie ją to interesowało. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Tworzymy nowy wzorzec budownictwa – w głosie mężczyzny pobrzmiwała duma. – To tradycyjne, betonowe, generuje dodatni ślad węglowy, jeden z wyższych w ogóle. Ale chcemy z tym skończyć. Stawiamy na ekologię. Dlatego produkujemy moduły drewniane, z których można łatwo i szybko wybudować szpital, hotel, biuro albo jakikolwiek inny obiekt użyteczności publicznej. Wyposażamy je oczywiście według życzenia klienta.

– Świetnie – odpowiedziała, zupełnie niezainteresowana tematem. – O której przyjdzie pan Sikorski?

Kaczmarczyk przyglądał jej się przez chwilę.

– *Ein Moment.* – Ściągnął okulary i przygryzł zausznik. – Pani nie przyszła w sprawie pracy?

Herman ledwo powstrzymała się przed parsknięciem, ale zaraz zdała sobie sprawę, że w takiej firmie szeregowy pracownik zarabia więcej od niej. Już sam standard biura o tym świadczył.

– Jestem policjantką – odparła, a Kaczmarczyk roześmiał się serdecznie.

– *Es tut mir leid!* – Złapał się za głowę. – Recepcjonistkę będziemy wybierać w poniedziałek. Niech mi pani wybaczy.

Maria Herman się uśmiechnęła, a mężczyzna wykorzystał czas do przyjścia Marcina Sikorskiego na opowieść o wyższości budownictwa modułowego nad tradycyjnym.

– Przepraszam, ale naprawdę bardzo się spieszę.

– Rozumiem. – Spowaźniał. – Domyślam się, że chodzi o sprawę zaginięcia jego córki.

Herman potwierdziła skinieniem.

– Zaproponowałem Marcinowi, że zapłacimy dużo pieniędzy temu, kto rzuci nowe światło na tę sprawę. Ale Marcin nie chce skorzystać z tej możliwości. Może pani go namówi?

Herman doskonale wiedziała, że takie ogłoszenia powodują sporo szumu medialnego, bo na łatwe pieniądze rzuca się wielu. A wtedy każdy z przekazanych sygnałów, nawet najgłupszy, należy sprawdzić. To zajmuje mnóstwo czasu i energii. Ani Herman, ani Borewicz nie zamierzali go marnować, więc w gruncie rzeczy Maria była wdzięczna Sikorskiemu, że nie przyjął propozycji szefa.

– Myślę, że pan Sikorski wie, co robi. Uszanujmy to – rzekła.

– *Ja, natürlich.* Na pewno ma pani rację. – Pokiwał głową, a po chwili ciszy wrócił do ulubionego tematu: – Ale te moduły to naprawdę przyszłość.

– A wybudowaliście już coś? – spytała z nadzieją, że Sikorski wkrótce uratuje ją od wykładu na temat nowoczesnych rozwiązań w branży budowlanej.

– W Polsce jeszcze nie. Na razie z niewielką ekipą robimy przymiarki. Zbudowaliśmy więc jedną kostkę. Taki domek narzędziowy, który Marcin dostał od nas w prezencie. Ale wkrótce stanie tu budynek pokazowy. – Kiwnął ręką w kierunku drzwi i zastanowił się nad czymś, marszcząc czoło. – A wie pani, że nasze budowanie jest jak pani praca w policji? Pani też musi ułożyć całość z niewielkich kawałków.

– Trochę tak, a trochę nie – odparła. – Bo wy przynajmniej macie klocki do tej zabawy, a ja muszę je sobie znaleźć.

Marcin Sikorski wpadł zaafierowany do sali konferencyjnej. Przeprosił Herman, że musiała tak długo czekać, ale Kaczmarczyk uspokoił go, że komisarz trafiła w dobre ręce. Prezes pożegnał się, a oni poszli do biura dyrektora działu HR. Po drodze żadne z nich się nie odzywało. Sikorski posapywał ze zmęczenia.

W biurze usiedli na tych samych miejscach co ostatnio. Mężczyzna zdjął granatową marynarkę i powiesił ją na oparciu obrotowego fotela. Podwinął rękawy koszuli, odsłaniając owłosione przedramiona.

– Proszę, w czym mogę pomóc? – zapytał.

– Już o to pytałam, ale tym razem niech się pan dobrze zastanowi nad odpowiedzią. Mówi coś panu nazwisko Jan Solski? – policjantka nie spuszczała wzroku z mężczyzny.

Odniosła wrażenie, że Sikorski zastanawia się nad wyborem odpowiedzi.

W końcu skinął głową.

– Poznał go pan osobiście?

– Tak. Pojechałem kiedyś do niego.

– Kiedy?

– Jakiś czas po zaginięciu Moni.

– Dlaczego? – drażyła Herman, a Sikorski najpierw wzruszył ramionami, a po chwili potarł brodę.

– Sądzę, że dobrze pani wie dlaczego.

- Niech pan powie. Może się mylę - zachęciła.
- Nie. Nie myli się pani - odparł twardo. - Chciałem wiedzieć, czy miał z tym coś wspólnego, ale kategorycznie zaprzeczył.

- Od kiedy wiedział pan o romansie córki?

- Romansie? - żachnął się. - Bez przesady!

- Od kiedy? - Herman powtórzyła pytanie i cisza wypełniła gabinet.

- To było już po śmierci Zuzki. Wtedy gdy Monia u mnie mieszkała.

Herman czuła, że mężczyzna, siedzący naprzeciwko niej ze zwieszoną głową, jest pełen żalu.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym policji?

- Bo Monia się zarzekła, że to było bez znaczenia. I bez dalszego ciągu.

- Solski bywał u Moniki pod nieobecność jej męża kilkukrotnie, prawda?

Sikorski zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, proszę pani! Jeszcze raz podkreślam: Monia mówiła o jednorazowym spotkaniu!

Herman nie wiedziała, czy może mu wierzyć.

- Nawet jeśli jest tak, jak pan mówi, to jednak stawia Solskiego w gronie podejrzanych związanych z jej zaginięciem. Dlaczego zataił pan tak ważną informację przed policją? - Herman zauważyła, że Sikorski wbił wzrok w zdjęcie córki i wnuczki.

- Kilka razy byłem na komendzie i prosiłem, by zwrócono uwagę na tego faceta, bo jego zachowanie po zaginięciu Moni, to, jak włączył się w jej poszukiwania, wydawało mi się... No, nie wiem. Może nawet niestosowne.

- Ale nie powiedział pan funkcjonariuszom wprost, o co chodzi.

- A niby co miałem powiedzieć? - ześlóścił się. - I co by to, do cholery, dało? Po pierwsze, Solski miał alibi na dzień zaginięcia mojej córki. Po drugie, skoro się w niej zakochał, nie miał motywu, żeby zrobić jej krzywdę. I wreszcie po trzecie...

- Skąd pan to wie? - przerwała mu. - Jeśli pana córka go zostawiła, Solski mógł poczuć się urażony.

Sikorski poczerwieniał.

- Niech pani przestanie! - Uderzył otwartą pięścią w blat, aż Herman drgnęła. - Dobrze pani wie, że to się nie trzyma kupy. Zerwała z nim w czerwcu, jeszcze przed tragedią. A później była wrakiem człowieka. Zapewniam panią, że nie miała głowy do romansów. Brała leki, miała myśli samobójcze, stale wracała do tamtego tragicznego dnia. Ciągle jej się śniło, że biegnie do samochodu, żeby ratować Zuzkę, ale jakaś dziwna siła ją powstrzymuje, krępuje ruchy, i gdy w końcu dociera do auta, jest już za późno. Dzień po dniu katowały ją te same obrazy. Ten sam scenariusz, który zawsze kończył się tak samo.

Herman poczuła dreszcz, który przebiegł jej po kręgosłupie.

Przypomniała sobie, jak wielokrotnie odtwarzała w głowie chwilę śmierci ojca. Moment, w którym przekraczał próg pokoju tuż po tym, jak odprowadził komornika do wyjścia, a następnie upadł, powalony rozległym zawalem.

- Naprawdę sądzi pani, że w takiej chwili kobieta może myśleć o romansie? Serio? - Sikorski nieco ostudził emocje.

- A trzeci powód? - spytała Maria.

- Słucham?

- Jaki był trzeci powód, dla którego nie poinformował pan policji o romansie córki z sasiadem? Chodziło o męża Moniki? - docisnęła.

Sikorski wziął do ręki ramkę ze zdjęciem i popatrzył na zmarłą wnuczkę i zaginioną córkę.

- Tak, chodziło o Karola. - Starł kciukiem kurz z szybki. - Było mi go żal. Stracił córkę, a wraz z nią żonę, której już nie odzyskał. A obie bardzo kochał. Co by mu ta wiedza dała? - Sikorski zawiesił to pytanie w próżni.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Nie umiałem mu o tym powiedzieć - wyznał. - Gdyby Karol wiedział, że żona go zdradziła, być może nigdy by jej tego nie wybaczył, a wtedy ona straciłaby resztki nadziei, że warto dalej żyć. Poza tym byłem przekonany, że Monia szybko się znajdzie, że do nas wróci.

- Ale mógł mu pan o tym powiedzieć później, prawda? Wtedy gdy uznał pan córkę za zmarłą.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- A co by to dało?

- Każdy z nas chce znać prawdę - wyjaśniła.

Sikorski ponownie popatrzył na córkę i wnuczkę, które uśmiechały się ze zdjęcia.

- Prawdę? Jaką prawdę? - znów się rozżłościł. - Czy krótki romans może być prawdziwszy od wieloletniego uczucia? Od wspólnego życia i wychowywania ukochanego dziecka?

Zastanowiła się nad jego słowami i poszła tym tropem dalej. Gdyby Karol Chudziński wiedział o romansie żony, zapewne poinformowałby o nim policję.

To wydawało jej się oczywiste.

W ten sposób odsunąłby od siebie ewentualne podejrzenia.

Borewicz zostawił toyotę na parkingu przy netto i aldi na rogu Reja i Broniewskiego, kupił sobie drożdżówkę z budyniem, po czym przeszedł po gorącym chodniku do kamienicy, w której mieszkała Eugenia Lipska.

Cień w bramie dawał wytchnienie.

Mercedes stał na czterech kołach i po wymianie klocków nie było śladu, a chłopak, który poprzedniego dnia dokonywał naprawy, dziś nakładał wosk na karoserię i rozprowadzał go z uwagą po masce. Lakier zyskiwał połysk i odbijał obraz budynku oraz właściciela samochodu.

Borewicz tylko zerknął w tamtą stronę i od razu skierował się do drzwi mieszkania Eugenii Lipskiej. Kiedy zapukał, młodzieniec pucujący samochód podniósł głowę i powitał go uśmiechem.

– Dobra robota! – Policjant uniósł kciuk do góry.

– Staram się – odparł chłopak, pieszcząc karoserię ściereczką z mikrofibry.

Starsza kobieta otworzyła po dłuższej chwili, a wpuściła do środka dopiero, gdy okazał legitymację i policyjną blachę.

– Coś się stało Grzesiowi? – Złęknona przyłożyła rękę do ust.

– A kim jest Grzegorz? – zapytał Olgierd, udając, że nie wie, o kim mowa.

– No, jak to? Moim synem.

– Coś mu grozi? Skarżył się na coś? – Borewicz nie wychodził z roli.

– Grozi? Nie. Myślałam, że coś mu się stało, skoro pan przyszedł. Kiedy na filmach policja puka do drzwi, zazwyczaj ma złe nowiny. – Wciąż wyglądała na zmartwioną. – Miał do mnie przyjść rano, a nie przychodzi i nie odbiera telefonu.

Znajdowali się w wąskim, ciemnym korytarzu bez okien, wyłożonym starą boazerią. Za plecami Borewicz miał dwoje drzwi, a za Lipską dostrzegł wejście do kuchni i kopczyk obierek po ziemniakach ułożony na gazecie.

– Jeśli pani pozwoli, to chętnie pomogę i spróbuję się z nim połączyć.

– Dobrze, niech pan wejdzie. – Poprowadziła go do pokoju, w którym grało radio. Meblóścianka dotykała sufitu wyłożonego kasetonami, a z suszarki zwieszały się wyprane ręczniki. Na jednym z foteli spał zwinięty w kłębek czarny kot. Kobieta zestawiała go na podłogę, co nie bardzo mu się spodobało. Przeciągnął się i z podniesionym ogonem minął Olgierda wolnym krokiem. Kobieta usiadła ciężko. Sięgnęła po telefon, który leżał na ladzie, i podała go policjantowi.

– Pan sprawdzi i zadzwoni.

Odszukał ostatnie połączenia i ponownie wybrał połączenie opisane jako „Grzesio”.

– Rzeczywiście, nie odbiera – powiedział po kilku wolnych sygnałach.

– Dlatego się martwię. – Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. – Powinien już dawno być.

– Może coś mu wypadło? Tak to już bywa – próbował ją uspokoić. Odłożył telefon na ławę i zajął miejsce na twardym pufie. – Postaram się czegoś dowiedzieć, ale najpierw chciałem z panią porozmawiać o Dorocie Lewandowskiej.

– A, o Dorotce, no tak. Mogłam się domyślić.

– Dobrze ją pani знаła?

Złączyła dłonie na podolku.

– Ot, po prostu mieszkaliśmy razem jakiś czas. Była grzeczna i miła. Nie mogę o niej złego słowa powiedzieć. Parę razy kupiła mi czekoladę. Ale była skryta. Nie przychodziła porozmawiać. Żyła swoim życiem. Czasami dała się zaprosić na obiad. Ale zawsze potem pozmywała.

– A pani syn dobrze ją znał?

– Wie pan, młodzi zawsze znajdują wspólny język. Im jest trochę łatwiej. Napije się pan czegoś?

Olgięder spojrzął dyskretnie na komórkę kobiety. Wciąż miał ją w zasięgu ręki.

Obok leżał album fotograficzny z podniszczonymi zielonymi okładkami i zagiętymi rogami, na którym ktoś eleganckim pismem napisał *Mewa '82*.

– Jakby mi pani kawy zrobiła, to byłbym wniebowzięty. A ja w tym czasie zadzwonię raz jeszcze do syna. Co pani na to?

Machnęła ręką.

– No, niech pan próbuje. – Dźwignęła się z fotela i podreptała do kuchni.

Gdy tylko minęła próg, przejrzał jej połączenia i okazało się, że syn dzwonił do matki kilka razy. Ostatnie połączenie odebrała rano.

Starsza pani umiała pięknie kłamać.

Zaczekał, aż Eugenia Lipska wróci z kawą w kubku.

– Policja już tu u mnie była w związku z zaginięciem Dorotki.

– Tak, wiem, ale przysłali mnie, żebym się jeszcze rozejrzył po jej pokoju. Czy robiła już tam pani porządek?

– Nie. Zapłaciła mi z góry za dwa miesiące, więc w każdej chwili może wrócić, prawda?

– Słusznie. Niech kawa trochę przestygnie, a ja w tym czasie się tam rozejrzę.

– Niczego pan tam nie znajdzie. Dorotka nie miała dużo rzeczy i wszystkie zabrała.

– Tak słyszałem. Koledzy mówili. Ale mimo wszystko zerknę – powiedział stanowczo i wyszedł do przedpokoju.

– To te drzwi po prawej – usłyszał podpowiedź Eugenii Lipskiej.

W zamku był klucz, ale gdy Borewicz nacisnął klamkę, okazało się, że nie musi go przekreślać.

Okna pokoju wychodziły na skapaną w słońcu ruchliwą ulicę. Nieznośny hałas wypychał się do wnętrza przez uchylony lufcik.

Żółte ściany rozświetlały kwadratową przestrzeń. Pomieszczenie znacząco różniło się wyposażeniem od pozostałej części mieszkania. W jednym rogu stała rozkładana kanapa, w drugim modna meblościanka z miejscem na telewizor. Pośrodku na dywanie z grubej nitki stał okrągły stolik, a przy nim spory fotel. Jedno ze skrzydeł dużej szafy stojącej w pobliżu okna było uchylone.

Borewicz podszedł i zajrzał do pustego wnętrza. Wysunął dwie szuflady znajdujące się na dole. Nie znalazł w nich nic oprócz kurzu.

Na regale z telewizorem dostrzegł kilka płyt DVD i parę książek, jakby losowo wybranych z księgarni, by reprezentowały wszystkie modne gatunki. Były wśród nich kryminał, powieść z okładką przedstawiającą nagi męski tors, jakiś romans i dwa reportaże.

Olgięder rzucił okiem na kilka bibelotów, głównie porcelanowych aniołków, parę kubków z przyborami do pisania i niedziałający zegarek.

Wziął go do ręki, w chwili gdy ktoś przeszedł pod oknem.

Zerknął w tamtą stronę.

Kobieta pchała wózek z niemowlakiem i mówiła do niego zatroskanym głosem, ale jej słowa zagłuszył huk pojazdów, bo właśnie zapaliło się zielone światło.

Po przeciwnej stronie jezdni kurier wysiadł z dostawczaka i wszedł do hurtowni papierniczej. Na przystanku obok Zero Siedem dostrzegł dwie kobiety i starszego mężczyznę wachlującego się gazetą.

Borewicz ponownie spojrzął na zegarek i odwrócił go. Miejsce, w którym powinna się znajdować bateria, było puste.

Pokój wyglądał na dokładnie wysprzątny.

Uznał, że zaginięcie Doroty Lewandowskiej nie wygląda na gwałtowne i niepokojące. Miała czas, żeby się dokładnie spakować i niepostrzeżenie wyjść z domu. Nawet jeśli zrobiła to pod wpływem impulsu po tym, jak w pobliskim parku szarpała się z tajemniczym mężczyzną.

Borewicz zrobił kilka zdjęć komórką i wrócił do salonu.

Eugenia Lipska siedziała w tej samej pozycji, tak jak ją zostawił, ze złączonymi dłońmi opartymi na masywnych udach.

– I co pan sądzi? – spytała, kiedy umoczył usta w kawie. Fusy pływały na powierzchni, a on nie miał łyżeczki, żeby zamieszać napar. Cukru też nie było, ale uznał, że i tak już musi uciekać.

– Miała pani rację. Wygląda na to, że zabrała wszystkie swoje rzeczy. Oprócz płyt i książek.

– A, to Grzesia są. Przywiózł je, kiedy meblował ten pokój. Uznał, że jeśli mam zamiar wynająć go studentom, to trzeba trochę zainwestować. Pomalował ściany i kupił wyposażenie. Dobry chłopak z tego mojego synka.

– A czym się zajmuje?

– Mówił mi, ale nie pamiętam. Coś jak dziennikarz, tylko tak bardziej nowocześnie, chyba w tym internecie pracuje czy jakoś tak.

– A, czyli pewnie jest youtuberem albo ma swój portal.

– Chyba tak, pan młodszy, to się lepiej rozeznaje.

Borewicz wskazał na aparat telefoniczny.

– I co? Nie oddzwonił? – zainteresował się.

– Nie. Naprawdę zaczynam się martwić.

– To niech mi pani powie, gdzie on mieszka. Pojadę do niego, a potem do pani zadzwonię.

Kobieta złączyła dłonie jak do modlitwy.

– Z nieba mi pan spada, bardzo dziękuję – ucieszyła się i podała mu adres, a potem przedyskutowała swój numer telefonu i na wszelki wypadek, jak to określiła, numer do syna.

Odprowadziła Borewicza do drzwi i powiedziała, że będzie czekała na wiadomość.

Zero Siedem wyszedł z mieszkania.

Przeciąg w bramie sprawił, że owionęło go przyjemne chłodne powietrze. Aż nie chciało mu się ruszać w stronę hałaśliwej ulicy z parującym asfaltem.

Pomyślał o nagrzanym wnętrzu toyoty i zrobiło mu się słabo. Tym bardziej że przygotowując się do sprawy zaginięcia Moniki Chudzińskiej, naczytał się o tym, co dzieje się z organizmem człowieka, który zostaje zamknięty w samochodzie wystawionym latem na słońce.

Wzdrygnął się na samą myśl o gwałtownym, obfitym wypacaniu, odwodnieniu, mimowolnych i bolesnych skurczach mięśni, a także o panice, która narasta wraz z temperaturą ciała i trudnościami w nabraniu powietrza. Pamiętał, że serce bije coraz szybciej, rozpędza się i przyspiesza skurcze, aż w końcu nagle się zatrzymuje. Jak pędzący drogą samochód, który wpada na drzewo.

Borewicz odepchnął te myśli, gdy tylko przypomniał sobie zdjęcia z oględzin zwłok Zuzanny Chudzińskiej. Kiedy dziewczynka zmarła na skutek hipertermii, była w wieku jęgo Amelki.

Przegonił obrazy z głowy i uznał, że wyskoczy do netto po jeszcze jednego schłodzonego energizera. Mała nagroda za trudy codzienności, pomyślał.

Ruszył w kierunku wyjścia z bramy, gdy nagle zza rogu wprost na niego wyszedł młody mężczyzna.

Borewicza zatkało.

Gdy ich spojrzenia się przecięły, chłopak się odwrócił i zerwał do biegu.

Zero Siedem wypadł na chodnik i skręcił w lewo. Lipski był już daleko przed nim. Biegł tak szybko, że Olgierd ze swoją nadwagą nie miał najmniejszych szans go dopaść.

Chłopak skręcił w lewo w ulicę Reja i zniknął za narożnikiem budynku.

Policjant, kiedy dobiegł tam zasapany, zobaczył jedynie oddalające się plecy Lipskiego.

Oparł dłonie na kolanach i dyszał ciężko. Pot spływał mu po twarzy.

– Kurwa mać – szepnął i splunął gęstą śliną pod nogi.

Musiał znaleźć inny sposób na tego faceta. A czasu miał coraz mniej.

Sięgnął po aparat i wysłał do niego esemesa.

Musimy pogadać. Daj znać, kiedy i gdzie. Nic ci nie grozi.

Kiedy późnym popołudniem Maria Herman wróciła do domu, zorientowała się, że całkowicie zapomniała o Grochu. Dostrzegła go z daleka na dachu z komórką przy uchu. Opierał się o komin.

Zauważył ją dopiero, gdy była blisko działki. Zrobił kilka kroków w jej stronę, udając, że się potyka, i rozciągnął usta w uśmiechu, zadowolony ze swojego żartu.

– Już prawie skończone – usłyszała, jak mówi do słuchawki. – No jak, dlaczego tak późno? Przecież nie dało się wytrzymać z gorąca. O mało się tu z Damianem nie usmażyliśmy.

Herman pchnęła furtkę.

– No jak naprawimy, to będę, ale wiesz, Damian tu jeszcze na browarka zaprasza, więc dam znać, kiedy wrócę. No, ja ciebie też. Tak. Pa. Co? Nie, nie musisz po mnie przyjeżdżać. Wrócę autobusem, luz. Mówię, że wrócę. Nie przejmuj się. Pa!

Herman weszła do domu z siatką z zakupami. Włączyła piekarnik i wyjęła pizzę, którą na szczęście miała w lodówce. Włożyła do niej za to kilka plasterów szynki, jogurty i zestaw serków topionych.

Zanim podgrzała danie, usłyszała krótkotrwały rumor na dachu. Jakiś czas potem Groch szarpnął klamkę drzwi wejściowych i wypełnił sobą korytarz.

– No, robota skończona – odetchnął i zdjął buty.

– Jesteś wielki. – Herman uśmiechnęła się do niego smutno, gdy wszedł do kuchni i skierował się do zlewu, żeby umyć ręce.

– Mam tak od urodzenia – odparł. – Co ci jest? Coś taka zgaszona? – Wytarł dłonie w niewielki ręcznik.

Herman kucnęła przy piekarniku i zajrzała do niego przez szybkę. Ciasto wyglądało na zarumienione, żółty ser falował pod wpływem gorąca.

– Okłamałaś żonę. Nie powiedziałaś jej, gdzie jesteś – stwierdziła.

– No i? Przecież nie robimy nic złego.

– Nie o to chodzi. Skoro zaufała ci drugi raz, powinieneś zasłużyć na to zaufanie, Grochu.

– Gdyby to było takie proste, kto naprawiłby ci ten dach?

– Jezu, nie wiem, ale nie chcę mieć twojego małżeństwa na sumieniu.

– Już raz miałaś i tragedii nie było. Jakoś je ciągniemy. Lepiej lub gorzej. – Zaśmiał się, ale Herman to nie rozbawiło.

Wyjęła pizzę i przełożyła na talerz.

Pepperoni. Pamiętała, że taką najbardziej lubił. A chwilę później dotarło do niej, że być może wciąż nieświadomie kupowała ten rodzaj.

Obok talerza postawiła dwa piwa z lodówki.

Groch poszedł się przebrać, a kiedy wrócił, otworzył jedno o drugie, przetaił szyjkę i pociągnął spory łyk. Musiał być spragniony.

– No i co z tym dachem? – zainteresowała się, siadając naprzeciwko niego.

Chwycił kawałek pizzy i odgryzł spory kęs.

– Nic. Nie będzie już kapać – rzucił z pełnymi ustami.

Odetchnęła.

– Dzięki, Grochu.

Przegryzł pizzę, przełknął, po czym odchylił się na oparcie krzesła i przeciągnął językiem po zębach.

- Co? - zmartwiła się, widząc jego minę.

Cmoknął z niezadowoleniem i pokręcił głową.

- Załatałem kawałek, ale tak naprawdę cała papa jest do wymiany. Może jeszcze jedną zimę wytrzyma, ale trzeba ją zerwać i położyć nową.

Poczuła, jakby ktoś zawiesił jej balast na szyi.

Powinna się pospieszyć ze sprzedażą domu. Chociaż obawiała się, że ze względu na jego stan będzie musiała znacząco obniżyć kwotę, a to po prostu mogło być nieopłacalne.

Pokiwała głową i wyszła na taras zapalić.

Spędziła tam prawie kwadrans i zostały jej dwa machy kolejnego chesterfielda, kiedy Arek stanął w drzwiach tarasowych.

- No dobra, mała, na Grocha już czas.

Zaciągnęła się dwukrotnie, a potem poszła go odprowadzić.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczyc - Herman oparła się ramieniem o ścianę. - Może zapłacę za taksówkę.

- Ej! Ja tam życie ryzykowałem, na tym dachu. Chyba stać cię na więcej. - Mrugnął do niej i pozbiierał ciuchy robocze.

- Mnie stać, ale przypominam, że masz żonę. - Rozbawiona pogroziła mu palcem.

Groch podszedł do niej i nachylił się nad jej ustami.

Maria stężała.

Pocałował ją i przyciągnął do siebie.

- Poczekaj - poprosiła, uchylając się od dalszych pocałunków. Wbiła wzrok w podłogę.

Cisza świdrowała jej w uszach.

- Wiem. Mam żonę. - Groch się cofnął i uniośł dłonie w obronnym geście. - Przepraszam, to te piwa i...

Nie patrzyła na niego.

- To co? Na mnie czas, mała, nie? Pójdę już sobie - stwierdził - Samochód odbiorę jutro. Stoi przy płocie, więc nikomu nie będzie przeszkadzał - dodał i zamknął za sobą drzwi.

Herman nie ruszyła się z miejsca, próbując pozbiierać myśli, gdy niedługo potem znów za-skrzypiały zawiasy. Ale zamiast Grocha w drzwiach stanął Olgierd.

- Hej - przywitał się.

Maria nie odpowiedziała.

- Halo. Żyjesz? - Pomachał jej ręką przed oczami.

- Co ty tu robisz? - odezwała się ze zmarszczonym czołem.

Olgierd otworzył szeroko oczy.

- No jak? Mieliśmy pogadać przecież - przypomniał.

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że umówiła się z Olgierdem na analizę billingów Jana Sol-skiego.

- Arka widziałem. Minęliśmy się. Podobno dach ci naprawił?

- Co?

- Ale jakiś taki odklejony był. Coś pieprzył o papie. Że stara i rwie się jak mokry karton.

Herman wydeła wargi i wypuściła powietrze.

- Chyba ma rację.

- I to cię tak martwi?

– Nie. To znaczy tak – odparła i poszła do kuchni. – Groch zjadł całą pizzę i wypił piwo, ale możemy podjechać po coś do żarcia, jeśli jesteś głodny.

– A może KFC? – zaproponował i sięgnął po aparat.

Zrozumiała, że partner chce zamówić jedzenie przez aplikację, ostatnio często tak robił.

– Zamów cokolwiek i bierzmy się do roboty.

Krótko przed północą Borewicz stwierdził, że pojedzie już do domu. Przeglądali billingi, ale nie wpadli na nic sensownego. W pewnej chwili Olgierd przysnął na kanapie, kartki wypadły mu z ręki i rozsypały się po wytartym parkiecie.

Herman pozbierała je i odłożyła na bok. Szturchnęła partnera dopiero, gdy głośno zachrapał.

Ocknął się i nieprzytomnie rozejrzał po pokoju. Kiedy odnalazł wzrokiem Herman, ponownie przymknął oczy i otarł twarz.

– Cholera. Zasnąłem, nie? – zmarszczył brwi.

Maria zaoferowała mu nocleg na parterze, ale odmówił.

– To co? Widzimy się jutro? – Ziewnął przeciągle i wstał na raty, próbując zachować równowagę.

– Jasne. Ale może jednak kimnij się na dole? Chociaż godzinę.

– Nie, luz. Kupię sobie coś do picia na stacji i jakoś się dowiozę do Bydzi. Daleko nie mam, a wieczorna przejażdżka dobrze mi zrobi. – Sięgnął po aparat i odblokował ekran. – Szczególnie że Kinga już się niepokoi – stwierdził i westchnął. – Pięć połączeń.

Oddzwonił do żony i chwilę pogadali. Herman słyszała, jak wypytywał o małą, po czym powiedział, że właśnie rusza spod komendy.

Zerknął na Marię i wzruszył ramionami.

Wiedziała, że zarówno dla świata, jak i dla miłości drobne kłamstwa stanowią solidny fundament.

Herman poszła do łazienki.

Wrzuciła brudną bieliznę do pralki, a potem, stojąc naga pod wodą opłukującą jej ciało, wciąż rozpamiętywała pocałunek Grocha. Czuła jego język w swoich ustach, duże dłonie na plecach, którymi przyciągnął ją władczo do siebie, dokładnie tak jak kiedyś, gdy pierwszy raz pocałowali się na komendzie. Zgasiła wtedy światło w swoim gabinecie i uchyliła drzwi, za którymi stał Groch. Przekroczył próg, chociaż ona się nie cofnęła. Dotknął jej twarzy i dreszcz przeszył jej ciało. Natychmiast przejęła inicjatywę i nawet nie zwróciła uwagi na paznokiec, który się złamał, gdy się mocowała z rozporkiem Grocha.

Zawstydziła się na samą myśl o tamtej gwałtowności, która w niej drzemała, i skrywanym od dawna pożądaniu, a także o tym, że w końcu dała im upust.

Przed kilkoma godzinami znów to poczuła. Gdyby Groch nie przestał, skończyliby nadzy na podłodze.

Wezbrało w niej to samo trudne do okiełznanego pragnienie bliskości. Pulsujące ciepło w podbrzuszu, delikatne ćmienienie w skroniach.

Nie pamiętała już, kiedy całowała się z mężczyzną, ani tym bardziej kiedy wylądowała z kimś w łóżku. Miała wrażenie, że od przygodnych kontaktów, kiedy zależało jej na kasie przeznaczanej na zakłady sportowe, upłynęły wieki. Zresztą nie lubiła wracać myślami do tamtych chwil.

Zachowywała się jak szmata.

Ale obecna asceza, na którą się skazała, wynikała tak naprawdę jedynie ze strachu, który pielęgnowała w sobie od chwili, kiedy zdecydowała się walczyć z nałogiem.

Miała swoje lata, przestała dbać o urodę, nie dawała sobie szansy na to, by znowu być kobietą. Ale jednocześnie nie umiała w sobie tej kobiecości zagłuszyć.

Przymknęła oczy i skierowała strumień wody na stwardniałe sutki, a potem oparła się plecami o ścianę. Jej dłoń powędrowała wzdłuż brzucha, minęła pępek, otarła się o wznórek łonowy i wsunęła między uda.

Wewnętrzny strumień ciepła, który brał początek właśnie tam, rozlał się po jej ciele. Wspiął się i rozgałęział. Drażnił wewnętrzną stronę ud, rozpychał się delikatnie pod powłoką brzucha i płynął dalej do piersi i ramion, wspinając się coraz wyżej, by w końcu opleść szyję.

Przejechała językiem po rozchyłonych wargach, oparła głowę o ścianę. Z jej ust wydobył się stłumiony jęk, oddech się skrócił, serce łomotało. Ziarno ciepła pęczniało w niej z każdą chwilą, stawało się coraz większe.

Aż w końcu zeszywniała i wstrzymała oddech.

I nagle w głowie rozbłysła jasność. Mięśnie drżały od rytmicznych mikroskurczów, które pełzły po całym ciele.

Kiedy się ocknęła, strumień wody szumiał głośno i zniknął w odpływie.

Odczekała, aż drżenie ustąpiło, a oddech stał się głębszy.

Zakręciła kran i wytarła się do sucha.

Czuła, że tej upalnej nocy znowu przyjdzie jej długo walczyć o sen.

Długo nie nadchodził, więc sięgnęła po laptop i uruchomiła YouTube'a. Wpisała w wyszukiwarkę hasło *Rammstein* i zaczęła słuchać ciężkich brzmień, ulubionej muzyki Moniki Chudzińskiej. Jednocześnie w drugiej zakładce przeglądarki odszukała tłumaczenia tekstów. Niemiecki zespół poruszał tematy, z którymi rzadko spotykała się w muzyce rozrywkowej, ale nie uważała się za specjalistkę w tej dziedzinie. Utwory przesiąknięte były wulgaryzmami, traktowały często o przemocy seksualnej i wynaturzeniach.

Dlaczego młoda matka słuchała takich rzeczy?

Herman nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Miała nadzieję, że warstwa tekstowa nie była tak istotna jak brzmienie gitar i marszowy rytm.

Ściszyła muzykę i złapała dokumenty leżące na łóżku.

Przejrzała pobieżnie billingi i zdała sobie sprawę, że źle ułożyła ich kolejność. Dostrzegła dwie strony trzecie i dwie czwarte, następujące zaraz po sobie. Rozłożyła kartki na kółdrze, a następnie poskładała z nich dwa dokumenty, zawierające zestawienia połączeń z telefonów Solskiego. Oba załączniki do faktur pochodziły z dwa tysiące siedemnastego roku. Pierwszy był z maja, drugi z czerwca. Majowy miał cztery strony, ten z czerwca – sześć.

Herman przekartkowała pierwszy z nich, potem wzięła do ręki drugi.

Zestawienia zawierały trzy usługi abonenckie.

Rozpoznała numer Solskiego i jego żony. Trzeci był nieaktywny. Przynajmniej tak się wydawało Herman. Pod tym numerem, który przewijał się we wcześniejszych spisach, nie było wżaku połączeń i komisarz uznała, że kryje się pod nim usługa abonamentu internetowego. Jednak na początku czerwca połączenia się pojawiły. Maria policzyła je w pośpiechu. W sumie kilkanaście. Wszystkie dotyczyły tego samego numeru.

O dziwo, odbiorcą był Jan Solski.

Herman spojrzała na datę ostatnich połączeń.

Oba nastąpiły ósmego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku, krótko po dziewiątej i tuż przed jedenastą.

A więc dokładnie tego dnia, w którym córka Chudzińskiej zmarła w rozgranym samochodzie.

Szum silnika był usypiający, światła omiatały pustą drogę i ledwie lizały ścianę lasu.

Energizer niewiele pomógł i Borewicz z trudem stawiał opór zmęczeniu.

Dlatego nie od razu zareagował na nadejście esemesa. Aparat tkwił w uchwycie przyczepionym do przedniej szyby i ekran rozświetlił się na moment.

Zero Siedem zmrużył oczy, próbując odczytać nadawcę wiadomości, która częściowo wyświetliła się na ekranie.

Zdołał dostrzec tylko numer, więc sądził, że to kolejna reklama.

Przeniósł wzrok na drogę i wpatrywał się w jezdnię uciekającą pod maskę. Minął młodego jelenia, który skubał trawę na poboczu, ale zainteresowany światłem, podniósł łeb. Oczy, dwa świecące punkty, zlustrowały Borewicza.

Olgierd obawiał się, że nie dojedzie do Bydgoszczy, że sen go zmorzy i na którymś z wielu zakrętów wbije się starą toyotą w jakieś drzewo.

Dotrwał do Górską i za pomnikiem upamiętniającym pojmanie księdza Popiełuszki zjechał na rozświetloną stację Lotosu.

Wysiadł z wozu, zatankował, poopedzał się od komarów, po czym zapłacił za paliwo i za puszkę schłodzonego energizera.

– Takie świnstwo na noc? – spytał sprzedawca, młody chłopak z bujnym zarostem i w czapce z daszkiem z logo Lotosu, wskazując na napój.

Borewicz skinął głową.

– Mój brat to pił – kontynuował chłopak – i powiem panu, że po kilku miesiącach wyładował w szpitalu.

Olgierd machnął ręką. Znał te opowieści na pamięć. Chore jelita, stłuszczone wątroba, widmo cukrzycy. Ale jemu nic nie dolegało.

– Nie powinienem tego mówić, bo wie pan, jakby mój szef to usłyszał, toby mi jaja urwał przy samej szyi, ale energetyki to samo zło.

– Chuja wiesz o złu w takim razie. – Olgierd mrugnął do niego, po czym wyciągnął blachę. – Wstąp do kryminalnej, to pogadamy.

Uniósł puszkę, jakby wznosił toast, po czym wycofał się do samochodu.

Usiadł za kierownicą, ale nie uruchomił silnika, tylko wypił landrynkowy napój i beknął.

Odstawił puszkę do uchwytu i zerknął na aparat. Wciąż miał nieodczytaną wiadomość.

Pogadajmy. Jestem pod telefonem.

Dopiero teraz rozpoznał numer Grzegorza Lipskiego i zastanowił się, co powinien w tej sytuacji zrobić. Spojrzał w bok w kierunku sklepu na stacji benzynowej. W drzwiach stał sprzedawca, który patrzył w rozgwieżdżone niebo i wachlował się czapką.

Albo rozmowa w cztery oczy, albo jutro zgarniemy cię na dotek. Masz pięć minut na decyzję, odpisał i czekał.

Po pięciu minutach dopił energizera i wysiadł, żeby wyrzucić puszkę do odpowiedniego pojemnika na śmieci.

– Spokojnej drogi! – pożegnał go pracownik stacji.

– Dziękuję – odparł Borewicz.

– Tak sobie pomyślałem, że w jednym to ma pan rację. Robota w policji jest przejebana – stwierdził chłopak z uśmiechem. – Mój wujek był gliniarzem.

- No widzisz, to masz wiedzę z pierwszej ręki.
- Miałem. Sporo mi opowiadał, i nie były to miłe historie.
- Pracował w kryminalnym? - Borewicz chciał już usiąść za kierownicą, ale tylko otworzył drzwi toyoty. Na dachu i na masce odbijały się halogeny rozświetlające stację.
- Tak. Ale źle skończył.
- To znaczy?
- Zaginął.
- Borewicz potarł nos.
- Bywa i tak.
- Rok temu. Mieszkał w Grudziądzu, był już na emeryturze.
- Policjant stężał.
- W Grudziądzu? - spytał.
- Tak. Krzysztof Głacowski. Pewnie pan go nie znał.
- Prąd przebiegł Olgierdowi wzdłuż kręgosłupa.
- Nie. Nic mi to nazwisko nie mówi. - Uniósł rękę na pożegnanie.
- Szkoda go - pożalili się chłopak. - Jak na swój wiek, był gigachadem.

Dwadzieścia minut później Borewicz czytał w internecie artykuł poświęcony zaginięciu Głacowskiego. Pierwszy raz od dłuższego czasu zainteresował się tym, co o tej sprawie pisały media, ale nie znalazł niczego nowego. Rzecznik grudziądzkiej policji był oszczędny w słowach. Ale co naprawdę wiedziała policja? Co wiedział Jaroń?

Borewicz nie miał pojęcia.

Mimo to pierwszy raz tego upalnego lata zrobiło mu się chłodno.

Opierał się biodrami o toyotę, którą zaparkował na opustoszałym placu parkingowym przy castoramie. Nieoświetloną drogą na Bydgoszcz sunęły nieliczne samochody. Na stacji Orlenu tuż obok nie było żadnego klienta.

Borewicz wpatrywał się w nieużytki rozciągające się za hipermarketem i stacją benzynową w kierunku ciemnego pasma lasu, otaczającego lotnisko sportowe. Nieco dalej widział dach Motoareny, stadionu żużlowego.

Niebo rozświetlały gwiazdy.

Przyglądał im się przez jakiś czas, po czym bezwiednie zawiesił wzrok na budynkach oczyszczalni ścieków, dwóch potężnych sterzących walcach oraz nieco mniejszych balonach, które znajdowały się bliżej ogrodzenia.

Lipski się spóźniał i Olgierd był pewien, że facet wystawił go do wiatru. Jednak wkrótce od strony nieoświetlonego ronda, powstałego do rozprawdzania ruchu na parkingu przed galerią Karawela, której ostatecznie nikt tu nie wybudował, błysnęło światło i poniósł się basowy pomruk dwucylindrowego silnika motocyklowego.

Kierowca musiał oczekiwać w ciemności na Olgierda i przyglądać mu się z daleka na długo przedtem, zanim Borewicz zaparkował na kostce przed marketem budowlanym.

Ciężki motocykl podjechał do toyoty i dobrze umięśniony mężczyzna, na którym opinał się T-shirt, uniósł szybkę w kasku.

- Pan jedzie za mną - rzucił i zanim Zero Siedem ruszył się z miejsca, motocykl zrobił pętlę i skierował się do wyjazdu z parkingu. Policjantowi stężały mięśnie ze złości.

Mimo to szarpnął klamkę i usadowił się za kierownicą, po czym gnając za jednośladem, przejechał skrzyżowanie na czerwonym. Droga na Bydgoszcz tonęła w mroku i Borewicz trzy-

mał się blisko motocyklisty, ale nie rozumiał, dlaczego ten znacznie przekraczał dozwoloną prędkość. Kląsk silnika rozrywał nocną ciszę.

W końcu kierowca zwolnił i Borewicz, tak jak motocyklista, wrzucił kierunkowskaz w prawo i skręcił w drogę prowadzącą przez las. Po kilkuset metrach Lipski wyraźnie zwolnił i zjechał na bok. Znajdowali się na polanie oświetlonej przez księżyc.

Borewicz minął mężczyznę, który właśnie zsiadał z maszyny, i kawałek dalej zjechał na bok, tak by ustawić wóz wzdłuż leśnego duktu. Reflektory zabarwiły na żółto korę pobliskich drzew oraz leśne runo i niczym laser przecięły leśne ciemności.

Zero Siedem zaciągnął ręczny, ale uznał, że w ramach bezpieczeństwa nie zgasi silnika.

– Dlaczego tutaj? – rzucił, kiedy wygramolił się z fotela i stanął na suchej ściółce.

Zdążył odwrócić się do Lipskiego, gdy kątem oka dostrzegł gwałtowny ruch. Coś twardego uderzyło go w twarz.

Zachwiał się i upadł przed siebie; poczułby pewnie zapach leśnego runa, gdyby nie to, że nozdrza zalała mu krew.

– Odpiardol się od tej sprawy, to ciebie nie dotyczy – usłyszał stłumiony głos, który dobiegał jakby zza szklanej ściany.

Do ust przykleiły mu się drobiny piachu, w uszach dźwięczało.

Chciał się unieść na rękach, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Nagle ziemia pod nim zaczęła się przesuwać i zdał sobie sprawę, że ktoś go ciągnie. Złamana gałąź zraniła go w szyję.

Jęknął, a potem oślepiły go światła samochodu.

Terkot silnika był nieznośnie głośny.

Zero Siedem leżał i czekał. Spodziewał się kolejnych ciosów, kopa w żebra lub w wątrobę. Modlił się w duchu, żeby to znieść. I żeby usłyszeć chociaż słowo wyjaśnienia.

Cokolwiek.

Tymczasem minęła wieczność i żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła.

Nic oprócz tego, że w pewnym momencie adrenalina przestała skutecznie tłumić ból.

Zero Siedem się skrzywił.

Kość jarzmowa pulsowała nieznośnie, a narastająca opuchlizna sprawiała, że gorzej widział na lewe oko.

Zacisnął zęby i z trudem przewrócił się na bok, a potem na plecy.

Nabrał powietrza w płuca i otworzył oczy.

W górze, ukryta za delikatnie kołyszącymi się koronami sosen, błyszczała sina tarcza księżyca.

Borewicz uznał, że księżyc się z niego śmieje.

I sam też zaczął się śmiać.

Maria Herman kręciła się w plamie cienia rzucanej przez korony brzoź, które rosły przed siedzibą Prokuratury Rejonowej Toruń Centrum-Zachód przy ulicy Grudziądzkiej.

Komisarz skończyła palić chesterfielda i od razu sięgnęła po następnego. Zaciągnęła się, zerkając na ekran starej nokiai.

Od rana próbowała dodzwonić się do Olgierda Borewicza. Wysłała mu też kilka esemesów, ale odpowiedź nie nadchodziła. A Maria już była spóźniona. W zasadzie oboje byli spóźnieni.

Słońce co jakiś czas chowało się za nieskazitelnie białymi kłębiastymi chmurami napływającymi ze wschodu. Niosły chwilowe wytchnienie od gorących promieni, które grzały jej plecy.

Policjantka wypuściła kłęb dymu i spojrzała w okna trzykondygnacyjnego żółtego budynku. Odszukała okno zastępcy prokuratora, Artura Legnera, którego biuro znajdowało się na pierwszym piętrze, ale nie dostrzegła w nim żadnego ruchu. Być może jeszcze nie przyjechał do firmy, pomyślała i omiotła wzrokiem parking. Nie zauważyła czarnego passata w wersji kombi, ale nie mogła wykluczyć, że z powodu braku miejsc na parkingu Legner zostawił wóz na którejś z pobliskich ulic albo przyjechał do pracy komunikacją miejską. Chociaż upalne lato nie sprzyjało takim wycieczkom, szczególnie gdy chodzi o facetów w garniturach.

Do tej pory Herman musiała kilka razy skinać głową prokuratorom i prokuratorom, których dobrze знаła z czasów, gdy pracowała w pobliskiej komendzie. Właśnie pisała kolejnego esemesa do Olgierda, gdy kątem oka zobaczyła, że jedna z kobiet, z gęstą czupryną kasztanowych loków, zbliża się do niej, wystukując rytm obcasami czarnych szpilek. Przez ramię miała przewieszony żakiet od szarego kostiumu.

– Pani Maria? – spytała, przekrzywiając głowę i przybierając wystudiowany, sztuczny uśmiech. Prokuratorka była przed czterdziestką. Szczupła i atrakcyjna, miała makijaż wykonany kosmetykami, które zapewne kosztowały tyle, ile Marii zostawało na życie każdego miesiąca po odliczeniu rat długów i odłożeniu kasy na chesterfieldy.

– Dzień dobry – przywitała się Herman.

– Co pani tu robi? – Ruchem głowy poprawiła nienagannie ułożoną fryzurę.

Herman poznała Danutę Rybacką jako młodą asesorkę podczas oględzin zwłok, na których zerowały białawe larwy muchówek. Wysypywały się z szeroko otwartych ust i wypełniały rozciągnięte nozdrza.

Rybacka zatykała sobie usta chusteczką, ale Herman pamiętała jej wielkie oczy i to, jak uciekając, omal nie połamała obcasów. Technicy kryminalistyki darli z niej łacha, ale Herman szybko przywołała ich do porządku. Później Rybacka podeszła do śledczej i poczęstowała ją papierosem. Wtedy jednak Herman popełniła błąd. Pożyczyła od niej sto złotych na zakłady bukmacherskie, których pewnie nigdy nie oddała.

– Mam sprawę do załatwienia – odparła Herman.

– Sprawę? – Usta pociągnięte brązową pomadką odsłoniły śnieżnobiałe licówki. – Wciąż spłaca pani długi hazardowe u moich koleżanek i kolegów?

Herman sięgnęłaby do torebki po portmonetkę i oddała kobiecie pieniądze, gdyby tylko je miała. Zazwyczaj nosiła przy sobie jedynie trochę drobnych, by nie kusić losu.

– Ile jestem pani winna? Sto złotych? – Ściągnęła brwi.

– Och, dawno już o tym zapomniałam! – zaśmiała się Rybacka i wsunęła dłoń do kieszeni spodni. Na jej dekolcie lśniła złota zawieszka w kształcie wagi.

Komisarz znów zerknęła na ekran telefonu, ignorując prokuratorkę.

– Następnym razem zostawię w recepcji w kopercie z pani nazwiskiem – skinęła głową w kierunku wejścia do budynku.

– Proszę sobie darować – rzuciła kobieta, ale nie ruszyła się z miejsca.

Maria wiedziała, że gówniara pięła się po szczeblach kariery, korzystając ze znajomości ojca, prezesa Sądu Okręgowego w Bydgoszczy. Kilka lat temu wyładował jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości i służył wiernie partii, która ze sprawiedliwością i prawem miała niewiele wspólnego.

Herman wciąż czuła na sobie wzrok kobiety, więc zerknęła na nią i uniosła brwi.

– Coś jeszcze? – spytała policjantka.

Prokuratorka przesunęła czubkiem buta po kostce brukowej.

– Dobrze znałam pani matkę – Rybacka zawiesiła głos i nadal gapiła się pod nogi.

Maria znieruchomiała.

– Ktoś ze znajomych polecił jej mnie, gdy potrzebowała pomocy.

– Pomocy? – Herman nie zdołała ukryć zdziwienia.

– Komornik, który miał zlicytować wasz dom, jest moim kuzynem.

– No i? – Maria poczuła, że jej serce przyspieszyło.

– Pani matce zależało na tym, by szybko spłacić to zadłużenie i żeby dom znów był jej własnością.

– Tak słyszałam.

– A wie pani dlaczego?

Herman wzruszyła ramionami. Kątem oka dostrzegła ruch przy wejściu. Ktoś otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Zrobiła to dla pani – stwierdziła Rybacka i spojrzała Marii w oczy.

– Słucham?

– Chciała zatrzymać ten dom, żeby miała pani gdzie mieszkać.

– Ale wcześniej wyrzuciła mnie z niego.

– To prawda. Straszenie to przeżywała. Musiała panią bardzo kochać.

Maria oniemiała.

Odebrało jej dech, jakby otrzymała cios w splot słoneczny. W głowie uruchomił jej się pokaz slajdów z twarzą matki o ustach wygiętych ku dołowi, kobiety niezdolnej do obdarzenia miłością swojego dziecka.

– Co się pani stało? – zaniepokoiła się Rybacka i Herman dostrzegła dwie pionowe zmarszczki między jej brwiami. – Wszystko w porządku?

– Pani Mario! – Policjantka usłyszała męski głos.

Na schodach stał grubawy, niski prokurator w czarnych spodniach w kant, lśniących półbutach i koszuli z krótkimi rękawami, odsłaniającymi pulchne przedramiona. Mężczyzna ocierał chusteczką okrągłą twarz świecąą w słońcu.

– Zaraz muszę do sądu, więc albo pani wchodzi, albo przekładamy tę rozmowę na jutro – krzyknął Legner.

Prokurator Rybacka odwróciła się do kolegi.

– Arturo! A co ty taki zdyszany, jakbyś hałdę żwiru przerzucił? – Ruszyła w jego stronę.

Machnął ręką zniecierpliwiony.

– A idź, kobieto! Daj mi spokój! – odrzekł, kiedy Rybacka weszła na schody. – Mam dziś urwanie jaj.

Cmoknęła go na powitanie w policzek i powiedziała coś, czego Maria z miejsca, w którym stała, nie mogła usłyszeć. Roześmiali się oboje, a potem prokuratorka, zarzucając włosami, szarpnęła klamkę.

– No, halo, pani Mario! – Legner szybko zgasił uśmiech i postukał znacząco palcem w nadgarstek, na którym tkwił drogi zegarek.

Słońce wyszło zza chmur i zajrzało mu w twarz, więc zmrużył oczy.

Herman miała wrażenie, że nogi wrosły jej w ziemię.

– A pani kolega, ten cały Borewicz, to gdzie? – Skórzany fotel obrotowy zajęczał pod Legnerem, gdy ponownie otarł spoconą twarz. Vertikale były zasunięte, a mimo to promienie słońca przebijały przez materiał i pokój tonął w beżowej poświacie. Zaduch był nie do wytrzymania. – Nie będzie go?

Herman powachlowała się bluzką, a Legner włączył wiatrak, który zaszumiał i zaczął mieć zastane powietrze.

– Od rana próbuję go namierzyć – odparła, sięgając po starą nokię.

– Rany boskie, pani stale z tym sprzętem retro? – Roześmiał się i w tej samej chwili rozdzwoił się telefon na jego biurku. Zerknął na aparat, a potem na Herman. – Sekundę, okej?

Policjantka skinęła głową.

– Halo? – rzucił do słuchawki i zwiesił głowę, wpatrując się w blat biurka zawalonego papierzyskami. Dwa stopy wyrastały na rogach, a pomiędzy nimi leżały grube tomy akt. – Panie komisarzu, ja od dawna zachodzę w głowę, jak to się dzieje, że pan stale trafia na takie trudne sprawy w tej Chełmży, i zastanawiam się, czy ci wszyscy złoczyńcy nie idą tam za panem – za rechotał, ale szybko się uspokoił i nasłuchiwał dłuższą chwilę, bębniąc palcami o rant biurka. – No dobra, niech tak będzie. Tylko musi mi pan to wszystko ładnie dopapierzyć i wtedy będzie cacy... No, to do miłego – rzekł i odłożył słuchawkę.

– Gross? – spytała Herman, a Legner pokiwał głową.

– Znacie się?

– Świetny gliniarz – uniknęła odpowiedzi na jego pytanie, bo dawno temu próbowała pożyczyć od komisarza pieniądze. W Toruniu nikt z kolegów i koleżanek nie dawał się już nabierać na jej sztuczki, więc uznała, że pod byle pretekstem pojedzie do komisariatu w Chełmży. Zabrała się tam któregoś dnia z technikami kryminalistyki i w ten sposób poznała Bernarda Grossa. Minęła się z nim na schodach jednostki i poprosiła na słówko. Na poczekaniu zaczęła snuć kłamstwo, że zapomniała portfela, a musi wrócić do Torunia. Gross wysłuchał jej w skupieniu, bez zadawania pytań, po czym sięgnął po portfel i wyciągnął sto złotych. Herman chciała je wziąć, ale Gross był szybszy. Cofnął rękę z banknotem i powiedział coś, co wówczas ją rozwścieczyło, ale obecnie, z perspektywy lat, była mu za te słowa wdzięczna:

– Te pieniądze będą czekać na moment, w którym rozpoczniesz terapię. Dopiero wtedy ci się przydadzą, a ja chętnie ci je pożyczę.

Herman nigdy dotąd nie skorzystała z jego oferty. Zresztą odkąd zaczęła podążać drogą trzeźwienia, nie miała kontaktu z szefem chełmżyńskich kryminalnych.

Legner odrzucił połączenie na komórce i to przywróciło Herman do rzeczywistości.

– Gross jest trudny w obejściu – uznał śledczy. – Ale fakt, ma zmysł. Przydałoby się, żeby zerknął na sprawę Chudzińskiej.

Herman założyła nogę na nogę. Siedziała przy czteroosobowym stole, ustawionym prostopadle do biurka śledczego.

– Wydaje mi się, że na tym etapie to nie będzie konieczne – zapewniła.

– Skoro tak, to niechże pani wyciąga te armaty. No dalej, dalej! – zachęcił.

Herman zrelacjonowała mu najważniejsze ustalenia ze śledztwa prowadzonego wspólnie z Borewiczem, a także to, co wynioskowała z billingów Jana Solskiego oraz czego dowiedziała się od jego żony.

- Trudno uwierzyć, że policjanci przegapili takie rzeczy. - Zafrasowany Legner podrapał się po uchu.

- Wcale nietrudno. To, o czym panu mówię, dotyczy okresu sprzed tragicznej śmierci córki Moniki Chudzińskiej. W przedmiotowej sprawie zaginięcia ten okres nigdy dotąd nie był badany.

- Teraz to już chyba pani przesadza - oburzył się prokurator. - Przecież o tym udarze ciepłym...

- O hipertermii - wtrąciła.

- A co to za różnica? - Ponownie sięgnął po chusteczkę, by otrzeć pot z czoła. - Zresztą nieważne. W każdym razie pamiętam, że badano też tę sprawę jako punkt wyjścia do tworzenia wersji śledczych związanych z zaginięciem Chudzińskiej.

- To prawda, ale trudno ogarnąć burdel w papierach.

- No, jeśli tak jest, to ja już sobie pogadam z komendantem. Będzie musiał wyciągnąć konsekwencje wobec prowadzących śledztwo. - Zaciśnął usta i czekał.

Herman uznała to za teatr.

- No więc udało nam się ustalić - powiedziała - że bezpośrednio przed tragedią związaną z dzieckiem Chudzińska zdradziła męża z sąsiadem, Janem Solskim. Mam na to niepodważalne dowody.

- Czyli? Może pani jaśniej?

- Zdjęcia od detektywa wynajętego przez żonę Solskiego.

- Dlaczego nie przekazała tych ustaleń policji?

- Bo zdjęcia zrobiono przed śmiercią córki Chudzińskiej. Wtedy romans kwitł. I na tamte dni nakłada się billing telefonów Solskiego. To zadziwiająca zbieżność.

- Co pani o tym sądzi?

- Telefony były zarejestrowane na firmę Solskiego. Trzy numery, z czego jeden nieaktywny. Uruchomił się dopiero na początku czerwca dwa tysiące siedemnastego roku. To moment, w którym Chudzińska zdradza męża.

- Czyli sugeruje pani, że co? Że Solski dał kochance telefon firmowy, tak?

- Chyba nie można tego wykluczyć.

Legner analizował uzyskane informacje.

- I co dalej? - spytał.

- I dzwonią do siebie. Ona do niego, on do niej. Przy czym ona zazwyczaj robi to wyłącznie w godzinach pracy, co może sugerować, że ten aparat miała w firmie, żeby mąż się nie zorientował.

Śledczy przygryził wargę. Nie wydawał się przekonany.

- Pani zbyt łatwo zakłada, że telefon miała Chudzińska.

- Pewnie miałby pan rację, gdyby nie jedna rzecz - kontynuowała Herman.

- Mianowicie?

- Telefony urywają się ósmego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku przed południem. Od tej pory Chudzińska nie dzwoni już do Solskiego.

- I to są te pani armaty? - westchnął Legner. - Przecież to tylko domysły. Nie mamy pojęcia, czy rzeczywiście tak było, a co gorsza, nie mamy możliwości tego sprawdzić.

- Wystarczy, że Solski się przyzna.

– Ta, jasne, już to widzę. Niechże pani nie żartuje. Jeśli chłop ma coś za uszami, już widzę, jak się kaja i przeprasza. Ale załóżmy nawet, że tak by było. To co dalej? Do czego pani zmierzają?

Podmuch z wiatraka zaszeleścił papierami na biurku prokuratora.

Herman zebrnęła myśli.

– Żona Solskiego twierdzi, że w dniu śmierci Zuzanny Chudzińskiej jej mąż był w domu. Miał wtedy lewe zwolnienie lekarskie.

– Pani Mario...

– Niech mi pan pozwoli dokończyć – weszła mu w słowo, chociaż Legner spojrzął na zegarek i ponownie zabębnił palcami. – Mąż Chudzińskiej wcześniej wyjeżdża z domu, zostawiając Monikę samą. Być może kochankowie się spotykają.

– No i?

Herman zastanawiała się, czy powinna snuć dalej swoje rozważania, skoro Legner nie jest nimi zainteresowany. Postanowiła zaryzykować.

– Chcę, żeby powołał pan biegłego do zbadania ciuchów dziecka.

– Co? – Zdębiał. – Pani żartuje, tak?

– Wyślijmy je biegłemu, może znajdzie w nich cokolwiek na Solskiego. Na przykład włos. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy.

– Zaraz, zaraz. – Legner odchylił się na oparciu. Fotel zaskrzeczał. – Czy ja dobrze rozumiem, czy chce mi pani powiedzieć...

– Trzeba zbadać ubranka dziecka – przerwała mu Herman.

Legner powiódł wzrokiem po pokoju, a następnie uniósł brodę i dłuższą chwilę gapił się w sufit.

– Poprosiłem panią i podkomisarza Borewicza, żebyście przyjrzeni się tej sprawie, ale mam wrażenie, że popełniłem błąd. Sugeruje pani, bez cienia dowodów, że śmierć dziecka nie nastąpiła z powodu udaru.

– Hipertermii – ponownie go poprawiła.

Wzniósł oczy.

– Hipertermii, niech pani będzie – odparł i splótł dłonie na brzuchu. – Czy dobrze rozumiem? O to pani chodzi?

Herman ściągnęła łopatkę.

– Musimy zbadać ciuchy dziecka.

– Chyba płyta się pani zacięła – Legner zaśmiał się nerwowo i spojrzął na zegarek. – Pani komisarz, mam wrażenie, że czas, który pani poświęciłem, jest bezpowrotnie stracony. Najpierw niech mi pani przyniesie jakiś konkret. Najchętniej poznałbym motyw tego Solskiego. Co miałyby go pchnąć do takiej zbrodni, co? – Rozłożył ręce i zastępył w tej pozie.

Herman wstała i wsunęła krzesło na miejsce. Wymacała w plecaku paczkę papierosów. Wyjęła chesterfielda i zaczęła go delikatnie ugniatać opuszkami.

– Dlaczego zależy panu na rozwiązaniu tej sprawy? – spytała, wpatrując się w papierosa.

Legner się podniósł i wyłączył wiatrak; cisza wypełniła pokój. Przecisnął się bez słowa obok Herman, która była od niego wyższa. Ponownie poczuła zapach ciężkich, orientalno-korzennych perfum.

Mężczyzna wyjął z szafy marynarkę, ale nie zdecydował się jej włożyć.

– Naprawdę, muszę już iść – odezwał się, otwierając drzwi. Przeciąg załopotał wertikalami i poderwał okładki akt leżących na biurku.

Herman wyszła na korytarz i ponownie zadała to samo pytanie, ale Legner znowu je zignorował, po czym zamknął drzwi i schował klucze do kieszeni.

– Niech pani przyjrzy się tej sprawie, ale fantasmagorie pozostawi pseudodziennikarzom i tym cholernym podkasterom, którzy szukają taniej sensacji i interpretują fakty w oderwaniu od wiedzy śledczej. Od pani i Borewicza domagam się czegoś więcej. Wie pani czego? – przekrzywił głowę. – Dowodów, pani komisarz. I chyba nie muszę pani mówić, że na razie czuję się zawiedziony.

– Ja też, bo nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Legner wyduł wargi i podparł się pod boki.

– Zależy panu na tej sprawie, więc powinniśmy wrócić do śmierci dziecka – stwierdziła twardo.

Młoda korpulentna blondynka minęła ich z naręczem akt i uśmiechnęła się krótko do Legnera. Ten skinął jej głową, a potem wskazał kciukiem za plecy.

– Sprawa śmierci dziecka nie ma nic do tego. Między tragicznym w skutkach wypadkiem a zaginięciem jest chyba jakaś różnica, do cholery. – Legner ponownie otarł twarz, a potem oklepał kark.

– Jeszcze jedno. – Zatrzymała go, gdy chciał już się odwrócić i odejść.

– Tak?

– Potrzebuję numeru do prokurator Rybackiej.

– Po co?

– Sprawa osobista. Kiedy stałyśmy na dole, przekazała mi ważną informację.

– To niech pani do niej zejdzie. Pokój jedenaście. Po prawej stronie – wytłumaczył i ruszył korytarzem; po chwili, nie odwracając się, rzucił: – A następnym razem niech mi pani przyniesie w końcu jakieś konkrety, dobrze?

Biuro detektywistyczne Beaty Walter znajdowało się na Starym Mieście przy ulicy Sukienniczej, w bardzo wąskiej kamienicy pod numerem dwadzieścia dwa. Herman szła tam z prokuratury piechotą, wypalając po drodze dwa ostatnie chesterfieldy.

Rozgrzane miejskie powietrze uderzyło ją, gdy czekała na zielone światło na przejściu przy Odrodzenia. Jezdnią ciągnął sznur samochodów, rozsiewając smród i hałas, a ona nie miała dokąd uciec. Wybetonowane i wyasfaltowane miasta budziły w niej grozę. Tkwiła w nich, uwięziona, podobnie jak w śledztwie, którego nijak nie dawało się popchnąć naprzód.

W dodatku Legner miał rację. Powinna myśleć przede wszystkim o gromadzeniu dowodów, nie domysłów. Co prawda sprawa zaginięcia Moniki Chudzińskiej była stosunkowo świeża, ale poruszali się w niej z Zero Siedem po omacku i dlatego Herman dała się zwieść poszlakom. Może gdyby przegadała je z Borewiczem, miałyby inny punkt widzenia. Partner jednak wciąż się nie odzywał, a akta dotyczące Chudzińskiej były ubogie i niechlujnie prowadzone. Dorzucanymi po latach dokumentami nikt się specjalnie nie przejmował i nie szukał dla nich odpowiedniego miejsca.

W żabce na Starym Mieście kupiła papierosy, które wcale nie były jej ulubionymi. Wybierała je, sugerując się ceną.

Schowała paczkę do kieszeni i przeszła w stronę ulicy Sukienniczej. W głowie wciąż tknęły jej się słowa młodej prokuratorce: „Musiała panią bardzo kochać”. Szkoda, że nie zastała jej w gabinecie.

Kiedy Herman dotarła pod wskazany adres, roleta zewnętrzna na oknie była opuszczona. Weszła po trzech schodach i zapukała głośno do drzwi. Odczekała trochę i zwinęła dłoń w pięść, by jeszcze raz zastukać, lecz wówczas usłyszała odgłos przekręcanego klucza.

Otworzyła jej wysportowana kobieta. Jaskrawy zielony top odsłaniał wyrzeźbione mięśnie brzucha, a krótkie sportowe spodenki opinały jędrne uda. Beata Walter miała nieco ponad pięćdziesiąt lat i prezentowała się znakomicie.

Herman bez trudu ją rozpoznała.

– Pani do kogo? – Kobieta otarła czoło frotką, którą założyła na nadgarstek. Włosy miała spięte w koński ogon. Dyszała lekko, widać było, że właśnie przerwała ćwiczenia, bo jej skóra na dekolcie błyszczała od potu.

– Do pani. Znamy się z czasów pracy na Grudziądzkiej. – Herman wyciągnęła blachę i okazała legitymację. – Chciałam zapytać o zlecenie z dwa tysiące siedemnastego roku.

– Ano tak. Kaśka uprzedziła mnie, że może pani wpaść – przyznała detektywka.

– Pogadamy? – zapytała Herman. Nie zniósłaby, gdyby ktoś jeszcze tego dnia próbował ją spławić.

– Tu niedaleko, na Szewskiej sześć, jest Bułka – rzuciła Walter. – Kojarzy pani tę śniadaniownię?

– Tak.

– Spotkajmy się tam za kwadrans.

Kelnerka zabrała brudne naczynia, ale zostawiła im filiżanki, w których pozostało jeszcze kilka łyków kawy.

Zdążyły porozmawiać o pracy Beaty Walter w policji, a także o tym, dlaczego zrezygnowała ze służby i wyrobiła sobie legitymację detektywa. Mówiła o presji przełożonych, o narzuc-

nych normach, którym nie mogła sprostać, o ciągłej konieczności udowadniania swojej siły i determinacji do zakładania munduru. Im częściej to robiła, tym trudniej było jej zadowolić szefów.

– To nie jest robota dla nas – uznała Walter. Miała na sobie sprany, wyciągnięty T-shirt z logo Guns N’ Roses oraz dżinsowe szorty.

Maria Herman przechodziła podobnie trudne chwile, ale ziemia osunęła jej się spod stóp i otworzyła drogę do piekieł dopiero wtedy, gdy wpadła w szpony hazardu. Miała szczęście, że jeden z szefów postanowił wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Dowiedziała się, że bratanica naczelnika wydziału kryminalnego zmagala się z tym samym rodzajem uzależnienia, ale nie udało jej się uratować. Herman pamiętała zjawiskowo piękną siedemnastolatkę, która powiesiła się w mroźny zimowy dzień na działce rodziców na Rudaku. Jej zeszywniałe ciało technicy odcięli od haka na żyrandol dwa dni później, ciemną nocą, kiedy rodzina zorientowała się, że brakuje drugiego kompletu kluczyków od altanki. Gdy Maria przyglądała się zwłokom, jeszcze nie знаła historii, która stała za dramatem młodej brunetki o klasycznych rysach twarzy. Ale wciąż miała przed oczami tę piękną bladą dziewczynę, której ciało przejął we władanie mróz.

– A ja nie mogłabym robić nic innego – odparła z pełnym przekonaniem.

– Wiem, dlatego wciąż robisz to, co robisz, i jesteś w tym cholernie dobra. – Walter pociągnęła łyk kawy. Gładko przeszły na ty. – Poza tym masz silną wolę.

Maria się wzdrygnęła.

Nigdy nie powiedziałaaby o sobie czegoś takiego. Uzależnienie przeżarło jej silną wolę niczym rdza starą blachę. Jako patologiczna hazardzistka stała się marionetką w szponach nałogu, który pociągał za sznurki, kierował każdym jej ruchem, zniewalał umysł. Przez długi czas nie była sobą. Za jej gesty, słowa i czyny odpowiadała choroba. Tego nauczyła się na terapii. Dlatego nie chciała, żeby to jej wola decydowała o tym, że nie zagrała ani przedwczoraj, ani wczoraj. Wciąż bała się siebie i swoich chwil słabości. Może więc to strach przed nawrotem choroby odpowiadała za jej trzeźwość, za zdolność do przeciwstawienia się mechanizmom, które stosowała, gdy rządził nią nałóg.

– Porozmawiajmy o Katarzynie Solskiej i o tym, co dla niej zrobiłaś – zaproponowała Herman.

Walterowa spojrzała w okno.

Miały widok na całą Szczytną, która łukiem dochodziła do Szerokiej. O tej porze wybrukowaną ulicą spacerowali mieszkańcy i turyści. Szczyty kamienic po lewej stronie zdawały się płonąć w świetle promieni słonecznych, ale w dole rządził już cień. Tuż za witryną sporo osób szło Szewską w kierunku pobliskiego Rynku Staromiejskiego.

– Ilekroć spotykałam się z Kaśką, widziałam, że nie układa jej się w małżeństwie. – Beata Walter sięgnęła po kawę. Już wcześniej zostawiła na porcelanie ślad jasnorożowej szminki, która świetnie pasowała do jej jasnej karnacji. – Mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię. Kobieta natychmiast wyczuwa takie rzeczy.

– Czy ona zwróciła się do ciebie z prośbą o pomoc?

– Tak, ale to było później. Najpierw sama przyjrzałam się Solskiemu.

– Kiedy to było?

– Na początku dwa tysiące siedemnastego roku. Chyba właśnie wtedy Kaśka zaczęła się skarżyć na męża.

– Co mówiła?

– Że ją zdradza.

– Skąd wiedziała?

Przy stoliku obok siedzieli dwóch studentów, którzy co chwilę wybuchiali śmiechem. Kiedy Herman ostentacyjnie spojrzała w ich stronę, przeprosili i rozmawiali ciszej.

– Powiedziała, że kiedy wracała wieczorami, śmierział cipa. To są jej słowa. Ale nie myliła się. Jan miał wtedy kochankę. Młodą laskę, pracowała w urzędzie miasta.

– Jak to się skończyło? – zapytała Herman, a Walterowa się roześmiała.

– Zapukałam do jej drzwi i wyciągnęłam fotografie – odparła. – Reszty się domyśl.

– To było zimą?

– Tak, na początku lutego. Solski jeździł do niej dzień w dzień, aż nazajutrz po mojej wizycie w końcu odbił się od klatki schodowej. A potem, kiedy unikała go też w pracy, odpuścił.

– Dowiedział się, że to twoja robota?

– Nie. Taką miałyśmy umowę. Gdyby mu o mnie powiedziała, rozpętałabym wojnę. – Walterowa spoważniała. – Ale ona była rozsądna. Poza tym na swoją obronę miała to, że Solski ją okłamał. Twierdził, że wniósł pozew o rozwód, czego oczywiście nie zrobił. Między innymi dlatego spuściła go na drzewo.

– A jak było z Chudzińską? – Herman dopiła kawę i odsunęła filiżankę na bok.

– W sensie?

– Solska zleciła ci tę robotę?

– Tak. Tym razem poprosiła mnie o pomoc. Miała już dość.

– Wiedziała, że mąż ją zdradza z Chudzińską?

– Na początku nie. Często do nich chodził, ale Kaśka myślała, że po prostu polubił się z sąsiadem. No i któregoś dnia Solski wrócił od Chudzińskich i nawijał coś o Karolu, że niby postawił mu piwo czy coś takiego. A zaraz potem Kaśka wyszła do ogrodu podlać floksy i zobaczyła, że Chudziński podjeżdża pod dom. Przywitał się z nią, chwilę pogadali przez płot i okazało się, że właśnie wrócił z pracy.

– Jak długo go obserwowałaś?

– Kilka dni, aż w końcu udało mi się ich przyłapać.

– Czy mąż Chudzińskiej o tym wiedział?

– Nie mam pojęcia. Ja mu nie mówiłam. Pokazałam zdjęcia jedynie Kaśce. A ta dzięki nim uwolniła się z toksycznego związku.

– A dlaczego, kiedy w październiku Chudzińska zaginęła, nie poinformowałaś o tym roman-sie policji?

– Po pierwsze, dobrze wiesz, że nie miałam takiego obowiązku, a po drugie, chroniłam swoją klientkę.

Herman pokiwała głową. Zdawała sobie sprawę, że Beata Walter ma rację.

Domówiły dwie wody gazowane. Herman poprosiła Walter, by znalazła w internecie ogłoszenie o zaginięciu Doroty Lewandowskiej.

Detektywka spełniła prośbę i odwróciła komórkę ekranem do Herman.

– O nią ci chodzi?

– Tak. Widziałaś ją wcześniej? Kręciła się wokół domu Chudzińskich?

– Nie – zapewniła Walter. – Pierwszy raz ją widzę.

– Okej. – Maria sięgnęła po portfel. – Dzięki za spotkanie.

– Spokojnie, ja zapraszam.

– W takim razie, jeśli będę miała kolejne pytania, spotkamy się ponownie i wtedy ja zapłacę.

– Herman wstała i zasunęła swoje krzesło.

– Maria? – Beata Walter podniosła na nią wzrok.

Obok, w miejscu wydzielonym wysokimi szybami, gdzie przygotowywano potrawy, rozległ się też chrobot młynka mielącego kawę.

- Tak?

- Jest coś jeszcze.

- Co takiego? - Herman ściągnęła brwi.

- Nie powiedziałam policji o romansie Solskiego z Chudzińską, ale to jest drobiazg.

Policjantka wyjęła paczkę papierosów i wsunęła jednego do ust. Uniosła brodę, zachęcając Beatę do mówienia.

- Chodzi o to, że Solski raz pomógł Chudzińskiej.

- W jakim sensie?

- Wziął małą do swojego samochodu i odwiózł ją do żłobka.

Herman znieruchomiała.

- Skąd wiesz? - Zmarszczyła czoło.

- Bo go śledziłam.

Olgiere Borewicz ocknął się nocą w lesie i nie mógł się nadziwić, dlaczego skądś obok docho-
dzi warkot silnika.

Księżyc wisiał nad lasem, przysłonięty nieco przez czubki sosen.

Zero Siedem uniósł się do siadu, a kiedy drzewa przestały wirować wokół niego jak na karu-
zeli, dźwignął się z ziemi i opanowując torsje, chwiejnym krokiem podszedł do samochodu.

Oparł się dłonią o maskę, potem chwycił się drzwi, wciąż otwartych. Wreszcie opadł na fotel
kierowcy i wyłączył silnik. W kabinie pociemniało, kolorowe kontrolki na tablicy rozdzielczej
zgasły.

Zero Siedem oparł głowę na zagłówku. Słyszał narastający wizg skrzydeł komara. Pewnie la-
tało ich tu kilka.

Sięgnął po komórkę.

Kinga wydzwaniwała do niego kilkanaście razy.

Przetarł oczy i wybrał jej numer.

Odebrała po dwóch sygnałach.

– Jezus Maria, odchodziłam od zmysłów. – Przeraził go jej drżący głos.

– Niepotrzebnie. Przecież wiesz, że czasami muszę zostać na akcji.

– Nic ci nie jest? Mogłeś mnie chociaż uprzedzić!

– Nie mogłem. Mówiłem ci to wiele razy. Gdyby mój telefon był na podsłuchu, zagroziłbym
w ten sposób akcji. – Szył kłamstwa na gorąco, bo wiedział, że to przekona Kingę, która już po-
godziła się z tym, że Olgiere nie porzuci policyjnej służby. Wolał jednak zmienić temat. – Jak
Zero Siódemka?

– Dobrze. Śpi. – W głosie żony wciąż pobrzmiwał żal. – Tęskniła za tobą.

Borewicz westchnął. Wzrok przyzwyczał się do mroku i wydobywał z ciemności czarne
pnie drzew wyrastające w pobliżu maski oraz leśny dukt. W lusterku wstecznym błyskały od
czasu do czasu światła samochodowe. Niedaleko stąd biegła droga na Bydgoszcz.

– Słuchaj, muszę tu zostać dzień lub dwa – powiedział, dotykając policzka. Opuchlizna przy-
mykała mu lewe oko. Włączył światło w kabinie, by przyrzeć się obrażeniom. Kiedy jasność
zalała wnętrze toyoty, zauważył kilka komarów.

– Jak to? Nie możesz wrócić nawet na chwilę? – zdziwiła się Kinga.

– Jeśli mi się uda, to tak zrobię. Rzecz w tym, że kończę ważną sprawę i muszę przypilnować
pewnych ludzi – lawirował. – Ale teraz będę już dzwonił. Obiecuję. W każdym razie najgorsze
za nami.

– No, nie wiem. Myślałam, że pojedziemy z Kluską do weterynarza.

– A co mu jest?

– Nie tknął dziś jedzenia. Nie chce wychodzić na dwór, ciągle śpi.

– Jasna cholera. – Zero Siedem się zaniepokoił.

Nie wiedział, co robić. Bał się, że kiedy Kinga zobaczy go w tym stanie, wpadnie w panikę.
Jednocześnie nie mógł bagatelizować stanu psa.

– Coś wymyślę. Daj mi trochę czasu. Odezwę się przed południem.

– Dobrze. O ile nie zapomnisz.

Wyczuł, że Kinga chce coś dodać.

Nie rozłączyła się. Słyszał w słuchawce jej oddech.

- Tak? - rzucił.

- Jesteś z nią? - spytała cicho.

Zrozumiał, że chodzi o Herman. Kinga jej nienawidziła, chociaż ta nienawiść nie miała żadnych rozsądnych podstaw. Borewicz cenił Marię jako policjantkę i dobrego człowieka, odkąd zaczęła walczyć z nałogiem. Nigdy jednak nie pociągała go seksualnie.

- Teraz nie, ale przecież wiesz, że pracujemy razem.

- Wiem. I masz trzymać się od niej z daleka - rzuciła Kinga i natychmiast się rozłączyła.

Bał się, że jej chorobliwa zazdrość, czająca się dotąd w cieniu, znów wypełnie na pełne słońce. Nie bardzo wiedział, dlaczego tak się dzieje. Ale nasza go straszna myśl.

A co, jeśli tak wygląda początek jakiejś choroby psychicznej? Miał wrażenie, że najgorsze mieli za sobą, lecz Kinga wciąż nie radziła sobie z napadami patologicznej zazdrości.

Chętnie potrząsnąłby głową, żeby pozbyć się czarnych myśli, ale pękała mu z bólu przy najmniejszym ruchu.

- Co za gówno - jęknął.

Uruchomił silnik i wrzucił wsteczny.

Zero Siedem wciąż milczał i nie odbierał telefonów.

A dzwoniła i na komórkę, i do biura w bydgoskiej komendzie. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić jeszcze do Kingi, ale odpuściła – uznała, że da partnerowi czas.

Ze Starego Miasta wróciła do domu autobusem.

Z trudem wytrzymała nieznośny zaduch w nagrzanym pojeździe, dlatego wysiadła przy stanek wcześniej.

W domu wzięła chłodny prysznic, a potem zabrała laptopa na balkon i czekała, aż się uruchomi. Gdzieś w oddali słyszała erkę.

Oparła się o balustradę i oglądała ogródek, ziemię suchą jak pieprz; trawnik był coraz bardziej żółknięty. Powinna wykopać dwie zupełnie zbrązowiałe tuje i kilka krzaków, których suche badyle ocierały się o płot.

Herman czuła się odpowiedzialna za ten dom, który – jeśli to była prawda – matka odzyskała dla niej. Teraz ten dom potrzebował Marii Herman, lecz ona nie wiedziała, czy umie mu się odwdziżyć. Czy w ogóle go potrzebuje.

Pamiętała, że ojciec relaksował się pracą w ogrodzie; z wiekiem wracał z niego coraz bardziej zmęczony i przygarbiony, ale wciąż pełen satysfakcji. Pielił, sadił rośliny, obrywał chore liście, opryskiwał róże, które każdego lata padały ofiarą zmasowanych ataków mszyc. Czuł się zespoleony z tym skrawkiem ziemi, który kochał i pielęgnował, co sprawiało, że rzadko mógł go w pełni podziwiać, siedząc na ławce z kubkiem kawy w ręku, cieszyć oczy paletą barw kwitnących krzewów i drzew, soczystą zielenią przyciętej trawy i obserwować motyle, które obsiadały budleję Dawida.

Gdyby dziś usiadł obok córki na tarasie, pewnie miałby łzy w oczach. Nigdy by nie oskarżył Marii o zaniedbanie, nie powiedziałby jej złego słowa. Co najwyżej zrzuciliby winę na sytuację. Na te nieznośne, śmiercionośne upały.

I jeszcze by ją złapał za rękę, pogładził po wierzchu dłoni i pocieszył, że odratuje, co się da, że posadzi nowe rośliny, że wszystko będzie jak dawniej.

Zrobiłby tak. Była o tym przekonana.

Zrobiłby tak, gdyby żył.

Maria odebrała pocztę.

Interesowały ją wiadomości z biura detektywistycznego Beaty Walter. Kiedy maile zapełniły skrzynkę, odnalazła ten z linkiem do fotografii. Zgrała je do nowo utworzonego folderu na pulpicie i zaczęła przeglądać, klikając w strzałkę i uzyskując efekt poklatkowego, urywanego filmu. Zastanawiała się, czy te slajdy będą stanowiły wystarczającą poszlakę dla Legnera, żeby zlecił biegłemu zbadanie ubrań dziewczynki.

Kilka kropel wody z jej mokrych włosów spadło na klawiaturę; starła je dłonią.

Na kolejnych zdjęciach widziała, jak Solski wychodzi z domu Chudzińskiej, zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. Potem dźwiga nosidełko z dzieckiem – jedno ze zdjęć nie pozostawiało wątpliwości, że to była Zuzanna – i rozglądając się, zmierza w kierunku swojego domu. Na podjeździe, w cieniu rzucanym przez drzewa, podchodzi do srebrnego Citroena i otwiera drzwi od strony pasażera. Ustawia nosidełko i siada za kierownicą. Samochód rusza. Kolejne zdjęcia przedstawiają tył auta z widocznym numerem rejestracyjnym. Następna seria

ujęć układa się w inny obraz. Solski z nosidełkiem w dłoni wchodzi po schodach do żłobka i znika za drzwiami.

Na pozostałych fotografiach mężczyzna wychodzi z budynku z telefonem przy uchu. Herman sprawdziła datę i godzinę widoczną na zdjęciu. Środa pierwszego czerwca, krótko po ósmej.

Zdała sobie sprawę, że jej oddech stał się płytki.

Wstała i poszła do pokoju po wykaz rozmów.

Sunęła palcem po kolejnych datach na wydruku. Kiedy odnalazła tę właściwą, zaszumiało jej w uszach.

Wróciła na balkon i na wszelki wypadek raz jeszcze porównała dane z billingu z oznaczeniem dnia i godziny na fotografii.

Rejestr połączeń nie kłamał. Solski zadzwonił na swój drugi numer. Połączenie trwało krótko, bo zaledwie szesnaście sekund. Tyle wystarczy, by uspokoić matkę dziecka, że jej córka jest już w żłobku, życzyć kobiecie dobrego dnia i zapewnić ją o swojej miłości.

Wpatrywała się w liczby określające daty oraz godziny, aż wreszcie odłożyła plik kartek i porwała wilgotne włosy.

Zapaliła papierosa. Wciągnęła dym do płuc i przytrzymała go, żeby się uspokoić. Mimo to wciąż drżała.

Czuła się tak zawsze wtedy, gdy mgła wokół zagadki kryminalnej zaczynała się z wolna przędzać. I chociaż nie widziała jeszcze pełnego obrazu, rozumiała coraz więcej.

Co miała do tej pory?

Romans Chudzińskiej z Solskim. I potwierdzenie, że mężczyzna odwoził nie swoje dziecko do żłobka.

I jeszcze kilka innych rzeczy.

Przede wszystkim musiała wspólnie z Borewiczem odtworzyć przebieg zdarzeń z ósmego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku, czyli z dnia tragicznej śmierci rocznej córki Chudzińskiej. Dnia, w którym mąż kobiety wyjechał wcześniej z domu i w którym Solski przebywał na zwolnieniu.

Herman zgasila peta w słoiku wypełnionym wodą.

Analizowała dane i wciąż nie wiedziała, co z nimi zrobić. Jaki to wszystko ma sens i czego jeszcze nie widzi? Kto był za co odpowiedzialny? Jaki wpływ na kochanków miała tragedia i jak do niej doszło?

Maria Herman wróciła myślami do przesłuchania Moniki Chudzińskiej w obecności prokuratora, kiedy minął szok, leczenie farmakologiczne przyniosło pozytywny efekt i młoda matka była zdolna do rozmowy.

Chudzińska zaprzeczała, że to ona miała zawieźć dziecko do żłobka; zarzekała się, że zrobił to jej mąż.

A co, jeśli wyparła ze świadomości udział kochanka? Może poprosiła go o przysługę, tak jak zrobiła to wcześniej? Tylko dlaczego dziecko nie trafiło do placówki?

Co się mogło stać?

Herman nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Mimo to pewne wątki zaczynały się ze sobą splatać. Maria poddała się gonitwie myśli, błędząc wzrokiem po wypalonym słońcem trawniku. Krew pulsowała w skroniach, zaschło jej w gardle. W końcu spojrzała na niewielki kamień, który leżał przy pustej donicy.

Wtedy poczuła na rękach gęsią skórę.

– Rany boskie – wyszeptła.

Runda pierwsza dla ciebie.

Olgiert wysłał esemesa do Grzegorza Lipskiego, gdy jakiś czas po wschodzie słońca przebudził się na parkingu pod McDonaldem przy Szosie Lubickiej. Zaszło mu w ustach, żołądek skurczył się boleśnie z głodu.

Przed sobą miał szeroką arterię, która przecinała największe miejskie blokowisko i wyprzedzała ruch z miasta na wschód, w stronę Warszawy.

Zaczynał się poranny szczyt komunikacyjny.

Otworzył drzwi, żeby przewietrzyć zaduch panujący w toyocie. Wyprostował oparcie fotela i ziewnął, przecierając suche oczy. Zerknął na budynek McDonalda. Kilka samochodów czekało w kolejce do okienka, przy którym wydawano zamówienia.

Miał ochotę wejść do środka, ale uznał, że lepiej nie pokazywać się z podbitym okiem. Uruchoił więc silnik i objechał budynek. Przy podświetlonym menu opuścił szybę i kiedy w głośniku odezwał się męski głos, złożył zamówienie na obfite śniadanie, po czym przejechał za narożnik restauracji, by odczekać swoje w kolejce.

Odebrał kolejną z wielu wiadomości od Herman, ale zignorował ją, tak jak poprzednie. Musiał wymyślić najpierw jakiś wiarygodny powód, dla którego uparcie milczał.

A poza tym, skoro śledztwo w sprawie Chudzińskiej utknęło w martwym punkcie, wolał zabrać się za Lipskiego. Tym bardziej że zegar tykał. Borewicz wiedział, że szef w końcu straci cierpliwość.

Zero Siedem zaspokoił głód i pojechał na pobliską stację BP, gdzie kupił środki przeciwbólowe i zimnego energizera. Kasjerka przyglądała mu się z uwagą, ale nie skomentował swojego wyglądu ani nie próbował obrócić obrażeń w żart. Zabrał zakupy, znowu zamknął się w toyocie i natychmiast włączył klimatyzację na najwyższe obroty. Raz wiała zimnym powietrzem, raz ledwie chłodnym i rzęziła okropnie.

Tymczasem ranek zapowiadał pogodowy kataklizm. Słońce było jeszcze nisko, a samochodowy termometr wskazywał już dwadzieścia osiem stopni.

Borewicz wypił kilka łyków dobrze schłodzonego napoju i wybrał numer Lipskiego. Kiedy ten nie odebrał, wysłał wiadomość.

Zamęczymy matkę wezwaniami na komisariat. Tego chcesz?

Odpowiedź nie nadchodziła, więc Zero Siedem miał dwie opcje do wyboru. Mógł pojechać do mieszkania Lipskiego, bo miał adres od jego matki. Nie sądził jednak, żeby po tym, co się stało, chłopak otworzył drzwi i zaprosił policjanta na kawę. Dlatego Olgiert postanowił raz jeszcze odwiedzić Eugenię Lipską.

W drodze przedzwonił do szefa kryminalnych z toruńskiej komendy. Korcz odebrał po kilku sygnałach, ale mówił szeptem:

– Jestem na naradzie w Bydgoszczy. Co tam?

– Masz coś nowego w sprawie zaginięcia Doroty Lewandowskiej? – Borewicz zwolnił do przepisowych czterdziestu kilometrów na godzinę, bo tuż przed łukiem na Szosie Lubickiej, za którym znajdowały się przejście dla pieszych i przystanek tramwajowy, na kierowców czyhał ukryty fotoradar.

– Drobną ślad w monitoringu miejskim – rzucił Korcz nieco głośniejszym głosem, jakby wyszedł na korytarz. – Nasi połączyli kropki.

- To znaczy?
- Rano w dniu zgłoszenia jej zaginięcia z bramy kamienicy przy Broniewskiego, tam gdzie wynajmowała pokój, wyjechał stary mercedes.
- Olgiard przypomniał sobie chłopaka, który wymieniał klocki hamulcowe w przednim kole.
- No i? Prowadziła? Siedziała w nim? - zapytał.
- Nie, ale to świeża sprawa. Pójdziemy tym tropem.
- Wiesz, do kogo należy samochód?
- Tak. Do Eugenii Lipskiej.
- Borewicz zaskoczyła ta informacja. Uniósł brwi.
- Serio? - spytał, zjeżdżając ze wzniesienia w dół pod mostem kolejowym, który szpeciły rozświetlone słońcem ogniska rdzy.
- Serio. Ale to nie ona siedziała za kółkiem.
- A kto?
- Wydaje się, że jakiś młody facet, ale na pewno nie był to jej syn. Wczoraj wieczorem nasi chcieli odwiedzić panią Lipską w domu, żeby zapytać ją, komu pożyczyła samochód, ale nie otworzyła. No, w każdym razie dziś też tam zajrzą - zapewnił Korcz i dodał: - Zresztą kto wie, czy już ich tam nie ma.

Borewicz zaparkował pod netto i przeszedł ulicą Reja w kierunku kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie Lipskiej. Okno pokoju Doroty Lewandowskiej było zamknięte, a jeszcze niedawno miało uchylony lufcik.

Nie miał złudzeń. Żle to wróżyło.

Wszedł do bramy i zerknął w kierunku blaszaka. Przed garażem straszły dwa długie, równoległe paski brunatnej ziemi, spomiędzy których niemrawo wyrastały chwasty.

Po mercedesie nie było śladu.

Zapukał do drzwi mieszkania, ale nikt mu nie otworzył.

Olgiard pomasaował obity policzek i skrzywił się z bólu.

Zadzwoił pod oba numery, i do Lipskiej, i do Lipskiego, lecz oboje mieli wyłączone telefony.

Stanął na skraju podwórka i rozejrzał się po zaniedbanym terenie. Z tyłu znajdowały się kolejne garaże, murowane, z drewnianymi lub blaszanymi wrotami. Trawa porastała gęsto boki działki, a pośrodku, tam gdzie rosła duża, niemal na wpół uschnięta lipa z pożółkłymi liśćmi, ziemia była zupełnie wydeptana i wyjeżdżona przez samochody. W rogu sterczały przerdzewiała pralka i rozłożona wersalka z rozdartą tapicerką, z której strzępiła się gąbka. Na kubie na śmieci leżały potamany kolorowy latawiec i długa, spleciona linka.

Borewicz cofnął się do bramy i wybrał drzwi naprzeciwko mieszkania Eugenii Lipskiej. Otworzył mu starszek, którego poznał niedawno. Olgiard przypomniał mu to spotkanie.

- Pamiętam, pamiętam. W czym mogę pomóc tym razem? - zaskrzeczał mężczyzna z plamami wątrobowymi na łysawej skórze głowy, bacznie przyglądając się policjantowi.
- Eugenia Lipska wyjechała?
- Wczoraj syn ją dokądś zabrał. Chyba zdążył się pan z nią zobaczyć?
- Tak, ale znowu mam do niej parę pytań.
- Nie miała żadnej walizki ani torby, więc pewnie wkrótce wróci.
- A ten chłopak, który grzebał przy mercedesie? Gdzie mieszka?
- Aaa, Michaś Skrzycki. To pan zadzwonił pod dziewiątkę. Wejście od ulicy - wyciągnął palec wskazujący. - A co się panu stało w twarz?

- Nic takiego, chwila nieuwagi. Taka to służba - wyjaśnił Borewicz, po czym pożegnał się i wyszedł z bramy. Słońce grzało go w plecy, gdy czekał pod drzwiami, aż ktoś podniesie słuchawkę domofonu.

Wiedział, że toruńscy policjanci albo już trafili do chłopaka, albo zrobią to wkrótce, dlatego nie mógł wejść do mieszkania na blachę.

- Halo? - odezwała się zaspana kobieta.

- Części do mercedesa przywiozłem. Dla Michała.

- Syna nie ma. Poza tym nic nie wiem o żadnych częściach.

- Zamówił trzy dni temu.

Kobieta nie siliła się na dalszą rozmowę. Odwiesiła słuchawkę.

Borewicz zacisnął zęby i z całych sił uderzył pięścią w elewację, aż zaboląły go kłykcie i zapiekła skóra.

Na tynku zostały drobne ślady krwi.

Herman obejrzała się za odjeżdżającym nissanem patroliem.

Kilkadziesiąt minut temu, nie bez wątpliwości, zadzwoniła do Arka Grocha i poprosiła go o przysługę. Nie wspomniał o ich pocałunku ani przez telefon, ani później, w trakcie drogi. Po prostu nie wracał do tego. Bez wahania podrzucił ją pod nowo wybudowany dom w środku pola na terenie podtoruńskiego Głogowa i oddalił się do sklepu.

Białe pył wzbijał się spod kół i tworzył mleczny obłok.

Herman przeniosła wzrok na skąpane w słońcu zielone łodygi kukurydzy. Sterczały nieruchomo, podobnie jak pszenica, porastająca hektary po drugiej stronie gruntowej drogi. W oddali ciemniał las, zasłaniający linię horyzontu poprzecinanego smugami kondensacyjnymi. Jedne były smukłe i wyraźne, inne coraz bledsze i szersze, rozwiewane przez silne wiatry w troposferze.

Solski musiał być na miejscu, bo przed domem stał jego citroën. Tylko dlatego Maria zdecydowała się wysiąść z auta Grocha.

Droga do Głogowa w zasadzie upłynęła im w milczeniu. Herman wsłuchiwała się w rozmowę dziennikarki TOK FM z politolożką z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na temat wojny w Ukrainie. Raz tylko, krótko po tym, jak opuścili osiedle, na którym mieszkała, Groch zapytał ją, czy dach nie przecieka, ale przecież od chwili, gdy położył papę, w ogóle nie padało. Dobrze o tym wiedział. Niemniej raz jeszcze mu podziękowała.

– Drobiazg – odparł i chciał jeszcze coś dodać. Kątem oka widziała, że otworzył usta, ale zrezygnował.

Gdy opuścili Toruń, Maria Herman zaczęła się zastanawiać, co czuje do tego potężnego mężczyzny z burzą włosów na głowie, który zawsze chętnie jej pomagał. Od pewnego czasu Arek Groch, szef sztabu toruńskiej komendy, znowu coraz częściej pojawiał się w jej myślach. Powstrzymywała się od telefonów, od zagadywania go, ale kiedy inicjatywa była po jego stronie, chętnie korzystała. Niemniej bała się powrotu do związku, a może raczej tego, że sprowadzi ją on na złą drogę, bo przecież wcześniej związała się z Grochem dla pieniędzy, które przegrała, obstawiając wyniki meczów. Jakby to Groch stał za jej nalogiem.

A poza tym nie wiedziała, czy w ogóle umiałyby stworzyć dobry związek. Czy rzeczywiście tego chciała? Skoro wciąż jeszcze nie potrafiła zaufać samej sobie?

Tumany kurzu, które ciągnęły się za samochodem Grocha, zaczęły opadać, ale dostrzegła błysk słońca na krawędziach karoserii nissana patrola, kiedy terenowy wóz skręcił w lewo i zniknął za odległymi zabudowaniami gospodarstwa rolnego.

Przeniosła wzrok na drzwi domu Solskiego i zaskoczona zobaczyła w nich gospodarza, ubranego jedynie w dżinsowe szorty. Opalona skóra opinała chude ciało i podkreślała wystające żebra. Klatkę piersiową porastały kędzierzawe siwe włosy, układające się w krzyż.

– Pani do mnie? – Solski podrapał się po przedramieniu. – Przecież nie byliśmy umówieni. Zaraz wyjeżdżam.

Herman podeszła do otwartej bramy.

– Ja tylko na chwilę. Chciałabym porozmawiać o kilku nieścisłościach w pana zeznaniach.

– Nieścisłościach? Jakich nieścisłościach?

Maria Herman wiedziała, że będzie musiała bardzo uważać nie tylko na to, co powie, ale też na to, jakie wnioski z tej rozmowy wyciągnie Solski.

Zerknęła na zegarek.

– Zajmę panu nie więcej niż piętnaście minut. – Zrobiła kilka kroków w kierunku palet imitujących schody.

– Cholera, mogła mnie pani uprzedzić – sarknął. – Proszę poczekać. Założę coś na siebie. – Cofnął się do wnętrza.

Drzwi się zamknęły, a Herman spojrzała na swój krótki cień, który koślawił się na piachu.

Potem przeniosła wzrok na samochód, stojący w pełnym słońcu, i zastanowiła się, jaka może w nim panować temperatura.

Po jej plecach potoczyły się dwie krople potu.

Zanim tu przyjechała, odnalazła dawnego pracodawcę Solskiego, biuro architektoniczne Perspektywa, i pojechała z Grochem do biura rachunkowego obsługującego tę firmę, żeby na miejscu się dowiedzieć, kiedy dokładnie Solski wziął zwolnienie lekarskie w czerwcu dwa tysiące siedemnastego roku. Okazało się, że jego żona miała rację. Okres L4 przypadał na tydzień, w którym w rodzinie Chudzińskich doszło do tragedii.

Herman grzebała obcasem w piachu, gdy drzwi otworzyły się ponownie.

Solski niechętnie zaprosił ją do domu, wygładzając T-shirt z wizerunkiem trupiej czaszki.

– Piętnaście minut – zastrzegł. – Bo i tak jestem już spóźniony.

Wtedy stara nokia Herman rozbrzmiała prostą melodyjką.

Dzwonił Zero Siedem.

Podkomisarz Borewicz dał sobie czas.

Poszedł do apteki, która znajdowała się w ciągu sklepów przyległych do netto, i kupił spray do odkażania ran, a także zestaw plastrów. Dopiero gdy je nakleił, zdał sobie sprawę, że z podbitym okiem i świeżymi ranami na dłoni wygląda jak zakapior.

Zjadł drożdżówkę i twixa, którego popił kolejnym zimnym energizerem. Zdażył usiąść w toalecie, gdy spał go nagły, ostry skurcz w dole brzucha, zwiastujący natychmiastowy rozstrój żołądka.

– Kurwa – jęknął i zaniepokojony pojechał na stację BP, znajdującą się naprzeciwko galerii Toruń Plaza.

Ledwo zdażył do toalety, a bolesny skurcz nie ustępował.

Zamówił herbatę i zabrał ją ze sobą do samochodu z nadzieją, że klimatyzacja szybko ją ostudzi, po czym połknął dwie tabletki przeciwbólowe.

Kiedy ucisk nieco zelżał, Zero Siedem zastanowił się, co dalej.

Szczerbski wciąż nie dzwonił i to nie był dobry znak. Policjant uznał, że mimo złych wieści, które miał szefowi do przekazania, powinien być z nim w stałym kontakcie. Nawet jeśli zostanie zrugany, koniec końców Szczerbski doceni jego starania.

Pieniądze w zasadzie nie powinny mieć dla Borewicza większego znaczenia, w końcu ożenił się młodą laską, która miała dzianych starych. W garażu stało wymarzone subaru. Kłopot polegał na tym, że jego relacje z teściami były napięte, a on wołał nie uzależniać swojego dobrobytu od ich humorów. W każdej chwili mogli zakręcić kurek z przelewami. Oczywiście nie odciąliby córki od pieniędzy, ale znaleźliby inny sposób, by zadbać o nią i wnuczkę, a pominąć Olgierda.

Znów złapał go skurcz jelit. Czuł się tak, jakby ktoś wyżył mu wnętrzności. Ostrożnie wypił kilka łyków gorącej herbaty, po czym zadzwonił do szefa.

Szczerbski nie odbierał, ale Borewicza to nie zdziwiło. Szef zawsze oddzwaniał, wystarczyło poczekać.

Wrócił pod drzwi niskiej kamienicy przy Broniewskiego, ale tym razem zadzwonił pod kilka numerów i czekał, aż ktoś łaskawie go wpuści. Kiedy znalazł się na chłodnej klatce schodowej, gdzieś otworzyły się drzwi i usłyszał dudniące szczekanie psa oraz donośny męski głos:

– Zamknij się, Dżaba, idiotko. Morda!

Borewicz wspiął się na piętro.

– To pan dzwonił? – W nieco uchylonych drzwiach pojawił się wytatuowany kark w obcisłych bokserkach. Krosty pokrywały jego obszerne ramiona i klatkę piersiową, na której widniał leb niedźwiedzia. Między ścianą a łydką Borewicz dostrzegł Dżabę, która szczyrzyła zęby i warczała. – Morda, suko jebana!

Biały bulterier wpatrywał się groźnie w Borewicza niewielkimi czarnymi oczami. Zero Siedem bał się, że pies przecisnie się między nogami pakera i zaczną się kłopoty.

– Ja, bo co? Do Skrzyckich idę. – Wskazał na odrapane drewniane drzwi i głośno w nie zastukał.

– To po chuj pan do mnie dzwoni? Pojechało?

– Grzeczniej, drogi panie. – Borewicz wyciągnął z kieszeni blachę.

– Grzeczniej? Zaraz cię, mendo jebana, psem poszczuję, kurwa, to zobaczysz! Chuju pierdolony – warknął, ale cofnął się do wnętrza i wtedy Dżaba się rozszczekała. Paker wydarł się na

nią ponownie, a przekleństwom towarzyszyły dwa głośne świsty, po których za każdym razem następował głośny pisk zwierzęcia.

– Co za skurwiel – syknął Borewicz, gdy po chwili wszystko ucichło.

Drzwi Skrzyckich się uchyliły i znieruchomiały, więc je popchnął i zobaczył kobietę w luźnej koszulce i majtkach. Szła w głąb mieszkania.

– Miałeś brać klucze, do cholery. Ile razy mam ci to powtarzać, Michał? – warknęła.

– Dzień dobry – rzucił Borewicz. Kobieta odwróciła się gwałtownie. Zaskoczona obciągnęła koszulę i podbiegła do drzwi. Zamknęła je policjantowi przed nosem.

– Chwila!

Zero Siedem czekał, wpatrując się w odrapane drzwi i brudną framugę, a także dawno nie-malowaną ścianę, na której widział ciemne ślady palców lub części dłoni. Smar albo olej samochodowy, pomyślał.

Kiedy drzwi z powrotem się otworzyły, kobieta miała na sobie szlafrok.

– O co chodzi? – Skrzyżowała ręce na piersiach.

Borewicz zdecydował się wyciągnąć legitymację i okazać ją kobiecie.

– Musimy porozmawiać – rzucił.

– Ale o czym? Coś się stało?

Borewicz zerknął na boki.

– Mam mówić na klatce schodowej?

Odsunęła się na bok i wpuściła go do wnętrza.

Korytarz był długi, wąski i ciemny. Panował w nim zaduch i śmierdziało potem.

– Na prawo – poleciła kobieta.

Borewicz wszedł do niewielkiego pokoju. Na rozłożonej wersalce leżała skołtuniona pościel. Naprzeciwko stał niewielki regał, a na nim spory płaski telewizor. Wszędzie leżały porozrzucone ciuchy.

Okna były pozamykane, rolety zaciągnięte.

Borewicz obawiał się, że się tu udusi.

Podszedł do drzwi balkonowych i otworzył je na całą szerokość, a potem podciągnął roletę zewnętrzną.

Pokój zalało jaskrawe światło, ale na napływ świeżego powietrza nie mógł liczyć.

Kobieta zmrużyła oczy i odwróciła głowę.

– Gdzie jest Michał? – spytał.

– Nie wiem. Ale o co chodzi? Stało mu się coś?

– To ja tu zadaję pytania.

– Nie wiem, gdzie jest. Wróciłam z nocki i wydawało mi się, że śpi w swoim pokoju. Ale może wcale go nie było. W każdym razie nie sprawdzałam. Od razu położyłam się spać.

– Nie mówił pani wcześniej, dokąd się wybiera?

– Nie. – Przysiadła na sofie. – Co się stało? Może mi pan wreszcie powiedzieć?

– Policja już tu była?

– Słucham?

– Dobrze pani słyszała.

– Nie. Nie było tu żadnej policji.

Borewicz skinął głową.

Uznał, że ma niewielką przewagę nad kolegami z toruńskiej komendy, którzy zajmowali się zaginięciem Doroty Lewandowskiej. Był jednak pewien, że funkcjonariusze pójdą tropem na-

grania z monitoringu, a skoro są przekonani, że ani Grzegorz Lipski, ani jego matka nie siedzieli za kierownicą mercedesa, szybko dotrą do Michała Skrzyckiego.

– Pani syn umie jeździć samochodem?

– Ma dopiero szesnaście lat.

– Nie pytam o wiek. Umie czy nie?

– Umie. Ale nie ma jeszcze prawa jazdy, więc...

– Słyszała pani o zaginięciu dziewczyny, która wynajmowała pokój u Eugenii Lipskiej?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie – odparła, wyraźnie zaskoczona. – Nie wiem, o kim pan mówi.

Zero Siedem uznał, że nie będzie kontynuował tego wątku.

– Czy zdarzało się, że Michał kierował mercedesem Lipskiej?

– To samochód jej syna, Grzegorza.

– Zdarzało się? – powtórzył z naciskiem.

– Nie wiem. Możliwe. Wiem, że coś w nim naprawia, stale chodzi umorusany. Grzesiek mu płaci jakieś grosze. Czasami jeździli gdzieś razem.

– Syn się uczy?

– Tak. W samochodówce.

Borewicz pokiwał głową. Skoro chłopak wybrał taką szkołę, na pewno już dawno nauczył się prowadzić. Olgierd pamiętał, co wyprawiali jego znajomi z podstawówki, gdy poszli do technikum samochodowego w Bydgoszczy, jak podkradali ojcom kluczyki i szaleli autami po mieście i w pobliskich wioskach. Żaden z nich nie miał prawa jazdy, ale gnali jak Hołowczyc po mazurskich lasach.

– Niech pani zadzwoni do syna – rozkazał.

Kobieta przetarła twarz.

– Boże, w co on się znowu wpakował? Mówiłam mu, żeby uważał na tego Grzegorza – jęknęła i zaczęła się rozglądać po pokoju.

Zdjęła ubrania ze stolika, podniosła te leżące na dywanie, zajrzała pod kołdrę i pod poduszkę.

– Cholera jasna – rzuciła i wyszła z pokoju.

Borewicz poszedł za nią.

– Niech mi pani poda swój numer, zadzwonię.

– Chyba mam wyciszony. – Kobieta zajrzała do kuchni, a potem przecisnęła się obok Olgierda i podeszła do komody w przedpokoju. Uniosła stertę korespondencji, ale tam też nie było telefonu.

W końcu podyktowała Borewiczowi numer, a policjant wystukał go na klawiaturze i wcisnął zieloną słuchawkę. Oboje nasłuchiwali w milczeniu.

– O! Mruczy gdzieś. – Matka chłopca wróciła do pokoju. Odsunęła wersalkę i wcisnęła się między nią a ścianę. – Jest. – Uniosła aparat i Borewicz się rozłączył.

– Niech pani dzwoni do syna – polecił ponownie.

Kobieta przysiadła na skraju sofy i ważyła telefon w dłoni.

– Czy on coś przeskrobał? – Patrzyła niepewnie na policjanta.

– Właśnie to bym chciał ustalić.

Wybrała numer. Borewicz przygryzał wewnętrzną część policzka i zastanawiał się, co zrobi, jeśli młody nie odbierze. W jaki sposób go odnajdzie?

Skrzycka, wciąż trzymając aparat przy uchu, wzruszyła ramionami.

- Nie odbiera - stwierdziła.

Kurwa mać, jęknął w duchu Borewicz.

Wpisał numer chłopaka do swojego telefonu i powiedział kobiecie, że ma go natychmiast poinformować, jeśli syn wróci do domu.

- A jak za chwilę oddzwoni? - spytała, gdy policjant ruszył w kierunku drzwi.

W tym momencie Zero Siedem usłyszał znajomą melodię. Zatrzymał się.

- Gdzie jesteś? - warknęła do telefonu matka Michała, ale Borewicz podszedł i odebrał jej aparat.

- Podkomisarz Olgierd Borewicz, policja. Widzieliśmy się przy mercedesie - wyjaśnił. - Moi koledzy mają cię na celowniku. Jestem twoją jedyną szansą.

Słyszał oddech chłopaka i czekał na jego reakcję.

- Ale co ja niby... - głos drżał młodemu ze strachu.

- Dobrze wiesz - warknął Zero Siedem. - Dorota Lewandowska, zaginiona sąsiadka. Już rozumiesz?

- Ale...

- Wezmą cię na dotek, a zaręczam, że nie chcesz się tam znaleźć - ostrzegł.

- Ale, proszę pana... - dukał Michał.

- Zamknij się i słuchaj uważnie - przerwał mu Olgierd, wpatrując się w szeroko otwarte oczy jego matki. Kobieta uniosła dłoń do ust. - Policja idzie twoim śladem i to tylko kwestia czasu, kiedy wywloką cię z tego samochodu. Będzie tak jak w filmach, tylko że to nie będzie film, rozumiesz? - blefował Olgierd.

- Tak, tylko że...

- Zamknij się! - ryknął Zero Siedem. - Twoja matka wie, że jestem policjantem i że chcę ci pomóc. Gdzie jesteś?

Chłopak podał mu adres.

- Gdzie mercedes?

- Wczoraj w nocy Grzechu wziął ode mnie kluczyki.

- Dobra. Nie ruszaj się stamtąd. Zaraz będę - rzucił i oddał telefon jego przerażonej matce. - Jeśli policja do pani zapuka, mnie tu nie było, jasne? Dla dobra pani dziecka. Czy to jasne? - powtórzył, a ona skinęła głową.

Wybiegł na zewnątrz i miał wrażenie, że trafił do sauny. Chodnik podgrzewał podeszwy new balance'ów. Ulicą Broniewskiego ciągnął sznur samochodów, smród spalin tężał w powietrzu. Trudno się oddychało.

W drodze do samochodu Borewicz zadzwonił pod numer alarmowy policji.

- Sąsiad katuje Dżabę - stwierdził konspiracyjnym szeptem, gdy połączenie zostało odebrane.

- Kogo?

- Psa. To znaczy sukę. Wabi się Dżaba. Co rusz słyszę, jak się nad nią znęca, ale dziś to już przesadza. Bije ją i bije, a ona ciągle wyje.

- Poproszę o adres sąsiada.

Zero Siedem podał go z wielką ochotą.

- Tylko się pośpieszcie! Bo pies nie przeżyje. A wtedy podam was do gazety - dodał i się rozłączył, a następnie, przechodząc na pasach, wybrał numer do Marii Herman.

Czas wrócić do żywych, pomyślał.

Komisarz Herman z zalem odrzuciła połączenie od Olgierda i weszła do domu Solskiego.

Nie miała czasu porozmawiać z partnerem, ale skoro dzwonił, to znaczy, że nic mu nie było. Uznała, że skontaktuje się z nim po wizycie w samotnym domu pośród pól.

Gospodarz z miną cierpiętника wskazał ręką na stół, przy którym siedzieli ostatnio.

– Tylko załatwmy to szybko – poprosił. – Ktoś panią tu przywiózł?

Herman zignorowała pytanie i usiadła. Przez jakiś czas wpatrywała się w mężczyznę, który usiadł naprzeciwko niej, złączył dłonie i oparł je na blacie.

– Dlaczego pan kłamał?

Formalny uśmiech gospodarza przygaśł.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie chorobowego.

– To znaczy?

Herman odwróciła się do okna i popatrzyła na nieruchome łąny zbóż, które stykały się z błękitnym niebem.

– Jasne. Może pan grać na czas, unikać odpowiedzi i udawać przede mną idiotę. Pana wybór. – Wstała. – Do zobaczenia na komendzie w Bydgoszczy.

Ruszyła do drzwi i wyszła na zewnątrz.

Stanąwszy przy drodze poza działką Solskiego, wyjęła komórkę i zadzwoniła do Grocha.

– Podjedziesz? – odezwała się, gdy odebrał.

– Szybko poszło – zagwizdał. – Jasne, zaraz będę.

Maria sięgnęła po papierosa. Oślepią słońcem, przystawiła dłoń do czoła i mrużąc oczy, wbiła wzrok w odległy koniec drogi. Chciała zobaczyć tam samochód Grocha i kłęby jasnego kurzu, które ciągnąłby za sobą. Upał uderzał w nią z siłą młota i odbierał dech. Serce kołatało jej w piersi. Paliła nerwowo, obawiając się kolejnego ataku paniki.

– Dobra, załatwmy to tutaj, okej?

Herman odwróciła głowę w kierunku domu.

Solski stał w drzwiach.

Nie odpowiedziała i ponownie zerknęła na drogę.

– Halo?

– Czas minął. Dziękuję za rozmowę. – Zaciągnęła się i wydmuchała siwy obłok.

– No, niech pani nie żartuje.

Kątem oka zauważyła, że idzie w jej stronę.

– Usiądźmy i pogadajmy. Nie mam czasu na jeżdżenie do Bydgoszczy – marudził.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – warknęła, gdy przy niej stanął lekko zgarbiony.

– Mogłem się pomylić, nie? – Wyglądał na szczerze zmartwionego. – To było dawno temu. W sumie pięć lat. Wydawało mi się, że wziąłem to zwolnienie przed śmiercią dziewczynki.

Droga wciąż była pusta i serce Marii przyspieszyło. Pot wypełzał na czoło i plecy. Krew lapała w skroniach, aż pociemniało jej przed oczami. Trzymała kurczowo papierosa, jakby to była balustrada, której się chwyciła, żeby nie upaść. Wiedziała, że w tej sytuacji nie zrobi kroku.

– Przepraszam – Solski spowaźniał. – Usiądźmy i pogadajmy. – Wskazał na otwarte drzwi.

– Jeszcze jedno kłamstwo i zobaczymy się w Bydgoszczy – ostrzegła.

Skinął głową, po czym zrobił krok w stronę domu.

– To co, idziemy?

– Pałę! – Zaciągnęła się i zawiesiła wzrok na linii horyzontu. – Dotarłam do kobiety, którą widział pan w ogrodzie Chudzińskich.

– Słucham? – znieruchomiał.

– Rozmawiałam z nią. Wiem więcej, niż się pan spodziewa. – Kolejny raz dała sygnał, że pęta się zacieśnia.

– Czego pani ode mnie chce?

– Prawdy. – Zmrużyła oczy i spojrzała na niego. – Ale zacznijmy od testu prawdziwości.

– Czyli?

– Dorotę Lewandowską pierwszy raz zobaczył pan w gazecie. Nigdy nie pojawiła się w ogrodzie Chudzińskich. Wskazał pan na nią tylko po to, żeby nas zmylić. Żebyśmy poszli w złym kierunku, podczas gdy jedyną osobą na działce sąsiadów mogła być Beata Walter – stwierdziła policjantka.

Solski rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. Nie wiedział, co zrobić z rękoma. W końcu oparł pięści na biodrach.

– Trochę się pogubiłem – przyznał i dotknął głowy.

– „Trochę” to mało powiedziane. – Maria przeszywała go wzrokiem i miała ochotę postrzążyć paragrafami, ale uznała, że na to będzie jeszcze czas.

– Czyli o romansie z Chudzińską też pani wie? – Pochylił głowę.

– Od kiedy to trwało? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Trwało? – parsknął. – To była krótka, właściwie jednorazowa przygoda. Szybko się zaczęło i szybko skończyło. Bywa – wyjaśnił.

– Gdyby to była krótka przygoda, nie dałby jej pan swojego telefonu firmowego, prawda?

Trafiła, bo zerknął na nią spłoszony.

Na końcu drogi, między polem kukurydzy a hektarami pszenicy, pojawił się nissan patrol.

Groch jechał powoli, a mimo to biały pył, podobny do obłoków, pęczniał za samochodem.

– Chciałem być z nią w kontakcie – przyznał Solski. – Tak, straciłem dla niej głowę, ale potem ta śmierć dziecka...

– O tym też chciałam z panem porozmawiać – przerwała mu Herman. Rzuciła peta pod nogi i wdeptała w grunt. – Czy zdarzyło się panu kiedykolwiek odwiedzić dziecko Moniki Chudzińskiej do żłobka?

Solski się zaśmiał.

– Że co? Zwariowała pani? Nigdy w życiu.

– Nigdy w życiu? Naprawdę?

Groch był już w połowie dystansu i Herman poczuła się pewniej.

– Oczywiście, że nie. Skąd pani to przyszło do głowy?

– Dziękuję, to wszystko – odparła i zrobiła kilka kroków przed siebie. Minęła zdezorientowanego Solskiego i zeszła na pobocze. Za nią wznosiły się łodygi kukurydzy.

– Halo. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie! – Solski podszedł do niej i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

Popatrzyła mu w oczy.

– Dobrze wiesz, że to robiłeś, skurwielu. Raz na pewno – powiedziała cicho, podczas gdy pomruk silnika narastał. – A Chudzińska zapewniała, że feralnego dnia to nie ona zawiozła córkę

do żłobka.

Groch zatrzymał terenówkę i Maria poczuła powiew gorącego powietrza od strony silnika. Szarpnęła klamkę i usiadła w fotelu pasażera.

Groch się nie odezwał, a Solski wciąż jeszcze stał na drodze, gdy nawrócili przed jego domem i odjechali.

– Wciąż tam stoi i gapi się w naszą stronę – poinformował policjant, a Herman położyła dłoń na jego potężnym udzie.

– Wiem – odparła i gdy spojrział na nią zaskoczony, nachyliła się, żeby go pocałować.

Broda i wąsy Grocha połaskotały ją w usta. Potem Maria opadła na oparcie fotela i podczas dalszej drogi oboje milczeli, zawstydzeni.

W jej głowie odbijały się słowa, które dobrze znała.

„Zła dziewczynka, zła dziewczynka”.

Głos należał do jej matki.

Michał Skrzycki, uczeń toruńskiego technikum samochodowego, tkwił w cieniu topól rosnących przy przeźartym rdzą ogrodzeniu na zapleczu Szkoły Podstawowej nr 11 imienia Pabla Nerudy w Toruniu. Tuż obok wyrastała inna szkoła, a na zatłoczonym parkingu smażyły się samochody. Słońce połyskiwało na karoseriach i odbijało się od szyb, rażąc Olgierda. Nawrócił przy otwartej bramie, umożliwiającej wjazd na teren podstawówki.

Opuścił szybę i krzyknął na chłopaka, który wpatrywał się w ekran smartfona. Młody uniósł głowę. Dopiero po chwili odkleił się od pnia topoli i ruszył w jego stronę.

Borewicz okazał mu legitymację, żeby dzieciak wiedział, z kim ma do czynienia. Kiedy, przestraszony, w końcu zajął miejsce w fotelu, Zero Siedem poczuł kwaśny smród potu. Kazał chłopakowi zapiąć pas.

– Gdzie jedziemy? – Michał odgarnął z czoła przetłuszczone strąki.

– Nie gdzie, tylko dokąd – poprawił go Olgierd, chociaż sam nie był mistrzem mowy polskiej.

Wrzucił jedynekę i odjechał spod szkoły.

– Na razie musisz się ukryć, żeby moi koledzy nie wzięli cię na przesłuchanie.

Młody z trudem przełknął ślinę.

– Przecież ja nic nie zrobiłem – próbował się bronić.

– Tak ci się tylko wydaje. Ale jak będziesz się upierał przy swoim, to za dwie minuty odstawię cię do matki. Być może są tam już moi koledzy. Chcesz?

Skrzycki zaprzeczył ruchem głowy.

– Więc odpowiadaj na moje pytania i nie waz się kłamać – ostrzegł go Zero Siedem. – Dorota Lewandowska wcale nie zaginęła, prawda?

Chłopak milczał dłuższą chwilę, więc Borewicz pacnął go w udo wierzchem dłoni.

– Pytałem o coś! – rozgniewał się.

– Jak Grzechu się dowie, że go sypnąłem, to urwie mi jaja. – Michał Skrzycki zacisnął pięści.

– Albo on, albo moi koledzy na komisariacie. Wybieraj.

– Kurwa – chłopak jęknął na granicy placzu. Przyłożył dłonie do twarzy i wsunął palce w czuprynę.

– Lipski gównu ci zrobi. Ze mną jesteś bezpieczny.

– A potem? – W oczach chłopaka dostrzegł łzy.

– A potem już nie będziesz musiał się tym martwić. O ile zdecydujesz się mówić prawdę.

– Co z matką?

– Nic jej nie będzie.

– Na pewno?

Minęli wieżowiec i pawilon handlowy z naleśnikarnią na pięttrze. Borewicz wrzucił kierunkowskaz, dając znać, że skręca w prawo. Przez skrzyżowanie z Broniewskiego przejechali prosto, ale Zero Siedem ucieszył się, że policjanci wezwani do brutalnego psa są już na miejscu.

– Widzisz? – wskazał chłopakowi radiowóz zaparkowany wzdłuż szerokiego chodnika.

Wystraszony młodzieńczał głową. Olgierd dojechał do niewielkiego ronda przy Mickiewicza i zawrócił.

– Dokąd teraz? – spytał Michał.

- Na Wrzosy. Ale zanim tam dojedziemy, musisz odpowiedzieć na moje pytania.

Chłopiec rozpostarł palce i przejechał paznokciami po udach, zostawiając na nich długie, zaczerwienione linie.

- Zacznijmy jeszcze raz. Dorota Lewandowska nie zagineła. Grzegorz Lipski kazał ci przewieźć ją w bagażniku mercedesa, prawda?

- Tak.

- Dokąd pojechaliście?

- On ma działkę w Czarnym Błocie. Pod lasem. I tam ma taki drewniany domek.

- Zawiozłeś ją i co było dalej?

- Nic. Wróciłem do domu.

- Ktoś cię widział w tym samochodzie?

- Sąsiad.

- Który?

- Taki stary. Na parterze mieszka.

A zatem pan starszy dużo wie, pomyślał Borewicz.

- Czy Lipski zdaje sobie sprawę, że nie masz prawa jazdy? - zapytał, gdy przejeżdżali obok klubu studenckiego Od Nowa i sąsiadującego z nim wydziału teologicznego, w którym kiedyś mieściła się stołówka uniwersytecka.

- Chyba nie.

- To dobrze - uznał Borewicz. - Lewandowska cały czas tam siedzi? W tym domku?

- Tak. Grzegorz zabrał tam też matkę i sam miał tam spędzić kilka nocy.

- Ty ich zawiozłeś?

- Nie, oddałem mu kluczyki od merola.

- To skąd wiesz, dokąd pojechał?

- No, w zasadzie nie wiem. Ale dokąd miałby matkę zawieźć?

- Może do siebie do domu?

- Chyba nie, bo powiedział, że musi na chwilę zniknąć i żebym trzymał mordę na kłódkę.

- Jak tam dojechać?

- Dokąd?

- No na tę działkę, do cholery. - Zero Siedem się zezłościł.

Zwolnił, żeby umożliwić włączenie się do ruchu białemu autobusowi komunikacji miejskiej, który wyjechał z zatoki przy Świętego Józefa. Po lewej minęli kompleks sportowy UMK, a nieco dalej wyrastał otynkowany na żółto kościół redemptorystów.

- Wyślę panu pinezkę - zaproponował, a Olgierd przydyktował mu swój numer telefonu.

- Dlaczego Lewandowska musiała zniknąć? - odezwał się, gdy krótki dźwięk oznajmił nadejście esemesa.

- Nie mam pojęcia. Ja jej w ogóle nie znam. Nie wiedziałem, że ona mieszka u pani Eugenii. Miałem tylko zawieźć ją do tego domku, naprawdę.

Borewicz dał mu odetchnąć przez kilka minut, po czym zablokował:

- A z kim się kłóciła? Nad ranem w parku, w dniu, w którym wywiozłeś ją na wieś?

- Z Lipskim.

- Skąd wiesz?

- No bo zaczęli się kłócić już w bramie. Dopiero potem poszli gdzieś dalej.

- O co im poszło?

- Nie chciała, żeby zrobiło się o niej głośno, a on jej powiedział, że będzie musiał zgłosić zaginięcie, i że wtedy ona pojawi się na fejsie i wszędzie.

- Tylko o to się kłócili? - powątpiewał Olgierd.

- Nic więcej nie słyszałem. Czekałem na nią w samochodzie.

Olgierd uznał, że i tak sporo się dowiedział.

Zerknął na ekran komórki i wybrał numer Marii.

Tym razem odebrała.

- No w końcu, Zero Siedem. Już myślałam...

- Później - wtrącił, żeby nie drażyła. - Potrzebuję pomocy.

- Coś poważnego? - Wyczuł w jej głosie niepokój.

- Nie. Chodzi o to, że muszę przenocować u ciebie chłopaka. Wszystko wyjaśnię, ale później.

- Aha - odparła niepewnie, a on nie wiedział, czy to oznacza zgodę.

- Więc? - drażył.

- Za chwilę będę na miejscu. Przyjeżdżaj.

- Świetnie. Do zobaczenia.

Herman skłamała, chociaż nie powinna tego robić.

Powrót do starych zwyczajów źle wróżył.

Ale to tylko niewinne kłamstwo.

Tyle że wcześniej też się tak usprawiedliwiała, i to ją zabolalo.

Od kilku chwil była w sypialni na piętrze. Arek zdążył rozpiąć jej stanik, a ona nawet nie zsunęła go z ramion, bo walczyła z guzikami rozporka Grocha. Wtedy zadzwonił Olgierd.

Dźwięk komórki ją otrzeźwił.

Powiedziała Arkowi, że to pilne, i nagle całe podniecenie opadło.

Zapięła stanik, a Groch, sapiąc, wycofał się pod ścianę.

Maria wcale nie przejmowała się Olgierdem, bo skoro dzwonił, to znaczyło, że ma się dobrze. Chodziło jej o żonę Arka, Baškę.

Już kiedy wchodziła z Grochem na górę i zaczęli się całować, miała przed oczami twarz tej kobiety. Tę samą zalaną łzami twarz, której obraz wytrawił się w pamięci Marii niczym na starej kliszy fotograficznej. Baška szybko dowiedziała się o ich romansie i pewnego dnia stanęła w progu domu Hermanów. Zwzywała policjantkę od kurew, groziła, że ją zabije. Na szczęście Maria była wtedy sama w domu, rodzice wyjechali do centrum ogrodniczego.

– Przepraszam. – Maria podeszła do Grocha, pocałowała go i pogłaskała po owłosionym przedramieniu.

– Wkurwia mnie ten porucznik – zachnął się mężczyzna, a ona odebrała połączenie. Pogałała chwilę i gdy się rozłączyła, spojrzała na Arka, który odkleił się od ściany i stojąc w drzwiach balkonowych, patrzył na umierający ogród, przesuszone rośliny i trawę.

– Wrócimy do tego – obiecała i wtuliła się w jego plecy, obejmując go rękoma od tyłu.

Groch sapał niezadowolony.

– Przyjedzie tu? – zainteresował się.

– Tak. Zaraz będzie.

Odciągnął jej rękę i wyszedł z pokoju.

Słyszała jego kroki na schodach jak kamienie toczące się po zboczach góry. Drgnęła w odpowiedzi na głuchy odgłos zamykanych drzwi.

Na chwilę przeciąg nadął firanę, która zatańczyła krótko.

Herman zastanowiła się, czy naprawdę tego chce. Czy jest zdolna do związku z Grochem, czy ponownie go nie skrzywdzi? I chodziło jej nie o hazard, ale o szczerłość w uczuciach.

Po raz pierwszy od dawna po prostu poczuła, że chce być kobietą. Że chce czuć mężczyznę w swoim ciele, dreszcz podniecenia przechodzący od podbrzusza do piersi i wracający wzbieraną falą ciepła w jej wnętrzu.

Ale czy miała prawo być z Grochem i zburzyć to, co mozolnie odbudował z Bašką, która dała mu drugą szansę? Maria obawiała się, że to zniszczy tę kobietę, doszczętnie złamie jej wiarę w siebie.

Ich dzieci były, co prawda, dorosłe i na pewno poradziłyby sobie lepiej z wiadomością o romansie ojca niż odstawiona na boczny tor żona, ale Herman myślała także o nich, o krzywdzie, jaką im wyrządzi, raniąc ich matkę.

Dlatego od momentu rozpoczęcia leczenia Maria pielęgnowała w sobie świadomość, że nie może myśleć tylko o sobie, o spełnianiu swoich zachcianek i karmieniu własnego ja. Zdrowie-

nie wymagało patrzenia na siebie w szerszej perspektywie, uwzględniania potrzeb innych, ale przede wszystkim – kontrolowania ego, aby dbając o własne granice, nie naruszać granic innych ludzi. Z terapii zapamiętała ważne hasło: „Nie krzywdź siebie, ale też nikogo wokół”.

Wyszła na balkon, żeby zapalić. Słońce znajdowało się z drugiej strony domu i cień dawał odrobinę wytchnienia.

Usiadła na leżaku, przyciągnęła słoik pełen petów zalanych wodą i strąciła do niego słupek popiołu.

Nie zasługujesz na Grocha, powiedziała do siebie w duchu, a w zasadzie usłyszała te słowa wypowiedziane głosem matki.

Ocknęła się.

Przypomniała sobie o prokurator Rybackiej i przedzwoniła do kilku kolegów policjantów, żeby zdobyć jej numer, ale ostatecznie dostała go od medyczki sądowej z Torunia, doktor Raszei, starszej kobiety, która szefowała Zakładowi Medycyny Sądowej w Bydgoszczy.

– A co u ciebie, moja Mario? – spytała lekarka, gdy Herman zapisała sobie kontakt do Rybackiej.

– Dziękuję. Trzeźwieję i walczę, pani doktor – odparła i dodała w myślach: dziś nie zagram. Liczyła na to, że te same słowa wypowie na głos wieczorem, przed snem.

– Imponujesz mi. Jesteś niezwykle silną kobietą – pochwaliła ją Raszeja, a Herman poczuła pieczenie pod powiekami.

Wciąż czuła się słaba, wyobrażała sobie, że w gruncie rzeczy jej życie i walka z uzależnieniem przypominają działania żołnierza na froncie. Można długo unikać kul, ale nigdy nie jest się pewnym, czy jedna z nich nie zada śmiertelnej rany. Herman tak się właśnie czuła – z tą drobną różnicą, że była żołnierzem i pociskami jednocześnie. Jedna zła decyzja mogła ją zabić.

– Dzięki – wydobyla ze ściśniętego gardła.

– Bądź silna, moja Mario, bo twoja siła daje siłę innym chorym. Pamiętaj o tym. Koniecznie.

– Postaram się – odparła Herman.

W tle usłyszała, jak zgrzyta zapalniczka. Raszeja paliła co najmniej dwie paczki dziennie, i właśnie ten nałóg zbliżył je do siebie. Herman szanowała starszą kobietę za jej spokój, wiedzę i pokorę wobec zawodu, który wykonywała. Każdy przypadek śmierci z udziałem osób trzecich był dla niej czystą kartą.

Zdarzało się, że przed sekcją i po niej paliły razem na zewnątrz budynku J Szpitala Uniwersyteckiego imienia doktora Antoniego Jurasza przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie w Bydgoszczy.

– Czy pamięta pani sprawę rocznej dziewczynki z Torunia, która zmarła w wyniku hipertermii latem dwa tysiące siedemnastego roku?

– Śmierć w samochodzie? – dopytała Raszeja.

– Tak.

– Kojarzę. Dawno nie mieliśmy podobnego przypadku – skwitowała Raszeja. – Dlaczego od tego wracasz?

– Czy gdyby miała pani pomyśleć o zbrodni doskonałej...

– Ach, do tego zmierzasz – przerwała jej Raszeja.

Maria słyszała w słuchawce, jak starsza kobieta się zaciąga, jak żar spala skrawki tytoniu.

– Jeśli przyjąć, że przy takim skwarze jak dziś, przy ponad trzydziestu stopniach w cieniu, ktoś zostawiłby dziecko w zamkniętym samochodzie w pełnym słońcu, to w jakim czasie nastąpiłby zgon?

Raszeja westchnęła.

– Wszystko zależy od warunków, ale jestem skłonna przypuszczać, że dwadzieścia minut wystarczy. A tamto dziecko spędziło w samochodzie kilka godzin.

– Tak – potwierdziła Maria.

– Dlaczego pytasz o tę sprawę?

– Pewnie pani nie wie, ale kilka miesięcy później matka tej dziewczynki zaginęła bez wieści.

– No i?

Maria wzruszyła ramionami i wzięła chesterfielda do ust.

– Sama nie wiem.

– Sądziś, że śmierć dziecka... – Raszeja zawiesiła głos.

– Nie mam na to twardych dowodów.

– Hm... Rozumiem.

– Pani doktor?

– Tak?

– Czy na ciuszkach dziecka widniały jakieś plamy?

– Postaram się zerknąć do dokumentacji, jeśli to mogłoby ci w czymś pomóc, moja Mario. Ale krwi się tam nie spodziewaj.

– Rozumiem. I bardzo dziękuję.

– Zadzwoń – obiecała medyczka i głos po drugiej stronie ucichł.

Herman odłożyła starą nokię na podłogę balkonu i paliła dalej.

Oddawała się rozmyśleniom o strasznej agonii dziecka, jednocześnie przyglądając się konającemu ogrodowi, gdy z dołu dobiegł odgłos domofonu.

Niespiesznie dokończyła papierosa. Natarczywy dzwonek zabrzmiał ponownie, więc podniosła się z leżaka.

Zeszła na parter i otworzyła drzwi, a potem sięgnęła po słuchawkę domofonu.

Borewicz rozejrzał się po ulicy, jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Gdy rozbrzmiał brzęczyk elektromagnesu, przepuścił nastolatka z przetłuszczonymi włosami, który ruszył niepewnie, ze spuszczoną głową, betonowym chodnikiem w kierunku ganku.

Na jasnym T-shircie chłopca, pod pachami, Maria zauważyła wilgotne plamy.

– Dobry – bąknął na powitanie młody człowiek i zatrzymał się u szczytu schodów, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wbił dłonie w kieszenie i obejrzał się nerwowo.

Twarz chłopaka szpeciło kilka czerwonych krost na brodzie, przy nozdrzach i na skroniach.

Herman się odsunęła, żeby go wpuścić. Borewicz popchnął go lekko i dopiero wtedy zauważyła siniec i opuchliznę na twarzy partnera.

Nastolatek zatrzymał się w ciemnym korytarzu.

– Idź do kuchni. Po lewej – poprosiła Herman i zamknęła drzwi za Borewiczem. – Kto to jest? – spytała szeptem.

– Zaraz ci wyjaśnię. – Olgierd minął ją i poszedł za Michałem. Sięgnął po szklanekę. Nalał sobie wody z kranu, wypił duszkiem, nabrał powietrza i wychylił kolejną porcję wody. Otarł wilgotne usta wierzchem dłoni.

– Chcesz? – zapytał chłopaka, kiedy ugasił pragnienie. Ten jednak pokręcił głową.

– Śmiało, siadaj. – Maria wskazała Michałowi krzesło.

Opadł na nie. Ręce trzymał pod stołem, wzrok wbił w blat.

– Siedź tu. Niczego nie dotykaj i nigdzie się stąd nie ruszaj – polecił Olgierd, a następnie skinął na Marię. – Zaraz wrócimy.

Przeszli przez pokój na taras. Rozgrzane płytki zgrzytały pod ich stopami.

– Co ci się stało i kim jest ten chłopak? – wypaliła Herman.

Zero Siedem otarł twarz, a następnie splótł ręce na głowie. Językiem wypchnął policzek i trwał tak przez chwilę odwrócony w stronę ogrodu.

– Wszystko ci wyjaśnię.

– Właśnie na to liczę.

– Ale nie teraz – zastrzegł.

– Co ty znowu odpierdalasz? – zaniepokoiła się Maria i skrzyżowała ręce na piersiach.

Zero Siedem westchnął i zaczął ogryzać paznokieć, po czym fragment wypluł za barierkę.

– Tak, kurwa, znowu jestem w szambie – syknął, a Herman wyczuła strach w jego głosie.

– Jezu... – jęknęła.

Wiedziała o Szczerbskim, o pracy dla niego i o sesjach swingersów, które organizował i w których zapewne nadal uczestniczył. Nie miała jednak pojęcia, że to wszystko wiąże się z zaginięciem Doroty Lewandowskiej. Borewicz opowiedział jej o tym, jak podstępem wzięła udział w orgii.

– Jesteś pewien, że to była ona? – wyszeptła Herman.

Skinął głową.

– Ktoś od was mógł zrobić jej krzywdę? – zainteresowała się.

– Nie! No skąd! – oburzył się. – Dziewczyna żyje i ma się dobrze, ale się ukrywa. – Zrelacjonował Marii, jak Michał Skrzycki, chłopak, z którym właśnie przyjechał, na polecenie Grzegorza Lipskiego wywiózł Lewandowską w bezpieczne miejsce.

– A kim jest, do cholery, Lipski?

– To lokalny dziennikarz, bloger czy chuj wie kto. W każdym razie dużo wie. – Olgierd wyjaśnił, że facet wpadł na swingers party razem z Lewandowską, a potem dodał, że udało mu się spotkać z mężczyzną, ale ten jednym strzałem posłał go na deski. – A raczej na leśny mech – zażartował Olgierd, a Herman uśmiechnęła się blade.

– Co będzie z chłopakiem? – Zerknęła w kierunku kuchni.

– Zobaczymy, jak wrócę, okej?

– No dobra. – Herman nabrała powietrza, ale nie była zadowolona. – Przypominam ci tylko, że mamy śledztwo na głowie, a ty znowu babrzesz się w gównie – warknęła.

– Wskoczę na chwilę, żeby sprawdzić tę Lewandowską, i zaraz wrócę. I będę już do twojej dyspozycji. Ruszamy na nowo sprawę Chudzińskiej. Opowiesz mi wszystko, czego się do tej pory dowiedziałas, i działamy. Tak jak dawniej. Jak zawsze – obiecał.

– Ile czasu potrzebujesz? – spytała Maria.

– Godzinę. Może półtorej.

– Dobra. Potem musimy przesłuchać mieszkańców Sezamkowej – stwierdziła.

– Tak zrobimy. Wprowadzisz mnie po drodze.

Maria wskazała na jego twarz.

– Usunąć ci ten siniec?

– Jak? – zdziwił się.

– Normalnie, po babsku. Kosmetykami.

– Kosmetykami?

Maria zdała sobie sprawę, że Olgierd był zaskoczony, bo nie widywał jej w makijażu.

– Zostały po matce – wyjaśniła.

– E, nie, daj spokój! – machnął ręką. – Nie mam czasu na żadne make-upy.

Herman odprowadziła go do drzwi i Zero Siedem wyszedł na skwar.

Kiedy wróciła do kuchni, chłopak wciąż siedział ze spuszczoną głową.

– Zjemy coś? – zaproponowała Herman, otwierając lodówkę.

Przyrządziła zapiekane kanapki z żółtym serem i szynką, polala je ketchupem, a potem powiedziała Michałowi, żeby poszedł do salonu i włączył sobie telewizję lub film na starym DVD jej ojca. On z kolei zapytał ją o ładowarkę do smartfona, bo bateria w jego aparacie była na wyczerpaniu. Herman znalazła dwa urządzenia w komodzie matki; jedno z nich pasowało do aparatu chłopaka, więc się ucieszył, a potem rozsiadł się w fotelu i włączył *Top Gun*.

Maria poszła na górę i zadzwoniła do prokurator Rybackiej.

– Halo? – usłyszała w słuchawce.

– Komisarz Herman z tej strony.

– O, proszę – Rybacka była zaskoczona.

– Pani prokurator, chciałam z panią pogadać o mojej matce, a konkretnie o tym, co mi pani powiedziała na parkingu – wyjaśniła Maria.

– W zasadzie nie mam nic więcej do dodania.

– Rozumiem. Ale czy... – Maria zawiesiła głos.

– Tak?

– Czy moja matka mówiła wtedy coś jeszcze?

– O domu?

– Nie. O mnie. Czy powiedziała pani coś jeszcze?

– Nie. Nie przypominam sobie. Wspominała tylko o pani uzależnieniu od hazardu, mówiła, że doprowadziło ich, to znaczy pani rodziców, do załamania nerwowego. Była przekonana, że zawał męża był konsekwencją widma utraty domu.

– Nienawidziła mnie nie tylko za to – wyznała Maria.

– Nienawidziła? Nie wyczułam w niej nienawiści – zdziwiła się prokurator, czym zaskoczyła Marię.

– Czy matka powiedziała pani, dlaczego zależało jej na tym, by spłacić moje długi i zatrzymać ten dom?

– Mówiłam już. Chciała, żeby pani miała gdzie mieszkać.

Maria wychyliła się z balkonu i spojrzała w dół, bo dobiegł ją nieprzyjemny dźwięk. Michał Skrzycki wyszedł na taras. Chrobot luźnych płytek zdradzał każdy jego ruch.

– Tylko o to chodziło? – odezwała się Maria, a chłopak uniósł głowę. Spojrzeli sobie w oczy.

– Nie, na pewno nie. Liczyła na to, że pani uwolni się od hazardu i założy rodzinę.

Herman oderwała wzrok od nastolatka i cofnęła się pod ścianę, żeby się o coś oprzeć. Poczowała, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa i kręci jej się w głowie.

– Jest pani pewna, że tak właśnie powiedziała?

– Tak, pamiętam to dokładnie. Zwierzyła mi się, że zawsze chciała mieć wnuki, które mogłyby kochać i rozpieszczać.

Policjantce pociemniało przed oczami i nagle z tej ciemności wyłonił się obraz matki, zamkniętej w sobie kobiety bez serca, która trzymała Marię na dystans, nie przytulała, nie głaskała po głowie, nie czesała jej długich włosów i nigdy się z córką nie bawiła. A gdy Maria dorosła, w zasadzie straciły kontakt, chociaż mieszkały pod jednym dachem i obie kochały tego samego człowieka. Matka swojego męża, a Maria ojca.

– Powiedziała pani, że chciałyby mieć wnuki? – Herman z trudem wróciła do rzeczywistości.

- To było jej marzenie. Miała w sobie dużo miłości – dodała Rybacka. Gdzieś w tle niósł się gwar miasta. – Ma pani jeszcze jakieś pytania? Bo właśnie wchodzę do sądu.
 - Gdyby przypomniała pani sobie coś jeszcze, cokolwiek, co powiedziała matka...
 - To zadzwonię. Muszę już kończyć – pożegnała się prokuratorka.
- Maria się rozłączyła i otarła wilgotne policzki.

Drewniany domek zobaczył w ostatniej chwili.

Ukrywał się w cieniu lasu za zakrętem asfaltówki, która biegła od krajowej osiemdziesiątki do Zamku Bierzgowskiego.

Zero Siedem przyspieszył i pojechał dalej, bo miał wrażenie, że przy domku ktoś się kręci. Musiał uważać, by nikt go nie rozpoznał.

Kilkaset metrów dalej wjechał w las i nawrócił. Odczekał chwilę na poboczu w cieniu drzew. Zdziwił się, że z nawiewów wydostawało się letnie powietrze. Przełączył klimę na najwyższe obroty. Coś syknęło przeciągle i po chwili chłód stał się wyraźniejszy.

Źle to wróżyło.

Olgierd sięgnął po telefon i zerknął na mapę Google. Odnalazł miejsce, w którym dostrzegł wcześniej drewniane zabudowanie. Nie było go na zdjęciach satelitarnych, ale Zero Siedem sądził, że jeśli się pomylił, to nieznacznie. Zapisał pinezkę w pamięci i uznał, że czas zadzwonić do żony.

– Jak tam Zero Siódemka? – spytał, kiedy wymienili kilka zdań o niczym.

– Dobrze. Wróciliśmy właśnie ze spaceru.

– W taki upał? – Nie chciał, żeby zabrzmiało to jak zarzut, ale tak właśnie wyszło. – Trzeba uważać, żeby się nie przegrzała, udar ciepły jest cholernie niebezpieczny...

– No, ej! – przerwała mu żona. – Nie możemy całe dnie siedzieć w klimatyzowanym mieszkaniu. Poza tym cały czas byliśmy w cieniu bloku.

– Jasne, przepraszam. A Kluska? Co z nim?

– Bez zmian, niestety. Nadal jest jakiś taki niewyraźny.

– Zjadł coś? Wypił wodę? – martwił się Zero Siedem.

– Chyba nie. Cały czas leży w kojcu i dyszy – dodała. – Może to przez ten upał?

– Upał srupał. Psu coś jest. W taki skwar chociaż wodę powinien pić – zdenerwował się.

– To się nim zajmij. To jest twój pies, do cholery. Ja mam dziecko na głowie i dom cały.

Olgierd zacisnął zęby.

Zimna suka, warknął w myślach.

– Zajmę się nim. Tylko że teraz jestem w pracy. – Miał ochotę rzucić wiankę, ale się powstrzymał. – A ty siedzisz w domu, więc mogłabyś chociaż...

– No oczywiście – przerwała mu; w jej głosie pobrzmiwał sarkazm. – Jaśnie pan pracuje, jaśnie pan zarabia. Dzień i noc na służbie, prawda? A ile ty z tej służby wyciągasz, co? Ile ostatnio przyniosłeś do domu? Trzy siedemset? Wiesz, na co to starcza?

– Więcej – poprawił ją, ale wiedział, że ta rozmowa prowadzi donikąd i powinien ją skończyć.

– U moich rodziców zarabiałbyś już dawno dziesięć albo piętnaście tysięcy na rękę.

Nabrał powietrza, bo emocje kłębiły mu się gdzieś pod mostkiem i bał się, że zaraz eksplodują.

– Muszę kończyć – stwierdził.

– Jak zawsze, Oluś. Jak zawsze, musisz kończyć, kiedy rozmawiamy o naszej przyszłości.

– Nie chce mi się o tym rozmawiać.

– Tobie nigdy nie chce się ze mną rozmawiać. My w ogóle nie żyjemy ze sobą.

– Jestem na służbie – wyjaśnił. – Muszę kończyć.

– A z nią też tak całe dnie milczycie? Czy jednak się dogadujecie? Rozmawiacie ze sobą? Co, Oluś? A może coś tam jeszcze robicie razem?

Wiedział, że Kinga ma na myśli Herman, i znowu poczuł gwałtowny ucisk w dole pleców.

– Dam znać, co z weterynarzem – dodał i się rozłączył.

Miał ochotę zmiażdżyć aparat.

– Kurwa! – ryknął i rzucił nim o dywanik. A potem zaczął walić zaciśniętą dłońią w łuk kierownicy.

Kiedy skończył, dyszał i był cały czerwony.

Obok samochodu przejechał rowerzysta.

Olgierd się wystraszył i serce zadudniło mu jeszcze mocniej. Krew płonęła w żyłach.

Patrzył na starszego mężczyznę w długich spodniach z nogawkami spiętymi klamerką, który coraz bardziej oddalał się od samochodu. Wyłonił się z plamy cienia rzucanej przez drzewa na skraju lasu i jechał tam, gdzie asfalt zdawał się błyszczeć w słońcu niczym czarna kałuża. Rozgrzane powietrze zniekształcało obraz.

Borewicz odetchnął i schylił się po komórkę. Uruchomił przeglądarkę i wpisał hasło: *weterynarz wizyty domowe*. Obdzwonił kilka miejsc i w końcu umówił wizytę na popołudnie.

– A co to może być? – spytał lekarkę, wciąż tłumiąc emocje. Nie chciał się na niej wyżywać.

– Przyczyn może być kilka. Pierwsza to zęby.

– Ale gdyby chodziło o zęby, to chociażby pił. Jest upał.

– Niekoniecznie. Po prostu trzeba to sprawdzić – wyjaśniła i na chwilę zawiesiła głos. – To labrador, tak?

– Tak.

– Jest narażony na jakieś stresy?

– Czyli co? Że ktoś go bije?

– Jeśli zobaczę, że bije pan psa, to zawiadomię policję – ostrzegła kategorycznym tonem.

– Sam jestem policjantem. I nikt Kluski nie bije – zdenerwował się.

– Przepraszam – zreflektowała się lekarka. – Ale nie ma pan pojęcia, jak ludzie potrafią traktować zwierzęta.

Miał pojęcie.

– W takim razie, być może pana pies jest narażony na inne stresujące sytuacje – kobieta wróciła do meritum. – Może przygarnęli państwo szczeniaka?

– Nie ma drugiego psa, nie ma kota, żadnego chomika ani rybek, do jasnej cholery, a pies cierpi! – Olgierd niepotrzebnie podniósł głos i zaraz za to przeprosił. – Kluska jest sam i dobrze mu u nas.

– No to nie wiem. Może ktoś z państwa jest ciągle poza domem?

Zero Siedem poczuł, jakby to pytanie miało siłę ciosu wyprowadzonego na wątrobę. Z trudem przełknął ślinę.

– Z tak błahego powodu... – zaczął, ale lekarka weszła mu w słowo.

– To nie jest błahy powód. Psy cierpią, kiedy ich przewodnika stale nie ma w domu.

Borewicz zamknął oczy i zwiesił głowę. Nie miał siły tego komentować.

Rozłączył się i wysłał esemesa do Kingi, napisał jej o planowanej godzinie wizyty lekarki.

Odczekał kilka minut, ale żona nie odpowiedziała.

Pokręcił głową z rezygnacją i wrzucił jedynekę.

Wóz potoczył się po asfalcie.

Gdy dotarł do łuku drogi, skąd mógł bez skrepowania obserwować drewniany domek ustawiony na betonowych bloczkach, zwolnił i rozejrzał się po okolicy. Z boku budynku dostrzegł granatowego mercedesa, ale nigdzie nie widział motocykla.

Zastanawiał się, co powinien zrobić, gdy nagle mercedes ruszył i wyjechał z działki, kiwając się na wertepach po drodze do asfaltówki.

Zero Siedem zjechał w boczną drogę gruntową.

Odchylił osłonę przeciwsłoneczną, żeby chociaż trochę się ukryć, po czym przyjrzał się mercedesowi.

Dostrzegł w nim jedynie Lipskiego.

Wstrzymał oddech, ale na szczęście mężczyzna wybrał drogę przez las w stronę szosy łączącej Toruń z Bydgoszczą.

Okazało się jednak, że Olgierd się pomylił. Na tylnym siedzeniu za kierowcą ktoś siedział.

I Zero Siedem doskonale znał tego mężczyznę.

Na kanapie mercedesa mokre czoło ocierał chustką prokurator Artur Legner.

Podkomisarz Olgierd Borewicz zerknął na zegarek na tablicy rozdzielczej.

Czas uciekał, a on wciąż nic nie ustalili. Uznał jednak, że nie ma sensu gonić za Lipskim i sprawdzić, dlaczego jedzie z Legnerem. Przecież oni mu tego nie powiedzą.

Korzystając z okazji, że żadnego z mężczyzn nie było teraz w drewnianym domu, uznał, że zajmie się Lewandowską. Ona może mu wszystko wyśpiewać, jeśli tylko Olgierd dobrze to rozegra.

Odczekał, aż mercedes zniknie mu z oczu.

Skręcił w drogę gruntową i docisnął pedał przyspiesznika. Wysokie chwasty, wyrastające pomiędzy dwoma równoległymi pasami polnego traktu, chrobotąły o podwozie.

Borewicz wbił wzrok w chałupę z jasnego drewna, odcinającą się od zaciemnionej strony lasu.

Drzwi były uchylone.

Dobry znak.

Dojechał do ogrodzenia i obserwował okna, ale nikt się w nich nie pojawił.

Musiał działać.

Wjechał więc na teren działki i nie zważając na nierówności, podjechał szybko pod drewniane schody domu. Odgłos silnika nikogo nie zainteresował. Nikt nie wyjrzał na zewnątrz.

Mogło to oznaczać, że Lipski z Legnerem wyjechali tylko na chwilę i domownicy spodziewają się ich rychłego powrotu.

Zero Siedem wysiadł z toyoty.

Uruchomił tryb kamery w telefonie i włączył nagrywanie.

Po kilku krokach chwycił klamkę uchylonych drzwi i otworzył je na oścież.

Dorota Lewandowska stała w kuchni bokiem do niego i myła naczynia. Piana spływała po kolorowych rękawiczkach, które miała na dłoniach.

– Już jesteście? – spytała, a dopiero potem spojrzała w stronę drzwi i zamarła.

Eugenia Lipska siedziała w fotelu w salonie i wpatrywała się w ekran głośno nastawionego telewizora, w którym leciała dokudrama. Borewicz rozpoznał kobietę po spiętych siwych włosach.

Emerytka nie zareagowała na słowa Lewandowskiej. Policjant kontynuował nagrywanie. Wszedłszy po stopniach, stanął w niewielkiej przestrzeni. Aneks kuchenny ze zlewozmywakiem znajdował się po lewej stronie, przy panoramicznym oknie. Naprzeciwko dostrzegł dwoje drzwi, a dalej otwarty pokój z wyjściem na taras.

Dorota Lewandowska zakreśliła wodę i energicznie zdjęła rękawiczki. Różowy sportowy top opinał się na jej piersiach i odsłaniał opalony brzuch.

Olgierd sięgnął po legitymację.

– Wie pani, co grozi za wprowadzenie w błąd organów ścigania? – odezwał się cicho i kątem oka zarejestrował, że Eugenia Lipska w ogóle nie zareagowała na jego obecność. Liczył, że z wiekiem stępił jej się słuch.

– To nie ja zgłosiłam swoje zaginięcie – rzuciła Lewandowska; udało jej się rozśmieszyć Olgierda.

– Co mówiłaś? – bąknęła Eugenia Lipska, ale nawet się nie odwróciła.

Oboje ją zignorowali.

Lewandowska położyła palec na ustach, a potem wskazała na drzwi.

- Ty pierwsza - polecił policjant. - I żadnych numerów.

Zerknęła na ekran smartfona. W widoku z kamery młoda dziewczyna odeszła od zlewozmywaka i przycisnęła się obok Olgierda. Potem pchnęła drzwi i zeszła po schodach na ławkę porastającą działkę.

Miał wrażenie, że specjalnie kołysze biodrami.

Olgierd wyłączył nagrywanie i schował aparat. Musiał mieć dowód, że dziewczyna nie zagięła i ma się dobrze.

Otarł przedramieniem pot z czoła i wyszedł za nią na zewnątrz. Szarpnęła drzwi toyoty i zajęła miejsce za kierownicą

- Wsiadaj - rozkazał.

- Oni mogą zaraz wrócić.

- Ale już, kurwa!

Zawahała się, lecz ostatecznie usiadła obok.

- Dokąd jedziemy? - spytała, gdy Olgierd uruchomił silnik.

- Od tej pory tylko ja zadaję pytania.

Zgrzytnął wsteczny i wóz potoczył się do tyłu.

- Czyj to był pomysł? - Olgierd odezwał się, gdy wyjechali na drogę asfaltową, prowadzącą do Zamku Bierzgłowskiego. Wolał nadłożyć drogi i dotrzeć do Torunia od północy, przez Pigzę, niż minąć się na trasie z mercedesem Lipskiego.

Dorota Lewandowska skrzyżowała ręce na klatce piersiowej i patrzyła w bok na ścianę lasu.

- Musisz zacząć mówić, jeśli mam ci pomóc unikać paragrafów.

- Co ty pieprzysz? Jakich paragrafów? - oburzyła się.

- Jesteś poszukiwana przez policję. Zgłoszono twoje zaginięcie.

- No i co z tego? Nic mi za to nie grozi.

Borewicz przeczuwał kłopoty. Dziewczyna miała rację. Wyjechała z miasta i zerwała kontakt z rodziną. Nikt nie mógł jej tego zabronić. Nikt też nie mógł od niej wymagać, by zadzwoniła na policję z wyjaśnieniami, nawet jeśli widziała w mediach informacje o swoim rzekomym zaginięciu. Mogła więc siedzieć w drewnianym domku i nie dbać o to, czy policja - marnując pieniądze podatnika - szuka jej czy nie.

Borewicz musiał zmienić taktykę.

- Dlaczego pojawiliście się na imprezie? - spytał, gdy toyota pokonała wzniesienie, na którym po lewej stronie wyrastały zabudowania dawnego zamku krzyżackiego. Zero Siedem odbił w prawo, w kierunku Łubianki i Pigzy. Zjechali wąską drogą z wysokimi drzewami po obu stronach. Korony uformowały naturalny zielony tunel.

Przez chwilę milczeli.

- Lepiej mnie odwieź i pogadaj z Grzegorzem.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Spierdalaj.

- Okłamałaś mnie i dostałaś się na imprezę, na której nie powinno cię być. Nie masz pojęcia, co to za ludzie i co ci grozi - Borewicz mocno koloryzował. - A ponieważ to ja odpowiadam za te imprezy, chcę po prostu wiedzieć, po co przyszedłaś.

- Pogadaj z Grzegorzem - powtórzyła. - Zapłacił, więc poszłam. Kasy nie żałował. Miałam tylko udawać jego żonę.

- Długo cię urabiał?

Pokręciła głową.

- Nie. Po prostu powiedział, czego oczekuje.
- Przecież nie jesteś dziwką – próbował wziąć ją pod włos.
- Wszyscy jesteście. Dajemy się ruchać za kasę. Myślisz, że jesteś lepszy? – wypaliła.

Olgierd zacisnął dłonie na kierownicy.

Nie daj się sprowokować, pomyślał.

- Co robił u was ten facet, który siedział w mercedesie? – spytał po kilkuset metrach, gdy zmienił się krajobraz. Wzdłuż trasy zaczęły wyrastać liczne domy.

- Nie wiem, nie znam go. – Lewandowska ponownie wbiła wzrok w boczną szybę.

Olgierd był pewien, że dziewczyna kłamie.

- To prokurator Artur Legner – wyjaśnił. – Więc nie pogrywaj ze mną. Mów, czego od was chciał?

- Skoro go znasz, sam z nim pogadaj. Niech ci powie, o co poszło.

- Wolałbym usłyszeć to od ciebie.

- A ja wolałabym już wracać do domu. Genia się zaniepokoi i będzie awantura.

Borewicz zastanawiał się, co robić.

- Jeśli mnie nie odwieziesz – zagroziła – to twoja policyjna blacha gównu ci pomoże. Uwierz.

Makaron wykypiał i Herman syknęła ze złości.

Nastolatek się zaśmiał, a ponieważ jego śmiech był zaraźliwy, udało mu się rozładować napiętą atmosferę.

– No i co się tak chichrasz? – zapytała, odlewając trochę wody do zlewu. Odplyw połąknał kilka nitok i na koniec beknął.

– Nic, nic – odparł Michał i się pochylił.

Trząsł się ze śmiechu, ale Maria machnęła na to ręką. Odstawiła garnek na palnik.

Na patelni dochodziło mięso mielone podlane sosem pomidorowym. Doprawiła je i przemieszała.

Pozostawiony na stole telefon zawibrował.

Herman spojrziała, kto dzwoni.

Raszeja.

– Dopilnuj makaronu i odcedź go. Cedzak jest na suszarce do naczyń. Potem wyłącz mięso i nałóż sobie tyle, ile zjesz.

Chłopak wstał i podszedł do kuchenki, a Maria zabrała telefon na taras i tam odebrała połączenie.

– Tak szybko? – Zrobiła kilka kroków do balustrady przy akompaniamencie zgrzytu rozgrzanych płytek.

– Nie dawało mi to spokoju – stwierdziła Raszeja. – Dlatego uwinęłam się z robotą i przesu-kałam stare foldery w komputerze.

Herman zapaliła papierosa.

– No i? – Wypuściła dym z płuc.

– Mam odnotowane, że koszulka miała plamę wielkości dziecięcej dłoni.

– W którym miejscu? – zainteresowała się Herman i strzepnęła popiół za balustradę.

Słońce wyrzało zza dachu i zaczęło oświetlać porzdewiały metal.

– Pod szyją, tuż przy lamówce.

– To wymiociny?

– Tak to określiłam, ale zastanawiam się, czy trafnie.

– Dlaczego? – Herman się obejrzała i zerknęła przez okno do salonu. Nastolatek wniósł do pokoju głęboki talerz i postawił go na blacie, po czym wyszedł. Sądziła, że zapomniał sztuc-ców.

– Dlatego że żołądek był pusty.

– No to nie rozumiem.

– Chodzi o to, że treść żołądkowa ma określoną konsystencję, a plama była raczej wodnista, jakby po herbatce dziecięcej – wyjaśniła Raszeja. – Nie jest też wykluczone, że powstała w domu, za życia małej.

– Aha, bardzo dziękuję za tę informację – powiedziała Herman.

– Mam nadzieję, że do czegoś ci się przyda.

– Na to liczę. – Herman chciała się rozłączyć, ale wciąż słyszała oddech Raszei. – Pani doktor?

Michał pojawił się w salonie z drugim talerzem w dłoni. Usiadł i zaczął jeść.

Miły gest, Herman uśmiechnęła się w duchu.

Z potrawy ustawionej naprzeciwko unosiły się nitki siwej pary.

– Jestem, jestem, moja droga Mario. Myślałam o tym, co powiedziałaś poprzednio. O zbrodni doskonałej.

Maria strzepnęła popiół pod nogi.

– Właśnie to miałaś na myśli, prawda? Ten przypadek – dopowiedziała lekarka. – Dziecko zamknięte w samochodzie wystawionym na promienie słoneczne.

Herman coś ścisnęło za gardło i nie była w stanie odpowiedzieć, a Raszeja kontynuowała:

– Bo tak: małe dziecko nie będzie się broniło. Najpierw mocno się spoci, serce przyspieszy, a gdy temperatura wzrośnie, stanie się apatyczne, nie będzie ani płakało, ani krzychało. Aż w końcu, jak na rozkaz, serce przestanie tłoczyć krew i dziecko umrze.

Przez ciało Herman przebiegły ciarki, jakby ktoś przyłożył jej do pleców blok lodu. Krzywiąc się, ściągnęła łopatki.

Dopaliła papierosa i zgasiła go o barierkę. Peta wrzuciła do słoika.

– Tylko nadal, moja Mario, nie wiem, dlaczego ktoś miałby zrobić dziecku coś takiego.

– To akurat proste. Jeśli dziecko stało na drodze nowemu związkowi... – Herman zawiesiła głos.

Lekarka oddychała spokojnie. Szum w słuchawce narastał miarowo i cichł.

– Tylko cóż warta jest miłość, która bierze się z piekła wyrządzonego bezbronnej istocie? – spytała retorycznie Raszeja i rozmowa dobiegła końca.

Maria Herman zastanowiła się nad jej słowami, bezwiednie wpatrując się przez okno w Michała pałaszującego spaghetti.

– Niech pani przyjdzie, póki ciepłe – odezwał się.

Skinęła głową, ale odechciało jej się jeść.

Czuła się tak, jakby miała związane ręce.

W jej głowie wyświetlała się scena, w której Jan Solski zabiera córkę Chudzińskich do swojego samochodu. Zgodnie z obietnicą miał ją zawieźć do żłobka, ale tego nie zrobił. Herman wiedziała, że roztrząsanie, czy za śmiercią dziecka stoi przypadek, podobny do tego, o który ostatecznie oskarżano Chudzińską, czy też zamiar, nie ma najmniejszego sensu, bo jednego była pewna – nigdy się tego nie dowie.

Gdyby to był przypadek, tragiczny splot okoliczności, jaki się zdarza każdego lata rodzicom nie tylko w Polsce, Solski przeżyłby zapewne potworny stres i nie myślał racjonalnie. Prędzej pozbyłby się ciała, wrzucił je do rzeki lub zakopał w lesie, niż pomyślał, żeby podrzucić martwe dziecko do samochodu Chudzińskiej. Po pierwsze, nie miał jak tego zrobić bez jej wiedzy, a po drugie, był w niej zakochany. Tylko czy uczucie coś zmieniało w tej sprawie? Niekoniecznie, bo Solski był damskim bokserem. Chudzińskiej co prawda nie uderzył, ale raczej był typem faceta, który, jeśli miałby możliwość, ratowałby własny tyłek nawet kosztem najbliższych. Świadczyło o tym życie w kłamstwie.

Maria otarła twarz.

Elementy układanki wciąż do siebie nie pasowały. Ilekroć rozmyślała nad śmiercią Zuzanny Chudzińskiej i próbowała do tego przypiąć Jana Solskiego, obraz wykoślawiał się jak w krzywym zwierciadle.

Optyka jednak by się zmieniała, jeśliby uznać, że mężczyzna miał współnika. A raczej współniczkę – Monikę Chudzińską.

Co by to oznaczało? Że Chudzińska była sprytniejszą i bardziej przebiegłą wersją matki Ma-dzi z Sosnowca?

– Proszę pani! Obiad stygnie – skarcił ją nastolatek, ale i tym razem nie ruszyła się z miejsca. Co prawda pokiwała głową, jednak wyciągnęła z paczki kolejnego chesterfielda i zapaliła go.

Papieros nie przyniósł upragnionej ulgi.

Zbyt mocno próbowała nagiąć historię do kilku poszlak, które udało jej się odnaleźć i odkopać z osuniętej ziemi. Tymczasem potrzebowała innej perspektywy, by przyjrzeć się temu, co zdarzyło się latem dwa tysiące siedemnaście roku.

Chociaż do jednej rzeczy była coraz bardziej przekonana.

Zaczynała wierzyć Chudzińskiej, że ktoś ją wrobił.

Tylko nie miała pojęcia kto.

Po tym, jak zjadła porcję makaronu, którą podgrzała w mikrofali, a chłopak umył talerze, odebrała telefon od przyjaciółki.

– Cześć, słońce, masz czas wieczorem? – spytała Joanna Mitras.

– Wieczorem mam jedną sprawę do załatwienia, ale nie powinna mi zająć dużo czasu.

– Świetnie. O której mogę przyjechać?

– Około dwudziestej pierwszej nie będzie za późno?

– Nie, skądże. Do zobaczenia.

– Zaraz, zaraz! – roześmiała się Maria.

– Tak?

– Nic mi nie powiesz?

– A co mam ci powiedzieć? – Mitras wydawała się zaskoczona.

– Co knujesz.

– Ja? No coś ty! O co mnie pani komisarz podejrzewa? Ja nigdy nic! – Kobieta wyraźnie się rozpozogodziła, ale w słuchawce zapadła cisza. Pierwsza przerwała ją Maria.

– Cieszę się, że się zobaczymy – uznała. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Ooo! Fiu, fiu! Czyżby chłop na horyzoncie? Będą pikantne szczegóły? – Joanna zniżyła głos, a Maria pokręciła głową i rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Pikantne to ja znam jedynie skrzydełka z KFC.

– To czas przerzucić się na pałki! – zawołała wesoło Mitras. – Do zobaczenia wieczorem!

Maria odłożyła aparat i zaśmiała się serdecznie.

Joanna Mitras dobrze ją znała. Policjantka sądziła, że jeśli napomknie, że chce porozmawiać, Joanna się wystraszy, że Herman ma kryzys. Tymczasem Mitras w ogóle nie zapytała o hazard.

Maria zastanowiła się nad tym, przyglądając się paznokciom poślódką od tytoniu.

Zachowanie przyjaciółki świadczyło o tym, że Joanna w nią wierzy i ta wiara jest silna. A silna wiara ma solidne fundamenty. Mitras musi więc być przekonana, że Maria Herman, hazardzistka, która nie zagrała od dwóch lat, nie zbłądzi. Marię to cieszyło, ale towarzyszył jej też lęk. Na drodze trzeźwienia wciąż czuła się jak dziecko we mgle i potrzebowała wsparcia, chciała, żeby ktoś ją prowadził za rękę, tam gdzie jasne nitki oparów się przerzedzają i drzewa oraz domy zyskują prawdziwe barwy i kształty. Zdawała sobie jednak sprawę, że takiej pomocy być może będzie potrzebowała już zawsze.

Potrząsnęła głową i spojrzała na zegarek.

– Do tej pory nie zagrałam – szepnęła.

Podniosła głowę i omiotła wzrokiem pusty salon.

Dom spowijała cisza. W ekranie wyłączonego telewizora odbijała się jej postać. Ciemne włosy, przepłatanie srebrnymi nitkami, miała gładko zaczesane i spięte. Nie mogła jednak doj-

rzec swoich oczu, ukryte w cieniu sprawiały, że jej odbicie wyglądało upiornie, jak z filmu grozy.

- Michał? - rzuciła w kierunku korytarza.

Rozejrzała się po parterze, zastukała do łazienki, a kiedy nikt nie odpowiedział, zajrzała tam. W otwartej pralce świecił pusty bęben, zasłona prysznicowa zwieszała się z sufitu i zniknęła w niewielkiej wannie. Z kranu kapiała woda. Wszystko wyglądało tak jak zawsze. Nie licząc podniesionej deski klozetowej.

Poszła na piętro, ale tam też nie było chłopaka.

Miała go pilnować, ale przecież nie mogła go zamknąć w piwnicy. Nie poradziłaby sobie z roslym nastolatkiem, który przewyższał ją o głowę.

Zeszła z powrotem na dół, sięgnęła po nokię i odszukała numer Olgierda wśród ostatnich połączeń.

Zaczęła liczyć sygnały.

Borewicz dojechał do skrzyżowania i wybrał drogę na Toruń.

Przejechał kilka kilometrów bez słowa, po czym, gdy zaczął się las otaczający północne rubieże miasta, zjechał na pobocze i wcisnął do oporu pedał hamulca.

Szarpnęło.

Zero Siedem nachylił się do klamki w drzwiach pasażera i je otworzył.

Lewandowska patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Śmiało. Możesz iść – rzucił policjant i spojrzał w jej przestraszone oczy. – No już!

– Przecież to kawał drogi.

– Chuj mnie to. Żegnam.

Kobieta nawet nie odpięła pasa. Borewicz zrobił to za nią. Ale Lewandowska nadal nie ruszyła się z miejsca.

– No, leć do nich. Leć i przekonaj się, że właśnie stracili do ciebie zaufanie, bo przecież nie będą wiedzieli, co naprawdę mi powiedziałaś.

Kobieta oddychała płytko i miała rozbiegany wzrok. Olgierd wiedział, że trafił w czuły punkt.

– Wypierdalaj! – ryknął. – Zresztą na pewno ktoś się zatrzyma, gdy zobaczy cię w lesie w tym stroju. Przynajmniej zarobisz sobie na pekaes.

Minął ich tir, pęd gorącego powietrza uderzył w kabinę. Starą toyotą zatrzęsło.

– Ja naprawdę nic nie wiem – broniła się Lewandowska.

Olgierd już nieco ochłonął. Wpatrywał się w drogę.

– Czego chciał Legner? – zapytał.

– O Jezuu, nie wiem – jęknęła Dorota.

– Nie pierdol! – Borewicz trzasnęła ręką w kierownicę.

Dziewczyna drgnęła.

– Ten cały Legner jest nienormalny – zaczęła.

– To znaczy? – Olgierd odwrócił się w jej stronę.

– On nas do tego zmusił. – Pochyliła głowę i się rozplakała. – To wszystko jego wina.

Borewicz zerknął na ekran telefonu. Maria Herman dobijała się do niego, ale nie mógł z nią teraz rozmawiać. Odrzucił połączenie i napisał esemesa: *Co jest?*

– Jak to, Legner was do tego zmusił?

– Zapłacił nam i przez jakiegoś polityka miał nas w to wszystko wkręcić.

Zero Siedem zrozumiał, że stary komuch, który zmienił polityczne barwy i zasiadał w pierwszych ławkach w kościele, wystawił go na odstrzał. Kłamał jak z nut.

– Ale po co to zrobił?

– Kazał nam sprawdzić tego, kto rządzi tym burdelem.

Olgierd zmarszczył czoło.

Czyżby chodziło o niego? Zaschło mu w gardle, ale ze stresu nie przełknąłby chyba nawet łyka wody.

– Ma coś na mnie? – Słowa z trudem przeszły mu przez gardło.

– Nie. On nawet nie wie, że w tym siedzisz. Ani ja, ani Grzesiek mu nie mówiliśmy. No chyba że ten polityk coś wyapałał.

Borewicz niewiele z tego rozumiał. Zastanawiał się, co Legner ma do Szczerbskiego, i zapytał ją o to, nie zdradzając nazwiska swojego mocodawcy.

– Mówię ci, pogadaj z Lipskim. On tym kręci. Ja tylko zarobiłam trochę monet.

– Dokąd pojechali?

– Przed Toruniem jest taki zjazd do lasu. Stamtąd Grzegorz odbiera Legnera i tam go zawsze zostawia.

– Czyli możliwe, że Grzegorz już wrócił do domu?

– Nie sędzę.

– Co masz na myśli? – spytał Borewicz, gdy telefon oznajmił nadejście esemesa od Herman.

Sorry, Zero Siedem. Dałam ciała. Chłopak uciekł.

Policjant zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek, próbując przetrwać moment, w którym emocje zerwą się z łańcucha.

Wszystko wymykało mu się z rąk.

– Mów, do cholery... – syknął w kierunku Lewandowskiej.

– Grzesiek ma dorwać twojego szefa – rzuciła. – Z tego, co zrozumiałam, to on jest na celowniku Legnera.

Słupek popiołu najpierw wygiął się ku dołowi, a potem spadł na spękane płytki balkonu.

Maria Herman nawet tego nie zauważyła. Wpatrywała się w ekran komórki, na którym wyświetlało się nazwisko Grocha, i zastanawiała się, czy powinna do niego zadzwonić.

Tym bardziej że chciała go wykorzystać w sprawie służbowej.

Pomyślała, że Groch jest jak wierny pies, który nawet źle traktowany, nadal macha ogonem i kładzie uszy po sobie, gdy widzi swojego pana. Przypuszczała, że wciąż się w niej kocha, mimo że wrócił do żony. I to właśnie przerażało Herman najbardziej – że jeśli tylko da mu szansę, gotów jest ponownie zniszczyć swoje małżeństwo.

Mimo tych wątpliwości dotknęła zielonej słuchawki.

Groch odebrał po kilku sygnałach.

- Co jest, mała? – odezwał się bez cienia żalu.
- Potrzebuję twojej pomocy. – Zgasiła papierosa.
- Wał. Przecież wiesz, że Groch pomoże.
- Chodzi o Jana Solskiego. Wrzuc go na bęben – poprosiła.
- Ech... Rozmawialiśmy już o tym.
- Sprawdź ostatnich pięć lat.
- Mała...
- Grochu, proszę.

Czekała. Cisza tężała w słuchawce.

- Nie wiem, dlaczego to robię, mała – westchnął Groch. – Dam ci znać, jak coś mi wyskoczy.

Herman rozciągnęła usta w uśmiechu.

Podala policjantowi obecne miejsce zamieszkania Solskiego, ale interesowały ją także lata, kiedy mieszkał przy Sezamkowej. Gdy tylko się rozłączyła, zadzwoniła do Olgierda. Wymienili kilka informacji, po czym spytała:

- Mieliśmy jechać na Sezamkową, pamiętasz?
 - Właśnie po ciebie jadę.
 - No to dobrze. Musimy przesłuchać sąsiadów Chudzińskich. Może coś sobie przypomną, może coś wiedzą.
 - To normalni ludzie, nie to, co my.
- Nie wiedziała, o co mu chodzi.
- Módlmy się, żeby byli w domu – wyjaśnił. – Przypominam ci, że mamy lato. Sezon urlopowy w pełni.

- A, tu cię boli. – Rozciągnęła usta w uśmiechu i wbiła mu szpilkę: – Ale przecież ty robisz wszystko, żeby zawsze być w pracy.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, że między być a pracować jest dyskretna różnica.
- Ty to powiedziałaś. – Herman wróciła z balkonu do sypialni. – Ale jak podskoczymy do Kaszczorka, odpuszczę ci grzechy.

- Bądź pozdrowiona, Maryjo! – zarechotał Borewicz. – Niech ci będzie. Bez odbioru.

- Bez odbioru – zawtórowała, jednak Zero Siedem chyba jej już nie usłyszał.

Policjantka zważyła w dłoni starą nokię.

Zastanawiała się, czy powinna jeszcze do kogoś zadzwonić, i przypomniało jej się, że na wieczór umówiła się z Joanną Mitras. Wysłała jej esemesa, że może się trochę spóźnić.

Odpowiedź nadeszła szybko.

Do zobaczenia.

Maria miała ochotę zadzwonić do przyjaciółki, ale aura tajemniczości towarzysząca zbliżającemu się spotkaniu spodobała jej się na tyle, że nie chciała psuć sobie niespodzianki. Joanna była jedyną osobą, której umiała zaufać.

Rozległ się dzwonek telefonu. To był Groch.

– No więc generalnie w papierach jest czysto – odezwał się tubalnym głosem.

– Generalnie? – Herman wyczuła w jego głosie wahanie.

– Chodzi o to, że system nie wypływa Solskiego – potwierdził. – Ale coś mnie podkuśiło i wiedząc, że to damski bokser, podpytałem dwóch kumpli. Jeden z nich dał mi coś, co powinno cię zainteresować.

– Mów.

– Solski jakiś czas temu wypłynął przy okazji innej sprawy. Nie będę się wdawał w szczegóły, ale podobno sprzął łaskę w burdelu.

– W burdelu? – Herman odsunęła pościel i usiadła na materacu.

– No dobra, przesadziłem. W klubie nocnym.

– Kiedy to było?

– W październiku dwa tysiące siedemnastego roku.

Maria przełknęła ślinę.

– Kiedy dokładnie? – spytała.

– Pod koniec.

Pomyślała o dacie zaginięcia Moniki Chudzińskiej – szesnastego października.

– Dobra, sprawdzę i dam znać. W każdym razie dziewczyna przyjechała do nas złożyć zeznania, ale podobno następnego dnia je wycofała.

– Zgwałcił ją?

– Jeśli jej wierzyć, bo nie miała obdukcji. Ani świadków.

Herman potarła czoło. Myślała intensywnie.

– Gdzie ją znajdę?

– To było w Hawanie. Na Bydgoskim Przedmieściu. Ale dawno ją zamknęli.

– Masz jej nazwisko?

– Groch by nie miał? No pewnie, że mam. I tu robi się cholernie ciekawie. To Dorota Lewandowska. Pewnie już ją widziałas na zdjęciach, bo niedawno zaginęła.

Borewicz nie był z siebie dumny, ale szantaż emocjonalny wydał mu się jedynym wyjściem, by przemówić młodej kobiecie do rozsądku.

Kiedy odwiózł ją na działkę pod lasem, wysiadła z samochodu i zniknęła za drzwiami drewnianego domku. Wyszła po kilku minutach z telefonem w ręce i ponownie zajęła miejsce na fotelu pasażera.

– Pod jaki numer mam zadzwonić? – spytała.

– Pod alarmowy, ale nie tutaj, bo połączysz się z komisariatem w Chełmży. – Powietrze w toyocie zgęstniało, więc podkręcił klimę. – Zapnij pas.

Dziewczyna zrobiła, o co prosił, i dojechali do rogatek Torunia. Przy zabudowaniach oczyszczalni ścieków policjant skręcił w lewo, w kierunku Motoareny, i zatrzymał się na parkingu.

Poprosił ją, by zadzwoniła na policję i wyjaśniła, że wcale nie zaginęła. Uwolniłaby w ten sposób Michała Skrzyckiego od przykrych wizyt w komisariacie.

Lewandowska dłuższy czas wpatrywała się w ekran smartfona, po czym skinęła głową, wpięła numer i w końcu wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Halo? Dzień dobry – przywitała się. – Otrzymałam informację, że podobno policja mnie szuka, bo niby zaginęłam. Słucham? Tak. To znaczy nie. Nazywam się Dorota Lewandowska. Widziałam informacje w mediach, że jestem zaginiona... Nie, no skąd. Naprawdę, nic mi nie jest... Tak... Chodzi o to, że miałam trochę problemów rodzinnych i po prostu potrzebuję chwili spokoju. Zaszłam się na wsi i teraz...

Borewicz odetchnął. Niemniej wciąż miał inne zmartwienia.

Wiedział, że oficer dyżurny wyśle patrol do Lewandowskiej, ktoś zweryfikuje jej tożsamość i wkrótce dziewczyna zostanie wykreślona z rejestru osób zaginionych. Co ważne, zanim Legner i Lipski się zorientują, minie zapewne sporo czasu. Tym bardziej że obecnie musiały ich zaprzętać ważniejsze sprawy. Niemniej Borewicz ustalił z Lewandowską, że w razie czego kobieta powie Lipskiemu, że ktoś na wsi ją rozpoznał i poinformował policję, gdzie ona mieszka, patrol ją zaskoczył i nie miała wyjścia – musiała pokazać im dowód.

Zero Siedem ponownie odwiózł Lewandowską do domu, zapisał sobie jej numer i wrócił do Torunia.

Z drogi zadzwonił do Adama Szczerbskiego.

– Halo – odezwał się szef.

– Musimy pogadać – rzucił Olgierd. – Gdzie jesteś?

– Daleko, a co? Dowiedziałeś się wreszcie czegoś? Bo mam wrażenie, że grasz na zwłokę.

– Mam strzępy informacji.

– No to dawaj.

Borewicz się zawahał.

– To nie na telefon.

– Mów! – warknął Szczerbski, wyraźnie poirytowany.

Zero Siedem przygryzł wewnętrzną część policzka. Przez głowę przemknęła mu myśl, która sprawiła, że poczuł się pewniej.

Początkowo nie mógł pojąć, dlaczego Legner naraża swoją reputację i wykorzystuje nielegalne sposoby, żeby zdobyć informacje o Szczerbskim, skoro jako prokurator dysponuje całą machiną służbową, by przyjrzeć się staremu biznesmenowi. Nie rozumiał, dlaczego funkcjo-

nariusz publiczny zdecydował się na ryzykowny krok infiltracji grupy swingersów, która jako taka nie mogła trafić pod lupę organów ścigania, bo nie było ku temu powodów. Przecież Legnerowi nie mogło chodzić o to, co się dzieje w pokoju z dużym obrotowym łóżem pośrodku i kotarami na ścianach.

– Przyjedź wieczorem. O dwudziestej drugiej, tam gdzie zawsze.

– Chyba o czymś zapomniałeś. To ja jestem twoim szefem i to ja wydaję...

– Przyjedź – przerwał mu Borewicz, któremu właśnie zaczął się układać w głowie pewien plan. – Bo inaczej wszystko się spierdoli. Mamy szansę to naprawić. Ale sam tego nie zrobię – skłamał i się rozłączył.

Zjechał na pobocze i wysłał esemesa do Grzegorza Lipskiego.

Zadzwoń. Wystawię wam tego, kogo szukasz.

Odczekał chwilę, wpatrując się w las i pozbawioną kory sosnę, której obumarły pień sterczał obok innych wysokich drzew.

Nie zdążył jeszcze zebrać myśli, gdy zadzwonił smartfon. Olgierd wpatrywał się w ekran, potem znowu przeniósł wzrok na uschnięte drzewo. Zawiesił palec nad ikoną zielonej słuchawki i się zawahał. W końcu odebrał.

– Mam nad wami przewagę, więc lepiej posłuchaj, co mam ci do powiedzenia – rzucił, zamint Lipski zdążył się odezwać.

Jakiś czas później, gdy słońce zawisło nad czubkami sosen, a brzegi kłębiastych chmur zaczęły przybierać kolor złota, Borewicz zajechał na stację benzynową.

Podczas tankowania zadzwonił do matki Michała Skrzyckiego, która uspokoiła go, że chłopiec dotarł do domu. Już przy kasie, gdy placił za paliwo, otrzymał esemesa od Kingi. *Pies chodzący przez ciebie, idioto*, napisała.

Próbował się z nią połączyć, lecz nie odbierała.

Na stacji benzynowej lyknął dwa ibupromy, bo od tego wszystkiego rozboleła go głowa. Tabletki zaczęły działać dopiero, gdy zaparkował pod domem Herman. Puścił jej wędkę. Miał nadzieję, że trasa z Wrzosów do Kaszczorka zajmie im niespełna dwadzieścia minut.

Gdy Maria usiadła obok, wyczuł, że coś ją gryzie. Mimo to nie naciskał. Dał jej czas.

Prowadził przepisowo, chociaż kierownicę trzymał jedną ręką, a w drugiej miał puszkę energizera. Na skrzyżowaniu ze Żwirki i Wigury odbił w lewo.

– Co nic nie mówisz? – zagadnął, zerkając na nią.

Wzruszyła ramionami.

– Skrzyckim się nie przejmuj – dodał. – Kiedy tankowałem, zadzwoniłem do jego matki. Wrócił do domu, nic mu nie jest i włos mu z głowy nie spadnie.

– Nie o to chodzi – pokręciła głową.

– To o co?

Wyczuł, że Herman się waha.

– Jesteśmy partnerami – powiedział. – Musimy ze sobą rozmawiać.

Pokiwała głową.

– No więc? – Olgierd zaczął się zastanawiać, czy jej milczenie nie oznacza nowych kłopotów w związku ze śledztwem Jaronia.

Doskonale wiedział, że to on odpowiada za ich problemy. Rzadko o tym myślał, ale czuł, że są jak wisząca nad nimi czarna chmura. Nieprzenikniony mrok. Czarną barwę miał też strach,

który ich zjednoczył. Herman stanęła po jego stronie i bardzo to doceniał. Dlatego musiał się brać za bary z każdą przeszkodą, która wyrastała tuż przed nimi.

Dotarli na Sezamkową, nie podejmując tematu.

Borewicz mimo włączonej klimatyzacji czuł, że jego T-shirt jest wilgotny pod pachami i na plecach. Herman wachlowała się bluzką. Przyłożył dłoń do kratki nawiewu, ale wydostawało się z niej letnie powietrze. Rzucił okiem na konsolę. Klimatyzacja była włączona. Mimo to wyłączył ją i włączył ponownie. Nic się nie zmieniło.

Kątem oka dostrzegł, że Maria przyglądała mu się uważnie.

– Co jest? – zainteresowała się.

– Nie wiem. Może bezpiecznik? – stwierdził, chociaż trudno mu było w to uwierzyć.

Uchyliła drzwi i wysiadła, a Olgierd próbował majstrować przełącznikami odpowiedzianymi za nawiew, jednak nic nie wskórał.

W końcu zrezygnowany zgasił silnik.

Herman paliła papierosa w cieniu klonu.

Na podjeździe domu Chudzińskich stał mały dostawczak. Zdjęcie na burcie przedstawiało uśmiechniętą blondynkę z drinkiem w dłoni, która stojąc w basenie, wystawiała twarz do słońca. W błękitnej wodzie błędziły refleksy światła.

Zero Siedem oderwał wzrok od samochodu firmy basenowej i podszedł do partnerki.

– Klima kaput.

Maria skinęła głową.

– Jakoś wytrzymamy. – Zaciągnęła się, a po chwili dym owionął jego twarz.

– Chuja tam wytrzymamy. W taki upał?

– Nie takie rzeczy musieliśmy wytrzymać.

Olgierd wiedział, co miała na myśli, i chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował.

Omiótl wzrokiem dom Chudzińskich, który miał po prawej stronie, a potem kolejne zabudowania, przysłonięte przez rząd żywotników i spory krzak bzu. Kilka lat temu dom po lewej stronie wynajmował Solski. Wydawało mu się nawet, że w oknie kuchni, nad zazdrostką, pojawiła się twarz kobiety.

Borewicz nabrał powietrza i powoli je wypuścił.

Gdzieś w oddali czekał pies, dobiegały ich wesołe krzyki dzieci bawiących się w ogrodzie i zapach grilla. Zamarzyło mu się, żeby wynieść się z Kingą i Zero Siódmką z blokowiska w Bydgoszczy i przeprowadzić w podobne miejsce jak to, z niską zabudową. Miał o tym porozmawiać z żoną i pewnie by to zrobił, gdyby znowu nie zaczęła go drażnić. Ale może właśnie to byłby lek na ich problemy? Dom i swoboda, jaką dawał ogród?

– Powinniśmy zbadać coś, czego do tej pory nie braliśmy pod uwagę – Herman przerwała jego rozmyślenia.

– Czyli?

– Śmierć dziecka Chudzińskiej.

Olgierd zerknął na Marię, a potem odprowadził wzrokiem samochód, który przejechał stopadłą drogą i błysnął świeżo umytą karoserią.

– Czekaj. Chodzi ci o to, że...

– Że ktoś zabił tę małą – rzuciła komisarz i wsunęła papierosa do ust.

Olgierd zdębiał.

– Zabił? Co ty gadasz? – skrzywił się. – Niby jak?

Wyjęła papierosa z ust, żeby wyłuszczyć partnerowi słabe punkty swojej teorii, a na koniec wreszcie zapaliła.

- No więc sama widzisz, że to się nie klei.

- Chcę wysłać ciuchy małej do biegłego. Prosiłam Legnera, żeby dał nam zielone światło.

- A on się nie zgodził - Zero Siedem zgadywał, ale po reakcji Herman, która podniosła na niego oczy, wiedział, że trafił.

- Chce konkretów. Dlatego musimy mu ich dostarczyć. - Ruszyła przed siebie w kierunku pierwszego domu, ale po chwili się zatrzymała i odwróciła do Olgierda, bo wciąż tkwił tam, gdzie go zostawiła. - Jeszcze jedno - dodała. - Pamiętaj, jak byliśmy u Solskiego, a on wskazał nam Lewandowską jako osobę, która wyszła z domu Chudzińskich?

- No i? - Borewicz skupił się na słowach partnerki, bo nie wiedział, do czego zmierza.

- W październiku ją pobił. W nocnym klubie. Zgłosiła się na policję, ale następnego dnia wycofała zeznania.

- Są świadkowie?

Pokręciła głową.

- Więc może to nieprawda? Może wskazała go wtedy, a on próbuje się na niej zemścić?

Stali tak przez chwilę, zatopieni w myślach.

- Chcesz, to do niej zadzwonię i będziesz mogła z nią pogadać - obiecał. - Ale na razie mamy robotę - wskazał na pobliskie domy.

Herman zerknęła na elewację z cegły klinkierowej. W białych oknach ze szprosami dogasało słońce.

- Legner pytał o ciebie - rzuciła, gdy piach ponownie zazgrzytał im pod podszewkami.

- W jakim sensie?

Maria znowu się zatrzymała.

- Najpierw pojawia się Jaroń - wyliczała. - Teraz ten Legner. Nie wiem, czy oni razem... No wiesz, czy oni nie działają w sprawie Grudziąda.

- Czego chciał? - przerwał jej, bo nie lubił, kiedy dramatyzowała. Uważał to za odprysk po hazardzie. O dziwo, gdy trwała w nałogu, stres mobilizował ją do działania. Właśnie wtedy wymyślała kolejne kłamstwa i niestworzone historie, żeby wyłudzić kasę. Ale gdy zaczęła terapię, zatraciła tę zdolność. Dlatego zdarzało mu się stawiać ją do pionu i nie pozwalać, by kończyła myśli, których sam się bał. - Zdradził się z czymkolwiek?

Partnerka wzruszyła ramionami, a Zero Siedem się skrzywił z bólu, jakby niewidzialna ręka szarpnęła go za jelita. Położył dłoń na brzuchu i próbował przetrwać atak, zaciskając zęby.

- Nic nie mówił, ewidentnie chciał z tobą pogadać w cztery oczy. - Popatrzyła na niego uważnie. - Nic ci nie jest?

Machnął ręką, najgorsze miał już za sobą.

- Gdyby to dotyczyło wydarzeń w Białym Żaglu, to przecież Legner nie miałby nic do gadania. To nie jego rewir.

- Obyś się nie mylił.

Olgierd nabrał tchu i ból zaczął odpływać.

- Spokojnie, panuję nad wszystkim - odparł, ale po minie Marii poznał, że mu nie uwierzyła. - A ponieważ najlepszym antidotum na stres jest praca, weźmy się w końcu do roboty.

W ostatnim domu, do którego drzwi zapukali, otworzył im zażywny starszy mężczyzna w popielatych spodenkach sportowych Adidasa i białym T-shircie z wilgotną plamą potu układającą się w nieregularny klin od kołnierzyka w kierunku brzucha. Gospodarz miał przewieszony przez szyję biały ręcznik frotté, którego rąbkiem otarł czoło. Wysłuchał, w jakiej sprawie przyszli, i dość długo przyglądał się legitymacjom policyjnym.

– Z Bydgoszczu? – zażartował, nawiązując do słów pewnego prominentnego polityka, ale żadne z nich się nie uśmiechnęło. Herman pomyślała, że Olgierd pewnie w duchu przewraca oczami.

– No dobra, wchodźcie, śmiało, i tak już miałem kończyć trening – zapewnił mężczyzna, otworzył szeroko drzwi i wpuścił ich do jasnego wnętrza. – Na rowerku sobie zasuвам i od lutego jestem o trzysta kilo lżejszy – dodał, zmierając do salonu i kiwając na nich ręką, by poszli za nim.

Herman z rozbawieniem stwierdziła, że plama potu na jego plecach przypomina kształtem Polskę.

Weszli do salonu, którego okna wychodziły na gładką murawę otaczającą drewniany taras z dwoma leżakami i basen z podświetlaną wodą. Herman wzdrygnęła się na widok chmary owadów, która zebrała się nad powierzchnią wody.

– Siadajcie, proszę. – Maurycy Wołhejko, bo tak się przedstawił gospodarz, poklepał obszerne oparcie skórzanej sofy, a sam zajął miejsce w rozłożystym fotelu na skraju siedziska. Garbił się.

– Wody? – zaproponował, wskazując na karafkę oraz szklanki z grubego szkła, odwrócone do góry dnem i czekające na spragnionych.

Maria podziękowała, ale Olgierd się skusił i wychylił szklankę wody jednym haustem.

– Mnie też pan należy, bo mnie potem trenerka goni, że się nie nawadniam. A ja, szczerze mówiąc, rzygam wodą. Piwo to bym wypił, szczególnie w te cholerne upały. Nic tak nie gasi pragnienia jak piwo, nie? Lubicie piwo? – zapytał, gdy Olgierd podał mu szklankę, wypełnioną po brzegi.

Herman się ucieszyła, że trafili na gadułę, ale z doświadczenia wiedziała, że powinna przejąć kontrolę nad jego słowotokiem.

W trzech poprzednich domach zmarnowali sporo czasu. Mieszkańcy, chociaż pamiętali śmierć Zuzanny, nie byli w stanie odtworzyć szczegółów tamtego tragicznego dnia. W większości potwierdzili to, co policjanci bydgoskiego Archiwum X znali z akt.

Herman próbowała się dowiedzieć czegoś więcej o zaginięciu Moniki Chudzińskiej, ale miała wrażenie, że sąsiedzi wyparli z pamięci młodą matkę, która była winna śmierci swojego dziecka. Przecież w Polsce matka nie ma prawa zapomnieć o swoim dziecku. Ma być z nim złączona do śmierci niewidzialną pępowiną.

Kilka osób w ogóle nie chciało rozmawiać o Chudzińskiej; bariera niechęci, którą wyczuwała Maria Herman, okazała się nieprzekraczalna. Policjantka pomyślała, że gdy Monika Chudzińska zapadła się pod ziemię, wszyscy zapewne odetchnęli.

Napawało ją smutkiem. Po pierwsze dlatego, że Chudzińska mogła być ofiarą. A po drugie dlatego, że cierpiała, i to cierpienie nie było udawane. Dopadła ją choroba. Jednak ludzie uważają, że chorować można tylko na ciele. Tylko wtedy można liczyć na współczucie. Choroby psychiczne i uzależnienia to żałosne fanaberie, których można się łatwo pozbyć – wystarczy układać puzzle, szydełkować i chodzić do kina. Wystarczy się ogarnąć.

Herman doskonale to znała.

„Ogarnij się!” – krzyczała matka, gdy dowiedziała się o hazardzie. Nie wiedziała, jak pomóc Marii, chciała, żeby córka się opamiętała i wyszła z piekła uzależnienia. Ale nie da się wyzbyć kataru siłą woli.

Policjantka odepchnęła to wspomnienie i powiodła wzrokiem po działce Wołężki. Zmierzch powoli brał górę nad dniem. Czerń wyzierała z oddalonych zakamarków ogrodu, a delikatna żółtawa poświata układała się półkoleście nad rozświetlonym basenem i stawała się coraz wyraźniejsza.

Herman wpatrywała się w nieskazitelną czystą wodę i w ruchome czarne kropki nad basenem.

Ocknęła się, gdy Borewicz wypytywał mężczyznę o koszty utrzymania kąpieliska w ogrodzie. Wykorzystała przerwę w ich rozmowie, żeby nakierować ją na właściwe tory:

– Pamięta pan Monikę Chudzińską?

– A jakże. – Gospodarz przetarł ręcznikiem kark. Jego siwe, równo przycięte włosy sterczały na wszystkie strony. – Monika była dobrą dziewczyną i mamą. Taką otwartą, wesołą. – Uśmiechnął się melancholijnie do wspomnień. – Bywała odrobinę szalona i rozkojarzona. W zasadzie chyba szybciej działała, niż myślała. Przynajmniej tak ją zapamiętałem.

– Pana zdaniem mogła zapomnieć o dziecku i zostawić je w samochodzie?

Wołężko nabrał głęboko powietrza.

– Nie wiem. – Podrapał się po głowie. – Zresztą po co gdybać, skoro to się wydarzyło? Choć ona podobno uważała, że ktoś ją zrobił, prawda?

Borewicz potwierdził i ponownie nalał sobie wody. Gdy napełnił szklanekę, uniósł pytająco karafkę w kierunku Wołężki. Ten skinął głową.

– Trzymała się jednej wersji – wyjaśniła Herman. – Uważała, że to mąż miał odwieźć dziecko do żłobka.

– Kto to może teraz sprawdzić? – zastanowił się gospodarz retorycznie i wziął szklanekę z wodą od policjanta.

– Czy pamięta pan coś z tamtego poranka? Cokolwiek, co po latach mogłoby się wydawać nietypowe, zaskakujące?

– Nie, raczej nie.

– Jest pan pewien? Pytam, bo wśród wielu zeznań świadków nie mamy pańskiej wersji zdarzeń.

Wychylił szklanekę do dna i pokiwał głową.

– Następnego dnia po tej tragedii wyjechaliśmy z żoną na wakacje do Włoch. Zazwyczaj robimy sobie dłuższą letnią przerwę. Wróciliśmy dopiero w listopadzie, i to na krótko. Chyba na dwa tygodnie. Listopad w Polsce jest nie do zniesienia, więc z powrotem zabraliśmy się na Sycylię. Mamy tam niewielki dom.

– Czyli nie było tu pana w chwili, gdy Monika zaginęła.

Mężczyzna rozłożył ręce.

– Przykro mi, ale nie pomogę w tej sprawie.

Maria Herman zerknęła na Borewicza, który wpatrywał się w okno, pogrążony w myślach. Nie winiła go za brak zainteresowania rozmową. Jej teoria miała pełno dziur i policjantka zdawała sobie z tego sprawę.

– Chciałabym pana prosić, żebyśmy cofnęły się do dnia śmierci Zuzanny Chudzińskiej – bez entuzjazmu podjęła jeszcze jedną próbę. – Czy pamięta pan, w jakiej kolejności sąsiedzi wyjeżdżali do pracy?

– Z tym to chyba różnie bywało, ale ja akurat wyjeżdżam ostatni. Po prostu lubię wypić kawę i poczytać w spokoju gazetę w kuchni. W ten sposób unikałem też korków w rozkopanym centrum.

– Kto wyjechał pierwszy? Karol Chudziński czy Monika?

– Właśnie to mnie zaskoczyło. Bo zazwyczaj ona wyjeżdżała pierwsza, a Karol zbierał się dopiero po jakimś czasie. Jednak tamtego dnia było inaczej. Najpierw dostrzegłem jego mazdę, a potem focusa Moniki.

– Podobno pił pan kawę i czytał gazetę – przypomniał mu Borewicz.

– Ma pan rację. Ale akurat podniosłem wzrok, gdy Karol przejeżdżał, i przypomniałem sobie, że nie wystawiłem kubłów na śmieci. Wyszedłem więc na zewnątrz i kiedy przestawiałem je za ogrodzenie, wtedy przejechała Monika. Podniosłem rękę na powitanie, ale nawet nie wiem, czy mi odmachała, bo zajmowałem się pojemnikami.

– Widział pan jej córkę? Była w foteliku? – Herman wyprostowała plecy.

– Sam chciałem wiedzieć – zamyślił się. – Szczerze mówiąc, nie miałbym nawet odwagi twierdzić, że za kierownicą siedziała Monika.

– Pan żartuje – oburzyła się Herman.

– Nie, skąd. Sama pani wie, jak trudno w pełnym słońcu rozpoznać, kto jedzie samochodem. Ale niewątpliwie to był jej samochód. Jej numery rejestracyjne. Więc kto miałby go prowadzić?

Policjantka poczuła, jak napinają jej się mięśnie.

Nie wzięła tego rozwiązania pod uwagę. A co, jeśli za kierownicą siedział Solski? Ale jak w takim wypadku Chudzińska dotarłaby do pracy?

Maria nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Auto jechało szybko? – zainteresowała się.

– Jeśli o to chodzi, Monika nigdy nie załowała gazu. Nogę miała ciężką jak wiadro betonu. Nawet kiedyś o tym rozmawialiśmy i mówiłem jej: dziewczyno, zwolnij, bo dziecko wozisz, jeszcze sobie i małej krzywdę zrobisz. Ale, co ja pani będę mówił – machnął ręką. – Dobrze pani wie, jak młodzi reagują na rady takich ramoli jak ja.

– A potem?

– Co potem? – Wzruszył ramionami.

– Zdarzyło się coś jeszcze? Dostrzegł pan inny samochód? Na przykład wóz Jana Solskiego, który wynajmował dom na końcu ulicy?

– Solskiego pamiętam, ale nie kojarzę, żeby wtedy wyjeżdżał do pracy.

Herman wstała i podziękowała za poświęcony czas. Olgierd bez słowa uściśniła mężczyźnie dłoni.

– Dajcie mi jakiś namiar na siebie, na wypadek gdyby coś mi się przypomniało – zaproponował Wołlejko.

Borewicz wyjął z portfela wizytówkę, po czym się pożegnali i drzwi za ich plecami cicho przygłębły do framugi.

Olgierd szybciej dotarł do toyoty i otworzywszy drzwi od strony kierowcy, czekał na Herman. Kiedy przechodziła obok domu Chudzińskich, z otwartego garażu wyszedł mężczyzna z komórką przy uchu.

– No, powiem ci, że gość mocno się rzuca – powiedział przyciszonym głosem. – Pierdolił coś o sądzie i prawniku. Dał nam dwa dni na posprzątanie tego gówna... Niby tak, ale od czterech lat, jak zrobiliśmy ten basen, jeszcze nigdy się tak nie wkurwił.

Herman śledziła wzrokiem, jak pracownik firmy basenowej wsiada do dostawczaka i zatrzaśnie drzwi, wciąż z telefonem przy uchu.

Warkot silnika sprawił, że koncert świerszczy ucichł. Opony zazgrzytały na kostce i wóz wycofuje się z podjazdu.

– Co robimy? – odezwał się Olgierd, gdy Herman podeszła do toyoty.

Firmowy dostawczak zniknął im z pola widzenia i ulica pograżyła się w ciemności. Odgłos silnika cichł z każdą chwilą, a pozorną ciszę znowu wypełniło narastające cykanie owadów. Raz tylko wiatr zaszeleścił w koronach klonów. Herman uniosła głowę i zerknęła na ciemniejące niebo – czarna chmura, zwarta i gęsta, napływała z oddali, nieprzenikniona jak kotara.

Powiew gorącego powietrza poderwał drobiny pyłu zalegającego na drodze.

– No więc? Co robimy? – Olgierd zerknął na zegarek.

– Nie wiem. Mam tego wszystkiego dość – skrzywiła się i sięgnęła po papierosa. Dym przez chwilę szczypał ją w oczy. – Daj mi ten numer do Lewandowskiej – poprosiła.

Olgierd wyjął telefon i wybrał połączenie. Przyłożył aparat do ucha.

– Możesz gadać? – rzucił do słuchawki, spoglądając na Herman. – Bo mam sprawę... Nie, chodzi o coś innego... Nie panikuj! Dam telefon mojej partnerce z policji, która ma do ciebie jedno proste pytanie. Jedno! Wyluzuj.

Podał Marii komórkę. Przejmując od niego aparat, Herman jeszcze się zaciągnęła. Przedstawiła się Lewandowskiej i powiedziała, w jakiej sprawie dzwoni.

– Rzeczywiście, tak było – przyznała Lewandowska. – Solski mnie pobił. Ale nie zgwałcił. Z tym to trochę przesadziłam.

– O co poszło?

– Popił sobie, chciał się zabawić. W sumie standard. Nic nadzwyczajnego.

– Ale chciałaś na niego donieść.

– Chciałam, ale się rozmyśliłam – burknęła kobieta.

– A może on ci zapłacił?

– Nawet jeśli, jakie to ma znaczenie?

Herman pomyślała, że to mądre pytanie.

– W tamtym okresie zaginęła młoda matka, Monika Chudzińska. Solski był jej sąsiadem – wyjaśniła policjantka, gdy gdzieś w oddali niebo zamruczało basowo.

– Aha.

– Zastanawiam się, czy jego zachowanie, to, że cię pobił, mogło mieć związek z tym zaginięciem.

– Dlaczego pani tak myśli?

Herman uznała, że nie wyjawii prawdy, nie wspomni o romansie tych dwojga.

– Mam swoje powody – odparła. – Więc jak?

– Nie, raczej nie.

Maria podziękowała jej za rozmowę i oddała telefon Borewiczowi.

Wszystko na nic, pomyślała.

Wsiedli do toyoty i Herman przyglądała się, jak Olgierd włącza i wyłącza klimatyzację, przelącza nawiew na niższe obroty, a potem je zwiększa i przystawia dłoń do kratek wylotowych.

– Padła, kurwa, jak nic – zezłościł się.

Herman prychnęła, próbując stłumić śmiech.

Olgierd obserwował ją przez chwilę.

- A tobie co? - zmarszczył czoło.

Maria opuściła głowę, ale ramiona jej podrygiwały.

- No? Halo! - ponaglił ją. - Z czego tak lejesz?

Jeszcze próbowała się opanować, ale wytrzymała zaledwie kilka sekund.

- Z tego, że kurwa padła. - Ocierała łzy, zanosząc się śmiechem.

Borewicz zarechotał krótko, ale po chwili i jemu puściły hamulce.

Dopiero gdy się uspokoił, uruchomił silnik i wrzucił bieg.

Kilka metrów dalej światła toyoty omiotły stojącego na drodze Wołęjkę. Mężczyzna podniósł rękę, dając znać, żeby się zatrzymali. Olgierd opuścił szybę.

- Coś mi się przypomniało. - Wołęjko nachylił się do okna. - Jedna rzecz.

- Co takiego?

- Chudziński. - Wskazał palcem na dom za ich plecami. - Mówiłem, że tamtego dnia wyjechałem ostatni, prawda?

Borewicz potwierdził.

Na twarzy mężczyzny widać było napięcie. Jego prawa powieka rytmicznie drżała.

- Ale tak nie było - wyjął Wołęjko.

- To znaczy?

- Jak wyjeżdżałem stąd, minąłem się z Chudzińskim. Musiał czegoś zapomnieć z domu, bo gnał jak wariat.

Kiedy Olgierd odwiózł Marię pod dom, Joanna Mitras wysiadła ze swojego mercedesa i stukając czarnymi szpilkami, podeszła do przyjaciółki. Przytuliły się.

Olgierd patrzył na krągłe biodra i apetyczne uda, podkreślane przez obciste dżinsy, a potem przeniósł wzrok na białą bluzkę z głębokim dekoltem, która ukrywała biust w rozmiarze co najmniej C.

Odkąd poznał klona Herman, bo tak Maria nazywała przyjaciółkę hazardzistkę, miał ją za kobietę piękną zarówno ciałem, jak i duchem, i chętnie przyjrzałby jej się leżącej nago z szeroko rozłożonymi nogami na obrotowym czerwonym łożu w willi w Rogówku.

– Starsza pani miałaby branie – wyszeptał, odprowadzając wzrokiem obie kobiety na ganek starego domu na Wrzosach.

Zdarzało mu się myśleć o Mitras, o tym, że chciałby się z nią przespać. Oczywiście wyobraźni widział ją, jak wypina silne biodra, odwracając głowę w jego stronę, by pokazać mu błyszczące z pożądania oczy, gotowa na wyuzdany, ostry seks. Marzył wtedy, że ślina spłynęłaby mu z ust wprost między jej pośladki, a potem chwyciłby ją za wąską talię i przyciągnął do siebie. Wszedłby w nią głęboko, a ona wygięłaby plecy w łuk i wzdychała głośno.

Ocknął się i oblizał suche usta.

Ulica była pusta. Ganek domu Herman także. Rozejrzał się i zerknął na korony drzew, które tarmosił gorący wiatr.

Miał świadomość, co go za chwilę czeka, i być może dlatego przypomniał sobie niedawną rozmowę z Herman, której powiedział niemal wszystko, czego się dowiedział o Legnerze. Ukrył przed nią tylko, że wkrótce ma się spotkać ze Szczerbskim i Lipskim. Nie zamierzał jej już nigdy wikłać w swoje brudne sprawy. Wystarczyło, że z Grudziądza wyjechali z balastem, który już zawsze będzie ciążył na ich życiu. Olgierd wiedział, że jeśli będzie dokładał Marii problemów, może przyczynić się do tego, że jego partnerka wróci do hazardu. Dlatego cieszył się, że Herman jest czujna i wciąż uczęszcza na terapię, wciąż spotyka się z klonem.

Wrócił myślą do rozmowy sprzed chwili.

– Dlaczego Legner steruje Lipskim i Lewandowską? – spytał Marię, gdy jechali w kierunku jej domu.

– Może nie jest tak, jak ci się wydaje.

– Czyli?

– Może on coś ma na nich oboje.

– Eee. W takim razie po co miałyby ich wrzucać do grupy swingersów? – zaproponował Zero Siedem. – Czym on się w ogóle zajmuje?

– Głównie sprawami kryminalnymi. Ostatnio miał parę sukcesów na koncie. I zaistniał w mediach.

– Dasz mi do niego numer?

Herman wbiła w telefon partnera ciąg cyfr, który spisała ze swojej nokii.

Wiatr poczynał sobie coraz śmiejiej i w oddali, gdzieś nad miastem, błysnął piorun.

Olgierd nawrócił i wyjechał z osiedla. Dotarł do Polnej i odbił w lewo. Snuł się wzdłuż płotu zwinionego drutem kolczastym, za którym rozciągały się dawne tereny wojskowe.

Noc panowała już nad miastem.

Zero Siedem wybrała numer do Szczerbskiego. Legnera zostawił sobie na później.

- Gdzie jesteś? - zapytał, gdy szef odebrał połączenie.
- Mam lekkie opóźnienie, był wypadek na autostradzie. Będę za niecałą godzinę - obiecał Szczerbski.

- Spokojnie, mamy czas - zapewnił go Olgierd. - Jak reaguje grupa?

- Wciąż nerwowo, ale obiecałem im, że jesteśmy blisko wyjaśnienia sprawy. Kilkoro z nich prosiło mnie o prywatne spotkanie. Jeśli do jutra nie będę miał dla nich dobrych wieści, obawiam się, że zaczną się wycofywać z interesu, a wtedy...

- Jutro będzie po wszystkim - przerwał mu Olgierd. - Do zobaczenia na miejscu - dodał i nie czekając na odpowiedź, zakończył połączenie.

Do Rogówka miał jeszcze kilkanaście kilometrów; uznał, że czas połączyć się z Lipskim.

- Za pół godziny w Rogówku. Skręć w prawo w Lubicką i jedź do samego końca. Spotkamy się tuż za tablicą z przekreśloną nazwą miejscowości. I tak jak uzgadnialiśmy, żadnych głupich numerów. Masz być sam - powiedział surowo, gdy niebo rozbłysło i na chwilę świat wyjrzał z mroku.

- Przyjadę, ale masz mi wskazać miejsce i spierdalać. Nie mamy nic do ciebie, jasne? Chodzi nam tylko o Szczerbskiego - zapewnił go Lipski.

- Pogadamy na miejscu. Ale jeśli przyjedziesz z Legnerem, nici z umowy - zastrzegł Olgierd. - I żadnych głupot. Są ludzie, którzy wiedzą, gdzie i z kim będę, rozumiesz?

Jednak głos po drugiej stronie już zamilkł.

Błyskało się coraz intensywniej, a w ślad za piorunami, które rozdzierały niebo, przetaczał się niski, głęboki pomruk grzmotów.

Olgierd miał wrażenie, że pcha się w sam środek burzy. Nadchodziła z północy.

Kiedy pierwsze krople uderzyły niemrawo o przednią szybę, wyjechał za Rogówko. Skręcił w połąną drogę i zgasił silnik.

Miał jeszcze trochę czasu. Pomyślał o Legnerze. Zaczął szukać informacji na jego temat w internecie, ale znalazł tylko służbowe wypowiedzi do mediów w wielu różnych sprawach, głównie kryminalnych, tak jak mówiła Herman.

Zero Siedem uznał jednak, że coś mu w tym wszystkim nie pasuje.

Legner i Lipski.

Co łączyło tych dwóch facetów? Jeden z nich był dziennikarzem obywatelskim, skupionym na zachęcaniu społeczności lokalnej do działania, do brania spraw w swoje ręce. Obnażał nieprawidłowości w urzędach, rozgrzebywał brudy, by pokazywać mieszkańcom, że to oni odgrywają w mieście najważniejszą rolę, że władza powinna służyć obywatelom, a nie interesom sił politycznych i koalicji.

Grzegorz Lipski wydawał się niezależny.

W takim razie co sprawiło, że z Dorotą Lewandowską, która udawała jego żonę, zdecydowali się wziąć udział w orgii?

Czy to możliwe, by utrzymywał się wyłącznie z prowadzenia internetowego bloga i social mediów?

Zero Siedem przełączył się na serwis internetowy Lipskiego i zajrzał do działu *O mnie*. Przeczytał tam kilka wyświechtanych haseł autopromocyjnych, ale w końcu dotarł do tego, czego szukał.

Lipski był fachowcem z zakresu reklamy i marketingu w social mediach. Pod swoją opieką miał znane marki i firmy nie tylko z kujawsko-pomorskiego. Musiał więc dobrze zarabiać, co pozwalało mu oddawać się reporterskiej pasji.

Olgierd wciąż jednak nie znalazł odpowiedzi na pytanie, jaki cel miał dziennikarz w przyłączeniu się do grupy swingersów. Przejrzał tematy, którymi zajmował się Lipski, i nie znalazł

ani jednego tekstu ujawniającego jakikolwiek skandal obyczajowy. Lipski nie prowadził żadnego Plotka ani Pudelka dla ubogich. Zajmował się miastem, żył jego sprawami i im się poświęcał.

Czego więc chciał od Szczerbskiego?

„Odpierdol się od tej sprawy, to ciebie nie dotyczy” – to zdanie wracało do Olgierda jak buerang.

Coś zaświtało mu w głowie. Chyba zaczynał rozumieć, dlaczego Legner wypytywał o niego Marię dokładnie tego dnia, kiedy Borewicz ocknął się w lesie po silnym ciosie zadany przez Lipskiego.

Policjant poprawił się w fotelu i pochylił nad komórką, której niebieskawa poświata rozjaśniła wnętrze samochodu. Przez boczną szybę zauważył dwie jasne kropki. Ktoś nadjeżdżał. Wyłączył aparat, by we wnętrzu toyoty zapanowała ciemność, i pochylił się do schowka, z którego wyciągnął broń. Położył ją między nogami, luźną dala od krocza. Światła nadjeżdżającego pojazdu, mimo rześkiego deszczu, który łomotał w dach, zaczęły go razić. Przymknął powieki. Samochód z dużą prędkością przejechał obok, pęd powietrza zatrzęsł corollą.

Olgierd uruchomił przeglądarkę internetową w telefonie i raz jeszcze wyświetlił informacje o Legnerze. Kliknął w kilka linków.

Pierwszy z nich przynosił informację o aresztowaniu dwudziestosiedmioletniego mężczyzny z podtoruńskiego Czarnego Błota, ojca trzech córek, podejrzanego o czyny pedofilskie wobec nastolatki z sąsiedniej wsi.

W kolejnym Olgierd znalazł komentarz Legnera w „Gazecie Pomorskiej”, który odnosił się do przesłuchania nowych świadków w sprawie zabójstwa sprzed dziesięć laty, kiedy to młoda matka zaszytowała konkubenta, znęcającego się nad nią i jej dzieckiem. Szukała wsparcia na policji, w gminnym ośrodku pomocy społecznej, zawiadomiła, kogo się dało, ale koniec końców się poddała.

Trzeci link przeniósł go do opisywanej w mediach sprawy sprzed roku. Borewicz odnalazł niemal bliźniaczą informację o kolejnym zatrzymanym pedofilu. Jedna rzecz szczególnie zainteresowała policjanta. Chodziło o wypowiedź Legnera dla toruńskich „Nowości”.

Olgierd przeczytał ją dwukrotnie, za drugim razem szeptem.

– Zdaniem prokuratury udało się potwierdzić dane uzyskane od informatora i doprowadzić dzięki temu do ujęcia trzydziestojednioletniego mężczyzny podejrzanego o pedofilię. Mężczyzna usłyszał już zarzuty, w tym także dotyczący posiadania pornografii dziecięcej.

Olgierd przeniósł wzrok na przednią szybę, po której spływał deszcz. Krok dalej świat tonął w nieprzeniknionym mroku.

Po chwili wpisał w wyszukiwarkę trzy słowa: *łowca pedofilów Toruń*.

Na jednej z grafik zauważył zdjęcie mężczyzny, którego twarz tonęła w cieniu kaptura. Sfotografowano go na tle nocnej toruńskiej panoramy. Za jego plecami płynęła Wisła. Podpis pod fotografią był wymowny: *Toruński postrach pedofilów, który działa anonimowo, ale przy zaangażowaniu policji i prokuratury*.

Olgierd zgasił ekran. W nagłej ciemności zobaczył powidoki dawnych zdarzeń. Nie zamknął oczu tak jak wtedy, gdy był dzieckiem.

Pamiętał splekaną farbę na suficie kolonijnej izolatki, jęk sprężyn pod materacem, gdy w jego łóżku, tuż obok, położył się nieznamy mężczyzna. Nie był w stanie zapomnieć dotyku jego spracowanych, szorstkich dłoni. W tamtych chwilach zaciskał powieki i nie otwierał ich bez względu na to, co działo się z jego ciałem, aż do momentu, gdy za facetem, którego nigdy nie rozpoznał, zamknęły się drzwi.

Tylko raz, kiedy już było po wszystkim, spojrzął w jego stronę. I nie wiedział, czy był to wytwór jego wyobraźni, czy prawdziwy obraz. W okolicy krzyża, nad lewym poślądkiem, do-

strzegł znamię w kształcie latawca.

Ktoś zatrąbił.

Olgiert się ocknął, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył motocyklistę w strugach deszczu.

Szarpnął za kławkę.

– Tylko mi się nie rozplącz – zagroziła Joanna Mitras, chociaż uśmiechała się od ucha do ucha. Sięgnęła po lustro i skierowała je w stronę Marii.

Gdzieś w oddali za miastem przetaczała się burza i niebo mruczało groźnie, rozsiewając pioruny.

Herman czuła, że brakuje jej tchu. Nie mogła przełknąć śliny. Nie lękała się sił natury. Bała się tego, co zobaczy w odbiciu lustra. Kiedy Mitras weszła do jej domu, najpierw wyjęła z obszernej torebki butelkę wina, którą odkorkowała w kuchni i rozlała do kieliszków, a potem wzniosła toast za nową Herman.

Wówczas jeszcze Maria nie miała pojęcia, o co chodzi.

Dopiero później, gdy przyjaciółka wyszła do samochodu i wróciła ze skórzanym kuferkiem w odcieniu czekolady pełnym kosmetyków, zaczęła się domyślać.

– Wiesz, co oznacza twoje nazwisko? – zagadnęła Joanna, gdy Maria wyszła na balkon zapalić. Opierała się pośladkami o barierkę, ale patrzyła w stronę rozświetlonej sypialni. Ciepły nocny wiatr targał od czasu do czasu jej włosami, podczas gdy Mitras wyjmowała z kufra kosmetyki i układała je na blacie niemal pustego biurka. Co rusz spoglądała w jej stronę.

– A to nazwiska coś znaczą? – Herman nigdy się tym nie interesowała.

– No dobrze, może nie wszystkie. Ale twoje nazwisko to germańskie imię – broniła się Aśka.

– No i? – Maria przyłożyła papierosa do ust.

– Jesteś wojowniczką. – Przyjaciółka odsłoniła w uśmiechu białe zęby.

Maria zastanowiła się, czy kiedykolwiek nazwałaby siebie w ten sposób. Wojownik walczył w imię wyższych wartości i celów, a los króla i państwa przedkładał nad własny. Tymczasem ona, Maria Herman, sprzeniewierzyła się wszelkim wartościom, wszystkie cele podporządkowała hazardowi i zniszczyła jedyną rodzinę, jaką miała, doprowadzając ojca i matkę na skraj rozpaczy.

Owszem, może i była wojowniczką, ale rodem z piekła.

Poczuła wilgoć pod powiekami.

– Skończyłaś dymić? Bo mamy tu robotę. – Aśka radośnie klasnęła w ręce.

Maria drgnęła.

Wiedziała, co ją czeka, i bała się tego, bo przecież niedawno próbowała zrobić sobie makijaż kosmetykami odziedziczonymi po matce.

Wtedy tego nie dźwignęła, ale dziś powinna wytrzymać – dla Aśki. Chociaż nie była pewna, czy w ten sposób nie przekroczy za bardzo swoich granic. Umiejętne ich stawianie i bronienie czy – jeśli ktoś woli – asertywność były ważne w trzeźwieniu. Niemniej wciąż miewała w tym problem. Sądziła, że jej przeszłość i to, jaka była i jak wiele krzywdy wyrządziła innym, przesądzały o tym, że musi się kajać, zginać kark i poddawać falom, które niósł nurt rzeki.

Bywało jednak, że szła pod prąd.

Ale z Aśką było inaczej.

– Boję się – powiedziała, kiedy skończyła palić i wróciła do sypialni. Usiadła na skraj łóżka i popatrzyła w oczy przyjaciółki.

– Czego?

Maria wskazała brodą na kosmetyki rozłożone na blacie.

– A próbowałaś? – dopytywała się Mitras.

Herman pokiwała głową.

– Nie wyszło – przyznała.

– Nie wyszło, bo...

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Po prostu nie wyszło.

– Nie podobałaś się sobie?

– Nie, nie o to chodzi – skłamała. – Po prostu nie wiem, czy powinnam. Mam jeszcze sporo długów do spłacenia...

– Ej, słońce! – Aśka weszła jej w słowo. – To, że o siebie zadbasz, nie będzie oznaczało, że przestaniesz spłacać długi.

– Niby tak, ale wiesz, jacy są ludzie. Wystarczy, że zobaczą, że mam nowe buty. Skoro nie oddałam im kasy, uznają, że...

– Olej to. Spójrz na siebie. – Podniosła palcem jej brodę i popatrzyła głęboko w oczy. – Spłacasz długi. Przede wszystkim spłacasz długi – powtórzyła. – I będziesz to robiła dalej. Nikt ich za ciebie nie spłaci. Ale to nie oznacza, że nie wolno ci o siebie zadbać, że nie możesz myśleć o sobie jak o atrakcyjnej kobiecie.

Maria westchnęła. Podziwiała Joannę nie tylko za to, że wyrwała się ze szponów nałogu, ale także za to, kim była obecnie. Już dawno spłaciła swoje zobowiązania. Dbała o siebie, dobrze zarabiała i umiejętnie rozwijała biznes.

– Aśka...

Mitras kucnęła przy Marii.

– Potraktuj to jak zabawę. Jeśli coś będzie nie tak, masz tu wilgotne chusteczki, zetrzesz to i już, okej? Ale kuferek z kosmetykami u ciebie zostanie, bo to prezent z okazji drugiego roku w trzeźwości.

– Jezu, musiałaś na to wydać majątek – jęknęła Herman.

– Majątek to ja wydałam na spłatę długów. Ale, jak wiesz, ten etap mam już za sobą. Teraz mogę cieszyć się z zarobionych pieniędzy i z tego, że od czasu do czasu zrobię przyjemność bliskim.

Herman przygryzła wargę i pokiwała głową. Wciąż piekły ją oczy.

– To jak? Gotowa? – Mitras wydawała się podekscytowana, więc Maria nie chciała jej robić przykrości.

– Gotowa – nabrała powietrza i przytrzymała je w płucach.

Kiedy było już po wszystkim, Joanna Mitras złapała za lustro, ale trzymała je nieco opuszczone. Maria dostrzegła w nim odbicie swoich nóg, fragmentu łóżka i wytartego, matowego parkietu, którego klepki układały się w jodełkę. Poczula ciarki w dole pleców i setki igieł w kończyszczkach palców. Skinęła głową.

Joanna uniosła lustro, przytrzymała je na wysokości piersi i ustawiła pod odpowiednim kątem.

Herman drgnęła.

Wyszczotkowane, lekko uniesione nad czołem włosy w kolorze księżycowego blondu okalały jej szczupłą twarz. Szara cera znikła, pokryta dobrze dobranym ciepłym odcieniem jasnego beżu. Ale najbardziej zaskoczyły Herman optycznie powiększone oczy. Aśka położyła jej cienie na powiekach od jasnego do ciemnego, blendując je na zewnątrz i rozświetlając w wewnętrznych kącikach. Ciemne kreski w linii rzęs wychodziły poza obrys oczu, tworząc jaskółkę. Usta, pociągnięte ciemniejszą beżową pomadką, również optycznie się powiększyły.

Maria odwróciła się od lustra.

– Tak – odezwała się Joanna. – Jesteś podobna do swojej matki, ale powinnaś zaakceptować to, że ona także była piękną kobietą.

Maria odszukała wzrokiem paczkę papierosów i wyszła z nią na zewnątrz.

Wiatr owionął jej twarz i rozwiął włosy. Wyładowania atmosferyczne rozświetlały co rusz ogromną chmurę, która sunęła w stronę miasta.

Kiedy się zaciągnęła, Joanna przytuliła się do niej i cmoknęła ją w policzek.

– Przepraszam – wyszeptła.

– To nie twoja wina. – Herman pogładziła ją po dłoni.

– Ale problem w tym, że przypominasz swoją matkę, tak?

Maria wypuściła dym; Aśka wyjęła papierosa spomiędzy jej palców, zaciągnęła się i oddała go z powrotem.

– Matka podobno zrobiła wszystko, żeby zachować dla mnie ten dom – rzuciła policjantka i opowiedziała przyjaciółce o spotkaniu z prokuratorem Rybacką.

– W ogóle mnie to nie dziwi – odezwała się Aśka po tym, jak wybrzmiał głośny grzmot.

– Nie?

– Może i nie umiała okazywać miłości, ale to nie oznacza, że cię nie kochała – stwierdziła. – Gdyby było inaczej, mogłaby zapisać dom na kościół albo oddać dalszym krewnym. A przecież też poniosła wyrzeczenia.

Maria zastanowiła się nad słowami przyjaciółki. Może Mitras miała rację? Przecież matka zapłaciła za wynajem mieszkania dla Marii krótko po tym, jak wyrzuciła ją z domu.

Kolejny błysk sprawił, że przymknęła oczy.

Być może więc doświadczenie upadku, które było dla Herman początkiem drogi trzeźwienia, zawdzięczała matce? Może kobieta, która nie umiała okazywać uczuć małej Marysi, z miłości zrzuciła dorosłą córkę na samo dno, by szybciej się od niego odbiła?

– Myślisz, że to możliwe? – Maria podzieliła się tą myślą z Joanną.

– Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie było, słońce.

Joanna wróciła do sypialni, a Herman dopaliła papierosa, czując wilgoć pod powiekami.

Myślała o ojcu, którego straciła przez hazard, i o matce, w której uzależnienie córki obudziło uśpiony od lat instynkt macierzyński. Może matka rzeczywiście ją kochała?

Łzy zniszczyły pieczołowicie zrobiony makijaż.

– Gdzie on jest? – Motocyklista uniósł szybkę kasku.

Olgierd zmrużył oczy i schował głowę w ramiona, próbując ukryć się przed deszczem. Dostrzegł, że daleko za motocyklistą jakiś samochód zjechał na parking przy sklepie i zatrzymał się wzdłuż jezdni. Światła w aucie zgasły, nikt z niego nie wysiadł.

– To Legner? – spytał Borewicz, wskazując brodą samochód, ale Lipski nie odpowiedział.

Zero Siedem analizował sytuację. Spodziewał się, że prokurator jednak się tu pojawi. Mimo to postanowił robić swoje.

– Miałeś być sam, do cholery.

– Mów, gdzie on jest, bo znowu będę musiał zejść z motocykla – zagroził Lipski. Czarny skórzany strój lśnił od deszczu.

Borewicz czuł, że mokra koszulka oblepia mu ciało jak kamizelka obciążeniowa. Mimo to spokojnie sięgnął po broń, która tkwiła na plecach za paskiem spodni, odblokował zamek języka spustowego i zacisnął dłoń na rękojeści. Wycelował w nogę Lipskiego.

– Ej, kurwa. Już! Wyluzuj! – odparł wystraszony mężczyzna.

– Rusz się, a na chirurgii wyciągną ci pocisk z kolana – podniósł głos, przebijając się przez szum siekającego deszczu. – Pytałem, czy to Legner.

– Tak, to on. Ale musi tu być.

– To ja decyduję, kto musi tu być, rozumiesz? – przypomniał Olgierd. – Szczerbski jest pedofilem? O to chodzi?

Lipski nie zdołał ukryć zaskoczenia. Zdradziły go szeroko otwarte oczy.

– To dzięki tobie Legner rozbija siatki pedofilskie? – Zero Siedem otarł mokre czoło.

– Skąd wiesz?

– Mów!

– Legner od jakiegoś czasu miał go na oku.

– Dlatego wkręciliście się na naszą imprezę?

– Poszła fama, że Szczerbski zabawia się z dziećmi, że wystawia je na takich imprezach.

Olgierd zagryzł zęby.

– Nigdy, kurwa, na żadnej imprezie nie było dzieci!

– Być może nie na tych, które obstawiasz! – wypalił Lipski. – Tamte imprezy są lepiej strzeżone.

Borewiczowi zakręciło się w głowie. Poczul, jak lodowaty kamień wpada mu do żołądka i ciąży nieznośnie.

Zamknął powieki.

– Gdzie się odbywają?! – ryknął.

– Próbuje to ustalić.

– Gdzie, kurwa!? – Zero Siedem przyłożył lufę do kolana Lipskiego.

– W dwóch województwach. W pomorskim i kujawsko-pomorskim. Podobno miał lokal w Grudziądzu.

– Kto wam tam pomaga?

– Nie wiem, nie pamiętam nazwiska. Podobno to ktoś z kryminalnego.

– Jaroń? – spytał policjant.

- Taki wysoki, chudy – potwierdził jego przypuszczenia Lipski.
- Współpracuje z Legnerem?
- Chyba tak.
- Wiesz, że to nielegalne?
- Co takiego?
- To, co obaj robią.
- W jakim sensie? – zainteresował się motocyklista.
- W srakim. Żaden z nich nie ma prawa działać na innym terenie. Jaroń nie powinien węszyć w Toruniu. Każdy pies ma swój kojec, rozumiesz?

- Co ty pierdolisz? – zdenerwował się Lipski. – Załatwiłem siedmiu pedofilów i każdy z nich siedzi w pierdłu, więc nie pierdol mi o tym, co jest legalne, a co nie. Tych skurwieli już nie ma i przynajmniej nie skrzywdzą żadnego dziecka – motocyklista podniósł głos.

Zero Siedem splunął do kałuży. Deszcz spływał mu po czole, zalewał oczy i skapywał z brody. Chlupotało mu w butach, ale starał się nie zwracać na to uwagi.

- Za każdym razem mieliście policyjne wsparcie, prawda?

Motocyklista skinął głową.

- Jednostkę w odwodzie, która na hasło zgarniała skurwiela – dodał Olgierd.

- No i?

- Ale dziś nikogo tu nie ma, rozumiesz? Jesteśmy sami.

- Policja jest już w drodze. Musimy tylko wiedzieć, gdzie jest Szczerbski.

Borewicz wiedział, że to blef. Wiedział nawet, kto za tym łgarstwem stoi.

Żaden dyżurny nie wysłałby grupy funkcjonariuszy na akcję bez odpowiedniego rozpoznania. Tymczasem tylko Zero Siedem wiedział, gdzie umówił się ze Szczerbskim. Dlatego uznał, że przyjazd Legnera i Lipskiego, których sam zresztą wezwał, nie mógł mieć żadnej policyjnej asysty. Niestety, nie miał możliwości zweryfikować tej teorii, żaden oficer dyżurny nie udzieliłby nikomu takiej informacji przez telefon.

- Zostań tu! – rozkazał motocyklicście. – Jeśli zobaczą, że stąd odjechałeś, nie zobaczysz Szczerbskiego.

Zero Siedem wycofał się do toyoty. Wyjechał z błotnistej drogi na asfalt i kiedy ruszył z impetem, słyszał, jak grudki błota uderzają o podwozie. Przy takim akompaniamencie, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy Lipski i jego motocykl pozostali na miejscu, podjechał pod sklep spożywczy i gwałtownie zahamował przed maską czarnego passata.

Olgierd wyskoczył z nieoznakowanego radiowozu i zrobił kilka szybkich kroków do drzwi pasażera.

- Otwieraj! – krzyknął.

Przez mokrą szybę zobaczył grubawego, niewysokiego jegomościa w rozpiętej ciemnej bluzie z kapturem.

Usłyszał zwolnienie blokady centralnego zamka i energicznie usiadł na fotelu.

- Co pan tu robi? – Legner się wystraszył.

- Podobno chcesz zgarnąć Szczerbskiego. – Borewicz stał przedramieniem wodę ociekającą z czoła. – Ale jakoś tak się złożyło, że nie masz żadnego wsparcia. Pomyślałem więc, że mogę ci się przydać.

- Co pan pieprzy, do cholery? – zezłościł się Legner i zaczął się wiercić w fotelu.

- Czego od niego chcesz?

- A co to jest, do chuja? Przesłuchanie? Nie popierdoliło się panu w głowie? Czy pan wie, z kim rozmawia, do kurwy nędzy? – Legner uderzył otwartą dłoń w udo.

Borewicz przeczuwał problemy. Uznał, że musi grać z prokuratorem w otwarte karty. Obaj mieli za uszami.

- To ja wam wystawiam Szczerbskiego.

- Pan go zna? - zdziwił się Legner, a Olgierd się ucieszył, że Lewandowska mówiła prawdę. Ani ona, ani Lipski nie zdradzili go przed prokuratorem.

- Lepiej niż ciebie - odparł policjant.

- To kawał skurwiela, który powinien gnić w pierdłu. - Śledczy zacisnął zęby.

- Prawda za prawdę? - zaproponował Borewicz, a kierowca otarł czoło chustką.

- Ale ty pierwszy - zastrzegł prokurator.

Borewicz zebrał myśli i zerknął przez przednią szybę; zzymał się na siebie, bo parkując to-toty przed Legnerem, zasłonił sobie widok na motocyklistę. I teraz nie wiedział, czy Lipski wciąż tkwi na polnej drodze.

- Szczerbski organizuje swingers party dla dorosłych - powiedział. - Ale to nic nielegalnego. Sami dorośli. Sami, podkreślam.

- Jesteś pewien?

- Bywam na tych imprezach - odsłonił się, ale przynajmniej nie zdradził swojej roli. Więcej Legner nie musiał wiedzieć. - I nigdy, powtarzam: nigdy na żadnej z nich nie doszło do przestępstwa.

- Ten skurwiela krzywdzi dzieci!

- Mam niespełna dwuletnią córkę i jestem policjantem! - Zero Siedem podniósł głos. - Zabiłbym każdego gnoja, który próbowałby zrobić coś takiego. Poza tym w tych orgiach uczestniczy sporo kobiet. Żadna z nich nie zdjęłaby płaszcz, gdyby się okazało, że jest tam chociaż jedno dziecko.

Legner dyszał; Olgierd nie bardzo wiedział, dlaczego śledczy tak emocjonalnie reaguje na jego słowa.

- Dobra - prokurator uniósł dłonie. - Załóżmy, że wierzę.

Deszcz przestał bębnić o dach i zrobiło się ciszej.

Artur Legner opuścił nieco boczną szybę, bo przednia zaparowała.

- Lipski ma na niego twarde dowody? - zainteresował się Zero Siedem.

- Najtwardsze z możliwych.

- Kiedy to się zaczęło?

- Dawno temu. Wygląda na to, że Szczerbski pośredniczy w procederze pedofilskim, czyli bierze kasę za znalezienie i wystawienie dziecka tym popierdolonym skurwysynom.

Olgierd napiął mięśnie i wstrzymał oddech, żeby przetrwać bolesny skręt jelit.

Pomyślał o swojej córce. Miał przed oczami jej roześmianą buzię z dołeczkami w policzkach. Ciemne włoski układały się w długie sprężynki, które opadały już niemal do ramion. A potem dostrzegł męską dłoń z owłosionymi palcami. Przesuwała się po jej ciele.

Z całej siły zacisnął powieki, żeby przegonić obrazy, ale nie ustępowały. Tym razem ta sama dłoń gładziła jego młode ciało.

To była jego tajemnica.

Nowotwór, który go wyniszczał.

- Co chcesz z nim zrobić? - Olgierd się ocknął. - Masz zeznania świadków?

- Mam. - Legner wpatrywał się w szybę, po której zygzakami spływały krople deszczu, łącząc się ze sobą i przyspieszając.

Borewicz nagle coś zrozumiał.

– To ktoś stąd? – rzucił, domyślając się, że nie może być inaczej, skoro prokurator z Torunia chciał oskarżyć mieszkańca innego miasta.

Śledczy nie zaprzeczył.

– Kiedy to było? – drażył Zero Siedem.

– W latach osiemdziesiątych.

– Jak to? W takim razie sprawa się przedawniła – zdziwił się policjant.

Nadjeżdżający z przeciwka samochód oświetlił twarz tęgawego prokuratora.

Zero Siedem zauważył, że Legner zaciska szczęki. Żyłka na skroni, kręta jak górski potok, drgała.

– Mam na to sposób – stwierdził prokurator.

Olgiert przygryzł wargę.

Ze sklepu wyszedł mężczyzna w bluzie dresowej, upchnął za pazuchą dwie puszki piwa i chwiejnym krokiem, wdeptując w kałuże, zniknął za narożnikiem budynku.

– Kłamiesz. Coś tu nie gra. – Otworzył drzwi i wystawił nogę na zewnątrz.

Światło w samochodzie rozbłysło.

– Poczekaj! – syknął prokurator.

Zero Siedem się zawahał.

– Możesz pieprzyć się, z kim chcesz i jak chcesz, ale nie możesz kryć tego skurwiela. – Legner oddychał płytko, jednak po zbiegających kłykciach zaciśniętych na kierownicy policjant ponownie, że śledczy ostatkiem sił trzyma emocje na wodzy.

Podkomisarz pokręcił głową i wysiadł.

– Nie mówisz mi wszystkiego. Odezwij się, jak zmienisz zdanie.

– Zaczekaj, kurwa!

Policjant zatrzasnął drzwi i ruszył w kierunku toyoty, ale zanim zdążył zrobić dwa kroki, usłyszał głos prokuratora:

– Zero Siedem, spokojnie. Pogadajmy.

Borewicz dostrzegł twarz Legnera pomiędzy karoserią a otwartymi drzwiami kierowcy. W tej samej chwili wyczuł wibracje w kieszeni spodni.

Nie odebrał, ale przypuszczał, że dzwoni Szczerbski. Minęło sporo czasu, mógł się już zbliżyć do Rogówka.

Olgiert powinien się zbierać.

– Zadzwoń, ale tylko z konkretami. Wtedy pomyślę.

Szczerbski zaparkował na niewielkim rondzie przed dworkiem w Rogówku i Olgiert słyszał chrzęst jego kroków na żwirze.

Burza szalała kilkanaście kilometrów stąd, nad północno-wschodnimi przedmieściami Torunia. Czarne niebo jaśniało raz po raz, ale łoskot grzmotów zdecydowanie ucichł.

Borewicz zadbał o to, by ani Legner, ani Lipski go nie śledzili.

Odjechał spod sklepu, kierując się w stronę pobliskiej autostrady, i długo patrzył w lusterko wsteczne. Kluczył po wiejskich drogach, które miał tu dobrze rozpoznane, i kiedy zyskał pewność, że nie ciągnie za sobą ogona, zgasił światła drogowe i wybrał odpowiedni zjazd w wiejską drogę. Po kilkuset metrach dojechał do lasu i skręcił do dworku. Zaparkował za budynkiem tak, by pojazd nie był widoczny z drogi gruntowej, podszedł do bramy ogrodzeniowej i nasłuchiwał dźwięków silników, lecz nie docierało do niego nic oprócz szumu liści pobliskich drzew, z których wiatr strząsał duże krople deszczu.

Wszedł do budynku, ale nie zapalił żadnej lampy. Usiadł w kuchni przy stole i co jakiś czas sprawdzał przez okno, czy nie widać świateł zbliżającego się samochodu.

Co wiedział o swoim szefie?

Wszystko to, co oficjalne. Znał więc jego biznesy, wiedział, jakim szacunkiem jest darzony w Trójmieście i nie tylko. Uwielbiano go też w Grudziądzu. Przynajmniej wtedy, gdy sponsorował drużynę żużlową. Krótko po rozwiązaniu sprawy Witbergów, mieszkańców tamtego miasta, Borewicz dostał propozycję poprowadzenia pikantnych interesów Szczerbskiego. Wówczas postanowił wrzucić nazwisko mocodawcy na bęben, wykorzystując znajomości w policyjnym Archiwum X w Gdańsku. Szczerbski okazał się czysty, dlatego Zero Siedem miał obawy, że Legner nie był z nim szczerzy. Czy rzeczywiście ten starszy mężczyzna mógł nakręcać proceder pedofilski w innej części kraju? A może zrezygnował z tego przynajmniej tu, w kujawsko-pomorskim, skoro jego prawą ręką był gliniarz?

Zero Siedem nie był aż tak naiwny. Doskonale zdawał sobie sprawę, że inni funkcjonariusze też odwalają robotę dla Szczerbskiego. Była czysta i dobrze płatna. Nikt nie przekraczał prawa, nie licząc prawa skarbowego i rozwoju szarej strefy.

Ale determinacja Legnera i Lipskiego wskazywała, że coś jest na rzeczy.

Policjant kolejny raz sprawdził broń i wsunął ją z powrotem za pasek.

Kiedy usłyszał pomruk silnika i światła samochodu utworzyły długie trapezy na ścianie, wstał, czując wyrzut adrenaliny do krwiobiegu. Coś ścisnęło go w dole pleców, skronie mu pulsowały. Zachwiał się, gdy zrobił krok, ale wziął się w garść.

Gdy tylko usłyszał kroki na schodach, uchylił drzwi.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? – Szef uderzył we włącznik światła, które zalało pomieszczenie; Zero Siedem zmrużył oczy. – O, kto cię tak urządził? – Przyjrzał się sińcowi na wciąż jeszcze opuchniętej twarzy Olgerda. Poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Wyjął z niej sok pomarańczowy i sięgnął po szklankę.

– Droga chujowa, lało cały czas – stwierdził, po czym łyknął soku. Otarł usta i kiwnął do Olgerda. – No, ale nie będziemy o pogodzie pierdolić. Mów. Do czego doszedłeś?

– Zostajesz czy wracasz? – spytał Borewicz i poczuł, jak pot zaczyna spływać mu po plecach.

– Mam hotel, a co? – Szef gestykułował ze szklanką w dłoni.

– Nie wiedziałem, czy coś ci kupić. Lodówka jest prawie pusta.

Szczerbski machnął ręką.

– Do rzeczy. – Oparł się pośladkami o blat.

Zero Siedem usiadł na tym samym krześle co wcześniej. Złączył dłonie, oparł łokcie na stole.

– Zrobił się syf. – Bacznie obserwował reakcje siwowłosego mężczyzny, który uniósł brwi.

– To znaczy?

– Lipski działał na polecenie tutejszego prokuratora.

– Możesz, kurwa, jaśniej?

– Nie wiem, co jest grane, ale prosiłem, żebyś przyjechał, bo sprawy robią się dla nas zbyt trudne.

– Zbyt trudne?

Olgerd potwierdził.

– Za mało ci płacę czy co? – Szklanka w dłoni szefa przechyliła się niebezpiecznie.

– Nie o to...

– Zamknij się! – przerwał mu Szczerbski. – Dostajesz kasę nie po to, żebyś mówił mi o trudnych sprawach, tylko żebyś je rozwiązywał.

– Nie teraz. Jestem za krótki – Borewicz rozłożył ręce. – Szykuje się duża policyjna akcja. Dlatego wolałbym, żebyś nie jechał do hotelu, tylko został tutaj. O tym domu nikt nie wie, ale niewykluczone, że hotel jest już pod obserwacją – blefował.

Szczerbski przełknął ślinę. Koścista grdyka podskoczyła i wróciła na swoje miejsce.

– Co ty pierdolisz? – zaniepokoił się.

– Policyjna grupa jest na tropie siatki pedofilskiej z Trójmiasta. Nie wiem, dlaczego łączą cię z tą sprawą, ale właśnie dlatego Lipski wkręcił się na naszą imprezę. Myślał, że dymamy tu dzieciaki.

Szczerbski nalał sobie soku, część napoju poleciała na blat szafki. Odstawił karton i wychylił całą szklankę jednym haustem.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, oblizując wargi.

– Skoro ten Lipski już tu był i widział, że żadnemu dziecku nie stała się krzywda...

– Też o tym myślałem – wszedł mu w słowo Zero Siedem. Serce zabiło mu mocniej, bo miał mokre plecy i czuł, że broń się przesunęła. Obawiał się, że jeśli się poruszy, pistolet wypadnie na podłogę. – Kłopot w tym, że oni już wiedzą, że organizujesz seksimprezy.

– Ale nigdy nie było na nich żadnych dzieci! – wrzasnął Szczerbski i cisnął szklanką w Olgierda.

Policjant uchylił się w ostatniej chwili. Usłyszał najpierw głośny świst, a później brzęk tłuczonego szkła. Okruchy posypały się na podłogę i rozprysły w różne strony. Ostry fragment grubego dna prześlizgnął się w kierunku Borewicza i uderzył go w bok mokrych new balance'ów.

Olgierd poczuł, że wewnątrz cały się trzęsie.

– Dlatego poprosiłem cię, żebyś tu przyjechał – włożył wiele wysiłku w to, by jego głos brzmiał spokojnie.

– Bo co?

– Bo oni podobno mają mocne dowody. Chodzi o jakieś stare sprawy, zeznania ofiar – kolo-rызował Borewicz.

– Gównu mają! – Szef podszedł do okna i położył dłonie na biodrach.

Olgierd drgnął, bo zabrzmiało to niemal jak przyznanie się do winy, ale poczuł, że zaraz wypadnie mu broń. Sięgnął za plecy, w chwili gdy Szczerbski się odwrócił i wbił w niego wzrok.

– Gówno na mnie mają, rozumiesz? – powtórzył wolno starszy mężczyzna i zbliżył się do stołu. Oparł na nim dłonie.

Olgierd się skrzywił, udając, że zaswedziały go plecy, a kiedy wetknął lufę głębiej w spodnie, wstał.

– Mam to głęboko w dupie – stwierdził Zero Siedem. – Nie na to się umawialiśmy.

– Słucham? – Szczerbski wybałuszył oczy.

– Odchodzę. – Olgierd zrobił krok i zatrzymał się nie dalej niż o metr od mężczyzny.

Szczerbski westchnął, pokiwał nerwowo głową. Zmarszczył nos, odgarniając siwe włosy z czoła. Twarz mu płonęła.

Nagle się odchylił i wziął zamach. Borewicz zdążył zrobić unik, gdy pięść przecięła powietrze tuż przed jego twarzą, a szef siłą rozpędu poleciał za ciosem. Zero Siedem wyszarpnął broń i wprawnym ruchem ogłuszył go kolbą.

Bezwładne ciało zważyło się na kafle i dostało drgawek. Po chwili napięcie mięśniowe puściło. Dom zalała cisza.

Borewicz kucnął i przyłożył palce do szyi Szczerbskiego, próbując wyczuć tętno. Potem przeszukał kieszenie spodni nieprzytomnego mężczyzny. W skórzanym etui z odciśniętymi

inicjałami szefa znalazł karty bankomatowe i kilkaset złotych. Z niemałym trudem przewrócił Szczerbskiego na plecy, obmacał mu przednie kieszenie. W jednej z nich tkwiły kluczyki od volvo.

Olgierd zabrał je i wyszedł na zewnątrz. Samochód mrugnął awaryjnymi. Borewicz zajrzał do schludnego wnętrza, wykończonego jasną skórą. Oprócz marynarki, którą także przejrzał, odnalazł telefon, leżący w tunelu przy dźwigni automatycznej skrzyni biegów. Aparat żądał kodu. Olgierd odłożył go na miejsce.

W dużym bagażniku znajdowały się niewielka walizka podróżna i pudełko ze sportowymi butami. Zero Siedem zatrzasnęła klapę i wrócił do domu.

Kiedy przekroczył próg, usłyszał jęk, więc skierował się do kuchni. Szczerbski leżał na brzuchu, próbował się podnieść, ale ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Koszula wyszła mu ze spodni. Bełkotał niezrozumiale, ślina ściekała mu z ust na jasnobezowe kafle.

Olgierd się schylił, by pomóc Szczerbskiemu wstać, ale wtedy to zauważył i zamarł.

Na plecach w pobliżu krzyża mężczyzny widniało znamię.

Ziemia zachwiała się pod nogami Zero Siedem, bo ten kształt rozpoznalby wszędzie. Mały latawiec obudził dawny lęk, który zaczął się wic w jego trzewiach.

Kiedy Maria Herman zmyła makijaż, z powrotem stała się sobą. Przyjrzała się swojej dość popolitej twarzy i wymodelowanej, uniesionej grzywce nad czołem. Znów miała przebarwioną skórę, sine półksiężycy pod zmęczonymi oczami i popękane naczynka po lewej stronie nozdrzy. Na nasączonych chusteczkach, które wykorzystała do wytarcia twarzy, zostały beżowe i ciemnoszare plamy po podkładzie, korektorach, cieniach i kredce do powiek. Farby do włosów nie mogłaby tak łatwo zmyć, ale nie czuła potrzeby, podobała się sobie w nowej odsłonie. Wcześniej, w jej naturalnych włosach, jasne pasma poprzetykane były ciemnymi, a kontrast zawsze wydawał się Marii zbyt wyrazisty. Tymczasem nowy kolor znakomicie zniwelował te różnice i wprowadził półtony, łagodne przejścia. Poza tym nadał jej włosom blask.

Joanna Mitras dawno już odjechała z nieznanym, który usiadł za kierownicą jej mercedesa.

Przyjaciółka pozostawiła Marii kuferek z kosmetykami i wiele przemyśleń. A także kartkę, którą Maria znalazła wewnątrz prezentu. *Pozwól sobie być kobietą.*

Posiedziały i porozmawiały od serca przy kieliszku lekkiego portugalskiego wina o bogatym owocowym bukicie. Zamówiły jedzenie z pobliskiej włoskiej restauracji. Maria wybrała tagliatelle z kurczakiem w sosie śmietanowo-szpinakowym, a Joanna sałatkę z gorgonzolą i marynowaną gruszką.

Po drugim kieliszku Herman poczuła się senna i spokojna. Emocje w niej wygasły.

– Często rozmawialiśmy o moim ojcu – odezwała się po krótkiej chwili milczenia. – O tym, że to on się do ciebie odezwał z prośbą, żebyś spróbowała wyciągnąć mnie z nałogu.

Joanna wpatrywała się w wino, które lekko rozkołysała w kieliszku. Miało piękny połysk, a do tego różowy płyn pozostawiał na ścianie szklanego naczynia charakterystyczne łyzy, co świadczyło o dobrej jakości trunku.

– Sama się z tego wyciągnęłaś, nie zapominaj o tym.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wiem, ale nie odejmuj sobie zasług, słońce. Nikt za ciebie nie przeszedł tej drogi.

Maria uwielbiała Aşkę za to, że kiedy poruszały temat choroby, przyjaciółka zawsze była uważna i roztropna, świadoma zagrożeń czyhających na osoby uzależnione. Stale też robiła korekty w przekonaniach Marii, za co policjantka była jej wdzięczna. W ten sposób Joanna pomagała Herman budować poczucie własnej wartości.

– Tak, często rozmawialiśmy o twoim ojcu, to prawda.

– A co z moją matką? – Maria wzięła łyk wina, które miało posmak poziomek i słodkich cytrusów.

Aśka nadal kołysała lekko kieliszkiem, najwyraźniej znajdując przyjemność w obserwowaniu trunku obmywającego szklane ściany naczynia.

– Rozmawiałam z nią tylko raz.

Herman mimowolnie się spięła, tak jak wtedy, gdy będąc dziewczynką, potrzebowała dotyku matki, ale częściej zamiast niego dostawała burę.

– Po śmierci twojego ojca zaprosiła mnie do siebie – wspominała Mitras. – Siedzieliśmy przy stole w kuchni, zrobiła mi herbatę z cynamonem. Wciąż wydawała się wstrząśnięta śmiercią męża, trochę nieobecna, ale też bardzo zagubiona. Bo przecież wtedy straciła i jego, i ciebie. Zaznała prawdziwej samotności, która, jak sądzę, miała na nią destrukcyjny wpływ.

– O co cię spytała? – Maria czuła, że bezwiednie napina mięśnie. Zrobiło jej się chłodno.

– Usiadła przy mnie i się rozplakała. – Joanna westchnęła i ponownie rozkołysała wino, po czym upiła niewielki łyk. – Długo nie mogła dojść do siebie, aż w końcu zapytała, czy to możliwe, że wpadłaś w nałóg przez nią. A raczej przez to, jaką była matką. Powiedziała mi, że zaczęła dużo czytać, wypożyczała z biblioteki książki o uzależnieniach, żeby dowiedzieć się więcej o twojej chorobie. O twoim cierpieniu.

Marię coś ścisnęło za szyję.

– Sądzę, że ona w jakimś stopniu dźwigała krzyż twoich życiowych wyborów. Wiedziała, że hazard jako taki zawsze jest ucieczką, i była przekonana, że ty w ten sposób uciekałaś od niej. Od jej chłodu, którego wobec ciebie nie umiała się pozbyć.

Herman poczuła, że szumi jej w głowie.

– Więc tak – dokończyła Aśka. – Liczyła na szczerość, dlatego potwierdziłam, że to możliwe. Wtedy wstała od stołu, przeszła kilka kroków do fotela, usiadła i zapadła się w sobie. A kiedy zbierałam się do wyjścia, usłyszałam, że znówu płacze.

Maria otrząsnęła się z niedawnych wspomnień, gdy zadzwonił telefon. Nie miała ochoty na rozmowę, była zmęczona, zupełnie pozbawiona energii.

Ale dzwonił prokurator Legner.

– Halo? – zaniepokoiła się.

– Pani Mario, wiem, że już późno, ale potrzebuję na gwałt kontaktu z Olgierdem Borewiczem.

Herman ściągnęła brwi.

– A co się stało?

– To pilne. Realizuje dla mnie jedną sprawę i jest w cholernym niebezpieczeństwie.

Policjantka miała wrażenie, że Legner dał w szyję. Nie bełkotał ani się nie jękał, ale wygadywał niestworzone rzeczy. Nie słyszała nic o tym, by Olgierd za jej plecami robił coś dla prokuratora.

– Może pan jaśniej? – poprosiła.

– Ale co, kurwa, jaśniej? Jaśniej już się nie da!

Maria się rozłączyła i zadzwoniła do Olgierda. Odczekawszy kilka sygnałów, odpuściła.

– Gdzie jesteś, Zero Siedem? – szepnęła i wysłała do niego esemesa tej treści, ale jej telefon uparcie milczał. Kiedy trzeci raz chciała się połączyć z partnerem, ponownie zadzwonił Legner.

– Wie pani, gdzie on jest? – usłyszała w słuchawce. – Chodzi o jego bezpieczeństwo.

– Co mu grozi?

– Zna pani Adama Szczerbskiego?

Znała. Przynajmniej z opowieści.

– A pyta pan, bo...?

– Obawiam się, że może być niebezpieczny.

Olgierd nigdy go tak nie określał, pomyślała, gdy wróciła pamięcią do nielicznych dyskusji o życiu partnera i jego rozrywkach. Próbowала kiedyś rozmawiać z nim o rodzinie i wartościach, o Amelce i Kindze, ale nie czuła się ekspertką w tej dziedzinie. I ona, i Olgierd byli pokiereszowani, złamani i wystawieni na silne wiatry, które pchały ich w bagno uzależnienia.

– W jakim sensie niebezpieczny? Ma broń?

Legner milczał.

– Panie prokuratorze! – warknęła. – Albo mi pan powie coś mądrego, albo dajmy sobie spokój. Olgierd nie jest małym dzieckiem.

Śledczy westchnął, jakby się zawahał.

– Pani komisarz, chciała pani wysłać do badań ciuchy tego dzieciaka, który się ugotował w samochodzie, prawda?

Herman stężała.

– No więc, zmieniam zdanie – kontynuował Legner. – W zamian natychmiast da mi pani namiary na Borewicza. Teraz, już! Bo jeżdżę po tym jebanym Rogówku i jeżdżę.

– A skąd pan wie, że on tam jest?

– Bo się z nim widziałem, ale zniknął mi z oczu.

Maria pamiętała, że kiedyś rozmawiała z Zero Siedem o dworku w Rogówku. Olgierd chciał namówić Kingę na budowę domu, ale żona uznała, że apartament nad bydgoskim Balatonem jest wygodniejszy, bo niczym nie muszą się martwić. A w domu wszystko trzeba naprawiać samemu i za wszystko płacić. To dlatego Maria w formie żartu wysłała partnerowi link do ogłoszenia o sprzedaży dworku – uznała, że tylko takim obrazem będzie mógł przekonać Kingę.

Policjantka odnotowała, że Olgierd żywo się zainteresował tym budynkiem i postanowił zobaczyć go na żywo. Jednak ogłoszenie internetowe biura nieruchomości nie zawierało adresu, dlatego Zero Siedem odszukał budynek w aplikacji Google Maps i stąd Maria wiedziała, jak tam dojechać.

– No więc? – ponaglił ją śledczy.

Herman znów się rozłączyła. Uznała, że musi to uzgodnić z Olgierdem. Byli partnerami. Odczekała kilka sygnałów, a potem wysłała do niego esemesa: *Legner jest w Rogówku. Chce namiary na dworek*. Nie otrzymała odpowiedzi, a prokurator ponownie zaczął się do niej dobijać.

– Moja oferta ważna jest jeszcze minutę – oznajmił twardo.

Walczyła ze sobą, podczas gdy Olgierd wciąż milczał. Uznała, że nie ma wyboru.

– Postanowienie będzie gotowe z samego rana, zgoda?

– Tak, kurwa, zgoda! – bąknął Legner. – Adres!

Herman wyjaśniła mu, jak trafić do dworku, po czym ostrzegła:

– Tylko żeby pan się potem nie wykręcał. Widzimy się rano w prokuraturze! – rzuciła, ale Legner już się rozłączył.

Olgierd oniemiał.

Wpatrywał się w pełzającego po podłodze, pojękującego mężczyznę, ale jego mózg podsyłał inne obrazy.

Znów był chłopcem, który pierwszy raz w życiu ujrzał wielką wodę, ogromne, szumiące morze, siny horyzont w postaci długiej kreski i niknące w niej niebo. Chodził boso po gorącym piasku, zanurzał się w wodzie, skakał przez chłodne fale. Cieszył się, gdy ochlapwały mu twarz i moczyły włosy. Gorzej, jeśli słona woda szczypała w oczy, ale to był niewielki minus. Pamiętał też lody na patyku i zimne napoje z lodówki. I ból gardła, przez który trafił do izolatki.

Olgierd sądził, że wszystko, co się później wydarzyło, było jego winą i wstydem. Winą, bo gdyby nie był łakomy i nie jadł lodów, nigdy by nie zachorował. Wstydem, bo wydarzenia z dzieciństwa zachował dla siebie i nikomu o nich nie opowiedział.

Po tamtym zdarzeniu, które powtórzyło się kilkukrotnie, nie pamiętał już, ile razy w jego życiu wszystko się zmieniło. Jakiś czas później natrętnie myśli o spełnieniu seksualnym zupełnie nim zawładnęły. Stale się masturbował. Jakby za karę. A po każdym akcie czuł się winny, zawstydzony swoim ciałem i rozczarowany sobą. Potem, w liceum i na studiach, krzywdził dziewczyny, z którymi wiązał się wyłącznie dla seksu. Wciąż szukał nowych wrażeń, nie licząc się z ich uczuciami. Jego dorosłość naznaczona była ciągłym poczuciem osamotnienia. To ono pchało go w wir nic niewartych przelotnych znajomości, nawiązywanych jedynie po to, by znów trysnąć spermą.

Co ciekawe, dobrze pamiętał twarze kochanek, ale na taśmie jego pamięci nie zapisał się ani obraz twarzy mężczyzny, który go skrzywdził, ani dźwięk jego głosu.

I tak by pewnie zostało, gdyby nie jeden detal.

Gdyby nie ten latawiec.

Borewicz się ocknął.

Z wysiłkiem usadził Szčerbskiego na krześle w kuchni. Bał się, że mężczyzna zsunie mu się z powrotem na podłogę, ale szef nieco oprzytomniał.

Zero Siedem złapał go za brodę i ścisnął, aż ten zasyczał z bólu. Próbował chwycić Olgierda za dłonie, ale mięśnie wciąż odmawiały mu posłuszeństwa.

Policjant chciał coś powiedzieć, lecz zabrakło mu słów. Coś ścisnęło go za gardło. Świat się rozmazywał. Puścił Szčerbskiego, który wpatrywał się w niego z przerażeniem. Oddychał głośno, z wyraźnym świstem. Wciąż mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Szčerbski pochylił głowę i utkwiał wzrok w podłodze. Nieudolnie rozmasowywał kark.

– Co teraz będzie? – spytał.

Borewicz miał wrażenie, że się przesłyszał. Wyciągnął broń i przystawił mu lufę do skroni.

– Co będzie, kurwa?! – wrzasnął, naciskając pistoletem tak, że Szčerbski pochylił się jeszcze bardziej. – Zajebię cię, skurwysynu!

Policjant dyszał z nerwów, jego palec napierał na język spustowy, który zaczął się przesuwając ku rękojeści.

– Bałem się, że kiedyś się dowiesz – wyznał Szčerbski.

– Skoro tak, po chuja mnie w to wciągnąłeś?

Mężczyzna westchnął.

– Bo chciałem ci pomóc – odparł, prostując się i sprawiając, że Olgierd cofnął broń. – Dać ci zarobić, pozwolić żyć tak, jak lubisz, i pozamiatać sprawy z Grudziądza pod dywan. Sprawić, żeby twoje życie było lepsze.

Olgierd nie wierzył w to, co słyszał. Poczul dreszcz na plecach, od krzyża po kark.

– Żeby moje życie było lepsze? – Zacisnął szczęki. – Kurwa, czy ciebie pojechało? – Drobinki śliny tryskały mu z ust.

Starszy mężczyzna przymknął oczy.

– I co teraz? Zabijesz mnie?

– Zamknij się. – Olgierd uniósł dłoń z pistoletem i wycelował.

– Wiesz, że to ci się nie opłaci.

– Stul pysk! – Zero Siedem odbezpieczył broń i głuchy metaliczny zgrzyt wypełnił ciszę.

– Oddam ci cały ten region – kusił Szcherbski. – Wszystko. Przejmiesz tu rządy i zarobisz jeszcze więcej niż obecnie.

– Nadal to robisz? Nadal je krzywdzisz? – Olgierd miał gdzieś jego propozycję. Patrzył na mężczyznę, ale myślał o roześmianej Amelce.

Szcherbski przełknął ślinę.

– Nie.

– Kłamiesz! Tacy skurwiele jak ty nigdy nie przestają. – Borewicz wyprostował rękę i lufa dotknęła czoła Szcherbskiego.

– Wszystko będzie twoje – wyszeptał mężczyzna. – Wszystko.

Wtedy z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe. Borewicz drgnął i się odwrócił.

Legner wbił wzrok w Szcherbskiego, jakby Olgierda w ogóle tu nie było, i zrobił kilka kroków w ich stronę.

– Moja kolej – powiedział głucho.

– A gdzie policja? – spytał nieco spłoszony Borewicz.

– Zaraz tu będzie.

– W takim razie zostaję – odparł komisarz, chowając broń za plecy.

Legner z trudem oderwał wzrok od Szcherbskiego i spojrzał na policjanta.

– Spierdalaj stąd, bo zasypię cię paragrafami i razem z nim trafisz do pierdła – ostrzegł.

– A gdzie Lipski?

– Liczę do trzech – powtórzył z naciskiem Legner.

Borewicz uznał, że zaczeka na zewnątrz. Odwrócił się i zdążył zrobić krok przed siebie, gdy prokurator dopadł do niego i wyszarpnął mu broń zza paska, a następnie popchnął Olgierda, który poleciał na podłogę. Policjantowi udało się zaasekurować upadek. Kątem oka dostrzegł, że Legner wymierzył z broni do Szcherbskiego.

Zero Siedem przeczuwał najgorsze, ale nie miał wielkiego pola manewru. Zdołał jedynie trącić Legnera butem w dół podkolanowy, co sprawiło, że mężczyznę szarpnęło.

W tej samej sekundzie huk wystrzału zatrząsł szybami.

Po telefonie Legnera Maria Herman nie mogła zmrużyć oka.

Borewicz wciąż milczał i w końcu zaczęła się o niego martwić, ale nie bardzo wiedziała, jak mogłaby mu pomóc. Dlatego, próbując poskromić gonitwę myśli, usiadła do akt sprawy Chudzińskiej.

Skupiła się na roli Solskiego w zdarzeniach z dwa tysiące siedemnastego roku; zamierzała zrobić wszystko, by dojść do prawdy o losie młodej matki. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że były sąsiad i kochanek Chudzińskiej pasuje do tej układanki, ale wciąż brakowało jej puzzli, by ułożyć obrazek. Wierzyła, że badania, na które zgodził się Legner, przyniosą przełom. Łudziła się, że na ubraniach małej biegły znajdzie włos należący do Solskiego albo cokolwiek innego, co sprawi, że mężczyzna zacznie mówić.

Jedyny kłopot polegał na tym, że będzie musiała długo czekać na wyniki. Dlatego zadzwoniła do swojego szefa, komisarza Bartosza Warzechy, naczelnika wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. Wymienili uprzejmości. Policjant nie zdziwił się, że zadzwoniła o tak późnej porze ani nie narzekał.

– Potrzebuję wsparcia – wyjaśniła. – Jutro prokurator da mi glejt na zbadanie ciuchów dziecka Moniki Chudzińskiej.

– Czekaj, czekaj – Warzecha był zaskoczony. – Dziecka Chudzińskiej? Coś mnie ominęło?

– Bardzo możliwe, ale opowiem ci później. Masz kogoś, kto przejrzałby te ciuchy?

Słyszała szum wydmuchiwanego powietrza.

– Muszę pomyśleć. Obdzwonię, kogo trzeba, i dam znać. – Rozłączył się.

Maria wyszła na balkon i chłodniejszy powiew wiatru owionął jej twarz.

Czarne chmury zniknęły, na niebie srebrzyła się tarcza księżyca, gwiazdy mrugały. Herman wypaliła papierosa, który miał ukoić jej lęki, ukolysać do snu.

Złudzenia.

Wróciła do sypialni i dalej przeglądała dokumentację.

W trakcie zewnętrznych oględzin zwłok stwierdzono obfite plamy opadowe na nóżkach, pośladkach i w dolnej części grzbietu, a także na palcach dłoni i stóp. Ciało pokryte było pęcherzami naskórkowymi, które powstały w wyniku długotrwałego oddziaływania wysokiej temperatury. W raporcie z sekcji zwłok odnotowano, że część z nich została zerwana, co nie było niczym niezwykłym, jeśli wziąć pod uwagę konieczność przemieszczenia ciała, wyjęcia go z nosidelka czy rozebrania na miejscu zdarzenia i wreszcie – przewiezienia do zakładu medycyny sądowej. O odwodnieniu organizmu świadczyły, po pierwsze, wilgotne ubrania dziecka – zarówno od potu, moczu, jak i od wydzieliny z pęcherzy naskórkowych. Po drugie, potwierdzał to tak zwany stojący fałd skórny. W zdrowym ciele, ale także w świeżych zwłokach, uszczypnięcie fragmentu skóry na brzuchu nie powoduje trwałych zmian. Elastyczna, dobrze nawodniona tkanka wyprostowuje się i powraca na miejsce. Jednak w przypadku znacznego odwodnienia, na przykład na skutek hipertermii, wspomniany fałd się nie odkształca i zachowuje nadaną formę.

Maria przełożyła kartkę i zajrzała do protokołu z autopsji, który przeskanowała wzrokiem.

Doktor Raszeja odnotowała niewielką ilość krwi w naczyniach, skąpo ukrwione płuca i obfity obrzęk mózgu z licznymi obłoczkami naczyń. Zlecono badanie histopatologiczne narządów wewnętrznych w celu wykrycia wszelkich niedozwolonych substancji, w tym także nad-

miernego stężenia leków. Nic to jednak nie dało. Wyniki załączone do protokołu nie podważyły pierwotnej tezy o powodach śmierci dziecka.

– Zgon z przegrzania poprzez wykluczenie innych przyczyn – odczytała szeptem ostatnie zdanie protokołu spisane go przez medyczkę sądową.

Raz jeszcze przyjrzała się papierom, bo coś nie dawało jej spokoju.

Zerknęła na zegarek i mimo późnej pory postanowiła zadzwonić do Raszei. Przywitała się i przeprosiła.

– Nie ma sprawy, moja droga Mario, późno kładę się spać.

– To dobrze, bo mam ważne pytanie. Obawiam się, że moja teoria właśnie upadła – stwierdziła policjantka, kładąc palec na fragmencie protokołu dotyczącym pęcherzy.

– Jaka teoria?

– O podrzuceniu dziecka do samochodu Chudzińskiej.

– Dlaczego?

– Ze względu na pęcherze naskórkowe.

– A konkretnie?

– Powstają post mortem, prawda?

Lekarka potwierdziła.

– A więc, czy to możliwe, by w przypadku przełożenia zwłok z jednego samochodu do drugiego nie pękły?

– Nie sądzę. Są bardzo delikatne. W takim przypadku przynajmniej część z nich zostałaby zerwana.

– Ale do tego nie doszło, prawda? – Maria się zasępiła.

– Nie, pęcherze naskórkowe zostały zachowane.

Komisarz Herman uznała, że to wystarczający argument, by przestać naginać fakty. Tym bardziej że ten sam mechanizm wykorzystywała w trakcie uprawiania hazardu.

Targnęła nią złość na siebie, że przenosi zachowania z okresu choroby do życia zawodowego. Nie powinna tego robić, doskonale wiedziała, czym to się może skończyć. Stłumiła przekleństwo. Odchyliła głowę i z całej siły zacisnęła powieki.

Plan zdarzeń, który układała w głowie, nagle runął. Znowu poczuła się tak, jakby wyładowała na samym dnie i musiała wszystko zbudować od nowa. Być może nie powinna łączyć zaginięcia Moniki Chudzińskiej ze śmiercią jej dziecka. Do tej pory nie udało jej się zbudować silnego łańcucha poszlak, który by na to wskazywał. Dlatego Herman uznała, że czas odpuszczać. Powinna zabrać się do tej sprawy raz jeszcze z czystym umysłem i gotowością do weryfikowania faktów, a nie do ustalania hipotez na podstawie własnych wyobrażeń.

Pobłądziła, ale to się zdarzało najlepszym.

– Bardzo pani dziękuję. Przynajmniej mogę wreszcie odrzucić błędne założenia.

– A może w tym wszystkim jest coś, czego nie widzisz, droga Mario?

– To znaczy? – zainteresowała się Herman.

– Czasami tak bywa. W każdym fachu. Odpocznij i spójrz na to jeszcze raz – poradziła Raszeja i się pożegnały.

Maria nie zdążyła się zastanowić nad słowami lekarki, gdy oddzwonił Warzecha.

– No dobra, chyba coś mam – rzucił. – Odezwij się jutro do Gabriela Zaworskiego. Numer zaraz ci prześlę. Powiedz mu, że jesteś ode mnie, powinien szybko zająć się sprawą.

– Nie wiem, czy zdążę wyciągnąć ubranka z magazynu – powątpiewała.

– Spokojnie. Będą czekały na ciebie w toruńskiej komendzie krótko po dziesiątej.

Odetchnęła.

– Dobrze mieć sprawnego szefa – Herman pochwaliła Warzechę.

– Przynajmniej na coś się przydam, nie? – Roześmiał się. – Poza tym, jestem cholernie ciekaw, co kombinujesz.

Maria nie miała siły opowiadać mu o tym, że jej teoria właśnie legła w gruzach. Obiecała, że się odezwie, po czym odłożyła komórkę. I wtedy przyszedł esemes, wiadomość z numerem telefonu do bieglego.

Senność nie nadchodziła.

Herman musiała uznać, że Monika Chudzińska popełniła błąd, a w wyniku urazu psychicznego próbowała zrzucić z siebie odpowiedzialność za śmierć dziecka. Chciała to wyprzeć. Zatem jej zaginięcie mogło mieć podłoże samobójcze.

I być może w tej sprawie nie było nic więcej.

Westchnęła. Monika Chudzińska często zrzucała winę na innych.

Maria zajrzała do akt poświęconych zaginięciu młodej matki. Przeglądała je kolejny raz, czytała te same frazy w protokołach przesłuchań i notatkach służbowych, te same uwagi kontrolerów z nadzoru prokuratury i jednostki nadrzędnej, czyli specjalistów z komendy wojewódzkiej. W żaden sposób nie przybliżyło jej to do jakiegokolwiek punktu zwrotnego w śledztwie.

Odpuść, zachęciła samą siebie.

Sięgnęła po laptopa i odczekała, aż sprzęt się uruchomi i aktywują się blokady, które pozakładała Aśka, mające nie dopuścić jej do zakazanych treści w sieci, kasyn internetowych i wirtualnych zakładów bukmacherskich.

Zajrzała na stronę internetową poświęconą poszukiwaniom Moniki Chudzińskiej, jednak nie znalazła tam nowych wpisów. Ostatni oznaczono datą czerwcową. Był to tekst rocznicowy poświęcony pamięci Zuzanny.

Na profilu facebookowym ostatnia informacja była niemal identyczna z tą zawartą w witrynie. Pod obiema podpisała się obecna partnerka Karola Chudzińskiego, Hanna Pilewska. Maria kliknęła w to nazwisko i przeniosła się na prywatny profil konkubiny Chudzińskiego. Przejrzała go pobieżnie, obejrzała galerię fotografii, z których część ewidentnie pochodziła z czasów liceum. Już chciała zamknąć laptop, gdy na jednym ze zdjęć rozpoznała najmłodszego z braci Arka Grocha, Filipa, podobnej postury co brat, z burzą jasnych loków, które obaj musieli odziedziczyć po ojcu lub dziadku.

Maria zamknęła laptop.

Wzięła szybki prysznic i z wilgotnymi włosami wyszła na balkon, żeby zapalić ostatniego papierosa. Potem umyła zęby, pogasiła światła i położyła się do łóżka. Przez dłuższy czas wierciła się, próbując znaleźć dogodną pozycję.

– Dziś nie zagrałam – powiedziała cicho, mając nadzieję, że to ją uspokoi, uwolni od lęków.

Jednak pod powiekami wciąż przewijały się obrazy z akt sprawy, zdjęcia Moniki Chudzińskiej, fotografie z oględzin zwłok jej dziecka, pośmiertne pęcherze naskórkowe, bladoróżowa skóra małej oraz obfite ciemnofioletowe plamy opadowe. Dodatkowo na lewym przedramieniu dziewczynki, tym wystawionym do słońca, wiły się pod skórą ciemne smugi dyfuzyjne. Żyły wypełnione gnijącą krwią.

Wszystko to migało jak slajdy w przyspieszonej prezentacji, a kiedy w końcu obrazy znieruchomiały, Maria zorientowała się, że przygląda się bratu Arkadiusza Grocha. Trwało to krótko, bo ostatecznie wizerunek młodzieńca zastąpił obraz jej byłego kochanka, a Herman odplynęła myślami do okresu, kiedy byli razem. Zastanawiała się, czy gdyby wciąż tworzyli związek, cieszyłoby się szczęściem. Czy ona naprawdę kochała Grocha? Wtedy i teraz? Prowadziła z nim długą rozmowę będącą wytworem wyobraźni, ale nie poznała zakończenia tej pogawędki.

Umęczona dniem pełnym wrażeń w końcu zasnęła.

Szczerbski wyl z bólu i wyl się na podłodze, przyciskając dłoń do rany w okolicy lewego obojczyka. Spomiędzy jego palców wypływała krew, która rozmazywała się na kaflach.

Legner wpatrywał się w broń, jakby nie mógł uwierzyć, że wypaliła.

Olgierdowi wciąż dzwoniło w uszach po wystrzale. Zerwał się i wyszarpnął pistolet z dłoni prokuratora, po czym wrzasnął, żeby wyrwać go z letargu:

– Wypierdalaj! Do samochodu, ale już!

Legner podniósł na niego nieprzytomny wzrok.

– Spierdalaj stąd! – krzyczał Olgierd i spoliczkował prokuratora, żeby przywrócić go do rzeczywistości.

Dopiero wtedy męczyzna potrząsnął głową i zerknął nieprzytomnie najpierw na Olgierda, potem na rannego Szczerbskiego i w końcu na swoje dłonie.

Zero Siedem zacisnął mocno dłoń na ramieniu Legnera i pociągnął go do drzwi wyjściowych.

– Co ja... – Prokurator szedł jak pijany.

– Nic! – Olgierd wyprowadził go na zewnątrz. Odebrał mu kluczyki od passata zaparkowanego przed wjazdem na rondo, usadził go na siedzeniu pasażera, po czym trzasnął drzwiami. Podbiegł do toyoty i wyciągnął z niej apteczkę, z którą wrócił do kuchni.

Szczerbski nadal jęczał.

– Zamknij się! – krzyknął policjant. – Morda!

Męczyzna stłumił płacz i nieznacznie skinął głową.

– Powiem ci, co teraz będzie, okej? – upewnił się Olgierd. – Kula jest w ścianie, dlatego obficie krwawisz, ale przeżyjesz. Odwiozę cię do Gdańska, a ty zapomnisz o sprawie. Wyleczysz się i nie wspomnisz słowem o tym, co tu się wydarzyło, jasne?

– Yhy...

– Czy to, kurwa, jasne? Chcę to usłyszeć! – powtórzył Borewicz.

– Taaak – wycedził męczyzna przez zaciśnięte zęby; twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu.

Borewicz zabrał się do roboty.

Posadził Szczerbskiego na krzesło, rozebrał go z zakrwawionej koszuli i założył mu opatrunek, który szybko przesiąknął krwią. W jednej z szuflad odnalazł niewielkie kuchenne ściereczki, przedarł je, przyłożył do ran i obwiązał klatkę piersiową dodatkowym bandażem. Następnie poszedł do Legnera i kazał mu zdjąć bluzę z kapturem. Wrócił z nią do Szczerbskiego i pomógł mu się ubrać. Rękawy były za krótkie, a bluza ledwie sięgała do paska spodni.

Zaprowadził go do volvo, usadził na fotelu pasażera, pomógł mu zapiąć pas i podał kilka tabletek przeciwbólowych.

Potem posprzątał kuchnię, wydlubał pocisk tkwiący w ścianie i usunął ślady krwi. Ręczniki porządnie wypłukał, wyżał i wrzucił do worka na śmieci, który zaniósł do samochodu Szczerbskiego.

Gdy zamknął dom, podszedł do Legnera, który przez ten czas oprzytomniał i dreptał roztrzęsiony wzdłuż podjazdu.

– Jedziesz za mną – postanowił Olgierd.

– Dokąd? – zdziwił się prokurator.

- Do Gdańska. Zostawimy tam Szczerbkiego i wrócimy tu nad ranem twoim wozem.
- Przecież on na mnie doniesie – zdenerwował się Legner.
- To idź i go, kurwa, zabij! – syknął Borewicz, podając mu broń.

Prokurator z przestachem uniósł ręce, po czym minął Olgierda i skierował się do passata. Uruchomiwszy silnik, czekał, aż Olgierd usiądzie za kierownicą SUV-a Szczerbkiego.

Z Rogówka mieli kilka kilometrów do węzła autostradowego, a potem pognali autostradą do Gdańska. Po drodze Borewicz kupił na stacji benzynowej najmocniejszy dostępny lek przeciwbólowy i wodę, a dla siebie dwa duże schłodzone napoje pobudzające.

Kiedy dojechali do celu, Borewicz odprowadził Szczerbkiego pod drzwi willi w Sobieszewie i wstawił volvo do garażu, wolnostojącego budynku znajdującego się kilkanaście metrów dalej. Wytarł kierownicę i klamki, a potem wszedł do przestronnego salonu. Jedyne światło w pomieszczeniu sączyło się z listew przypodłogowych.

Szczerbki przyjął półleżącą pozycję na jasnej skórzanej sofie. Miał spłycony oddech, pot rosił mu twarz.

- Przejmuję twój interes w kujawsko-pomorskim – przypomniał mu policjant.

Dokładnie wytarł kluczyk od volvo, pozbawiając go odbitek linii papilarnych, i zostawił na stoliku kawowym.

Szczerbki kiwnął głową na znak, że się zgadza.

- Zrobię ci przelew z wpłatami od wszystkich. Poinformuję ich, że od tej pory mają wszystko załatwiać z tobą – wyszeptał, krzywiąc się z bólu.

- Jeden przekręt i wiesz, że wszędzie cię znajdę – ostrzegł go Borewicz.

Ciężkie powieki Szczerbkiego się przymykały, aż w końcu opadły zupełnie i już się nie podniosły. Olgierd był pewien, że mężczyzna zasnął, wyczerpany skokiem adrenaliny, utratą krwi, i dużą dawką środków przeciwbólowych. Cofnął się do korytarza i wyszedł na zewnątrz.

W spokojną letnią noc.

W drodze powrotnej prowadził Legner. Skupiał się na trasie i nie wyglądał na zmęczonego. Skrajne emocje wciąż trzymały ich w szponach. Zero Siedem zamykał i otwierał oczy, próbując odnaleźć wewnętrzny spokój, ale z miernym skutkiem.

Po kilku kilometrach, gdy wjechali na autostradę, a niebo nad ciemnym lasem zaczynało się rozjaśniać, odezwał się do prokuratora:

- Kiedy się do ciebie dobrał?

Borewicz dostrzegł, że Legner poprawił chwyt na kierownicy i grube żyły wypęzły pod skórę dłoni. Przez chwilę słychać było jedynie miarowy szum silnika i świst powietrza, które przecinał passat.

- Na szczęście nigdy – Legner przelknął ślinę. – Nie chodzi o mnie.

Olgierd nie był pewien, ale wydawało mu się, że gdy światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka na krótko oświetlały twarz kierowcy, dostrzegał w jego oczach łzy.

- A o kogo?

- Miałem młodszego brata – wyznał. – Krótco przed kolejnym wyjazdem na kolonie zaczął płakać, że nie chce jechać nad morze znowu w to samo miejsce. Że wolałby w góry. Ale rodzice się uparli. Miał kłopoty z odpornością, uznali, że jod dobrze mu zrobi. No i w dniu wyjazdu Dominik powiesił się na klamce drzwi do swojego pokoju.

Borewicz wpatrywał się w drogę, która uciekała pod maskę samochodu.

- Zostawił list, w którym wszystko opisał. To, że dopadła go angina i wysoka gorączka, więc trafił do izolatki. Był tam mały pokój z dużą szafą i łóżkiem z jęczącymi sprężynami. Przyszła

lekarka, dostał jakieś leki, od czasu do czasu zaglądała do niego opiekunka grupy. Ale nocą... – Legner przygryzł wargę – nocą wydarzyło się coś strasznego...

Głos śledczego początkowo drżał, ale im dalej biegła opowieść, tym był wyraźniejszy i pewniejszy. Olgierd słuchał z zamkniętymi oczami. Miał wrażenie, że prokurator opowiada mu jego własną historię.

- W którym to było roku? – odezwał się w końcu Borewicz.
- Nie pamiętam dokładnie. W osiemdziesiątym ósmym? Może dziewiątym.
- To ty znalazłeś ten list?
- Nie, matka. Dała mi go dopiero, gdy zostałem asesorem.
- I twoi rodzice nic z tym wcześniej nie zrobili?
- Niestety nie. Milicjanci skutecznie odradzili im wszelkie działania.

Borewicz myślał gorączkowo.

– A skąd wiesz, że za wszystkim stał Szczerbski?

– Dominik, jak każde dziecko, przywiózł zdjęcia z wakacji. Matka przechowała je razem z ostatnim listem swojego brata. Na kilku fotografiach głowa jednego z mężczyzn była przekreślona czerwonym flamastrem. To odrobinę ułatwiło mi zadanie.

Minęli rozświetloną, ale opustoszałą stację benzynową, a nieco dalej wyprzedzili dwa tiry.

– W lutym Lipski, który, jak już pewnie wiesz, jest łowcą pedofilów, otrzymał anonim – kontynuował prokurator. – Na naszym terenie miał się pojawić Adam Szczerbski. Okazało się, że kilka lat temu ktoś złożył mu wizytę i powiedział, że jest jego ofiarą. Szczerbski wiedział, że sprawa się przedawniła, ale mimo to zapłacił facetowi za milczenie. Lipski zgłosił się do mnie z tą informacją i wspólnie zaczęliśmy się przyglądać Szczerbskiemu. Udało nam się ustalić, że ten skurwiel był właścicielem ośrodka czasowego Mewa w Darłowie. To znaczy formalnie właścicielem był wtedy jego ojciec, ale Adam tam pracował. Robił za złotą rączkę, ale też za fotografa i kronikarza.

Borewicz nagle wydobyl coś z otchłani pamięci. Kolorowe slajdy, przedstawiające rozgardiasz towarzyszący ustawianiu się grup młodzieży do zdjęcia tuż po obiedzie. Wszyscy biegali, krzyczeli, gonili się i nikt nie umiał nad nimi zapanować. Olgierd zapamiętał nerwowe, ponaglące gesty złoścącego się fotografa, ubranego jak marynarz w białe rozszerzane spodnie, koszulkę w poziome białoniebieskie paski i czapkę z daszkiem z wizerunkiem kotwicy.

Czy to był Szczerbski? Tego Borewicz nie wiedział. Nie pamiętał twarzy tamtego mężczyzny. Widział postać, ale rysy twarzy się rozmywały.

Legner odchrząknął i opowiadał dalej:

– W każdym razie po latach ośrodek upadł i kronika wraz z innymi szpargałami znalazła się w rękach nowego właściciela. Całe szczęście, że facet miał wcześniej związek z tym ośrodkiem. Dostarczał żywność.

– O kim mowa?

– O ojcu Grzegorza. Prowadził ten ośrodek do dwa tysiące siódmego roku, ale przyszedł kryzys i biznes szlag trafił. Potem chłopu się zmarło. Za działkę w dobrym miejscu młody Lipski skasował konkretny szmal. Kupił matce mieszkanie w Toruniu, bo zapragnęła wrócić na stare śmieci.

Borewicz drgnął.

Pamiętał, że gdy odwiedził starszą kobietę, na stole leżał stary album. Zapamiętał wykaligrafowany napis *Mewa '82*.

- Krótko przed śmiercią ojciec Lipskiego powiedział mi, jakie słuchy krążyły o ośrodku.
- Tak po prostu?

- Nie. Okazało się, że Lipski bywał na tych samych koloniach co mój brat. Dlatego jego ojciec, kiedy sprawa Szczerbskiego wyszła na jaw, całe życie martwił się, czy chłopak nie padł ofiarą pedofila. Ale niepotrzebnie. Szczerbski go nie tknął. Być może dlatego, że znał jego ojca. Był ostrożny, wybierał dzieciaki z najdalszych zakątków Polski.

- A skąd Lipski się dowiedział, że Szczerbski po latach zaczął przyjeżdżać do Torunia? - Olgierd się zorientował, że mijają Grudziądz. Miasto majaczyło na oddalonych wzgórzach po lewej stronie.

Borewicz zrozumiał nagle, że zna odpowiedź na swoje pytanie. Najwyraźniej w grupie swingersów był ktoś jeszcze, kto jeździł jako dziecko na kolonie do nadmorskiego ośrodka i kto rozpoznał w Szczerbskim swojego oprawcę. Niewykluczone, że ten ktoś wiedział, czym zajmuje się Lipski, i dlatego wysłał mu anonim.

- Nie udało nam się tego ustalić - odpowiedział Legner.

Zero Siedem się zamyślił.

- Czy po upadku ośrodka Szczerbski krzywdził inne dzieci? - spytał.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Próbowałem podpytać moich kolegów z Gdańska, ale żaden z nich tego nie potwierdził.

- W takim razie, czy to możliwe, żeby ten gnój sam z siebie przestał być pedofilem? - Olgierd głośno myślał.

Legner potarł usta.

- Szczerze? Raczej mało prawdopodobne.

Pierwsze promienie słońca musnęły asfalt i rozjaśniły las po prawej stronie. Olgierd zmrużył oczy. Jasnobrązowe pnie pierwszych rzędów sosen wyglądały tak, jakby korę trawił żar.

- Więc może coś tu nie gra, co? - Borewicz spojrział znacząco na kierowcę.

Biegły sądowy Gabriel Zaworski odebrał od Marii karton z ubraniami Zuzanny Chudzińskiej i obiecał, że zaraz zabierze się do pracy.

Na policjantce zrobił dobre wrażenie. Wydawał się rzeczowy, profesjonalnie chłodny, ale jednocześnie energiczny i zainteresowany tym, co go czekało.

– Dziecko zmarło w samochodzie na skutek hipertermii – poinformowała go w progę, a on zaprosił ją do środka.

Maria weszła do holu domu na terenie niewielkiego osiedla w Rozgartach i zamknęła za sobą masywne drewniane drzwi.

Żona biegłego, elegancka blondynka z długimi włosami, pojawiła się na chwilę w przejściu i przywitała Marię uśmiechem, zapraszając na kawę, ale policjantka wymówiła się pracą.

– Niech mi pani nic nie mówi. – Zaworski poprawił okulary na nosie. – Wolałbym zerknąć na to świeżym okiem, bez żadnych sugestii.

– Jasne, przepraszam. – Komisarz pokiwała głową i zapytała, kiedy może liczyć na wstępne informacje.

Mężczyzna w szarym T-shircie odstawił pudło na komodę, po czym zerknął na smartwatch.

– Postaram się odezwać w ciągu dwóch, maksymalnie trzech godzin. Przy czym zastrzegam, to nie będzie ostateczna opinia. Po prostu dam pani znać, czy coś z tego będzie.

– Jasne – zgodziła się Herman.

Mimo wszystko opuszczała dom Zaworskiego z nastawieniem na sukces, ale szybko zeszała na ziemię. Jej nadmiernie emocjonalna reakcja skojarzyła jej się z narastającym podnieceniem towarzyszącym obstawianiu wyników meczów, ze ślepą wiarą w sprawczą moc własnych typów. Twarde ładowania boleśnie uświadamiały jej starą prawdę, że sukcesem można się cieszyć po fakcie, a nie przed, jak zwykle to robić dawniej.

Jarek Bloch, technik kryminalistyki, który miał dziś wolne, wpadł na komendę do kadr z ważnymi papierami i przypadkowo spotkał się z Marią. Podwiózł ją do Zaworskiego, a potem mieli pojechać na Wrzosa. Jednak Herman poprosiła kolegę o jeszcze jedną przysługę.

Wcześniej przyglądała się mapie Google i zdjęciom satelitarnym Kaszczorka. W aktach czytała o poszukiwaniach ciała Moniki Chudzińskiej w pobliskim żwirowisku zalanym wodą i w Drwęcy. Rzeka meandrowała w okolicach Kaszczorka i opodal wpadała do Wisły. Marcin Sikorski, ojciec Moniki, zarzucał policji, że pominęła te miejsca, ale nie miał racji. Raporty w tej sprawie nie kłamały.

Uznała, że powinna się tam rozejrzeć, chociaż obawiała się, że tylko zmarnuje czas. Ale Bloch chętnie się zgodził tam pojechać, bo od kilku dni obiecywał matce, która w Kaszczorku miała działkę, że podrzuci jej przedłużacz ogrodowy do kosiarki elektrycznej.

Kiedy wyruszyli z Rozgart, Maria wsłuchiwała się w przyjemny głos spikera radiowego, który donosił o nadchodzącej gruntownej zmianie pogody, ochłodzeniu do dwudziestu dwóch stopni i ulewnych deszczach.

– A wiesz, że ostatnio Gross pytał o ciebie? – technik odsłonił w uśmiechu drobne zęby.

– Serio?

– Serio. Byliśmy u niego z Marianem na robocie, bo trafił nam się... – zawiesił głos, jakby się zagalopował.

– Hazardzista samobój? – dopowiedziała Herman, a Bloch smętnie pokiwał głową.

– Kurczę, sorry. Akurat to mogłem pominąć – zmitygował się.

– Daj spokój. – Machnęła ręką. – Ktoś wspominał o tym na komendzie. Mów.

Bloch zebrał myśli i kontynuował:

– Odcięliśmy go na strychu jednej z kamienic w centrum. Ale zanim go tam odnaleziono, trochę powisiał, bo okazało się, że kupił w internecie bilet do Krakowa, i nasi na miejscu byli przekonani, że kiedy rodzina zgłosiła zaginięcie, chłop balował w Małopolsce. Uznali, że spieszył, żeby nie spłacać długów – dodał Bloch, gdy zatrzymali się na światłach przy obii. – Dopiero smród na klatce ich otrzeźwił.

– I dlatego Gross o mnie pytał? Bo znaleźliście hazardzistę? – Czują się zawiedziona.

Bloch chyba zdał sobie sprawę z tego, że nieumiejętnie rozpoczął ów wątek.

– Cholera – jęknął. – To nie tak. Po prostu się zgadaliśmy, że u ciebie wszystko gra, że wyszłaś z tego gówna i że...

– Z tego gówna się nie wychodzi – zaprotestowała.

– Wiesz, co miałem na myśli. Wtedy Gross stwierdził, że jest ci winien pieniądze. O ile do brze go zrozumiałem.

Herman się uśmiechnęła.

– Nie, nic mi nie jest winien – odparła. – Ani ja jemu, na szczęście. W każdym razie pozdrów go ode mnie.

– Tak zrobię – obiecał Bloch i zerknął na nią z uśmiechem. – A poza tym...

Skręcili w prawo.

– No?

– Nie, nic – wycofał się. – To znaczy, fajnie ci w tych włosach.

Maria poczuła, jak ciepło wypęła jej na policzki. Dawno nie słyszała komplementu, który odnosiłby się do wyglądu, więc zrobiło jej się miło. I trudno było jej udawać przed sobą, że nie jest głodna męskiej uwagi.

Jechali w milczeniu przez skraj osiedla Na Skarpie i dopiero gdy zjechali w dół do Kaszorka, policjant zagał:

– Po co jedziemy do tego źwirowiska?

– Zajmujemy się z Olgierdem sprawą zaginionej Moniki Chudzińskiej – wyjaśniła Maria.

– A, tak, coś kojarzę. To ta młoda, co latem zapomniała o dziecku w samochodzie?

Maria pomyślała, że być może w lakonicznych słowach Blocha kryje się jedyna prawdziwa wersja zdarzeń.

– Kurwa – westchnął technik. – Co ci ludzie mają w głowach, że zapominają o własnych dzieciach?

Zadzwoił do matki i uprzedził ją, że będzie za chwilę, potem odebrał jeszcze dwa telefony od kolegów z pracy. Każdemu z nich cierpliwie tłumaczył, że ma urlop, ale ostatecznie zgodził się wpaść na komendę następnego dnia i załatwić sprawy, o które prosili.

Herman, chcąc nie chcąc, słuchała tych rozmów, jednocześnie przyglądając się nowoczesnym domom, które wyrosły w tej części miasta – płaskie dachy i duże okna. Jej dom po rodzicach przy tych posesjach wyglądał jak ruina. I nie bardzo mogła liczyć na to, że sama udźwignie ciężar kompleksowego remontu.

Minęli zjazd w ulicę Na Przełaj, od której odchodziła Sezamkowa, i kilkaset metrów dalej wjechali w wąską drogę. Biegła przez las i nieużytki.

Auto toczyło się powoli.

W końcu wyjechali na zalaną słońcem polanę i Bloch zaciągnął ręczny.

– Zapalimy?

– Przecież twoja matka czeka.

- Ale strasznie mi się chce puścić dymka, a ona myśli, że dawno rzuciłem to świństwo.
- Okej. Tylko i tak wyczuje smród tytoniu.
- No i co z tego? Zrzucę to na ciebie.

Oboje parsknęli śmiechem.

Wysiedli i uderzyła w nich fala gorąca. Żdźbła wyschniętych traw wystawiały się nieruchomo do słońca. Gdziekolwiek unosiły się chmury owadów.

Jarek Bloch poczęstował Marię camellem i zgrzytnął zapalniczką.

- Chodź - kiwnął ręką i ruszył w kierunku zarośli.

Kiedy Herman zrobiła kilka kroków, jej oczom ukazało się duże zagłębienie wypełnione wodą, w której odbijał się obraz bładniebieskiego nieba. W dole dostrzegła trzcinę wodną i rozprzestrzeniającą się rzęsę.

- Stare zwirowisko - wyjaśnił Bloch, opędzając się od owadów. - Przyjechałem tu z kumplami jako dzieciak. Wtedy podjeżdżały tu ciężkie wywrotki. Ale potem przedsiębiorstwo upadło i dół wypełnił się wodą z Drwęcy, która płynie tam obok. - Wskazał na wysokie drzewa rosnące tuż za wyrobiskiem.

Herman popatrzyła w tamtą stronę.

- Chcesz zobaczyć? - Zaciągnął się.

Skinęła głową i obeszli zwirowisko od lewej. Na mapie w internecie akwen wydawał się niewiele większy od kałuży, ale w rzeczywistości wyglądał jak niewielkie jezioro. Zbliżali się do strzelistych drzew na wysokim urwisku, gdy Maria zauważyła gruntowy zjazd, prowadzący niemalże do samego lustra wody.

- A to co? - zapytała, również oganiając się od owadów.

- Tędy właśnie zjeżdżały ciężarówki po żwir. Tyłem oczywiście. Tam się ładowały - wskazał palcem na niewielkie wypłaszczenie terenu. - Ale chodź dalej. Zobaczysz piękny widok.

Maria zrównała się z technikiem.

Stali na szczycie skarpy wysokiej na kilkanaście metrów, w otoczeniu sosen, dębów szypułkowych i czarnych olsz. Niżej, nad brzegami wąskiej rzeki, pochylały się trawy. W oddali wśród pól uprawnych widać było autostradę. Maria przez chwilę śledziła wzrokiem samochody, po czym spojrzała w ciemny nurt.

- I co? Na działkę ładny teren, nie? - Bloch spojrzał na nią i wsunąwszy papierosa do ust, wyciągnął dłoń ku jej twarzy.

Maria się wzdrgnęła.

- Spokojnie. - Technik wyplątał z jej włosów owada o wąskich, cętkowanych skrzydłach i podłużnym odwłoku, lekko wygiętym niczym łuk, zakończonym dwiema wypustkami. - To tylko niegroźna jętka.

Owad odrzucił, a kolega wytarł dłonie w spodnie i ponownie spojrzał na rzekę.

- Żyją tu od lat - dodał.

Borewicz odłożył smartfon na fotel pasażera, bo Szczerbski, mimo kilku prób nawiązania połączenia, nie odbierał.

Klimatyzacja w toyocie nie działała, więc opuścił wszystkie szyby. A ponieważ poranny szczyt minął, postoje na czerwonych światłach, mimo palącego słońca, nie były aż tak uciążliwe.

Wjechał Dominikańską na teren Starego Miasta i zaparkował w cieniu na ulicy Małe Garbary, w pobliżu żabki. Przeszedł do Bułki, gdzie zamówił polskie śniadanie z jajecznicą, a do tego kawę.

Kiedy się rozstawał z Legnerem, prokurator przytrzymał jego dłoń.

– Co teraz będzie? – Szare półksiężycy pod oczami śledczego stały się wyraźniejsze, powieki opadały mu ze zmęczenia.

– A co ma być?

– Dobrze wiesz, o czym mówię. O postrzeleniu Szczerbskiego.

Borewicz uwolnił dłoń z uścisku.

– A było jakieś postrzelenie?

Legner skinął głową z wdzięcznością.

– Ale kiedyś mi się za to odwdzięczysz – rzucił Borewicz.

– Wał jak w dym. Nie zawiodę.

Zero Siedem pożegnał się i odczekał, aż passat zniknie za szpalerem tuż i wysokim betonowym ogrodzeniem, po czym sprawdził raz jeszcze dom, ponownie umył podłogę, a potem wziął prysznic.

Chłodna woda miała zbawienną moc.

Wsiadł do toyoty i opuścił to miejsce. Wiedział, że będzie musiał tu wrócić po okrągłe czerwone łóżka i kotary, ale jeszcze miał na to czas.

Na razie uznał, że pozwoli grupie swingersów oswoić się z nową sytuacją i uzyskać wyjaśnienia od Szczerbskiego. Sam natomiast musiał zabrać się do poszukiwań nowego lokalu i wiedział, że chwilę mu to zajmie.

Sprawa Szczerbskiego, a raczej pytanie, czy to możliwe, żeby wyleczył się z pedofilii, wciąż nie dawała mu spokoju, ale uznał, że przynajmniej na razie nie musi o tym myśleć. W każdej chwili mógł odwiedzić starego biznesmena i wyciągnąć z niego więcej informacji. Na razie jednak uznał, że to może zaczekać.

Na liście priorytetów miał dwa punkty. Telefon do żony i do Marii Herman.

Kiedy Kinga odebrała, wyczuł, że jest na niego zła. Postanowił rozegrać to po swojemu.

– Nie uwierzysz, gdzie jestem – zaczął. – Jechałem do was i nagle na wysokości Czarnowa zobaczyłem ogłoszenie o sprzedaży uzbrojonych działek. Trzy tysiące metrów pod lasem. Cicha, spokój. Rozmawiałem z właścicielem i...

– Przestań – przerwała mu. – Nie chcę tego słuchać.

– Mieszkanie zostawimy dla Zero Siódemki, ale na razie moglibyśmy je wynająć – liczył na to, że uda mu się poprawić jej humor. – A tu wybudujemy dom z basenem. Mam już nawet kontakt do firmy i wiem, ile to będzie kosztowało – dodał, ale coś przerwało połączenie.

Zadzwoił więc jeszcze raz.

– Posłuchaj, co ci powiem – rzuciła Kinga. – Mam tego szczerze dość. Chciałabym, żebyś wybrał: praca albo rodzina. Bo ja już sobie nie radzę. Dlatego zdecydowałam, że do czasu, aż się określiś, zamieszkałam z rodzicami – rozplakała się.

– Ale... – Borewicz usłyszał w tle głos teściowej, która próbowała uspokoić córkę. Po chwili dobiegły go jeszcze płacz Amelki i szczerkanie Kluski. – Nie powinniśmy takich spraw załatwiać przez telefon – oznajmił.

– Chciałam inaczej, ale przecież ciebie ciągle nie ma w domu, więc kiedy miałam ci o tym powiedzieć?

– Kinga! – Czuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Przemyśl to sobie. Powinniśmy oboje to wszystko przemyśleć.

– Kinga, do cholery!

– Kluska zostanie w mieszkaniu. Może chociaż do niego będziesz miał ochotę wracać – do-dała żona i się rozłączyła. – Tylko się pośpiesz.

Zero Siedem miał ochotę rzucić komórką o ziemię.

Próbował przetrwać falę uderzeniową złości.

– Kartą czy gotówką? – dotarł do niego kobiecy głos i natychmiast otworzył oczy. Przy stoliku stała ruda kelnerka z długim warkoczem, którą kilka minut wcześniej poprosił o rachunek.

– Kartą – odparł, ale się zawahał. – Albo nie. Gotówką.

Zostawił jej pięćdziesiąt złotych i nie czekając na resztę, wyszedł na rozgrzane kocie łby. Uciekł w lewo, w cień rzucany przez kamienice przy ulicy Szewskiej, prowadzącej do parkingu, na którym zostawił toyotę.

Zero Siedem obiecał sobie, że wszystko wróci do normy.

Głównie ze względu na Zero Siódemkę. Chociaż nie miał jeszcze planu, jak pogodzić ogień z wodą i sprostać ultimatum Kingi.

Ktoś zaczął się do niego dobijać, więc sięgnął po komórkę. Nie rozpoznawał numeru, ale mimo wszystko odebrał, gotowy zakończyć połączenie, jeśli po drugiej stronie odezwie się bot.

– Mówi Wołęjko, dzień dobry. Pamięta mnie pan? – spytał sąsiad Chudzińskich, którego niedawno odwiedzili z Herman.

– Jasne, pamiętam. O co chodzi.

– Rozmawiał pan z Karolem?

– O czym?

– No, jak to o czym? – w jego głosie wybrzmiało rozczarowanie. – O tym, że tamtego dnia wrócił do domu.

– Mamy to na uwadze. Dziękuję.

– To może ja wybadam, co i jak?

– Nie, wolałbym, żeby pan tego nie robił.

– Nie? A dlaczego? On tu jest na miejscu. Kręci się z ekipą budowlanców przy basenie. Mogę podejść. W końcu to mój sąsiad, znamy się nie od dziś.

– Panie Wołęjko, niech pan to zostawi. Dobrze radzę.

– No dobra, skoro tak... W takim razie się pośpieszcie. Ta akcja nie będzie trwała w nieskończoność. – Mężczyzna się rozłączył.

Olgierd nie dodzwonił się do Herman, ale uznał, że może skorzystać z informacji Wołęjki i pogadać z Chudzińskim, skoro rzeczywiście był w domu.

Kiedy dojechał do Kaszczorka, przy pryzmie wilgotnego betonu zrzuconego na grubą folię na podjeździe domu młodego biznesmena kręciło się dwóch pracowników budowlanych. Ustawiali przenośne zadaszanie, tak by górka żwiru zmieszanego z cementem znalazła się w cieniu.

Nieco dalej, pod klonami, stał dostawczak firmy basenowej, którego Olgierd widział tu ostatnio.

– Gdzie znajdę właściciela? – zwrócił się do grubego majstra w krótkich spodenkach. Brązowa skóra na jego plecach lśniła od potu.

– Na ogrodzie. Przy basenie – odparł mężczyzna, ocierając czoło brudnym przedramieniem. Wodą ze szlauchu zrosił szarą masę. Najwyraźniej nie zamierzał sobie zawracać głowy policjantem.

Zero Siedem minął wjazd do garażu i obszedł dom od prawej strony, przeciskając się między elewacją a bujnym rododendronem i hortensją bukietową, bogato obsypaną różowymi kwiatami.

Karola Chudzińskiego zobaczył nad pustym basenem, z którego zdjęto błękitną folię nadającą wodzie piękny kolor. Obok niego stał mężczyzna w płóciennych spodniach i białej koszuli. Właściciel posesji wbił ręce w kieszenie sportowych szortów i wpatrywał się w budowlanica, który na drugim brzegu majstrował przy pile do cięcia betonu.

Na tarasie leżały obrzeża basenowe z jasnego kamienia, ułożone w niewielkie wieże.

Żaden z mężczyzn nie dostrzegł zbliżającego się Borewicza.

– Dzień dobry – rzucił Olgierd.

Chudziński nawet nie wydawał się zaskoczony. Po prostu wyciągnął rękę do Borewicza i przedstawił mu szefa firmy instalującej baseny.

– Co się stało? – Zero Siedem zerknął na betonowe dno i spory nieregularny fragment, który się zapadł.

– Niestety, to, co widać – odparł Chudziński. – Ale chodźmy do domu, bo jak piła pójdzie w ruch, to nic tu nie będziemy słyszeć – zaproponował, po czym odezwał się do specja od basenów: – Niech mnie pan zawoła, jak już skończycie ciąć i usuniecie beton. Trzeba sprawdzić, dlaczego ziemia się zapadła.

– Jasne. Dam znać – obiecał tamten.

Borewicz szedł za Chudzińskim po miękkiej trawie w kierunku uchylonych drzwi tarasowych.

Kiedy weszli do środka, dało się odczuć przyjemny, orzeźwiający chłód.

– Kawy czy wody? – Chudziński zatrzymał się w drodze do kuchni, ale Olgierd podziękował uprzejmie i obiecał, że nie zajmie dużo czasu.

Gospodarz cofnął się i wskazał policjantowi sofę.

– Co pana sprowadza? – zajął miejsce w fotelu.

– Chodzi o... – zaczął Olgierd, gdy wizg piły zagłuszył wszystko. Po chwili znad miejsca, w którym znajdował się basen, uniosła się chmura siwego pyłu. – Chodzi o to, że chciałbym wrócić do dnia, w którym zmarła pańska córka.

– Dlaczego?

– Z błahego powodu. – Olgierd zerknął na karafkę z wodą i uznał, że jednak się napije. Nalał sobie wody do szklanki i wrzucił do niej plaster cytryny, schowany pod tekturowym kubkiem.

– Trafiłem na stare zeznania świadków, które muszę zweryfikować. To rutynowe działanie na potrzeby dokumentacji.

– Dobra. Proszę bardzo.

– Niech mi pan raz jeszcze opowie wszystko od początku, co działo się od chwili, gdy wyszedł pan z domu.

Chudziński ściągnął brwi.

– Serio?

– Tak. Będę wdzięczny.

Mężczyzna nabrał powietrza.

– O rany, już mówiłem – wydawał się poirytowany. – Wsiadłem do samochodu i pojechałem do pracy.

– Do Brodnicy?

– Tak. Prowadziłem tam szkolenie – przypomniał.

– Wpadł pan po drodze do siedziby swojej firmy, tu, w Toruniu?

– Nie. Nie było takiej konieczności. Poza tym nie chciałem się spóźnić.

– Czyli pojechał pan prosto do Brodnicy?

Chudziński potarł czoło.

– Tak.

– Nie zapomniał pan niczego z domu? – drażył Borewicz.

Charkot piły tnącej beton ustał na chwilę.

– Nie.

– Jest pan pewien?

Chudziński uniósł brwi.

– Tak, całkowicie. Ale powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

– Jeden ze świadków zeznał, że tamtego dnia, po wyjeździe pana żony, wrócił pan do domu.

Chudziński wbił wzrok w podłogę.

– A nawet gdyby tak było, co to zmienia?

Maszyna ponownie poszła w ruch i kolejna szara smuga zaczęła wzbijać się ku niebu.

Olgierd zawiesił na niej wzrok.

– Wrócił pan czy nie? – spytał po chwili.

– Nie – odparł twardo Chudziński. – Próbuję to sobie przypomnieć, ale proszę mnie zrozumieć. Raz, że to było parę lat temu, a dwa, po tym, co się wydarzyło, oboje z żoną przeżyliśmy uraz psychiczny. Niewiele pamiętam z tego, co działo się przed śmiercią córki.

Jedno ze zdjęć zawieszonych na ścianie w pobliżu obrazu przedstawiającego latarnię morską i wzburzone szare morze przyciągnęło wzrok Borewicza. Widział je już wcześniej, podczas pierwszej wizyty u Chudzińskich. Młoda Hanna Pilewska z włosami układającymi się w kasztanowe fale i opadającymi na drobne ramiona podciągała granatową mini, by pokazać czerwoną podwiązkę. W tle, na ścianie z czarną draperią, Borewicz odczytał częściowo zasłonięty przez dziewczynę napis: *Studniówka I LO*. Daty nie był w stanie rozpoznać, widział jedynie pierwszą cyfrę – dwójkę.

Policjant odwrócił się do gospodarza i wtedy spostrzegł, że szef firmy basenowej zmierza w stronę tarasu. Chudziński też go zauważył; wstał i wpuścił mężczyznę do salonu.

– No i miałem rację. To nie jest nasza wina – stwierdził specjalista. Drobinke betonu osiadły na jego ciemnych włosach i na koszuli. – Pod basenem jest stara ceramiczna rura melioracyjna. Popękana w kilku miejscach – wyjaśnił.

– Rura?

– Tak. Chodźmy, sam pan zobaczy.

– No, dobrze. – Chudziński podrapał się w głowę i spojrzął na Borewicza.

- Na mnie już czas - rzekł policjant. - Wyjdę przez ogród.

W nagrzonej toyocie, mimo że zostawił ją w cieniu, można byłoby roztopić złoto. Olgierd otworzył wszystkie drzwi i opuścił szyby, po czym uruchomił silnik.

Gdy tylko ruszył i skierował się do wyjazdu z osiedlowej drogi, machnął na niego Wołłejko, który dreptał w cieniu tuj.

Policjant zwolnił.

- I jak? - Sąsiad nachylił się do wnętrza, ale kątem oka nerwowo zerkał w stronę domu Chudzińskich. - Co powiedział?

- Przecież pan wie, że nie mogę o tym mówić.

- A gdybym powiedział panu coś więcej?

- Niech pan przestanie. - Zniechęcony Borewicz wrzucił jedynkę. - Za utrudnianie śledztwa są odpowiednie paragrafy.

- Ja utrudniam? Chyba raczej ułatwiam.

- Zaczynam w to wątpić.

- To niech pan sprawdzi małe babskie auta. Białe albo srebrne, bo w ostrym słońcu to człowiek kolorów nie rozpoznaje. Coś jak Peugeot 206 albo Renault Clio. Raczej starsze modele.

Zero Siedem przewrócił oczami.

- Po co?

- Głowy sobie nie dam uciąć. Ale wtedy gdy Chudziński wrócił do domu, jakiś czas później podjechał tam taki właśnie wóz.

Zero Siedem przyjrzał się twarzy Wołłejki. Mięśnie mimiczne nie zdradzały nerwowego napięcia.

- Kiedy dokładnie? - spytał policjant.

- Nie rozumiem.

- Chudziński był tam jeszcze, czy wrócił i zdążył odjechać, a dopiero wtedy podjechał ten babski samochód?

- A, o to panu chodzi. - Mężczyzna uniósł brodę. - Karol był jeszcze w domu.

Borewicz się skrzywił. Powątpiewał w rewelacje starszego mężczyzny.

- Wcześniej nie pamiętał pan za wiele. A teraz nagle wyciąga pan aż dwa samochody.

- To chyba dobrze, że jednak coś sobie przypomniałem. Przecież na tym wam zależało, nie?

- A jaki samochód przyjechał tu wczoraj wieczorem? Chodzi mi o firmę od basenów.

- Jak to jaki?

- Niech pan mi poda markę i kolor. Dla ułatwienia dodam, że stoi tam, bokiem.

Wołłejko wzruszył ramionami.

- Nie wiem, niedowidzę. Ale dlaczego pan pyta o to auto?

- Niech pan sam spróbuje sobie odpowiedzieć na to pytanie - powiedział z niechęcią Borewicz i zaczął podciągać szybę.

- Chciałem tylko pomóc, ale widzę, że z wami to najlepiej na dystans, cholera jasna, psia krew - rzucił Wołłejko i szybkim krokiem ruszył do domu.

Maria Herman zdażyła nalać wody z kranu do szklanki i popiła tabletkę przeciwbólową, gdy odezwał się telefon. Wibrował i przesuwiał się na blacie stołu w kierunku rantu.

– Myślałam, że dałeś sobie spokój z pracą – rzuciła kaśliwie, ale Olgierd tylko westchnął, więc zrozumiała, że kolejny raz zawałił mu się świat.

Opowiedział jej o wizycie u Chudzińskiego.

– Dno się zapadło? – zainteresowała się. – To normalne?

– Tylko fragment. Biegnie tam stara rura melioracyjna. Ale jest coś ciekawszego. Chodzi o tego Wołęjkę. – Borewicz streścił partnerce informacje uzyskane od starszego mężczyzny.

– Nie wiem, czy możemy mu wierzyć. Mam wrażenie, że facet nie ma co robić i próbuje zaistnieć.

– Solski też próbował zaistnieć, ale przynajmniej skutecznie. W papierach go pełno, a o Wołęjce ani słowa.

– Niby tak. – Maria usiadła przy stole.

– A co u ciebie?

– Legner dał zielone światło na zbadanie ciuchów dziecka. Czekam na sygnał od bieglego. Miał dzwonić po dwóch godzinach, ale minęły cztery i wciąż cisza.

– No to jesteśmy w dupie.

– Pojedź do domu, zobacz się z córką i żoną. Napraw klimę w toyocie. Chociaż to już chyba nie jest takie pilne. Podobno pogoda ma się zmienić.

Borewicz milczał.

– Jesteś tam? – spytała Herman.

– Wolę rzucić się w wir roboty.

– Czyli w domu znowu ogień?

Nie odpowiedział, a Maria wstrzymała się od komentarza.

– Okej, przyjeżdżaj. Posiedzimy nad sprawą – uznała. – Robota jest dobra na wszelkie smutki.

Olgierd się zaśmiał.

– Tak się składa, że po drodze mam KFC – odparł po chwili.

– Aha, jasne. Już to widzę. Jestem pewna, że nadłożysz sporo kilometrów.

– Kyrie eleison, jak ty dobrze znasz życie – westchnął.

Olgierd posprzątał talerze i zmył naczynia, a Maria wytarła stół z resztek panierki i usunęła tłuste plamy. Ogryzione kości wylądowały w kartonowym wiadrze, które od razu wyniosła na zewnątrz do śmietnika.

Nad kłapą kubła krążyło pełno much.

Kiedy wróciła, partner wytarł dłonie w ścierkę i wyszedł na taras z teczką dotyczącą śledztwa zaginionej dziewczyny oraz z butelką schłodzonego energizera.

Popołudnie wolno przechodziło w wieczór i chociaż słońce skryło się za siwymi chmurami, powietrze zgęstniało. Maria miała problem z wzięciem oddechu. Ból głowy nie odpuszczał, ale przynajmniej stracił na intensywności. Uznała jednak, że zamiast faszerować się kolejną dawką prochów, wypije kawę. Zaniosła ją na taras. Borewicz siedział na leżaku. Gapił się na ogród albo na suchą trawę i spękaną ziemię. Ciężkie powieki opadały mu co jakiś czas.

- Dobrze, że pofarbowałaś włosy – odezwał się.
Zaskoczył ją; sądziła, że nie zauważył w niej żadnej zmiany.
- Jak to: dobrze? – udała oburzenie i wzięła łyk kawy.
- Oj, przecież wiesz, co mam na myśli. Po prostu lepiej wyglądasz.
- Czyli, że wcześniej wyglądałam źle? – droczyła się z nim.
- Chryste, co mnie podkusiło – westchnął teatralnie i Maria się zaśmiała.
- Wyśpij się, Zero Siedem.
- Bez przesady. Nawet nie jestem zmęczony. – Ziewnął przeciągle. – Zaraz bierzemy się do roboty.

Odczekała chwilę, obserwując ogród spustoszony przez suszę.

Zerknęła na Olgierda, który oparł ręce na zaokrąglonym brzuchu i zamknął oczy.

Czuła, że powinna z nim pogadać o trzeźwieniu. Opowiedzieć mu o swoich zmaganiach z uzależnieniem, dać świadectwo. Uświadomiła sobie jednak, że często podczas wielu obserwacji i godzin spędzonych w toyocie zdarzało im się poruszać te tematy. Najczęściej to on je prowokował, jakby podświadomie próbował mierzyć się w ten sposób z własnym problemem. Policjantka jednak doskonale wiedziała, że nie wyciągał z tych dyskusji żadnych wniosków, bo wciąż uważał, że panuje nad seksoholizmem. A to największe złudzenie każdego uzależnionego.

W zasadzie wiedziała, co będzie dalej.

Powinna zrezygnować z pracy z Olgierdem, bo jeszcze chwila i jej partner zacznie staczać się coraz szybciej. Zawali pracę, a ona będzie musiała pracować za dwoje. Czy jest na to gotowa? Czy może brać na siebie większość obowiązków? I jak to wpłynie na jej chorobę?

Nie umiała sobie odpowiedzieć na te pytania. Ale była skazana na pracę z Zero Siedem. Nie mogła zostawić partnera na lodzie, choć wcale nie dlatego, że była altruistką. Trzeźwienie zakładało, że powinna skupić się na sobie. Od czasu sprawy w Grudziądzu wspólnie dźwigali wielkie brzemie. Dlatego uznała, że lepiej mieć oko na Olgierda. Że powinna go mieć przy sobie.

Maria po cichu wzięła teczkę z aktami sprawy Moniki Chudzińskiej i poszła do salonu. Odstawiła kawę i wzięła szybki orzeźwiający prysznic. Ubrała się i wyszła z łazienki.

Zza drzwi tarasowych dochodziło ciche pochrapywanie.

Obejrzała raz jeszcze zdjęcia z gazet z Janem Solskim na pierwszym planie. Nie mogła uwolnić się od myśli, że on coś ukrywa. Że być może w jakiś sposób był winny śmierci Zuzanny Chudzińskiej, a potem czuł potrzebę kontrolowania policyjnego śledztwa w sprawie zaginięcia swojej kochanki. Próbował w ten sposób przechytryć organy ścigania. Maria nie mogła sobie darować, że nie potrafi znaleźć żadnego dowodu jego winy. Wspólnie z Olgierdem wciąż poruszali się w tej sprawie po omacku. Nie doszli do przełomu w śledztwie.

Herman wypila łyk zimnej kawy, ale miała ochotę na więcej. Włożyła do lejka filtr, wsypała do niego jedną porcję zmielonych ziaren, dolała wody do pojemnika i włączyła ekspres, który zabuczał. Pochłonięta myślami o Chudzińskiej i Solskim, wpatrywała się w ciemny napój spływający powoli do kubka.

Spojrzała na zegarek i zrozumiała, że biegly sądowy spóźnia się już kilka godzin z poinformowaniem jej o wstępnych wynikach badania ubranka dziewczynki.

Czy naprawdę śmierć dziecka jest kluczem do rozwiązania zagadki zaginięcia jego matki?

Gdy Maria odwróciła się z naczyniem w rękę, niemal wpadła na Borewicza. Krzyknęła przerażona, a rozkołysana kawa chlusnęła na kafele.

- Jezu, ale mnie przestraszyłeś!

- Sorry – mruknął zaspany Olgierd. – Myślałem, że mnie słyszysz.

Maria odstawiła kubek i przetarła podłogę ręcznikiem papierowym.

– Zrobisz mi kawę? – spytał.

– Sam sobie zrób – warknęła i poszła do salonu. Wciąż jeszcze trzęsły jej się ręce, musiała uważać, by nie rozlać napoju.

Kilka minut później Olgierd stanął obok Marii z kubkiem kawy w ręce. Zagapił się na otwartą teczkę z dokumentacją Moniki Chudzińskiej. Ziewnął szeroko.

– Co robimy? – spytał.

– Jedni śpią, drudzy próbują pracować – odgryzła się.

– Oj tam, marudzisz jak Kinga.

Maria była zła na siebie, że nie umiała powstrzymać się od śmiechu. Kiedy Olgierd zerknął w jej stronę, też prychnął i tym razem to z jego kubka spadło kilka kropel kawy. Poszedł do kuchni po rolkę ręcznika i starł dwie niewielkie ciemne plamy z parkietu. Maria wskazała mu palcem jeszcze jedną plamę, na kserokopii zdjęcia z gazety z Janem Solskim na pierwszym planie. Olgierd przyłożył do kartki listek, który miał wchłoniąć kroplę, i zamarł. Nie odrywał wzroku od fotografii.

– Co jest? – zainteresowała się Herman.

Borewicz sięgnął po dokument i przyjrzał mu się z bliska.

Maria czekała na wyjaśnienia.

– Czy w materiałach ze śledztwa znalazły się wszystkie zdjęcia tego fotoreportera? – Spojrzał na nią.

– Tak, były w teczce i ktoś z naszych wykonał gigantyczną robotę, spisał nazwiska wszystkich sfotografowanych.

– Nie chodzi o ludzi.

– A o co?

– Gdzie są te zdjęcia?

– Mam na laptopie. Już je przeglądałam i nic nie wniosły do...

Olgierd przyłożył palec do fotografii i wskazał na Solskiego. A raczej na to, co trzymał on w dłoni.

– Tu – powiedział. – Widzisz?

Herman przyjrzała się zdjęciu.

– Co? – zdziwiła się. – Teksturowy kubek?

Pokiwał głową.

– Wydaje mi się, że gdzieś już taki widziałem. Pozostali też takie mają, ale stoją daleko, więc nie widać detali – wodził palcem po zebranych.

– No i co z tego? Ktoś im zrobił kawę albo herbatę, żeby się ogrzali – Herman wzruszyła ramionami, ale Borewicz nie wydawał się przekonany.

– Pokaż mi to zdjęcie w oryginale, bo mam wrażenie, że ucięli je od dołu – poprosił.

Maria sięgnęła po laptopa, a Olgierd przyglądał się pozostałym fotografiom z innych gazet. Po jego zaciętej minie widziała, że na nic nie trafił.

– No i co? Masz? – niecierpliwiał się.

Herman odnalazła folder, który przegrała z jednej z płyt CD dołączonych do akt, po czym kliknęła w pierwsze zdjęcie. Borewicz usiadł obok niej i przejął komputer. Dotarł do fotografii, która go interesowała.

– Kurwa, wiedziałem. – Odwrócił ekran w stronę Marii. – Te kubki mają logo Kawiarki. Wiesz? – Wskazał na teksturowe naczynie, które trzymał Solski.

- No i co z tego?

Kiedy ich oczy się spotkały, policjant się uśmiechnął.

- To lokal Hanny Pilewskiej.

- Skąd wiesz, że to kubki z jej kawiarni?

- Po pierwsze, zapraszała mnie tam, a po drugie, jeden z takich kubków przykrywa u nich pokrojone plasterki cytryny.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent - odparł Olgierd. - A przecież poznali się rzekomo w dwa tysiące dziewiętnastym, a więc dwa lata po zaginięciu Chudzińskiej.

- Dziwne - stwierdziła Maria i natychmiast przypomniała sobie fotografie z facebookowego profilu Pilewskiej, a w szczególności to, na którym ówczesna licealistka została uwieczniona z bratem Arka Grocha. Powiedziała o tym Borewiczowi.

- Skąd wiesz, że te zdjęcia są z liceum? - zapytał, przeglądając kolejne pliki.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ale tak mi to trochę wygląda. Ona młoda, brat Grocha też, duża sala. Mam wrażenie, że fotki były robione w Dworze Artusa.

- Pytam, bo u Chudzińskich na ścianie wisi z kolei jej zdjęcie ze studniówki. - Olgierd lknął kawy i kontynuował: - Ale jest coś jeszcze. - Zerknął ponownie na Marię.

- Co takiego?

- W aktach operacyjnych trafiłem na stare zdjęcie klasy maturalnej Chudzińskiego. Latało luźno po teczce, nie umiałem go do niczego przypiąć. Do żadnej notatki. Tak jakby ktoś je tam wsadził przez przypadek.

- On na nim jest?

- Tylny rząd, mniej więcej pośrodku, ale bliżej prawej strony. A jego żona, Monika, pierwsza z lewej. Na dole. To znaczy siedzi na ławce.

- Gdzieś w tym wszystkim jest pewnie wspólny mianownik. - Trzeba to wszystko sprawdzić - uznała. - Z operacyjnym gadałeś?

Borewicz zaprzeczył ruchem głowy.

- Chłop zszedł na nowotwór. I z tego, co wiem, nikt oprócz niego tej teczki potem nie prowadził. A już na pewno nikt do niej nic nie dokładał po jego śmierci. Więc nie się dowiemy, kto i po co wrzucił tam zdjęcie klasowe - pochylił się nad ekranem. - Czekaj! To ona?

Dziewczyna w brązowym płaszczu podawała chętnym kubki z napojami i paczki herbatników, ale fotografia była niefortunnie zrobiona, bo ktoś uniośł rękę i przypadkowo przysłonił jej twarz.

- Postura się zgadza. Poza tym ona stoi przy dwóch dużych termosach, na których jest logo jej lokalu.

- Mogła podesłać pracownicę - zauważyła Herman.

Zapadło milczenie. Kiedy Olgierd odstawił laptopa i wstał, Maria odnalazła stronę internetową poświęconą poszukiwaniom Moniki Chudzińskiej. Zajrzała do najstarszego wpisu, który pochodził sprzed trzech lat. Przełączyła się na Facebook i odnalazła fanpage skupiający osoby zainteresowane zaginięciem młodej matki. Posty pojawiły się krótko po uruchomieniu strony internetowej i często były odsyłaczami do tamtejszych artykułów.

- To ciekawe - mruknęła.

- Co takiego? - Borewicz przetarł zmęczone oczy.

- Jeśli założymy, że Pilewska w jakikolwiek sposób brała udział w poszukiwaniach żony Chudzińskiego, to dlaczego na pomysł założenia strony internetowej i fanpage'a wpadła długo po-

tem? Jakoś to się nie spina.

- Pytanie, dlaczego on na to nie wpadł. W końcu zna się na tym lepiej od niej, nie? - zwrócił uwagę Borewicz i Herman spodobała się ta uwaga.

- Zupełnie nam to umknęło - odparła.

- A skoro Pilewska była wtedy na miejscu, to by znaczyło, że prawdopodobnie znali się z Chudzińskim już wcześniej.

- Albo po prostu mieszkała w Kaszczorku. - Herman zamknęła komputer.

Olgierd dopił kawę i odstawił pusty kubek.

- Okej. Zbierzmy to do kupy - zaproponował. - Do czego nas wszystko prowadzi?

- Co konkretnie? - wołała uściślić.

- No te wszystkie zdjęcia i ta grupowa fotografia z liceum.

- Nie wiem - przyznała Maria. - Masz namiary na Pilewską?

- Wiem, gdzie jest ta jej Kawiarka.

- To jedź tam i z nią pogadaj. Tylko tak na luzie - zaznaczyła.

- Nie obrażaj mnie. Na luzie to moje drugie imię. - Mrugnął do niej i sięgnął do kieszeni po klucze od toyoty.

- A ty? - zainteresował się.

- Zajmę się tymi zdjęciami.

- To znaczy?

- Zadzwoń do Filipa Grocha i być może wtedy połączymy kropki.

Ulica Bydgoska była zamknięta dla samochodów z powodu remontu torowiska biegnącego wzdłuż parku Miejskiego. Dlatego Borewicz zostawił toyotę na parkingu obok netto.

Na samą myśl o spacerze w takim upale zrobiło mu się słabo, ale nie miał innego wyjścia. Zamiast chodnika wzdłuż ciągu kamienic i budynków wybrał zacienioną ścieżkę biegnącą przez park Miejski, tam jednak z kolei opędał się od meszek. Od czasu do czasu mijał spacerujące pod rękę starsze pary, a także matki z wózkami. Z oddali docierało szczekanie psów ze schroniska i radosne pokrzykiwania dzieci, które goniły się w pobliżu fontanny.

Spoglądając między drzewami w kierunku kamienic, Borewicz próbował zlokalizować kawiarnię Pilewskiej. W końcu dostrzegł lokal z obszernym szyldem nad witryną. Wyszedł z parku i przekroczył jezdnię przy skrzyżowaniu z ulicą Sienkiewicza. Przez szybę zauważył, że młoda kobieta z krótkimi włosami krząta się ze szmatką przy dużym ekspresie do kawy. Czyściła coś, czego z tego miejsca nie miał prawa widzieć, bo maszyna sporo zaślaniała. Pilewska była skupiona na swojej robocie, co go ucieszyło.

Wnętrze kawiarni utrzymane było w brązowej tonacji z jasnymi, beżowymi wstawkami. Za wykończonym drewnem barem, znajdującym się na wprost wejścia, wisiała czarna tablica, na której wypisano kredą nazwy napojów oraz deserów. Przestrzeń wypełniały niewielkie stoliki z krzesłami, a przy samej witrynie – wąski blat z wysokimi hokerami.

W lokalu nie było żadnych gości.

Borewicz usunął się z pola widzenia Pilewskiej, wyjął telefon i przedzwonił do Chudzińskiego.

– Dno już naprawione? – spytał, gdy się przywitali.

– Teoretycznie tak. Jak tylko wyschnie, przyjadą założyć folię i będzie można nalewać wodę.

– To kiedy będzie mógł się pan wykąpać?

– Pewnie za kilka dni. Najgorsze jest to, że przy tym upale muszę ciągle podlewać cement, żeby dobrze związał – marudził Chudziński. – No, ale chyba nie dzwoni pan do mnie w tej sprawie?

– Nie. Chociaż byłbym wdzięczny, gdyby przysłał mi pan namiary na tych speców od basenu. Namawiam żonę na działkę za miastem i dom, więc przydałyby się jakieś konkrety, oferta i tak dalej.

– Dobra, mogę wysłać. Ale szczerze? Nie wiem, czy warto korzystać z ich usług.

– Dlaczego?

– Przecież sam pan widzi. To oni robili to dno.

– Ale oni je też naprawili, nie? A to chyba dobrze o nich świadczy?

– Powiedzmy, że postraszyłem ich prawnikiem. Poza tym, gdyby podczas budowy odpowiednio się przyłożyli, nie miałbym teraz tylu kłopotów.

– Pan uważa, że to ich wina, a nie tej rury?

– Cholera wie. Gadałem ze znajomym budowląncem. Jego zdaniem, gdyby dno było zbrojone, pewnie nic złego by się nie wydarzyło.

– I co ta firma na to?

– Ciągle to samo. To znaczy mówią, że ta technologia nie zakłada zbrojenia wylewki, bo beton się kładzie na grunt rodzimy, niewzruszony, czyli taki, który nie tąpnie – wyjaśnił Chudziński. – Ale dobra, dość o tym. Co pana do mnie sprowadza tym razem?

Borewicz przyglądał się Pilewskiej, ukryty za narożnikiem kamienicy znajdującej się naprzeciwko lokalu. Kobieta przetrzała błaty i wróciła za bar.

– W zasadzie drobiazg – stwierdził Zero Siedem. – Poprzedni policjant, który prowadził to śledztwo, wrzucił do akt sprawy pana zdjęcie z liceum.

– Pamiętam, już mi pan o tym mówił. Zresztą uznał pan, że znalazło się tam przez pomyłkę.

– Faktycznie, rozmawialiśmy o tym. Ale tak sobie pomyślałem, że może chciałby je pan dla siebie zatrzymać. Co prawda, to tylko kserokopia, ale jest na nim pan z Moniką.

– O, to miło z pana strony. Z biegiem lat pogubiłem wszystkie pamiątki z liceum. Może w takim razie wpadnie pan w przyszłym tygodniu? Co pan na to? Basen powinien już działać, to może nawet pan sobie weźmie kąpielówki i zobaczy, czy warto w coś takiego inwestować. Żonę też może pan zabrać, będzie nam miło poznać.

– Chętnie bym skorzystał – Olgierd udawał, że się cieszy. – Ale jestem ostatnio zaganiany i pomyślałem, że wyślę to zdjęcie pocztą.

– Tak by było najlepiej.

– No to jesteśmy umówieni – podsumował Olgierd. – A teraz ostatnia sprawa. W notatkach mam informację, że Hannę Pilewską poznał pan w dwa tysiące dziewiętnastym roku.

– Tak.

– Zamieszkaliście wtedy razem, prawda?

– Nie od razu. Hania wprowadziła się do mnie trzy miesiące później, przed zimą.

– Ale zanim się poznaliście, mieszkała w Kaszczorku, tak?

– Słucham?

Borewicz powtórzył pytanie.

– Nie, skąd. W Grębocinie – odpowiedział Chudziński.

– Wydaje nam się, że widzieliśmy ją na zdjęciu w gazecie, kiedy Solski organizował sąsiedzkie poszukiwania pana żony.

– Nie, to niemożliwe.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– A to nie ona serwowała wtedy mieszkańcom gorące napoje?

Chudziński się zaśmiał.

– Nie, nie ona. Hania odkupiła Kawiarkę jakoś tak przed pandemią. I mocno się wkopała.

– A widzi pan, o tym nie wiedziałem. No nic, w takim razie dziękuję za informację i już nie przeszkadzam. Zdjęcie wyślę pocztą – obiecał policjant i się rozłączył.

Odczekał chwilę, wpatrując się zza węgła w witrynę Kawiarki. Dziewczyna kręciła się za barem, po czym zniknęła za ekspresem. Kiedy wróciła, miała telefon przy uchu. Olgierd natychmiast wybrał numer Chudzińskiego i okazało się, że biznesmen ma zajęte. Gdy Pilewska skończyła rozmawiać, znów do niego zadzwonił.

– Tak?

– O, cholera, najmocniej przepraszam, panie Karolu, pomyliłem się. Dobrego dnia – pożegnał się Zero Siedem.

Maria Herman trzykrotnie próbowała dodzwonić się do Arka Grocha, ale za każdym razem odzwał połączenie.

Obawiała się, że kieruje nim żal o to, że ich niedawny pocałunek, chociaż zapowiadał wiele, nie doprowadził do niczego więcej.

Groch oddzwonił jednak po dwudziestu minutach.

– Cześć, mała – rzucił. – Wybacz, w sklepie byłem.

Chciała zapytać, czy z żoną, ale skoro nie odbierał, wydało jej się to oczywiste.

– A teraz masz chwilę?

– Jasne. Co potrzeba?

– Wciąż siedzę nad sprawą Chudzińskiej i mam kilka pytań do twojego najmłodszego brata. Do Filipa.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Nic. Chodzi o to, że jest z kimś na zdjęciu. I o tego kogoś chciałam go zapytać.

– Powiesz Grochowi, kto jest na tej fotografii?

– Hanna Pilewska, konkubina Chudzińskiego.

Wyczuła, że Groch się waha.

– Jak chcesz to zrobić?

– Po prostu daj mi jego numer.

Maria Herman wyszła na taras. Kafle zazgrzytały pod jej stopami, słońce wypalało resztki zielonej trawy. Przegoniła komara.

– Znalazłam zdjęcie Filipa na Facebooku.

– Jak to? Przecież młody nie ma tam konta.

– Chodzi o profil Hanny Pilewskiej.

– I co wynika z tej układanki?

– Czy Filip mógł z nią chodzić do jedyńki?

– Czy z nią, to nie wiem, ale chodził do tego liceum.

– A możesz go o to zapytać?

– Dobra. Dam znać.

Maria wypaliła dwa chesterfieldy. Gdy zabierała się do trzeciego, telefon w końcu zadzwonił.

– No i? – rzuciła do słuchawki.

– Pudło – usłyszała w odpowiedzi.

– To znaczy?

– Filip w ogóle nie pamięta tej dziewczyny. Były chyba ze trzy Hanie, ale żadna nie nazywała się Pilewska. Dlatego mówi, że jeśli jest z nią na zdjęciu, to pewnie przez przypadek. I chyba ma rację. Pamiętasz, jak to było na studniówkach. Każdy mógł przyjść z osobą towarzyszącą.

– A w którym roku Filip pisał maturę?

– Oj, czekaj, ten czas tak zasuwa, że Groch już nie pamięta. Chyba w dwa tysiące piątym albo szóstym.

– Dopytasz?

– Dopytam – sapnął Groch, jakby podniósł się z fotela.

- To jeszcze spytaj go, czy chodził do jednej klasy z Chudzińskim - poprosiła.

Po kilku minutach Groch oddzwonił z odpowiedzią. Herman wciąż stała na tarasie.

- No więc brachu był w klasie d, a Chudziński w c, u Kopra - poinformował Groch. - W każdym razie ten sam rocznik.

- Poczekaj. A kim jest Koper?

Policjant się zaśmiał:

- Profesor Bolesław Koper, gość od historii. Podobno świetny facet, brachol zawsze żałował, że to nie on był ich wychowawcą.

- Czy Filip wie, gdzie go złapać?

- To to nawet ja wiem - potwierdził Groch. - Podobno urzęduje na komunalnym. Zmarł kilka lat temu.

Promienie popołudniowego słońca rozświetlały czubki drzew i ślizgały się po maskach samochodów zaparkowanych prostopadle do Zbożowej. Ciepły asfalt uginał się pod stopami Marii Herman, która próbowała zaglądać na balkony znajdujące się na parterze pobliskiego bloku, ale błędzący w szybach pojazdów refleks światła skutecznie ją oślepił.

Weszła na chodnik i dopiero wtedy między fioletowymi kulami surfini dostrzegła tęgawą kobietę z rozpuszczonymi kasztanowymi włosami, obrywającą obsuszone liście i kwiaty. Herman rozpoznała ją dzięki opisowi Grocha. Okazało się, że Filip bywał w domu u swojego historyka i znał jego żonę. Policjant wyciągnął adres Kopra od brata i tym sposobem Herman znalazła się na tym toruńskim osiedlu. Okazało się, że Filip miał lekcje z profesorem Koprem i dobrze znał jego zwyczaje. Zresztą na zakończenie roku nauczyciel zapraszał uczniów do siebie, przygotowywał dwie blachy szarlotki i lemoniadę według własnego przepisu.

Maria wybrała odpowiedni kod na klawiaturze domofonu i odczekała kilka sygnałów. Potem coś zgrzytnęło i mogła wejść na ogrodzony teren wokół bloku. Drzwi klatki schodowej były otwarte. Stały w niej dwie kilkuletnie dziewczynki z upiętymi włosami, które przywitały się z Herman, a kiedy je minęła, zaczęły szeptać między sobą. Policjantka pokonała kilka schodów i skierowała się do mieszkania z numerem osiem. Zapukała. Nie czekała długo, po chwili ujrzała w drzwiach tę samą kobietę, którą wcześniej wypatrzyła na balkonie. Maria przedstawiła się i okazała legitymację, ale nie zdążyła nawet wyjawić powodu wizyty.

- Proszę, zapraszam. - Matylda Koper szerzej otworzyła drzwi.

Herman poczuła delikatny przeciąg, który przyniósł intensywny, lepki zapach kwiatów balkonowych.

- Proszę dalej. - Kobieta zaprowadziła Marię do salonu z aneksem kuchennym.

Wszystko w nim lśniło, łącznie z drewnianą podłogą, aż Herman miała ochotę ściągnąć buty.

- Wody? - zaproponowała gospodyni.

- Nie, dziękuję.

Matylda Koper wskazała policjantce krzesło przy okrągłym stole jadalnianym, znajdującym się między aneksem a sofą, odwróconą przodem do telewizora. W wazonie na blacie stały cięte róże.

- Mąż bardzo lubił kwiaty. - Koper się uśmiechnęła. - Pani pewnie w jego sprawie, tak?

- Skąd pani wie?

- To drugi raz w życiu, kiedy odwiedza nas w domu policja. Za pierwszym razem przyszedł mężczyzna.

- Rozmawiał z pani mężem?

- Tak. - Kobieta usiadła obok Herman.

- Pamięta pani jego nazwisko?
- Gątarek? Gąsiorek? Jakoś tak.
- Gąsiorek - potwierdziła Maria; pamiętała to nazwisko z akt. - W jakiej sprawie przyszedł?
- Pewnie tej samej, co pani. - Kobieta założyła nogę na nogę i chwyciła dłońmi za kolano. - Oczywiście mogę tylko zgadywać.

Policjantka rzuciła okiem na parking pełen samochodów i stare piętrowe domy szeregowe po drugiej stronie jezdni.

- Pięć lat temu zaginęła Monika Chudzińska - powiedziała Herman.

- Pamiętam. Straszna historia. Najpierw śmierć jej dziecka, a potem... - kobieta zawiesiła głos. - Czy ona odebrała sobie życie?

- Chciałabym to wiedzieć - Herman wzruszyła ramionami. - Czy to w sprawie Chudzińskiej przyszedł do państwa jeden z moich kolegów?

- Trudno powiedzieć.

- To znaczy? - zainteresowała się Herman.

- Nie było mnie w domu podczas tamtej rozmowy. Znam ją wyłącznie z relacji Bolka.

- A co mąż pani powiedział?

- W zasadzie niewiele. Ten policjant chciał zajrzeć do kroniki klasowej. Chodziło mu o klasę, do której chodził Karol Chudziński i Monika Sikorska, bo tak się wtedy nazywała.

- Kroniki?

- Bolek zakładał albumy wszystkim klasom, w których był wychowawcą. Stale coś do nich dopisywał: osiągnięcia uczniów, studia, które potem pokończyli, późniejsze miejsca pracy i sukcesy. Na początku zbierał te informacje głównie z gazet, potem z internetu. Zapraszano go też na spotkania z okazji rocznic matur. Żadnego nie opuścił. On bardzo kochał tych młodych ludzi. Może dlatego, że sami nigdy nie mieliśmy dzieci. - Matylda Koper westchnęła. - W każdym razie był z tymi swoimi uczniami bardzo zżyty.

- Dlaczego ten policjant chciał zajrzeć do kroniki?

- Nie mam pojęcia. - Gospodyni nie odwracała twarzy od okna.

- Mąż pani nie powiedział?

- Nie.

Maria miała nadzieję, że odpowiedzi na jej pytania znajdują się w kronice klasowej.

- Czy w takim razie mogłabym zajrzeć do tej pamiątkowej księgi? - zapytała.

- Niestety - Koper uśmiechnęła się przeproszająco. - Chętnie bym ją pani pokazała, ale jej nie mam.

- Jak to? - zmartwiła się Maria.

- Dawno temu wypożyczyła ją od Bolka jego uczennica. To było jakoś krótko przed spotkaniem rocznicowym. Chciała zrobić niespodziankę kolegom, ale nie zdradziła jaką. Mąż pożyczyl jej tę kronikę i nigdy nie odzyskał jej z powrotem. Nigdy więcej nie zobaczył się z tą dziewczyną.

- Pamięta pani, jak się nazywała?

- Nie. Mąż mi tego nie zdradził. Oczywiście później strasznie przeżywał stratę, nawet któregoś razu się rozpłakał, ale jej wybaczył. Dlatego kiedy pojawił się ten policjant, ostrzegłam go, że nie wolno mu niczego zabrać. I wtedy Bolek zrobił mu skan tego zdjęcia klasowego, które trzymał w specjalnym albumie z fotografiami wszystkich klas maturalnych od początku jego kariery.

Herman miała ochotę na papierosa.

- Jak wyglądała ta uczennica?

- Nie wiem, nie było mnie w domu. Wyszłam na zakupy i zagadałam się w sklepie z sąsiadką. Ale pamiętam, że kiedy wracałam, mąż stał na balkonie i machał do kogoś na pożegnanie. A chwilę później z parkingu wyjechało małe autko. Biały peugeot 206.

Maria drgnęła. Kobięcy samochód, pomyślała.

- Jest pani pewna, że chodziło o ten właśnie model? - w jej głosie brzmiało powątpiewanie. Herman nie widziała powodu, żeby starsza kobieta zapamiętała takie szczegóły, jak marka i model pojazdu.

- Oczywiście - odparła z pełnym przekonaniem Matylida Koper. - Mieliliśmy identyczny. Tylko czerwony.

Borewicz odczekał, aż Pilewska skończy rozmawiać, po czym pchnął drzwi do kawiarni.

– Dzień dobry – rzucił od progu.

Właścicielka Kawiarki ścierała z tablicy ceny kaw. Z głośników leciały rytmiczne dźwięki *Whiskey in the Jar* w wykonaniu Metalliki.

– Jezu, ale mnie pan wystraszył! – przyłożyła dłoń do odsłoniętego opalonego dekoltu.

Borewicz otaksował wzrokiem smukłe uda i napięte mięśnie łydek. Oczywiście wyobraźni zobaczył dziewczynę nagą, tylko w czarnych pończochach i czarnych szpilkach. Czekwała na niego na okrągłym obrotowym łożu...

– Czyli jednak wpadł pan do mnie na kawę? – uśmiechnęła się do niego zalotnie i obraz nagle odpłynął. – Biała czy czarna?

– Najlepszą, jaką pani ma – poprosił, zwracając uwagę na trzy wieże z kubków tekturowych o różnej pojemności, stojące obok ekspresu. Każdy kubek ze znakiem firmowym Kawiarki.

Olgierd cofnął się do witryny i zajął jeden z hokerów. Przez logo lokalu naklejone na szybie obserwował grupę robotników kręcących się po torowisku. Za nimi stare parkowe drzewa rzucały cień.

Zza pleców Olgierda dochodził syk ekspresu i szum klimatyzacji.

– Co pan tu robi? – usłyszał głos Pilewskiej.

– Miałem sprawę do załatwienia w pobliżu, więc wpadłem. A tak w ogóle, to przed chwilą rozmawiałem z pani partnerem.

– Tak? Coś nowego w sprawie?

– Nie. Tkwimy w martwym punkcie.

– To po co pan dzwonił do Karola?

– Chciałem zapytać o zdjęcie klasowe sprzed matury. Płacze mi się w papierach, pomyślałem, że mu oddam.

– Super! Chyba się ucieszył, co?

– Obiecałem, że mu wyślę, ale w sumie... Zdjęcie mam w samochodzie. Mogę przynieść.

– A gdzie pan zaparkował?

– Przy netto. Bo tu, przez ten remont, chyba nie można wjeżdżać – wskazał brodą na fragment Bydgoskiej z asfaltem pełnym dziur i rozkopanym torowiskiem.

– Można, nie można. Panu nic nie zrobią, bo pan z policji – zaśmiała się. – Ale sam pan wie, jak to jest z tym parkowaniem. Niby tylko dla mieszkańców, ale i tak wszyscy się tu pchają, bo nikt tego nie pilnuje.

Olgierd odwrócił się do niej w chwili, gdy podeszła do niego z tacą i szklanką z dwukolorowym napojem, zwieńczonym kleksem z bitej śmietany i polanym obficie karmelem.

Smukła srebrna łyżeczka leżała obok na serwetce.

– A pani nie pije? – zdziwił się.

– Wypiłam już cztery. – Usiadła obok niego i zapatrzyła się na robotników. – Przez ten cholerny remont straciłam sporo klientów. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy dotrwam do września.

– Wtedy ten bałagan ma się skończyć?

– Podobno. – Oparła łokcie na blacie i podparła dłońmi brodę. Chociaż na nią nie patrzył, czuł, że przyglądała mu się przez chwilę. – Smakuje panu?

Olgiert zjadł łyżką śmietaną, a potem wziął kilka dużych łyków ciepłego napoju i pokiwał z uznaniem głową.

– Świetna.

– Cieszę się – Hanna Pilewska nie przestawała się uśmiechać.

Oblizwał wargi, zastanawiając się, czy mógłby jej wprost zaproponować udział w swoich zabawach. Był pewien, że umie rozpoznawać zakochanych w pikantnych rozrywkach, a ona miała coś takiego w oczach...

– To co z tym zdjęciem? – przerwała jego rozmyślania. – Przejdziemy się?

– W sumie dlaczego nie? – Borewicz dopił kawę i poczekał na nią kilka minut na zewnątrz. Hanna w tym czasie wyłączyła muzykę, wywiesiła na drzwiach tabliczkę z informacją, że zaraz wróci, i przekręciła zamki.

Kiedy ruszyli w stronę ulicy Reja, Olgiert poczuł ucisk w dole brzucha. Ten sam, który dopadał go od jakiegoś czasu i nie zwiastował nic dobrego. W dodatku zaczęła go boleć głowa.

– Jak rozmawiałem z pani partnerem, to uzmysłowiłem sobie, że mam braki w papierach.

– Jakie braki?

– Powinienem sobie zapisać, kiedy się poznaliście.

– Ja z Chudym? To znaczy z Karolkiem?

– Tak.

– Trzy lata temu.

– No właśnie, tak sądziłem, że to wtedy było. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – A gdzie pani wcześniej mieszkała?

– Chodzi panu o adres? – Hanna ściągnęła brwi.

– Tak by było najlepiej. Lubię mieć porządek w papierach. – Znowu złapał go skurcz. Olgiert przymknął oczy. – No więc?

– W Grębocinie, w pobliżu sklepów – wyjaśniła i spojrzała na niego z troską. – Dobrze się pan czuje?

– Nic mi nie jest. – Zastanawiał się, czy nie powinni wrócić do lokalu. Na pewno była tam toaleta. – Od kiedy do kiedy?

– Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, bo wtedy rodzice kupili tam dom.

Borewicz przetarł oczy. Zmęczenie i upał dawały mu w kość, ale ból brzucha stawał się nieznośny.

– Chodźmy, bo pan jakiś taki blady – powiedziała z przejęciem kobieta.

Poszła przodem, a on, wpatrzony w jej biodra w obcisłej mini i opalone uda, ruszył jej śladem.

– Boże, jaki wstyd! – rzuciła, gdy policjant się z nią zrównał. – Jeszcze tego brakowało, żeby pan zachorował po mojej kawie. Ale naprawdę zawsze mam świeże produkty, nikt nigdy na nic się nie skarżył.

– Kawa była pyszna. Nie wiem, czy nie zamówię kolejnej, jak wrócimy. – Uniósł palec wskazujący i bardzo się zdziwił, bo z jego dłoni wyrastały dwa palce. Zamrugał i podwójny obraz znikł.

– A wcześniej znała się pani z Chudzińskim? – powrócił do poprzedniego wątku.

– To znaczy? Kiedy wcześniej?

– Normalnie. Wcześniej. Zanim zostaliście parą. Na przykład wtedy, kiedy zaginęła Monika Chudzińska. – Olgiert podnosił wysoko nogi, bo chodnik zaczął falować jak rozkołysane morze, a on nie chciał się przekonać, jak smakuje zderzenie z falą kostki brukowej.

– Nie.

– Nie? – spojrzał na nią. A raczej na nie, bo obok niego szły trzy Hanny Pilewskie i każda wydawała mu się jednakowo pociągająca. Zamrugał i otarł pot z czoła. – To dlaczego pomagała pani w jej poszukiwaniach?

– Pomagałam Karolowi, bo on nie umiał się tym zająć – stwierdziła. – A może raczej nie chciał. Uważał, że odnalezienie Moniki po latach przyniesie tylko ból. Był przekonany, że nie byłoby już ze sobą, że ich czas minął.

– A pani?

– Co ja? – zerknęła na niego i przytrzymała go, gdy się zachwiał. – A ja, tak trochę po babsku, źle się z tym czułam. Uważałam, że Monice nikt nie pomoże, że ona była w tym wszystkim największą ofiarą. Wszyscy mieli ją gdzieś, nikt o niej nie myślał. Każdy ronił łzy na samo wspomnienie ich córki, zamartwiał się, że mała tak tragicznie zmarła, że tak cierpiała, chociaż w sumie, jak o tym czytałam, to miałam wrażenie, że to była w miarę łagodna śmierć. Czasem dzieci bardziej cierpią.

Skreśli w Reja. Słońce dopadło ich za rogiem i Olgierd marzył tylko o tym, żeby wsunąć łusą głowę pod kran i poczuć chłód zimnej strugi.

– To tam? – spytała Pilewska, której postać wciąż się rozdawała. Głos zmienił jej się na basowy i docierał do niego jakby spowolniony, tak jak wtedy, gdy w liceum słuchał rockowej muzyki na walkmanie, a baterie ciągnęły resztkami sił i wokalista memlał żałośnie.

Skinął głową w odpowiedzi. Spojrzał na tłum ludzi wychodzących z netto i zdziwił się, że są tak samo ubrani. Niczym się od siebie nie różnili. Przymknął oczy i się potknął, ale Pilewska uchroniła go przed upadkiem.

– Jeszcze tylko kawałek. Da pan radę? Widzę już pana samochód – powiedziała; wyczuł w jej głosie panikę.

Doszli do toyoty. Borewicz stanął na szeroko rozstawionych nogach i oparł ręce o rozgrzany dach. Oderwał je natychmiast, gdy poczuł, że parzy. Kobieta wyciągnęła z kieszeni jego spodni kluczyki od samochodu.

– Nic mi nie jest – odparł, mrugając i próbując przywrócić ostrość widzenia. Nie podziałało.

– Niech pan siada. Zawiozę pana na pogotowie – rzuciła.

Nie był w stanie zaprotestować, bo właśnie poczuł się jak na karuzeli łańcuchowej i panicznie się bał, że siła odśrodkowa wyrzuci go daleko stąd. Chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale nie padło z nich żadne słowo.

Zobaczył fragment nieba z oślepiającym słońcem, kostkę brukową pod podeszwami swoich czerwonych butów sportowych, a potem Pilewska pomogła mu się dostać na tylną kanapę. Krzyknęła przy tym, gdy zahaczył ręką o jej głowę.

I nagle wszystko znieruchomiało.

Dziewczyna Chudzińskiego paplała coś do niego, a może wzywała karetkę – nie był w stanie wyłowić z niezrozumiałego bełkotu żadnych, nawet pojedynczych słów.

Treść żołądkowa podchodziła mu do gardła i Borewicz bał się, że zaraz zwymiotuje. Niewidzialna pętla boleśnie zacisnęła się na jelitach, do tego ktoś bawił się jego żołądkiem, z całych sił go ścisnął, by po chwili zwolnić uścisk. Trzęsły mu się dłonie, serce zbyt szybko tłoczyło krew, po czym zwalniało nagle i znowu przyspieszało. Borewicz nie wiedział, co się z nim dzieje. Ktoś mocował się przez chwilę z jego nogami, aż w końcu drzwi trzasnęły głucho.

Oddychał ciężko, zdał sobie sprawę, że leży na brzuchu z nosem wbitym w siedzisko. Z trudem przesunął głowę, by w końcu nabrać tchu. Jednak powietrze zgęstniało. Czuł się tak jak wtedy, gdy matka zalecała mu lecznicze napary. Pochylał twarz nad głębokim talerzem z parującą miksturą rumiankową z dodatkiem soli, a mama nakładała mu na głowę gruby ręcznik. Para uderzała w nozdrza i kiedy wciągał ją nosem, wydawało mu się, że z każdym wdechem cienkie języki ognia przedostają mu się do płuc.

Ale wtedy mógł się poruszać, więc czasami oszukiwał matkę i odchyłał ręcznik, żeby poczuć ulgę. A teraz ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Nie mógł liczyć na żaden mięsień. W dodatku czuł ucisk w klatce piersiowej, jakby usiadł na nim słoń. Oddychał płytko i miał mroczki przed oczami. Nie mógł też otworzyć ust, żeby krzyknąć, poza tym gardło wyszło mu na wiór. Pot wydostawał się każdym porą skórą i gorące powietrze, które wypełniało płuca, kłuło go od wewnątrz igłami rozgrzany do czerwoności. Serce biło coraz gwałtowniej, niemal szarpało jego bezwładnym ciałem.

Łup, łup. Łup, łup.

W przebłysku świadomości zrozumiał, co go czeka.

Tkwiał w rozgrzanym samochodzie zaparkowanym na słońcu.

Zgon z przegrzania poprzez wykluczenie innych przyczyn.

Dobrze wiedział, że właśnie tak będzie brzmiało ostatnie zdanie, które medyk sądowy wpisze do protokołu sekcji zwłok przeprowadzonej po jego śmierci.

Mokre ciuchy oblepiały jego ciało. Skurcz mięśni, najpierw delikatny, przeszedł w gwałtowne szarpanie nogą. Olgierd zaciskał zęby z bólu. Pod powiekami jasność przegrywała z mrokiem. Nic już nie widział. Jednak ta ciemność, był o tym przekonany, niosła wybawienie. Tym bardziej że gdzieś na końcu tunelu, w którym się znalazł, słyszał gaworzenie dziecka.

Dziewczynki.

Po omacku podążał w jej stronę. Ta ciemność była jak cień. Chłodna i przyjemna. Wołała go radosnym śpiewem dwulatki, oferując to, czego najbardziej teraz potrzebował.

Ulgę.

Wracając z wizyty u Matyldy Koper, Herman z uporem maniaka wydzwaniała do Olgierda.

– Zero Siedem, odbierz, do cholery! – zżymała się.

Kiedy już widziała swój dom, jej telefon zadzwonił. Miała nadzieję, że to Olgierd, ale poznała numer bieglego sądownego. Zatrzymała się. Rowerzysta, który śmigał ścieżką rowerową, omal jej nie potrącił.

– Pojechało? Wypierdalaj na chodnik, głupia babo! – krzyknął, gdy z trudem uratował się od upadku. I nie czekając na jej odpowiedź, pognął dalej.

Serce niemal wyskoczyło Marii z klatki piersiowej. Ledwie zdołała odebrać połączenie.

– Dzień dobry, pani komisarz, mówi Gabriel Zaworski. Była pani u mnie dziś rano.

– Wiem, pamiętam. Miał pan oddzwonić wcześniej. – Wyłądowała na nim złość.

– Oddzwoniłbym, ale zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności.

– Nieprzewidziane? To znaczy?

– Musiałem wezwać jednego z kolegów...

– A co się stało? – przerwała mu.

– Pani komisarz, nie załatwimy tego przez telefon – zirytował się biegle. – Zapraszam do mnie. Im szybciej, tym lepiej, bo mój kolega bardzo się spieszy.

Maria Herman musiała wrócić do domu po pieniądze.

Przekroczywszy próg, uznała, że weźmie szybki prysznic, bo bluzka lepiała jej się do pleców.

Taksówkarz już na nią czekał, co potwierdził esemes od korporacji. Mężczyzna siedział w srebrnym mercedesie, diesel terkotał, a wewnątrz było przyjemnie wychłodzone, chociaż zbyt intensywnie pachniało wanilią. Maria zastanawiała się nawet, czy w ten sposób mężczyzna nie próbuje ukryć jakichś nieusuwalnych zapachów. Kiedyś na komendzie jej koledzy żartowali sobie z taksówkarzy, którzy sprowadzali z Niemiec tanie auta, a potem się okazało, że w samochodzie ktoś zmarł, ciało zaczęło się rozkładać i zostawiło w tapicerce nieusuwalny odór śmierci. Nawet jeśli ktoś wymienił fotel, na którym siedział denat, i dywanik zalany gnilnymi ocieklinami.

– Dokąd jedziemy? – spytał grubawy facet w koszulce ze znakiem Polski Walczącej.

Maria podała mu adres Zaworskiego. Potem kolejny raz próbowała połączyć się z Olgierdem, znowu bezskutecznie.

– Na Szosie Okrężnej potrącono pieszego i droga jest zablokowana. Pojadę przez Świętego Józefa, potem w Gagarina i wyjedziemy na Reja, dobrze?

– Byle szybko – poprosiła, a on się zaśmiał i oznajmił, że nie stać go na mandat.

Dawniej Maria miałaby w nosie drogówkę, ale czasy się zmieniły; teraz koledzy z tego wydziału czerpali niezwykłą radość z karania mandatami policjantów.

Nie skupiała się na drodze, chociaż przez boczną szybę przyglądała się miastu, które zyskiwało szerokie jezdnie, ale traciło stare drzewa, rosnące kiedyś wzdłuż nich, rzucające cień i dające schronienie przechodniom.

– Mieszka pani w Rozgartach? – zainteresował się kierowca.

– Nie.

– Pytam, bo to fajna okolica. Moi teściowie mają tam dom i są zadowoleni.

Herman nie miała ochoty na rozmowę o niczym, więc ostentacyjnie przyłożyła słuchawkę do ucha. Olgierd nie odbierał. Wysłała mu kolejnego esemesa. Ale nagle wpadła na inny pomysł. Przedzwoniła do Chudzińskiego.

– Halo? – odezwał się biznesmen.

– Komisarz Maria Herman z tej strony – przedstawiła się na tyle głośno, by kierowca, który ją wiozł, wiedział, z kim ma do czynienia. – Panie Karolu, potrzebuję dwóch informacji. Numeru do pana konkubiny oraz adresu jej lokalu.

– A co się stało? – spytał.

Herman usłyszała charakterystyczny szum, właściwy dla rozmowy przez zestaw głośnomówiący. Musiał siedzieć w samochodzie.

– Nic się nie stało. Mogę już notować – oznajmiła.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem kazał jej zaczekać.

– Kurczę, nie pamiętam numeru Hani – zaśmiał się. – Ale zaraz sprawdzę, niech się pani nie rozłącza.

W końcu przedyktował ciąg cyfr.

– Gdzie mieści się jej kawiarnia? – dopytała policjantka.

– Róg Bydgoskiej i Sienkiewicza.

Herman rozłączyła się bez pożegnania. Wybrała numer Pilewskiej i odczekała kilka sygnałów. Wjeżdżali właśnie w ulicę Broniewskiego. Po lewej stronie mijali kamienice, po prawej – Osiedle Sztuk Pięknych z oszklonymi balkonami, w których musiały panować temperatury jak w szklarni.

Kobieta nie odbierała.

– Pan skręci na światłach w lewo, dobrze? – poprosiła. – Zajrzymy najpierw na Bydgoską.

– Cholera, tam jest strasznie rozkopane, torowisko robią – stwierdził.

– Niech pan skręci – zamknęła dyskusję.

A potem, gdy dojechali do światła i kierunkowskaz tykał miarowo, Maria zadzwoniła do głętego.

– Jadę już do pana, ale muszę na chwilę wpaść w jedno miejsce.

– Jak długo to pani zajmie?

– Mam nadzieję, że krótko. Ale to cholernie ważne.

– Rafał, możesz jeszcze chwilę poczekać? – Zaworski nasłuchiwał odpowiedzi kolegi i po chwili zwrócił się do Herman: – Niestety, zmartwię panią. Profesor ma wkrótce pociąg do Poznania. Może przełożymy to na inny dzień?

Herman spojrzała w lewo na parking przed netto i na ulicę zamykającą Bydgoskie Przedmieście od zachodu. Prowadziła wprost na zabudowania Caritasu i do parku Miejskiego.

– Dobra, to jadę najpierw do was – stwierdziła i się rozłączyła. – Pan jednak jedzie prosto.

– Rozkaz to rozkaz – odparł z uśmiechem kierowca, i gdy włączyło się zielone światło, wrzucił jedynkę.

Wtedy Herman zauważyła na parkingu przed sklepem służbową toyotę Borewicza. Ale było już za późno, by się zatrzymać.

– Stop! Niech pan zawróci, dobrze? – poprosiła.

– Czy pani się dobrze czuje?

Spojrzenia Marii i taksówkarza spotkały się we wstecznym lusterku.

– Proszę zawrócić – powiedziała twardo.

- Gdzie? Przecież tu nie mogę - zaprotestował kierowca, trzymając nerwy na wodzy. - Zawróć na rondzie przy Plazie - zdecydował i Herman nie miała wyjścia. Musiała czekać.

Kiedy minęli stare bloki po prawej i zza nich wyłoniła się galeria Plaza z pawilonem dobudowywanym od frontu, Herman odebrała telefon. Oddzwaniała Pilewska.

- Mówi komisarz Herman. - Maria darowała sobie uprzejmości. - Był u pani mój kolega Olgierd Borewicz?

- Był, ale źle się poczuł i szybko wyszedł.

- Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- A co to znaczy, że źle się poczuł?

- Błady jakiś był. Mówił, że ma coś z żołądkiem.

- Kiedy to było?

- Kurczę, dobry kwadrans temu. A dlaczego...?

Maria zakończyła połączenie.

- No niechże pan przyspieszy, policji tu nie ma, widział pan przecież - skarciła kierowcę, który spełnił jej prośbę. Silnik wkręcił się na wyższe obroty, samochód rwał do przodu. Kiedy dojechali do właściwego skrzyżowania, policjantka zakomenderowała:

- Na parking!

Mężczyzna odbił w prawo, przyspieszył i przyhamował.

- Tam! - Maria przesunęła się między fotele i wyciągnęła rękę, wskazując na toyotę stojącą w pełnym słońcu. Taksówkarz nie zdążył się zatrzymać, gdy Maria szarpnęła klamkę i wysiadła.

Ktoś wychodził ze sklepu, kawałek dalej wielki biały pies biegał i ciągnął po ziemi czerwoną smycz. Dwóch pijacków siedziało w cieniu wysokich drzew przy nieczynnym przystanku tramwajowym i popijało piwo z puszek.

Maria ostrożnie zbliżyła się do samochodu i zajrzała do wewnątrz.

Nikogo w nim nie było.

Położyła rękę na klamce i zdziwiła się, że drzwi ustąpiły. Buchnęło na nią gorące powietrze, a wraz z nim do jej nozdrzy doleciał oblepiający, wyrazisty smród potu wymieszany z ostrym zapachem moczu. Krzywiąc się, zajrzała do wnętrza. Sięgnęła do schowka i wymacała broń. Odetchnęła. Dopiero potem spojrzała na tylną kanapę. Wilgotna plama nie pozostawiała złudzeń.

Nagle Maria usłyszała sygnał policyjnej syreny. Niebieskie światła zamigały na pobliskim skrzyżowaniu. Radiowóz skręcił w Reja i Herman odprowadziła go wzrokiem. Miała mało czasu.

Srebrna kia z niebieskimi oznaczeniami wjechała z impetem na parking i zatrzymała się tuż obok toyoty.

Herman znieruchomiała.

Kwadrans wcześniej młody mechanik wytarł ręce brudne od smaru w śmierzdzącą szmatę pełną starych plam i przyglądał się, jak Grzegorz Lipski sięga do kieszeni po zwitek pięćdziesiątek.

Wysportowany mężczyzna zlustrował chłopaka przymrużonymi oczyma, po czym wyciągnął trzy banknoty i się zawahał.

– Byliśmy umówieni na półtorej stówki, nie? – rzucił Lipski, a młody skinął głową.

Lipski cmoknął i przejechał językiem po zębach. Dołożył czwarty banknot i podał Skrzyckiemu. Nastolatek podziękował i z radością schował pieniądze do tylnej kieszeni szortów.

– Jakby coś było trzeba, to wie pan, gdzie mnie szukać – rzucił i zostawił Lipskiego przy mercedesie.

– Mógłbyś jeszcze tłoczki przeczyścić i zobaczyć, co z ręcznym, bo chyba słabo odbija – odparł Lipski.

– Kiedy?

– A kiedy chcesz?

– Jutro od rana?

– Dobra. Kluczyki zostawię u matki. Tylko zaplanuj to sobie, bo może wieczorem będę go potrzebował – wskazał na mercedesa.

– A ile mi pan zapłaci?

– Co za materialista. Tylko kasa i kasa – zażartował Lipski.

– No, za pół darmo robił nie będę – Skrzycki uśmiechnął się zawadiacko i dmuchnął w grzywkę, która zasłaniała mu oczy.

– Jak będzie dobrze zrobione i jeszcze go odkurzysz i umyjesz, to dam tyle samo.

– Dobra. Będzie pan zadowolony. – Michał się zaśmiał i machnął Lipskiemu na pożegnanie.

Powinien wrócić do domu, jednak uznał, że nie odda matce wszystkich pieniędzy, które zarobił u sąsiada. Bo ona na pewno nie doładowała mu konta na Steamie. Tymczasem Michał od dawna marzył, żeby ściągnąć Red Dead Redemption 2, tym bardziej że teraz gra była przeceniona. Nakręcił się na ten tytuł o Dzikim Zachodzie po tym, jak obejrzał gameplaya jednego ze swoich ulubionych youtuberów. Dlatego uznał, że najlepiej będzie, jeśli da matce stówę, a za drugą kupi sobie po cichu kartę przedpłaconą i trochę słodyczy. Brakowało mu niecałe pięćdziesiąt złotych, ale resztę, niemal drugie tyle, miał jeszcze na koncie platformy.

Musiał tylko uważać, żeby nie trafić na rodzicielkę, jak będzie wracała z pracy, dlatego jeszcze w bramie się rozejrzył, czy od strony centrum nie jedzie tramwaj. A ponieważ torowisko było puste, rażnym krokiem ruszył do netto, gdzie w pobliżu kas wisiały jego upragnione ciemnoniebieskie karty z trzema nominałami.

Przeszedł przez Reja, nie czekając na zielone światło, i wtedy w drzwiach sklepu zauważył matkę. Cofnął się szybko do nieczynnego kiosku i schował za niewielkim pawilonem. Obszedł go z drugiej strony i czekał, aż mama, zmęczona i przygarbiona, zniknie mu z oczu. Odliczył do dwudziestu i rozejrzył się ponownie.

Wtedy jego uwagę przyciągnęła toyota. Ta sama, którą niedawno jechał z policjantem. Pomyślał, że facet wszedł pewnie do sklepu po energizery, które tak lubił. Nie miał nic przeciwko policjantowi, ale chyba nie chciał go spotkać. Dlatego gdy tylko znalazł się w sklepie, od razu zwinął do kas. Ze stojaka obok słodyczy ściągnął kartę z odpowiednim nominałem, ozna-

czoną nazwą i logotypem serwisu, i ustawił się w kilkuosobowej kolejce. Na gumowej taśmie położył jeszcze gumi i dwa twixy.

Z nudów zawiesił wzrok na toyocie. Teraz stał przy niej policjant, który kiwał się jak pijany, razem z nieznaną kobietą.

– Co dla ciebie? – zapytała kasjerka w żółtej koszulce polo.

– Nic – odparł, ale szybko się zreflektował, że zapomniał podać jej kartę, którą wciąż trzymał w dłoni.

– A ty, Michał, ręk umyć nie umiesz? – skarciła go. – Chyba matce powiem.

Zbył tę uwagę milczeniem. Położył dwa banknoty na czarnej taśmie podawczej, odebrał kartę i ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się przed rozsuwanymi drzwiami i zerknął na parking. Policjanta już nie było przy samochodzie, za to ciągle stała tam ta laska. Michał uznał, że kobieta dziwnie się zachowuje.

Rozejrzała się uważnie, a następnie poszła w stronę parku. Po kilku krokach jednak odwróciła się gwałtownie i omiotła wzrokiem plac. Wróciła do samochodu policjanta i stała przy nim z telefonem przy uchu, ale w ogóle nie poruszała ustami. Wreszcie wycofała się do cienia, rzucanego przez drzewa rosnące przy torowisku, i tkwiła tam, spoglądając co jakiś czas na zegarek.

Skrzycki już chciał wyjść, ale coś trzymało go w supermarkecie i nie chodziło tylko o chłód z klimatyzacji. Nie bardzo wiedział, co się dzieje na tym parkingu i czy powinien coś z tym zrobić. Poza tym jedyne, na co miał teraz ochotę, to obiad i porządne wifi. Mimo to wciąż obserwował nieznaną schowaną w cieniu drzew.

– A ty tu czego tak wystajesz? – usłyszał głos kasjerki.

– A co? Stać już nie można? – przewrócił oczami.

Kobieta pokręciła głową, podobnie jak robiły to jego nauczycielki, ilekroć zaszedł im za skórę.

– Przynajmniej będzie pani miała o czym gadać z moją matką.

– Ty lepiej sobie uważaj, gówniarzu.

Skrzycki odwrócił się do witryny, ale babki z krótkimi włosami już nigdzie nie dostrzegł. Mimo obaw opuścił netto i podreptał wolno w kierunku toyoty. Kiedy był już blisko samochodu, wsunął dłonie w kieszenie i się rozejrzał. Dopiero potem spojrzał do wnętrza wozu.

– O, ja pierdole – wyszeptał na widok nieprzytomnego, niemal mokrego i purpurowego policjanta. Zamarł, ale tylko na chwilę. Zaraz szarpnął drzwi, które, o dziwo, ustąpiły.

– Halo, proszę pana! Słyszysz mnie pan? – krzyknął. – Proszę pana!

Żadnej reakcji.

Skrzycki chciał potrząsnąć nieprzytomnym facetem, ale skóra na jego łydce była tak mokra, jakby gościa wyciągnięto z Wisły. Spanikowany rozejrzał się po pustym placu – akurat nikt tamtędy nie przechodził.

Wyjął komórkę i wybrał numer alarmowy.

– Sto siedemnaście do sto jeden – młodszy aspirant z wystającym spod krótkiego rękawa koszuli tatuażem przedstawiającym węża wywoływał dyżurnego, podczas gdy Maria Herman rozmawiała z dowódcą patrolu. Siedziała na tylnej kanapie policyjnej kijanki.

– Kto go znalazł? – zainteresowała się.

– Chłopak. Miejscowy. Nazywa się Michał Skrzycki i mieszka tu w pobliżu – policjant wskazał brodą na pobliski budynek przy Broniewskiego.

Herman się uśmiechnęła.

– Co? Zna go pani? – Aspirant sztabowy Marcin Żynda przetarł dłonią ogoloną głowę.

– O tyle o ile. W każdym razie to dobry chłopak. Co mówił?

– Że wcześniej widział, jak jakaś kobieta pomagała wsiąść pani koledze do samochodu, a potem się oddaliła. Ale przyszła ponownie i stała przy samochodzie, a potem schowała się do cienia i zerknęła na zegarek.

Herman poczuła ciarki na plecach.

– Mówi, że by ją rozpoznał, więc zrobimy portret pamięciowy.

– To chyba nie będzie konieczne. Sądzę, że wiem, o kim on mówi.

– Serio? – zdziwił się szef patrolu.

– Tak – potwierdziła. – Do którego szpitala zawieźli Borewicza?

– Na Bielany.

Wcześniej Herman kazała czekać taksówkarzowi, który ustawił się w cieniu supermarketu Aldi, wzdłuż jednej ze ścian. Stał tam jeszcze, widziała go.

– Wiadomo coś o jego stanie zdrowia? Lekarz coś mówił? – próbowała się dowiedzieć.

– W karetce był ratownik medyczny. Lekarze mają teraz pełno roboty z kardiologicznymi przypadkami – machnął ręką w stronę bocznej szyby – przez te cholerne upały. A o kolegę musi pani komisarz zapytać na miejscu, w szpitalu.

– Czy ktoś od nas dzwonił do jego rodziny?

– Nie sądzą. Dopiero niedawno przekazano informację do właściwej jednostki.

– A wy skąd się tu wzięliście?

– Bylibyśmy wcześniej, ale weszło wezwanie, bo koło Plazy naćpany chłopak potrafił kobietę w ciąży. Byliśmy najbliżej, więc uznaliśmy, że podjedziemy. Okazało się, że koledzy, którzy akurat kręcili się po Gagarina, byli szybsi. No więc wróciliśmy najszybciej, jak się dało. I wtedy zobaczyłem, że pani grzebie przy samochodzie, i...

– Dobra. Wszystko jasne – przerwała mu, gdy drugi z policjantów spowiadał się dyżurnemu.

– Poinformowanie żony biorę na siebie, ale muszę mieć więcej danych ze szpitala.

– Dobra, postaram się zaraz coś ustalić.

– Świetnie. Zapisz sobie mój numer.

– Będziemy w kontakcie, pani komisarz.

Herman wysiadła z radiowozu i przeszła szybkim krokiem do taksówki. Kiedy usiadła na kanapie, poprosiła, by kierowca ruszył, i wsunęła dłoń do plecaka. Broń, którą niepostrzeżenie zabrała ze schowka, leżała na dnie. Niefrasobliwość Olgerda zgubi nas oboje, pomyślała.

– Dokąd tym razem? – Taksówkarz zerknął we wsteczne lustro.

– Tam gdzie mieliśmy jechać na początku. Do Rozgart. Byle szybko – poprosiła.

– Się robi.

Kiedy ruszyli, Maria zastanawiała się, jakie informacje będzie musiała przekazać żonie Zero Siedem.

Widziały się tylko raz, pod komendą, gdy któregoś dnia mroźnej zimy młoda matka przyszła tam z wózkiem. Maria zdążyła do niego zajrzeć i zobaczyć ich córkę, pochwalić, że mała jest podobna do Kingi, ale chwilę później żona Zero Siedem ostentacyjnie odciągnęła partnera i bez słowa pożegnania, zapatrzona w męża, ruszyła do domu po odśnieżonym chodniku.

Podczas kolejnego spotkania w pracy Olgierd przeprosił ją za zachowanie żony.

– To z powodu mojego uzależnienia? – Herman była na siebie zła, że o to spytała.

Zero Siedem pokiwał głową.

– Najważniejsze, że cię kocha – stwierdziła policjantka.

– Tylko dlatego, że niewiele o mnie wie. – Borewicz oparł się o framugę. Stał w otwartych drzwiach gabinetu, w kurtce, z plecakiem zawieszonym na ramieniu. Skończyli pracę i zbierali się do domów.

– Może wie, może podejrzewa. Ale woli wierzyć, że jest inaczej.

– Tylko ile warta jest miłość, która opiera się na takiej wierze? – Skrzywił się. – Jak widać po mnie i Kindze: niewiele.

Herman zastanowiła się nad jego słowami i spojrzała za okno w kierunku stadionu żużlowego, ukrytego za czarnymi szkieletami drzew pozbawionymi liści. Rosły wzdłuż parkingu po drugiej stronie jezdni. Nastawał zmierzch, biały śnieg się przybrudził, a zgarbieni ludzie starali się stawić opór silnym powiewom lodowatego wiatru z północy.

Gwizdało przeciągle i chłód bił od parapetu.

– A niby na czym innym miałyby polegać miłość? – zagadnęła w zadumie. – Przecież w miłości zawsze chodzi o zaufanie. Wiara jest fundamentem każdego związku. Jeśli u was się to nie sprawdza, nie jest to wina miłości czy wiary, tylko wasza. Was obojga.

– Pewnie masz rację. – Wzruszył ramionami i przez chwilę oboje milczeli. – Ale wydaje mi się, że w miłości zawsze jest jakiś pierwiastek piekła.

– Jezu, dlaczego tak sądzisz? – Maria podchwyciła jego spojrzenie, które szybko przeniósł na szafy, pełne akt dotyczących niewykrytych zbrodni.

– Tam masz odpowiedź – skierował brodę w kierunku regałów. – Za cokolwiek się nie złapiesz, wszystko się zaczyna od miłości.

– Przesadzasz – zachnęła się. – W tej szafie jest zaledwie ułamek świata, i to tej jego mroczniejszej strony.

– Nawet jeśli, to zapytam raz jeszcze: ile warta jest taka miłość?

– Kartą czy gotówką? – spytał taksówkarz i wspomnienie się ulotniło.

– Niech pan tu na mnie zaczeka – poprosiła, a kierowca najpierw spojrzał na zegarek, a potem się zgodził.

Komisarz Herman wróciła myślami do Olgierda. Lubiła go, mimo różnic, które ich dzieliły, i dlatego bała się o niego. Wiedziała jednak, że gdyby sytuacja wyłączyła ją ze śledztwa, on by się nie poddał i szedłby jak taran do przodu. Dlatego musiała wziąć się w garść.

Spojrzała przez boczną szybę na dom biegłego, przed którym wyrastały imponujące narparstnice purpurowe. Chociaż purpurowe były jedynie z nazwy, bo wystawiały do zachodzącego słońca duże, krwiste kielichy, wokół których krążyły trzmiele i pszczoły. Działka nie była ogrodzona, podobnie jak pozostałe posesje, złożone głównie z bliźniaczych domów.

Wysiadła z taksówki. Minęła miodowego forda kuge, który parkował obok, i ruszyła chodnikiem w kierunku drzwi. Gdy przyłożyła palec do przycisku dzwonka, we wnętrzu pomieszcze-

nia wybrzmiał głęboki gong.

Zanim drzwi się otworzyły, odebrała telefon od szefa, komisarza Warzechy.

– Co z Olgierdem? – spytała.

– Cholera wie – odparł naczelnik wydziału kryminalnego i Maria Herman przygryzła wewnętrzną część policzka. – Schładzają go na różne sposoby. Mieli już z nim kontakt, ale im ucieka. Jest osłabiony, wiadomo, choć jak znam Olgierda, to zaraz będzie się kręcił po kominie – szef zarechotał, ale Maria nie była skora do śmiechu. Odwróciła się do otwartych drzwi, w których stał Gabriel Zaworski.

– Słuchaj, muszę kończyć – rzuciła do aparatu.

– Jasne, ale mam nadzieję, że Kingę weźmiesz na siebie, co?

– To chyba jednak nie jest dobry pomysł. Ona mnie nie lubi. – Uniosła rękę w przeproszającym geście i bezgłośnie, poruszając tylko ustami, powiedziała do Zaworskiego: Już kończę.

Biegły skinął głową.

– Lubi, nie lubi, nikt tego nie zrobi lepiej niż ty – zapewnił komisarz Warzecha. – Kobieta z kobietą zawsze się dogada.

– Albo i nie – westchnęła. – Ale okej, spróbuję. Naprawdę muszę już kończyć. – Maria się rozłączyła i spojrzała na Zaworskiego. – Przepraszam.

– Niech pani wejdzie – odparł i poprowadził ją do gabinetu, w którym czekał facet około czterdziestki. Miał kilkunastu posiwiały zarost i krótkie włosy, podgolone z boków głowy. Patrzył na nią przez wąskie okulary w drucianej oprawie.

– Rafał Żuk – przedstawił się.

Maria Herman podała mu rękę, po czym zerknęła w kierunku dużego blatu oświetlonego chłodnym, białym światłem z nisko zawieszonych jarzeńówek. Z boku stał karton, w którym przywiozła ciuchy dziecka, a na specjalnym stole wisiły ubranka. Kolorowa bluzeczka, krótkie spodenki, czapeczka z poskręcanyimi sznurkami do wiązania pod brodą, a także dwie białe skarpetki i buciki. Pod nimi znajdowała się biała kuweta sporych rozmiarów. Herman dostrzegła w niej wyjątkowo drobne śmieci.

– Niech pani usiądzie – Zaworski wskazał jej krzesło na kółkach, ale Herman bez słowa odsunęła fotel za siebie i stanęła przy biurku.

– Co mamy? – spojrzała na ubrania. Oddech jej się spłycił, jak zawsze, gdy emocje brały górę.

– Jeden włos. Z cebulką.

Herman znieruchomiała.

– Gdzie?

– Już zabezpieczony. Prześlę go do dalszych badań.

Ucieszyła się – na to właśnie liczyła.

– Krótki? – sądziła, że należał do Solskiego.

– Nie. Długi, raczej farbowany, ale w tej sprawie niech się wypowiedzą specjaliści.

Maria się wyprostowała, wciąż wpatrując się w dziecięce ubranka.

– Ubranka raczej nie wniosą nic nowego do sprawy – Zaworski skrzyżował przedramiona.

– Może trzeba zrobić dokładniejsze badania? – zasugerowała.

– Nie trzeba.

Popatrzyła na biegłego i czekała, ale ponieważ się nie odezwał, odwróciła się do drugiego specjalisty.

– Pan jest biegłym od DNA? – zapytała Żuka.

– Nie – ubiegł kolegę gospodarz. – Profesor Żuk jest wybitnym specjalistą z zakresu entomologii. Pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. – Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Czyli? – Herman rozłożyła ręce.

– Już wyjaśniam. – Zaworski wziął szkło powiększające i przybliżył je do kuwety. – Pani spojrz.

Herman ponownie się pochyliła i zobaczyła pod lupą wysuszony podłużny odwłok. Nie wielki, lekko wygięty w łuk, zakończony dwoma cienkimi, krótkimi odgałęzieniami, podobnymi do włosów. Obok niego połyskiwały podłużne błony skrzydeł. Niekompletne i połamane, podobnie jak fragmenty odnóży. Głowa leżała kawałek dalej.

– No i? – Zerkąła to na Zaworskiego, to na pozostałości zaszuszonego owada.

– Rafał? Pomożesz nam? – Zaworski zwrócił się do Żuka, który sięgnął po telefon komórkowy i odwrócił ekranem do Herman.

Policjantka spojrzała na zdjęcie przedstawiające owada siedzącego na źdźble trawy. Tło było rozmazane. Zwróciła uwagę na długie włosy na końcu odwłoka.

– Murzyłka dwuskrzydła. Jedna z wielu jętek – powiedział Żuk, a Maria Herman przypomniała sobie, że chmara takich właśnie robali przeleciała obok niej, gdy wraz z technikiem kryminalistyki pojechali nad urwisko przy dawnym wyrobisku w Kaszczorku. Taka jętka zaplątała jej się we włosy.

– Niech pan mówi – poprosiła.

– Kiedy mam przyjrzeć się ubraniom, ostrożnie wyjmuję je z paczki i jeszcze ostrożniej wieszam nad kuwetą – zaczął Zaworski. – Potem zaglądam do kartonu, używając kilku lamp, aż w końcu wysypuję do kuwety to, co zalega w nim na dnie. Tym razem też tak zrobiłem. I jedna zdobycz mnie zaniepokoiła.

Włączył laserowy wskaźnik; czerwona kropka zatoczyła koło wokół błonki, będącej częścią skrzydła.

– Tego się nie da pomylić. Tak samo jak owadzich odnóży. – Czerwona kropka wykonała owal wokół popękanych fragmentów ciała jętki. – Wiedziałem już, że w kartonie możemy mieć gościa. Rozłożyłem więc pudło nad kuwetą, ale nic więcej w nim nie znalazłem.

– Może pan do brzegu? – Herman oblizła usta; czuła, że zasycha jej w gardle.

– Mogę – uśmiechnął się Zaworski. – Wtedy zabrałem się do przeglądania ubrań dziecka.

– No i? – ponagliła go.

Zaworski uniósł wskaźnik i zbliżył go do koszulki, a potem przesunął w kierunku niewielkiej kieszonki, która znajdowała się po lewej stronie.

– Tu – w jego głosie słychać było triumf. – Tu odnalazłem naszego gościa.

Herman podrapała się po karku.

– Świetnie. Ale co to daje? Przecież ten cholerny owad mógł się znaleźć w pudle kilka miesięcy później.

Żuk odchrząknął.

– Nie mógł – odezwał się, poprawiając okulary. – Jętki występują wyłącznie w środowisku wodnym.

– To są nekrofagi? – Herman pamiętała znaczenie tego słowa ze szkolenia dla służb kryminalnych.

– Nie. Jętki z natury nie interesują się zwłokami. Fakt, zjadają larwy innych owadów, jednak jako dorosłe osobniki, a ten taki jest, nie mają rozwiniętego aparatu gębowego.

– W takim razie skąd ten robal? Co robił przy dziecku?

– Owady są nieprzewidywalne – skonstatował Żuk. – Ale jedno jest pewne. Są wężowcami, a zatem coś musiało je zwabić do zwłok. Potem zadziałała fizyka. Jętka wczepiła się odnóżami wewnątrz kieszonki i nie była w stanie się wydostać. Poza tym bluzka była cała mokra od potu.

– Dobra. – Herman zmierzyla wzrokiem Żuka. – Co pan chce przez to wszystko powiedzieć?

– To, że trzeba na tę sprawę spojrzeć inaczej.

– Czyli?

Cisza się przedłużała.

– Miejsce odnalezienia zwłok dziecka nie jest miejscem jego śmierci.

– Pan żartuje, tak? – Herman czuła, że jej ciało drży, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Czekaając tu na panią, zawałiłem obowiązki służbowe, bo nie pojechałem do Poznania. Zapewniam, że wcale nie jest mi do śmiechu. – Żuk zdjął okulary i otarł twarz.

– W takim razie muszę panom przypomnieć, że dziecko zostało odnalezione w samochodzie, który stał na parkingu w centrum miasta. Z daleka od jakiegokolwiek wody.

Rafał Żuk pokiwał głową.

– I to właśnie potwierdza moją tezę. Jętka na pewno nie wleciałaby do zamkniętego samochodu, w którym temperatura sięgała około sześćdziesięciu albo i więcej stopni Celsjusza. Więc powtarzam jeszcze raz. To się mogło wydarzyć wyłącznie w pobliżu rzeki.

– Ale jak? – zdenerwowała się Herman.

I nagle zrozumiała. Przecież myślała o tym już wcześniej.

– Też się nad tym długo zastanawialiśmy – wtrącił się Zaworski. – I profesor Żuk uznał, że samochód pierwotnie musiał stać w pobliżu wody.

Herman myślała gorączkowo.

– Tylko dwie rzeczy się nie zgadzają – kontynuował entomolog. – Pierwsza to ta, że gdyby ktoś zatrzymał się nad rzeką, mielibyśmy prawdopodobnie dwa trupy. Kierowcę i dziecko.

– No chyba że zostawiłby dziecko w samochodzie. – Policjantka przyglądała się, jak Rafał Żuk drapie się po zaroście. – A potem do niego wrócił.

Młody profesor nie wydawał się przekonany do jej teorii.

– Wie pani co? Nie jestem psychiatrą – rzekł. – Ale wydaje mi się to mało wiarygodne pod kątem psychologicznym. Kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że pozostawił dziecko w samochodzie i skazał je w ten sposób na śmierć, przeżywa silny, głęboki wstrząs. Nie sądzę, by ktoś, czyli w naszym przypadku matka dziecka, bo doczytaliśmy to sobie w internecie, po odkryciu tego, co się stało, byłby w stanie normalnie funkcjonować i pojechać do pracy.

Herman sięgnęła po lupę i oglądała jeszcze przez chwilę złamane skrzydło jętki. W blyszczącej, przezroczystej błonie można było zauważyć coś, co wyglądało jak żyłki. Potem przeniósła wzrok na tułów i wygięty odwłok. W końcu spojrzała na połamane czarne odnóża. Wpatrywała się we fragmenty zasuszonego owada i intensywnie myślała. Odłożyła szkło powiększające i popatrzyła po kolei na obu mężczyzn.

– A druga rzecz? – zwróciła się do Żuka. – Powiedział pan, że nie zgadzają się dwie rzeczy.

– Racja, dobrze, że pani przypomniła. – Entomolog dotknął palcem skroni. – Chodzi o to, że znaleźliśmy jednego osobnika, a jestem przekonany, że tych jętek powinno być więcej.

– Jak to: więcej?

– Bo one latają chmarami. Technicy kryminalistyki powinni je znaleźć w samochodzie.

Maria Herman się zamyśliła. Profesor miał rację. Rzeczywiście, w pobliżu zwirowiska widziała całe skupisko tych owadów. A to tylko potwierdzało jej teorię.

– Teraz wydaje mi się to proste – posmutniała. – Olgierd miał rację. Żyjemy w piekle.

– Słucham? – odezwał się zaskoczony Zaworski.

Policjantka spojrzała gdzieś w bok. Nagle elementy układanki, które nosiła w głowie, zaczęły do siebie pasować. Była przekonana, że w fordzie Moniki Chudzińskiej jętek nikt nie dostrzegł, bo ich tam nie było.

Zostały w innym aucie.

Maria Herman zapłaciła taksówkarzowi, któremu wcześniej kazała na siebie czekać, i w drogę powrotną do Torunia zabrała się samochodem z profesorem Żukiem. Entomolog jechał na dworzec, bo okazało się, że tego dnia miał jeszcze jedno bezpośrednie połączenie kolejowe do Poznania.

Policjantka wysiadła w pobliżu placu Rapackiego, a biegly skrecił na niedawno wyremontowany most.

Maria dotarła autobusem do szpitala i odnalazła oddział, na którym leżał Olgierd.

Pielęgniarka, młoda dziewczyna z kolorowymi tatuażami wystającymi spod niebieskiego kostiumu, sprawdziła wkłucie i zwolniła podawanie wlewu dożylnego. Minęła Herman, która stała cały czas w drzwiach jednoosobowej sali.

– Tylko krótko, dobrze? – poprosiła dziewczyna.

Maria skinęła głową.

Wcześniej rozmawiała o stanie Borewicza z lekarzem prowadzącym. Zastała go w gabinecie.

– Najbliższe godziny będą decydujące. Ale gdyby nie ten dzieciak, pani partner pewnie by już nie żył. Chłopakowi należy się medal. A tej babie więzienie – tęgawy lekarz z siwymi kępkami włosów nad uszami nie przebierał w słowach.

Herman nie miała pojęcia, skąd wiedział o kobiecie, ale postanowiła nie pytać. Wolała się skupić na konkretach.

– Co wyszło w toksykologii?

– A to w waszym laboratorium nic pani nie powiedzieli? Wiem, że technicy kryminalni tu byli, pobrali próbki krwi, a także zabezpieczyli włosy.

– Włosy?

– Tak. Podobno wyszarpał je tej kobiecie z głowy. Z tego, co mówili, w jednym przypadku nawet z cebulką.

Olgierd, ty cholero jedna, pomyślała Maria, uśmiechając się w duchu.

– A ta toksykologia lub płukanie żołądka coś dały?

– W płukaniu nic, czysto. Natomiast we krwi wykryto duże dawki Fenergotalu.

– Co to za cholerstwo?

– Lek na receptę, w tabletkach. Stosuje się go w medycynie rodzinnej, czasami w migrenach i ostrych bólach mięśniowych. Zawiera fenobarbital, substancję o działaniu psychotropowym. – Lekarz poprawił kołnierz fartucha. – Musiała go tym nieźle nafaszerować.

– Trzeba będzie sprawdzić, skąd miała te piguły – powiedziała Maria bardziej do siebie niż do medyka.

– To na szczęście wasza robota. Ja tu jestem od leczenia, droga pani, a nie od rozwiązywania zagadek kryminalnych. – Lekarz wstał zza biurka i uściśnił Marii dłoń na pożegnanie.

Herman przyglądała się Borewiczowi. Miał zamknięte oczy. Część torsu mu ogolono; do gołej skóry przylegały czujniki monitorujące parametry życiowe. Za pomocą kolorowych kabelek dane były przekazywane do maszyny ustawionej obok łóżka. Sprzęt pikał miarowo, na podzielonym ekranie wyświetlały się wykresy i zmieniające się co jakiś czas liczby.

Maria dotknęła cieplej dłoni Olgierda. Nie poruszył się, powieki mu nie drgnęły. Zapewne podano mu środki uspokajające. Herman usiadła więc na rancie łóżka i opowiedziała mu po

cichu wszystko, czego dowiedziała się od biegłych.

– Jednym słowem, to nie my wyjaśniliśmy sprawę śmierci Zuzanny, tylko owad. Rozumiesz, Zero Siedem? – Uśmiechnęła się. – Robał odwalił za nas całą robotę, ale musimy to jeszcze udowodnić. I złapać winnych.

Twarz Borewicza pozostawała niewzruszona. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała.

– Więc mógłbyś wstać, wypić tego pieprzonego energizera, zjeść drożdżówkę i mi pomóc, do cholery – wyszeptwała, bo coś ścisnęło ją za gardło. – Słyszysz, Olgierd?

Ale była pewna, że nie słyszał.

Przełknęła ślinę i dała odpór fali wzruszenia. Tyle razem przeszli, tak często się na niego złościła, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby stracić oddanego partnera, dobrego glinę i w sumie dobrego, chociaż pogubionego człowieka. Trudno byłoby jej się stawić na pogrzebie Zero Siedem i patrzeć na młodą żonę w żałobie i małą Zero Siódemkę, która nie zdawałaby sobie sprawy, że już nigdy nie zobaczy ojca ani się do niego nie przytuli.

Maria wypchnęła z głowy czarne myśli. Olgierd wyjdzie z tego, obiecała sobie i powtarzała to przez chwilę jak mantrę. Wstała i podeszła do okna, przez które obserwowała lot jaskółek na niebieskim niebie, przetykanym delikatnymi smugami chmur. Ptaki szybowwały jak niewielkie latawce, ale zaraz potem zniknęły jej z pola widzenia.

Zadzwoiła do żony Olgierda.

– Halo? – usłyszała głos Kingi.

– Cześć, tu Maria Herman. Poznałyśmy się kiedyś...

– Wiem, kim jesteś. Po co dzwonisz?

Herman stężała.

– Chodzi o Olgierda. Jestem w szpitalu.

– Co się stało?

Maria nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

– Halo? Jesteś tam? – zdenerwowała się Kinga.

– Olgierd przeżył hipertermię. W ostatniej chwili odnaleziono go w ekstremalnie nagrzanym samochodzie wystawionym na słońce.

– Żyje?

– Żyje. Zadbali tu o niego, ale najbliższe godziny będą decydujące. Będziemy prowadzili śledztwo w tej sprawie, bo prawdopodobnie ktoś go otruił i zamknął w aucie. Ale byłoby dobrze, gdybyś tu przyjechała, gdybyś z nim była.

– Ma ciebie. Więc pewnie sobie poradzi.

– Słucham?

– No co się tak dziwisz? Zawsze woli być z tobą niż ze mną i córką.

– Taką ma pracę – Maria weszła jej w słowo.

– Mógłby mieć lepszą!

Przez chwilę cisza uwierała je obie.

– Musi w końcu wybrać – kontynuowała Kinga. – Albo my, albo praca. Mówiłam mu, żeby rzucił tę głupią robotę, bo przez nią są tylko kłopoty. Chciałam, żeby był w domu jak każdy normalny facet, ale on miał to w dupie i teraz ma za swoje.

– Nie mów tak, Kinga!

– Bo co? Co mi zrobisz? – warknęła żona Borewicza. – Pierdol się. Ty i on! Pierdolcie się razem, o ile już tego nie robicie. Jesteście siebie wariaci!

Połączenie zostało zerwane.

Policjantka wpatrywała się w aparat, ale głos Kingi wciąż odbijał się echem w jej głowie. Ocknęła się, gdy usłyszała chrząknięcie. Spojrzała na szpitalne łóżko. Miała wrażenie, że przez wąskie szparki lekko uchylonych powiek Olgierd patrzy na nią, a jego usta nieskładnie próbują wypowiedzieć jakieś słowa.

Herman zbliżyła się i nachyliła do Zero Siedem.

- To ona - wyszeptał. - To Pilewska.

Arek Groch milczał i Maria Herman zrozumiała, że powinna odezwać się pierwsza. Była mu wdzięczna, że nigdy dotąd nie odmówił jej pomocy.

Minęły trzy dni od momentu, kiedy Borewicz trafił do szpitala. Jego stan wciąż był ciężki, ale Herman musiała wykonywać swoje zadania. Dlatego teraz jechali z Grochem przez Kaszczorek.

Terenówka bez problemu radziła sobie na szutrowej drodze. Kołysali się na nierównościach, aż dojechali na obszerną polanę, pośrodku której wyrastała duża kępa roślin.

– Tam – Maria wskazała na zarośla.

– Co to jest? – zainteresował się Groch.

– Stare zwirowisko wypełnione wodą – wyjaśniła. – A dalej, tam gdzie te wysokie drzewa, płynie Drwęca.

Groch chciał sięgnąć do stacyjki, by wyłączyć silnik.

– Nie. Zaczekaj – poprosiła Maria. – Możesz coś dla mnie zrobić?

Policjant spojrział na nią.

– No chyba po to tu jestem, mała, nie?

Maria szarpnęła klamkę i wysiadła.

– Pojedź, proszę, tam, z lewej strony. Między roślinami znajdziesz zjazd w dół do samej wody.

– Chcesz się pozbyć Grocha? Wystarczy powiedzieć – próbował żartować, ale Marii nie było do śmiechu.

– Po prostu zjedź najniżej, jak się da, i poczekaj tam. Zadzwoń. – Zatrzasnęła drzwi i zrobiła krok do tyłu.

Słońce paliło niemiłosiernie.

Zakurzony nissan patrol ruszył z krótkim zgrzytem; Herman słyszała, jak chaszczce drapią w podwozie. Samochód potoczył się wolno po nieużytkach, objechał kępę wyższej roślinności, aż w końcu skręcił i po chwili zniknął Marii z oczu.

Stała na gruntowej drodze i odczekała jakiś czas, zastanawiając się, czy eksperyment się powiedzie. Żdźbła przesuszonych traw sterczały nieruchomo. Tylko nieliczne owady kręciły się tu i ówdzie.

Sięgnęła po komórkę.

– Zjechałeś na sam dół? – upewniła się, kiedy Groch odebrał połączenie.

– Tak.

– Dobra, to czekaj. Dam ci znak, jak już będziesz mógł wyjechać.

– Groch czeka – oznajmił, a Maria, obezwładniona morderczą temperaturą, ruszyła w kierunku działek i dotarła do lasu.

Silnik terenówki terkotał cicho, lecz z żadnego miejsca nie mogła dostrzec samochodu. Kiedy cofnęła się na skraj lasu i ponownie spojrzała w kierunku zwirowiska, odezwała się jej komórka.

– Halo.

– Pani komisarz?

– Kto mówi?

– Marcin Sikorski, ojciec Moniki.

- A, to pan. - Herman wróciła na łąkę. Wciąż nie widziała samochodu.

- Nie odzywa się pani, więc pomyślałem, że zadzwonię i spytam, czy ta sprawa... zaginięcie mojej córki... Czy pani to sobie odpuściła?

Poczuła kielkującą w trzewiach złość. Nie tyle na Sikorskiego, bo doskonale go rozumiała. Bardziej na siebie, że byli z Olgierdem blisko prawdy, ale wciąż nie mieli żadnych dowodów. Czekali między innymi na wyniki badań porównawczych włosów, które mogły okazać się w tej sprawie kluczowe. Ale bez tej wiedzy wciąż nie mogła nic powiedzieć ojcu zaginionej dziewczyny.

- Tak pan sądzi?

- Nie wiem, co mam sądzić. Właśnie tego się obawiałem, że pojawi się pani u mnie, da nadzieję, a potem powie mi pani, że jest pani przykro. Bo w takich sprawach policja zawsze ma jakieś ale.

- Wie pan co? Nie rozmawiajmy przez telefon - ucięła. - Wpadnę do pana niedługo.

- Kiedy?

- Dam znać. Do zobaczenia.

Herman się rozłączyła, ale to nie przyniosło jej ulgi. Nie mogła odpowiadać za czyjeś emocje, ale przecież doskonale wiedziała, że w rodzinie osoby zaginionej powrót policji do śledztwa zawsze wzbudza nową nadzieję. Dlatego uznała, że przynajmniej odwiedzi Sikorskiego. Była mu to winna.

Zawróciła. Uznała, że eksperyment się powiódł, i chciała jak najszybciej opuścić to miejsce. Czekala na skraju nasłonecznionej drogi, obserwując, jak tył nissana patrola wynurza się z dołu. Groch nawrócił na nierównościach i podjechał do niej. Z ulgą usiadła w schłodzonym wnętrzu terenówki.

- I co? - zapytał Arek, gdy wyjechali na szutrową drogę. - Groch przydał się na coś?

- Jeszcze jak - odparła.

- A co kombinujesz?

- Nie wiem. Szukam po omacku - odparła. Jej telefon znowu zadzwonił. Spięła się, bo bardzo czekała na wiadomość od specja komputerowego z komendy wojewódzkiej, z którym rozmawiała kilka dni temu. - Hej. I jak? Masz dla mnie dobre wieści? - rzuciła do słuchawki.

- Tak jak prosiłaś, dotarłem do firmy, w której do dwa tysiące szesnastego zatrudniona była Pilewska, i okazało się, że z jej komputera korzysta teraz jakiś kierownik działu - zameldował Marek Ospalski. - Na szczęście konfiguracja sprzętu pozostała taka sama i nie wymieniono w nim dysku.

- A jaśniej nie umiesz? - Czują, jak narasta w niej niepokój.

- Niech cię piekło pochłonie, Herman. Jeśli kiedyś spierdołę coś w życiu, a ty będziesz w przeciwnej drużynie, to będzie po mnie - zaśmiał się Marek Ospalski. - Zerknij na maila. Ale jedno mogę ci powiedzieć. Będzie pani zadowolona.

- Dobra robota - pochwaliła kolegę. - A o kadrach nie zapomniałeś?

- Za kogo ty mnie masz? - udał oburzenie.

- No to czego się tam dowiedziałeś?

- Tego, że jest dokładnie tak, jak sądziłaś - odparł.

Maria Herman odetchnęła.

Parę dni później policjantka siedziała w nissanie patrolu i nadal korzystała z uprzejmości Grocha. Tym razem, przebijając się przez korek na dawnej krajowej jedynce, podrzucił ją do siedziby MOD21 w podtoruńskim Ostaszewie. Przez korek do skrzyżowania w Łysomicach spóźniła się na spotkanie. Fabryka przygotowywała się dopiero do uruchomienia produkcji modułów drewnianych. Wyglądała raczej na opuszczoną niż taką, która wkrótce ruszy pełną parą.

Na parkingu stał tylko hyundai Sikorskiego.

Groch zaparkował na zacienionym asfalcie przed wejściem, a Herman weszła do eleganckiej, nowoczesnej urzędzonej części biurowej.

– Dzień dobry – rzuciła, ale nikt jej nie odpowiedział.

Przez przeszkloną ścianę zerknęła do pustego gabinetu dyrektora, potem rozejrzała się po korytarzu, ale w biurze panowała martwa cisza. Chciała sięgnąć po komórkę, gdy skądś dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Z bocznego korytarza wyszedł Sikorski. Niósł kubek kawy.

– O, jest już pani. Zrobić coś do picia? – Gestem zaprosił ją do swojego gabinetu.

– Nie, dziękuję – odparła.

Usiedli po obu stronach biurka. Herman nie bardzo wiedziała, jak zacząć tę rozmowę. Materiały, które niedawno otrzymała od Ospalskiego z komendy, okazały się niezwykle ważne, ale w opinii Legnera nie stanowiły dowodu w sprawie. Być może były ważnym ogniwem w łańcuchu poszlak, tyle tylko, że łańcuch wciąż był niekompletny.

– Powie mi coś pani, czy będziemy tak sobie milczeć? – W oczach Sikorskiego dostrzegła niepokój.

Herman zastanawiała się, czy go nie przeprosić. Nie za milczenie, ale za wzbudzenie nadziei.

– Bardzo bym chciała, ale niespecjalnie wiem, co mogłabym panu powiedzieć. – Musiała mieć się na baczności. – Mam wrażenie, że z każdym krokiem zbliżamy się do prawdy, ale wciąż jeszcze brakuje nam dowodów.

– Dowodów? Na co?

Źle zaczęłaś, skarciła się w duchu Herman; musiała inaczej poprowadzić tę rozmowę. Wyjęła kserokopię zdjęcia klasowego, które zabrała z akt operacyjnych, i położyła ją na biurku tuż obok klucza od auta.

Poprzedniego dnia Herman odwiedziła toruńską jedynkę i porozmawiała z nauczycielem, który znał historię szkoły. Pomógł jej spisać nazwiska wszystkich uczniów uczęszczających do tej klasy maturalnej. Miała je wydrukowane na osobnej kartce.

– Poznaje pan?

Sikorski nachylił się nad fotografią. Zadrżała mu broda, przyłożył dłoń do ust i zamrugał.

– Monia... – zaczął, ale wzruszenie na moment odebrało mu głos. – Nie uczyła się najlepiej, za to maturę zdała świetnie. Z polskiego miała osiemdziesiąt sześć procent, z matematyki siedemdziesiąt dwa. A angielski zdała na dziewięćdziesiąt kilka.

– Na pewno jest pan z niej dumny.

– Tak, tym bardziej że krótko przed maturą pokłóciła się z Karolem i na jakiś czas zerwali ze sobą.

Herman nadstawiła uszu.

– Pokłócili się? O co?

- Któraś z koleżanek nagadała Moni, że widziała Karola z inną dziewczyną.
- Chodziło o koleżankę z klasy?
- Tego nie wiem. Monia zawsze była zamknięta w sobie. Dlatego się zdziwiłem, że mi o tym powiedziała.

- Jak to wyglądało?

- Ta rozmowa?

- Tak.

Wzruszył ramionami.

- Któregoś dnia popłakała się przy śniadaniu, chciałem ją pocieszyć, pogładziłem po plecach, a ona wstała i mocno się do mnie przytuliła. Płakała, a ja cmoknąłem ją w czoło. - Sikorski zacisnął powieki. Jego grdyka się poruszyła, gdy przełknął ślinę.

- Dlaczego nam pan o tym nie powiedział?

Spochmurniał.

- Przecież powiedziałem.

- Kiedy?

- Temu policjantowi, co przyszedł do mnie z tym samym zdjęciem.

- Aspirantowi Gąsiorkowi?

- Tak. Ale on jakoś krótko potem przestał zajmować się tą sprawą.

- Rozumiem - powiedziała Maria. Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić z tą wiedzą. Gąsiorek nie poruszył tego wątku w materiałach ze śledztwa. Być może już wtedy źle się czuł i nie wykonywał swojej roboty, jak należy. - A czy ten policjant coś panu powiedział na temat tego zdjęcia? W jakim celu je panu pokazał?

- Podobno ta dziewczyna, która odbiła Moni Karola, dołączyła do nich w klasie maturalnej i mogła być na tym zdjęciu, ale ja nawet nie wiedziałem, jak ona ma na imię - uśmiechnął się smutno.

Bezwiednie wzięła do ręki kluczyki z brelokiem i Maria Herman zwróciła na to uwagę. Coś zaświtało jej w głowie, ale nie umiała skonkretyzować myśli.

- Odnalazł się? - wskazała na brelok, pamiętając, że jeszcze niedawno Sikorski miał przy sobie zapasówkę.

Machnęła ręką i z zażenowaniem pokręcił głową.

- Szkoda słów. Starzeję się. - Odsonił w uśmiechu równe zęby. - Zostawiłem go w kieszeni garnituru. Jak mówi mój kolega, obyśmy w zdrowiu dożyli tego alzheimera.

Rozśmieszyl tym Herman, która sięgnęła po zdjęcie i przyjrzała się uczniom oraz nauczycielowi.

Po dziesięć osób w każdym rzędzie. Młodzi ludzie, przed którymi świat stał wtedy otworem. Wtedy i teraz, bo oni, chociaż od ich matury minęło trochę czasu, wciąż są młodzi, poprawiała się w myślach Herman. I natychmiast zrobiło jej się smutno, że jednej z tych osób los nie oszczędził.

- No nic, na mnie już czas. - Sikorski postukał kluczem w blat, a potem wstał. - Rozumiem, że nie posunęła pani sprawy zaginięcia mojej córki nawet o krok, prawda?

Herman nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż zbierała dane.

- Trudno. Jeszcze trochę lat przed sobą pewnie mam. Poczekam - odparł smutno Sikorski i ruszył w kierunku szklanych drzwi.

- Niech się pan nie martwi. - Herman się podniosła. - To nie potrwa aż tak długo.

Dyrektor odwrócił się do niej.

- Co pani ma na myśli? - Wciąż bawił się brelokiem.

Herman zawiesiła wzrok na kluczu i nagle zalała ją fala ciepła. Zrozumiała, dlaczego wcześniej, kiedy wpatrywała się w ten detal, coś ją poruszyło. Jej serce biło mocno.

– No więc? – niecierpliwili się Sikorski.

Herman nie odpowiedziała na pytanie, bo w zasadzie go nie zarejestrowała. Ważniejsze było to, że ważny element układanki właśnie wskoczył na swoje miejsce.

Musiła pilnie wyjść.

Tydzień później zimny front przyniósł do Polski chłodne dni i zimne deszcze. Siąpiło z nieba już trzeci dzień i Herman dostrzegła, że w jej ogrodzie, w splekanej ziemi, spomiędzy obsuszonych trawy wykiełkowały chwasty.

Maria była ubrana na czarno, miała spięte włosy bez śladu srebrnych nitki, oczy pociągnięte czarną kreską i wytuszone rzęsy. Paliła nerwowo papierosa, myśląc o Zuzannie Chudzińskiej. Patrzyła w lustro na łzy, które spłynęły po jej policzkach i nieco rozmazały delikatny makijaż. Usłyszała szum silnika, a niedługo potem dźwięk domofonu.

Poprzedniego dnia Herman zaprosiła Hannę Pilewską do siebie do domu.

– Mamy się spotkać w pani domu? Dlaczego?

– Chciałabym pani pomóc, bo sędzę, że ciemne chmury zbierają się nad pani głową. Ma pani małe dziecko i byłoby dobrze, gdyby nie straciło matki.

– O czym pani mówi?

– Niech pani przyjdzie. Tylko tak mogę pani pomóc – powiedziała Herman. – I proszę nie wspominać o tym mężowi. Przynajmniej na razie.

Maria otworzyła drzwi. Usłyszała równomierny szum deszczu, przez który przedzierało się szuranie butów po splekanym betonowym chodniku. W ciemności korytarza gościni nie widziała dobrze twarzy policjantki. Herman zaproponowała coś do picia w chwili, gdy tamta stanęła w salonie w plamie wpadającego przez okno światła.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiedziała Pilewska.

Maria wciąż nie opuściła mroku korytarza. Odczekała, aż młoda kobieta zajmie miejsce przy stole, i dopiero wtedy poszła do kuchni, skąd zabrała teczkę z dokumentacją. Wniosła ją pod pachą do pokoju i usiadła przed Pilewską.

Poprzedniego dnia, wczesnym popołudniem, Maria paliła chesterfieldda i przyglądała się młodym ludziom uchwyconym na zdjęciu krótko przed maturą. Jednostajny szum deszczu wpadał przez uchylone drzwi balkonowe, które poddawały się chłodniejszemu powiewom lekkiego wiatru, wywołując ciche skrzypienie zawiasów.

Właśnie strzepnęła popiół do nakrętki od słoika, gdy odezwał się jej telefon.

– Pani komisarz Maria Herman?

– Tak.

– Mówi Sylwia Janowicz ze starostwa powiatowego, z wydziału komunikacji. Chodzi o samochód, w sprawie którego była pani niedawno u mojego szefa, dyrektora Wilczka.

– Tak, pamiętam. – Policjantka odłożyła zdjęcie i wstała. – I co?

– Sprawdziłam nasze rejestry. W dwa tysiące siedemnastym roku pani Hanna Pilewska nie była właścicielką żadnego białego peugeota 206.

– Jest pani pewna?

– Tak.

– Może pomyliłam kolor?

– Nie o to chodzi – odparła urzędniczka. – Kłopot w tym, że Hanna Pilewska nie istnieje w naszej bazie jako właścicielka samochodu do połowy dwa tysiące siedemnastego roku.

Herman z powrotem usiadła na kanapie.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Już wyjaśniam. Sprawdziłam liczbę dwieście szóstek w kolorze białym zarejestrowanych w tamtym roku w naszym powiecie. Wyskoczyło mi dziewięć rekordów. Pięciu mężczyzn i cztery kobiety.

– I żadna z tych osób nie jest Hanną Pilewską – dopowiedziała Maria Herman.

– To prawda. Ale niech pani posłucha. Jedna z tych czterech kobiet ma na imię Hanna.

– Nie jest to imię zakazane – uznała Herman.

– Nie jest. Ale ta sama osoba, tyle że jako Hanna Pilewska, pojawiła się w naszej bazie w dwa tysiące siedemnastym roku jako właścicielka pomarańczowego renault captura.

Herman potarła czoło.

– Jak to możliwe? – spytała.

– Po prostu zmieniła nazwisko.

– Ale że co? Za mąż wyszła?

– To już musiałyby pani ustalić w urzędzie stanu cywilnego. Ja widzę tylko, że PESEL jest taki sam.

Herman zamurowało.

– A jak się nazywała, kiedy jeździła białym peugeotem? – Sięgnęła po coś do pisania.

– Sekundę.

W głośniku rozległ się szelest kartek.

– O, już mam. Ziółkowska. Hanna Ziółkowska.

Policjantka nie kojarzyła tego nazwiska.

– Jeszcze jedno – odezwała się. – Wie pani, kiedy dokładnie zmieniła samochód? Tego peugeotu na renówkę?

– Tak. Dziewiętnastego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku. Wtedy zarejestrowała nowe auto.

Maria podziękowała za wiadomość i z niepokojem odłożyła komórkę. Sięgnęła po zdjęcie, ale wiedziała, że wśród licealistów nie ma nikogo, kto byłby chociaż trochę podobny do Hanny Pilewskiej. Natomiast na liście odnalazła dziewczynę pod wcześniejszym nazwiskiem. I wtedy zrozumiała swój błąd. Na zdjęciu i w spisie było trzydzieści osób. Z tą różnicą, że klasa sfotografowała się z wychowawcą, którego – z oczywistych względów – nie zawierał wykaz uczniów.

Zatem, kiedy w szkole pojawił się fotograf, jedna osoba z klasy była nieobecna.

Hanna Pilewska siedziała naprzeciwko policjantki. Była mocno zaniepokojona.

– Pani płakała? Dlaczego? Co się stało?

Herman spokojnym gestem sięgnęła po paczkę papierosów. Zapaliła zapalną i podsunęła ogień pod końcówkę papierosa. Wciągnęła powietrze, zar strawił pierwsze skrawki tytoniu. Po chwili chmura dymu zawisła między kobietami.

Maria nie odpowiedziała na pytanie, nie otarła też łez. Wpatrywała się w podłużny, wąski strup ciągnący się spod włosów Hanny aż do skroni.

– Od czego to? – wskazała go papierosem.

– Synek mnie zadrapał. Ma wyjątkowo ostre paznokcie – wyjaśniła kobieta.

Maria wiedziała, że to kłamstwo. Rana powstała, kiedy Borewicz, nafaszerowany Fenergotalem, z trudem utrzymujący się na nogach, wyrwał jej kilka włosów z głowy i zadrapał paznokciem.

Herman wpatrywała się w niebieską teczkę. Odczekała chwilę, po czym wyjęła z niej powiększone zdjęcie Zero Siedem, to samo, które widniało w legitymacji służbowej. Położyła je

na blacie i odwróciła do Pilewskiej.

– Poznaje go pani?

Zaskoczona kobieta spojrzała na fotografię.

– No oczywiście.

– Kto to jest? – zapytała Herman.

– Pani żartuje, tak? Przecież to ten policjant. Pani partner. To znaczy kolega.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Ponad tydzień temu. Był u mnie w lokalu. Mówiłam już pani.

– Wyszedł sam?

– Słucham?

Policjantka wydmuchała dym w jej stronę.

– Pytałam, czy wyszedł sam, o własnych siłach.

– No tak – Pilewska udała zdziwienie. – Ale nie rozumiem, o co pani chodzi. Podobno chciała mi pani pomóc.

– Właśnie to robię. Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę, że wprowadzenie w błąd organów ścigania jest karalne.

– Że co? – Hanna się skrzywiła.

– Kiedy zadzwoniłam, potwierdziła pani, że Olgierd Borewicz źle się poczuł, prawda?

– Tak było. Powiedział, że źle się czuje, i dziwnie się zachowywał.

– Czyli jak?

– Jakby kręciło mu się w głowie. Trzymał się za brzuch.

– Wypił coś u pani?

– Nie. Proponowałam mu kawę albo wodę. Odmówił.

– Odmówił i wyszedł z lokalu. Tak było? – Herman próbowała ustalić fakty.

– No tak! – Kobieta spłótła palce obu dłoni i mocno je zacisnęła. – O co pani chodzi?

– Niech się pani przypatrzy temu zdjęciu – poprosiła policjantka, wskazując na fotografię Olgierda dłonią, w której trzymała papierosa.

Pilewska zatrzymała wzrok na wydruku.

– No i? – odezwała się.

– To jest podkomisarz Olgierd Borewicz – powiedziała twardo Herman. – Zmarł dziś rano w szpitalu na Bielanach na skutek hipertermii tuż po tym, jak po pobycie w pani kawiarni został odnaleziony w samochodzie służbowym zaparkowanym na parkingu przy netto na ulicy Reja. – Maria znowu się zaciągnęła. Dłoń jej zadrżała i słupek popiołu spadł na laminowany blat. – Dlatego poprosiłam panią o spotkanie. Policja zaraz panią wezwie na oficjalne przesłuchanie, a prokurator postawi pani zarzuty.

Pilewska obrzuciła policjantkę badawczym spojrzeniem.

Herman wyciągnęła następne wydruki. Tym razem położyła przed młodą kobietą kadry z zapisu monitoringu z dwóch sklepów: netto i aldi.

– Na tych zdjęciach dokładnie widać, jak pomaga mu pani usiąść w służbowej toyocie. – Komisarz zaciągnęła się papierosem. – Poza tym, z tego, co wiem od kolegów, jest świadek, który panią rozpoznał. Jego zeznania zostały spisane i jestem przekonana, że policja depcze pani po piętach.

Pilewska czekała, sondując sytuację.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że prokurator postawi pani zarzut z artykułu sto czterdzieści osiem Kodeksu karnego. Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas

nie krótszy niż lat osiem, karze dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności – wyrecytowała z pamięci. – Ale nie wybiegajmy w przyszłość. Na razie musimy zrobić wszystko, by uniknęła pani aresztu.

Pilewska rozejrzała się ostrożnie dookoła.

– Proszę pani – zaczęła konspiracyjnie. – On był strasznie... No, wie pani, napalony, zaczął mnie obmacywać. A ponieważ byliśmy sami w lokalu, to...

– Wyspała mu pani coś do kawy, prawda? – spytała Herman i od razu zastrzegła: – Pani musi być ze mną szczerą, inaczej pani nie pomogę. A moi koledzy nie mają tyle empatii co ja.

Pilewska pokręciła głową.

– Ja... tylko... – dukała.

– To był Fenegotal. Otrzymuje go pani od swojego ginekologa na bolesne miesiączki. Moi koledzy to sprawdzili, rozmawiali z lekarzem – objaśniła Herman. – Stąd doskonale wiem, jakie skutki powoduje przedawkowanie.

Pilewska ślizgała się wzrokiem po blacie stołu.

– Powinna pani przestać kłamać – wyszeptwała policjantka, a kobieta wyprostowała plecy.

– Tak – przyznała. – Zrobiłam to.

Maria skinęła głową.

– Kłopot w tym, że zamiast wezwać pogotowie, zostawiła go pani na pewną śmierć – dodała policjantka.

– Ale ja nie chciałam, on po prostu... Myślałam, że zaraz poczuje się lepiej i odjedzie – rozpłakała się Hanna i schowała twarz w dłoniach.

Herman przyglądała się jej uważnie.

– Wie pani, co sądzi prokurator? – spytała.

Kobieta pokręciła głową.

– On nie odpuści. Mówił mi to rano na odprawie, a ja nie powinnam w ogóle tego pani potwarzać. – Zaciągnęła się. – Ale żal mi pani. Żal mi pani synka. Więc powiem, bo chcę pani pomóc. On jest zdania, że pani go zostawiła w tym samochodzie na pewną śmierć z powodu hipertermii.

– Czego?

– Hipertermii. Przegrzania organizmu.

– Jezu... Nie... To nie tak.

– On twierdzi, że pani się na tym zna.

– Jak to?

– Że pani dużo wie na ten temat.

– Boże, przecież to nieprawda! – Hanna ponownie zaniosła się płaczem.

Herman poczekała, aż kobieta się uspokoi.

– Czy Karola, pani konkubenta, dręczą koszmary? – Wydmuchała dym i strąciła słupek popiołu.

Kobieta podniosła głowę.

– Słucham?

– Czy śni mu się Zuzanna?

– O czym pani...

– Zdradzę pani coś, chociaż nie powinnam. Okazuje się, że jego córka wcale nie zmarła w samochodzie Moniki Chudzińskiej.

– Co?

– Monika miała rację. Tamtego dnia to nie ona miała odwieźć dziecko do żłobka. – Herman obserwowała bacznie reakcję Pilewskiej, która otworzyła szeroko oczy i rozwarła usta. – To wszystko wyglądało inaczej.

Hanna nie spuszczała wzroku z policjantki.

– Zuzannę zabrał Karol Chudziński – kontynuowała policjantka – ale wrócił do domu tuż po tym, jak jego żona wyjechała do pracy.

– O czym pani...

Herman uniosła rękę.

– Niech pani posłucha. Pani musi zacząć wreszcie mówić prawdę. – Pochyliła się. – On panią oszukał.

– Kto?

– Karol Chudziński. To on zabił swoją córkę.

– Boże... Co pani...

– Nie zrobił tego sam, ktoś mu pomógł, ale musi pani uważać na swoje dziecko. Pani synkowi może grozić to samo. – Herman czekała na jej reakcję.

– Chryste – wyszeptwała Pilewska.

– Karol Chudziński wrócił z córką do domu i przekazał ją pewnej kobiecie. Ustawił na tylnej kanapie jej samochodu nosidełko z dzieckiem i dał jej klucz zapasowy od samochodu żony. – To był brakujący element układanki.

Hanna przelknęła ślinę i otworzyła szeroko oczy.

– Tak, proszę pani – zapewniła ją Maria Herman. – Ta kobieta nie odjechała daleko. Jestem przekonana, że pojechała na pustkowie, tam gdzie jest stara żwirownia i urwisko nad rzeką. Zna pani to miejsce?

Pilewska siedziała nieruchomo.

– Ukryła tam samochód, zamknęła drzwi – ciągnęła Herman – wysiadła i czekała, aż dziecko umrze.

– Ale jak to? Dlaczego? – dukała młoda kobieta. – Przecież to niemożliwe, dlaczego Karol miałby to zrobić?

– Bo miłość jest piekłem – policjantka powtórzyła słowa Borewicza.

– Słucham?

– Wiedziała pani, że Monika Chudzińska miała romans? Sądziłam, że jej mąż zemścił się za to i dlatego zabił ich wspólne dziecko.

Herman zgasiła peta i wyciągnęła z paczki kolejnego chesterfielda. Dym ponownie poleciał w kierunku twarzy Hanny Pilewskiej. Kobieta zakasłała.

– Ale czy z powodu głupiego romansu można zabić własną córkę? – Maria sięgnęła po teczkę i zsunęła ją sobie na kolana, tak aby okładka opierała się o rant stołu. – Coś mi jednak nie pasowało w tej teorii.

Pilewska otarła załzawione oczy. Maria Herman wyjęła z teczki wydruki. Były na nich linki do stron, które uruchomiono na komputerze firmowym Hanny Pilewskiej w jej wcześniejszej pracy w Toruńskich Wodociągach, a także hasła wpisywane do wyszukiwarki. Policjantka podała kartkę młodej kobiecie.

– Niech pani przeczyta – poprosiła. – Tylko głośno.

Kobieta gwałtownie pokręciła głową i oddała Marii kartkę.

– Świetnie, zrobię to za panią. – Herman wzruszyła ramionami i zaczęła czytać: – „śmierć dziecka w rozgrzanym samochodzie”, „jak szybko rośnie temperatura we wnętrzu auta”, „szcecin śmierć dziecka w samochodzie”, „udar cieplny”, „hipertermia”. Czytać dalej?

Hanna Pilewska wyglądała, jakby wpadła w stupor.

– Widzę, że nie chce pani dłużej tego słuchać. W takim razie mam tu ostatnie dwie rzeczy. – Policjantka sięgnęła po kolejne kserówki. – Tutaj znajdzie pani prognozę pogody, którą interesowała się pani na początku czerwca, co potwierdza ekspertyza technika badającego pani komputer. Przypomnę tylko, że na ósmy dzień tego miesiąca przypadał najcieplejszy dzień czerwca – oznajmiła Herman i położyła na blacie kolejną kartkę. – A to wypisany pani pismem wniosek urlopowy na ósmego i dziewiątego czerwca dwa tysiące siedemnastego roku. Czwartek i piątek. Tak się składa, że Zuzanna Chudzińska zmarła w czwartek.

Z oczu Pilewskiej popłynęły łzy. Zaszlochała cicho.

– To pani robota. – Herman pochyliła się nad stołem, by spojrzeć kobiecie w oczy. – To pani, jako Hanna Ziółkowska, pojechała swoim samochodem, peugeotem 206, na polanę i zjechała na dół, tuż nad wodę przy starym żwirowisku. Tam odczekała pani, aż Zuzanna umrze, a potem przewiozła ją pani na parking, na którym stał samochód Moniki Chudzińskiej. Karol Chudziński dał pani klucz zapasowy od forda żony. Przełożyła pani dziecko wraz z nosidełkiem z tylnej kanapy swojego auta do forda i odjechała.

Pilewska nawet nie mrugnęła.

– Zabiliście niewinne dziecko oboje. I wcale nie dlatego, że Chudzińska miała romans. To wy romansowaliście ze sobą już w liceum, przed maturą, kiedy przeniosła się pani do klasy Moniki i Karola. To wtedy odbiła jej go pani po raz pierwszy. A po latach zesłiście się na nowo i chcieliście pozbyć się Moniki. A jak można pozbyć się młodej matki, żeby nikt się nie zorientował? Wystarczy zabić jej dziecko, zrzucić winę na nią i w ten sposób wtrącić ją w otchłań depresji. Tylko że ona ani nie zwariowała, ani się nie zabiła. A wy nie chcieliście już dłużej czekać. Dlatego postanowiliście to przyspieszyć.

Herman wstała i przeszła za plecy Pilewskiej. W pewnym momencie z całej siły trzasnęła teczką o blat, aż kobieta drgnęła gwałtownie.

– Gdzie ją zakopaliście? – ryknęła policjantka. Hanna się skuliła i zaczęła drżeć. – Gdzie ona leży?

Pilewska podniosła na nią załzawione oczy.

– Ja mam dziecko – wyszeptwała. – Nie mogę iść do więzienia.

– Kurwa! Gdzie ona jest? – Herman szarpnęła krzesło.

– Powiem pani – załkała Hanna. – Wszystko powiem, tylko musi mi pani obiecać, że nie pójdę do więzienia.

Herman usiadła z powrotem na swoim miejscu i pochyliła się nad blatem.

– Po to tu jesteś. Ukryję cię i wywożę razem z dzieckiem – skłamała. – Tylko zacznij mówić.

Hanna Pilewska wierzchem dłoni otarła łzy, a rękawem starła ślinę, która ściekała jej po brodzie. Wyznała wszystko. Wskazała dokładnie to miejsce, które Maria z Olgierdem wytypowali już wcześniej.

Podkomisarzowi Olgierdowi Borewiczowi wciąż było gorąco i szybko się męczył. Czoło miał stale wilgotne, oddychał płytko, jakby przebiegł maraton, chociaż po tym, co go spotkało, stał się nie nadwyręzać.

Siedział w toycie kilka ulic od domu Karola Chudzińskiego. Dzień wcześniej Maria poprosiła męża zaginionej, żeby nie wyjeżdżał do pracy i zaczekał na jej przyjazd. Pod żadnym pozorem miał nie mówić konkubinie o tym zaplanowanym spotkaniu.

– Dobra, rozumiem. Ale powie mi pani, o co chodzi? – spytał zaniepokojony Chudziński.

– Przez telefon nie mogę. Jutro wszystko się wyjaśni. Ale jestem po pana stronie.

– W jakim sensie?

– W każdym.

– Ta sprawa dotyczy mojej żony? To znaczy Moniki?

– Tak. Jest pewien ważny trop prowadzący do jednego z pana sąsiadów. Resztę, dla dobra sprawy, muszę jednak przemilczeć – Maria mówiła przez zestaw głośnomówiący z telefonu Legnera.

– Ale ten sąsiad jest w to zamieszany?

– Jutro. Wszystko jutro – zapewniła.

– Dobrze, w takim razie czekam na panią – oznajmił Chudziński. – A co z komisarzem Borewiczem?

– Wciąż jest w ciężkim stanie.

– Rany boskie, to straszne.

– Do jutra, panie Karolu – zakończyła Herman.

Borewicz zerknął w lusterko wsteczne. Kierowca koparki siedział w kabinie z miną cierpienika, zmęczony przedłużającym się oczekiwaniem. Podobnie jak technicy kryminalistyczni w zielonym berlingo. Jeden z nich jadł kanapki i popijał herbatę z kubka termicznego.

Zero Siedem dostał informację od operacyjnych, że Hanna Pilewska wyjechała na spotkanie z Herman, a Karol Chudziński cały czas jest w domu. Policjant wkroczyłby do akcji, ale wciąż czekał na prokuratora Legnera. Liczył na to, że śledczy zadzwoni do niego, jak tylko wróci z wezwania do śmiertelnego wypadku drogowego. Borewicz wykorzystał ten czas, żeby wszystko raz jeszcze przemyśleć i zastanowić się, czy nie popełnili z partnerką żadnego błędu.

Dwa dni wcześniej odwiedził firmę basenową. Umówił się z szefem przedsiębiorstwa, mniej więcej czterdziestoletnim mężczyzną, tym samym, którego poznał w ogrodzie Chudzińskiego.

– W czym mogę pomóc? – zapytał sprzedawca, kiedy obaj usiedli w niewielkich fotelach w rogu gabinetu. Na ścianach znajdowały się zdjęcia szczęśliwej rodziny taplającej się w wodzie oraz logo niemieckiej marki produkującej baseny w technologii modułowej.

Krótko po tym, jak Olgierd się przebudził w szpitalu, męczyły go różne głosy i obrazy. Pocił się i stale było mu gorąco. A ilekroć zamykał oczy, widział niedawne zdarzenia. Jasno i wyraźnie, jakby w nich właśnie uczestniczył, jakby wcale nie należały do przeszłości. Napływały intensywnie i przypominały natłok myśli, z jakim mierzył się czasem nocą, gdy nie mógł zasnąć. W jednym z takich obrazów zobaczył pracownika firmy basenowej, który na posesji Chudzińskiego podczas rozmowy telefonicznej stwierdził, że ich klient w ciągu dotychczasowych czterech lat współpracy nigdy nie był taki wściekły. Borewicz był jednak pewien, że Chudziński twierdził, iż basen wybudował dopiero w dwa tysiące dwudziestym roku.

Chcąc to ustalić, odwiedził właściciela firmy.

– Umowę podpisaliśmy w styczniu dwa tysiące osiemnastego roku, a roboty ruszyły chyba w marcu.

– Rozumiem. A ma pan pompę do szybkiego usuwania wody z basenu?

– Słucham?

– Chodzi o ten sam basen. Ile to zajmie?

– Ale co?

– To, co powiedziałem. Wypompowanie wody – Olgierd się zniecierpliwił i otarł wilgotne czoło.

– No rozumiem. Ale dlaczego chce pan to zrobić?

– Bo muszę rozebrać dno.

– Jezus Maria – mężczyzna załamał ręce. – Po co? Przecież dopiero co je naprawiliśmy!

– Mam to w dupie. Żona Chudzińskiego zaginęła kilka miesięcy przed tą inwestycją.

Szef firmy basenowej popatrzył na niego uważnie.

– I co pan sugeruje? – mruknął. – Że zakopał ją pod basenem? Przecież to nonsens.

– Z jakiegoś powodu dno się zapadło. Sprawdzimy grunt georadarem. Mamy też psy zwłokowe.

– Możecie zatrudnić nawet jasnovidza. Tyle tylko, że się narobicie i nic z tego nie będzie.

– Bo?

– Bo pod basenem biegła stara rura melioracyjna, która pękła. Mój pracownik wszedł do niej, więc gdyby był tam trup, na pewno by go zobaczył.

– Po co tam włożył? – Ta informacja zmartwiła Borewicza.

– Chciał zobaczyć, czy rura w pozostałych fragmentach jest cała, bo istniała obawa, że będzie pękać dalej. Dlatego na całej długości dna basenowego wewnątrz tej cholernej rury zrobiliśmy wsporniki z teowników. Dziurę zasklepiliśmy i zazbroiliśmy odbudowany fragment dna. Na to wszystko nałożyliśmy szybkowiązący beton.

– Będę musiał to rozebrać – uznał Olgierd.

– O, rany! To panu współczuję. Narobicie się jak osły, bo myśmy naprawdę serio podeszli do tej roboty.

Borewicz skłął go w myślach.

– Poza tym, umówmy się – ciągnął budowlaniec – dno w tym basenie jest na poziomie metra osiemdziesiąt. Gdyby nasz klient chciał tam zakopać swoją żonę, musiałby wykopać dół na grubo ponad dwa i pół metra. Ręczę panu, że on na pewno tego nie zrobił. Zresztą, zaraz! Nawet mam na to dowody – mężczyzna podszedł do biurka, chwycił laptopa i wróciwszy z nim na fotel, ustawił komputer na udach. – Niech pan poczeka. – Chwilę czegoś szukał. – No i proszę. Pan zerknij.

Borewicz stanął za jego plecami.

Ekran wypełniało zdjęcie trawnika. Na dalszym planie było widać dom Chudzińskiego i gęste szare chmury.

– Przed każdą robotą fotografujemy część ogrodu, w której wytyczamy obrys basenu. – Mężczyzna przełączył slajd i Borewicz zobaczył owalny kształt wyrysowany na trawie.

– Jak to zrobiliście?

– Mamy swoje sposoby. Wystarczy miara, sznurek, kilka palików, przecięta butelka po coli i trochę wapna. Stara metoda. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Ale nie to jest ważne. Niech pan się przyjrzy trawie – przyłożył palec do monitora. – To są zdjęcia z początku marca, kiedy

przymierzaliśmy się do robót. Gdyby ktoś tu coś rozkopał, nawet kilka miesięcy wcześniej, byłoby to widać jak na dłoni.

Borewicz przyglądał się zdjęciom z kolejnych etapów prac aż do momentu, gdy betonową nieckę przyozdobiono błękitną folią i zalano wodą. Tego dnia niebo na zdjęciu zyskało niebieski kolor, a słońce odbijało się od lustra krystalicznej czystej wody.

Zero Siedem sięgnął do plecaka po pendrive'a.

– Pan mi zgra te zdjęcia, dobrze? – poprosił mężczyznę.

Wieczorem przeglądał je na komputerze razem z Marią Herman, u niej w domu.

– Co myślisz? – odezwał się, gdy partnerka przetarła oczy ze zmęczenia.

– Myślę, że to nie jest to miejsce. Facet ma rację. Trawa jest nietknięta.

– Może jednak powinniśmy rozkuć mu ten basen, co?

– Jeśli pokażesz te zdjęcia Legnerowi, na pewno się na to nie zgodzi.

Herman wyszła na balkon zapalić papierosa, a policjant nadal przerzucał slajdy. Sięgnął po telefon i wybrał numer Legnera, żeby udowodnić Marii, że zdołał nakaz bez problemu, bo prokurator był mu winien przysługę, ale nagle przerwał połączenie.

Dostrzegł na ekranie coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Wrócił do zdjęć z marca, kiedy zanosilo się na deszcz. Na sporym terenie w pobliżu ogrodzenia, który został wysypany korą, rosły młode krzaki. Nie miały jeszcze liści, tylko kilka cienkich gałęzi, którymi szarpał wiatr, tak jak tekturowymi oznaczeniami, charakterystycznymi dla roślin kupionych w centrach ogrodniczych. Zostały posadzone na kilku metrach kwadratowych przed szpalerem dorodnych tuj, odgradzających Chudzińskiego od sąsiadów.

Borewicz przełączył kilka slajdów i zauważył, że dwa miesiące później, kiedy woda wypełniła nieckę basenową, w tym samym miejscu stanął drewniany domek. Na jednym ze zdjęć pracownicy w T-shirtach z nadrukiem logo niemieckiego producenta basenów wnosili do niego ciężki sprzęt. Na dalszych fotografiach znajdował się filtr, z podłączonymi do niego grubymi rurami, ustawiony w zadaszonym drewnianym pomieszczeniu.

Ale po tamtym domku nie było już śladu. Zastąpiła je spora kostka, obłożona drewnianymi listewkami. Od frontu miała niewielkie logo MOD21.

Olgiard pokazał to Marii.

– To moduł drewniany – stwierdziła.

– Co takiego?

– Pierwszy testowy moduł z fabryki, w której pracuje Sikorski. Podarował ten domek zięciowi.

Zero Siedem się ocknął, gdy ktoś zapukał w szybę. Zobaczył Legnera i zwolnił blokadę centralnego zamka. Prokurator szarpnął klamkę, lecz nie usiadł, tylko nachylił się do wnętrza.

– Pada jak cholera, uwalimy się w błocie po pachy – narzekał.

– To jedź do obi i zainwestuj w końcu w buty robocze – odparł Borewicz, na co śledczy podniósł nogę.

Pod mankietem spodni w kant widniał solidnie wyglądający czarno-pomarańczowy trzewik dla pracowników fizycznych. Sięgał za kostkę.

– Jeśli jesteś tak gotowy jak ja, to czas zaczynać – zakomenderował.

Dwie godziny później ogród Chudzińskiego przypominał poligon. Wszystkie sprzęty z drewnianego domu, zestaw filtracyjny, ale także taczka, kosiarka i narzędzia ogrodnicze zostały wystawione na środek trawnika. Zalewał je rzęsyty deszcz. Koła koparki wyżłobiły głębokie koleiny w trawie i zdarły darń w pobliżu basenu. Jakiś czas potem drewniany moduł został przesu-

nięty kilka metrów na bok i odsłonił suchą ziemię. W tym miejscu operator koparki zanurzył łychę. Maszyna jęknęła, żółte ramię się naprężyło, szarpnęło i pierwszy urobek ziemi wylądował w pobliżu tarasu basenowego.

Karol Chudziński widział to wszystko z fotela. Prawa noga podrygiwała mu nerwowo.

– Dałem się wam oszukać – poskarżył się.

Borewicz zmierzył go wzrokiem, ale się nie odezwał. Od chwili, gdy policjant wszedł do jego domu z nakazem prokuratora, właściciel posesji wyglądał na rozbawionego sytuacją i twierdził, że mogą kopać do jądra ziemi, a i tak nic tu nie znajdują.

– Ośmieszycie się tylko i jeszcze będziecie musieli mi zapłacić za zniszczenia. Pan wie, ile kosztuje taki moduł drewniany? Ten domek? – wskazał w kierunku drzwi tarasowych.

– A pan wie, co dokładnie powiedziała nam pańska konkubina? – rzucił Olgierd, przecierając wilgotne czoło. – Na pana miejscu właśnie tym bym się teraz martwił. Wystąpiła przeciwko panu.

Mężczyzna wyraźnie pobałdł.

– Pan kłamie – syknął, a Borewicz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Kłamstwa to mógłbym się od ciebie uczyć – skonstatował, a potem zapadła cisza. W mieszkaniu, ale i na zewnątrz.

Silnik koparki przestał terkotać i mężczyźni zgromadzeni wokół wykopu znieruchomieli. Słyszał jedynie przytłumione, nerwowe odgłosy rozmów. W końcu jeden z umundurowanych policjantów podbiegł w stronę domu. Jego kroki zadudniły na tarasie.

Borewicz wstał, a Chudziński wyraźnie sęczał.

– Panie podkomisarzu, prokurator prosi – stwierdził młody chłopak, po czym zapewnił: – Ja z nim zostanę.

Olgierd skinął głową i wyszedł na zimny deszcz, który przynosił mu ulgę, spływając po rozpalonym czole. Zerknął na osoby zebrane przy rozkopanej ziemi. Dwie z nich były w białych flizelinowych strojach z kapturami. Ubraniami ochronnymi szarpał wiatr. Olgierd szedł niespiesznie w stronę usypanej przymy. Mokra murawa ugięła się pod jego nogami jak miękka wykładzina hotelowa.

Prokurator trzymał nad sobą parasol, z którego spływały strugi deszczu. Odwrócił się w stronę policjanta i pokiwał głową. Kiedy Zero Siedem stanął nad krawędzią wykopu i spojrział w dół, poczuł dreszcz rozchodzący się wewnątrz ciała.

Przeżarta niebieska folia odsłaniała fragment skrępowanych włók. Czarny sweter i ubrudzone ziemią czarne dżinsy. Czarne glany, których skóra dawno straciła blask i wyglądała jak zmoczony karton. Wszystko zgodne z opisem ubioru kobiety w dniu jej zaginięcia.

Olgierd zamrugał i zwiesił głowę; powietrze uszło z jego płuc. Zdał sobie sprawę, że sukcesy w tej robocie nigdy go nie cieszyły. Każdy wywiercał w sercach bliskich ofiary dziurę wielkości krateru, a w nim samym zostawiał czarną smugę. Dotkliwy smutek, który krok po kroku odbierał mu radość życia.

– To ona? – Słowa Legnera docierały do Olgierda jakby z oddali.

– Co? – Ocknął się.

– Pytałem, czy to ona, czy Chudzińska.

Borewicz potwierdził.

– Bądźcie ostrożni – poprosił techników, jakby mieli do czynienia z żywą, tylko wciąż nieprzytomną osobą po wypadku.

Wycofał się, bo ziemia spod jego nóg się osunęła i kilka grudek wpadło do mogiły. Spojrzał z oddali przez drzwi tarasowe na Chudzińskiego, który spuścił głowę.

Borewicz splunął na trawę.

Nie zamierzał tu zostać ani chwili dłużej.

EPILOG

Trzy dni później podkomisarz Olgierd Borewicz nacisnął klamkę drzwi wejściowych do mieszkania przy bydgoskim Balatonie. Nie były zamknięte, więc wszedł do przedpokoju i chrząknął.

Z ich sypialni wyszła teściowa ze sportową torbą przewieszoną przez ramie.

– Mogłeś nas posłuchać – powiedziała z wyrzutem.

Borewicz obiecał sobie, że nie da się sprowokować.

– Omotałeś ją. Była młoda i głupia. Owinąłeś ją sobie wokół palca i żyłeś jak pasożyt. – Parzyła mu prosto w oczy. – Ale na szczęście Kinga w porę zrozumiała swój błąd.

Borewicz nie zamierzał z nią dyskutować. Wyszedł na korytarz i przywołał windę. Postanowił wrócić za kwadrans, kiedy matka żony, niewiele od niego starsza, wyjdzie z ich mieszkania. Kabina wjechała na piętro i Zero Siedem szarpnęła drzwi, ale nagle zdał sobie sprawę, że w domu nie było psa.

– Gdzie Kluska? – Odwrócił się do teściowej.

Zaśmiała się nerwowo.

– Cały ty! Rodzinę masz w dupie, ale o głupiego psa to się martwisz.

– Gdzie jest Kluska? – powtórzył wolno, niemal sylabizując. Z trudem trzymał nerwy na wodzy.

– A gdzie może być stary kundel? Kinga powiedziała ci przecież, że nie ma siły się nim zajmować. To co? Mieliliśmy go tu zostawić na pewną śmierć?

– Gdzie, kurwa, jest mój pies? – Uderzył zaciśniętą pięścią w drzwi windy, aż zahuczało. Kobieta drgnęła.

– W schronisku – odpowiedziała.

Zamknął oczy, żeby opanować wulkan emocji. Gotował się wewnątrz, czuł, jak ciśnienie rozsadza mu czaszkę.

Zrobił dwa głębsze wdechy i spojrzał na matkę Kingi, ubraną w elegancki szary kostium założony na białą bluzkę. Gołe stopy tkwiły w drogich sandałach na szpilce.

– Nie pozwolę, żebyście rozbili moje małżeństwo. Nie oddam wam ani Kingi, ani tym bardziej mojej córki – zagroził.

– Tak? A niby jak chcesz to zrobić? Zastrzelisz nas? – Zaśmiała się sztucznie.

– Zastrzelę – obiecał i dostrzegł w jej oczach strach.

A potem zjechał na parter, cały się trzęsąc.

Godzinę później Zero Siedem zaparkował przed bramą schroniska dla zwierząt na Osowej Górze i wysiadł z toyoty zapakowanej po dach. Psy czekały wściekle, jakby wiedziały, co zamierzał zrobić. Z ciężkim sercem skierował się do budynku administracji. W recepcji zapytał o Joannę Kmieciak i wkrótce stanął pod drzwiami gabinetu. Zapukał, a następnie uściśnął dłoń kobiecie, z której emanowała radość. Opowiedział jej o swojej sytuacji. W zasadzie powtórzył wszystko to, co wcześniej zdążył jej powiedzieć przez telefon, gdy uprzedzał o swojej wizycie.

– Mam nadzieję, że mnie pani rozumie – rzekł.

– Niestety, w trakcie kłopotów małżeńskich albo rozwodów zdarza się, że psy lądują u nas. Ale na szczęście rzadko. Niemniej bardzo się cieszę, że zabierze pan Kluskę, bo widać, że piesiak bardzo cierpi. Daliśmy mu kropelkę, ale...

– Chętnie bym go zabrał – przerwał jej Borewicz, drapiąc wewnątrz dłoni. – Tylko że chyba nie mogę mu tego zrobić. Nie powinienem.

– Dlaczego?

– Po prostu rzadko bywam w domu.

– W takim razie co pan zamierza? – Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Borewicz rozłożył ręce.

– Naprawdę nie wiem. – Czuł, że coś zapiekło go pod powiekami. – Chciałbym dla niego jak najlepiej.

Pociągnął nosem i czekał, aż niewidoczna pętla, która zacisnęła się na jego szyi, zwolni uścisk.

– Niech pan poczeka – odezwała się kobieta i wyszła z gabinetu.

Olgiert nabrał tchu i otarł wilgotne powieki. Rozejrzył się po białych ścianach, zerknął na worki z suchą karmą, na biały blat z ustawioną na nim wagą, a także na przeszkloną witrynę z lekami. W okrągłej chromowanej lampie, która zwisała się z sufitu nad stołem zabiegowym, zauważył swoje rozmazane oblicze.

Miał do siebie żal.

Myślał o tym, co go spotkało. Nie wiedział, czy Kinga, sterowana przez głupich rodziców, nie wystąpi wkrótce z wnioskiem o rozwód. Bał się niepewności, bał się wyniku walki o żonę i córkę. Nie wyobrażał sobie, że mógłby stracić Zero Siódemkę, a nie chciał być tylko gościem w jej życiu. Myślał też o psie, który go pokochał i który umierał z tęsknoty.

Miłość jest piekłem, pomyślał. Zacisnął pięść i uderzył nią z całej siły w udo.

Właśnie wtedy doktor Jolanta Kmiecik weszła do pokoju z Kluską, który – zaskoczony widokiem swojego pana – położył uszy i zaczął merdać ogonem. Dobył z siebie głos pełen rozpacz i rzucił się w stronę Olgierta, ciągnąc za sobą learkę. Borewicz kucnął i przytulił zwierzaka. Labrador w szale radości uderzył go przypadkowo łbem w szczękę, ale Olgiert nawet nie poczuł bólu. Wtulał się w psa i klepał go po boku. Chciał coś powiedzieć, lecz nie umiał. Nie miał nawet odwagi spojrzeć na learkę. Nie z powodu tego, co zamierzał zrobić, tylko dlatego, że policjant nie powinien płakać.

A Olgiert płakał jak dziecko.

W połowie września Maria Herman nacisnęła przycisk domofonu i spojrzała na duży dwukondygnacyjny dom w stylu włoskim. Został wybudowany przy ścianie lasu, nieco ponad kilometr od północnego przyczółka przeprawy promowej w Czarnowie. Wysoki portyk wejściowy sięgał piętra i dzielił budynek symetrycznie, nawiązując w ten sposób do przedwojennej architektury rezydencjonalnej.

Dwustanowiskowy garaż znajdował się po lewej stronie domu. Prowadził do niego szeroki podjazd, wyłożony dużymi płytami brukowymi w jesiennych kolorach. Mokre plamy błyszczały po niedawnym deszczu.

Kiedy Herman zauważyła cień w oknie na piętrze, odwróciła się i dała znak Arkowi Grochowi, że może jechać. Ubłocony nissan patrol nawrócił. Drzwi domu się otworzyły w chwili, gdy chrzęst żwiru pod terenowymi oponami ucichł zupełnie, bo samochód wjechał w las.

– No, jesteś wreszcie. – Borewicz zwolnił blokadę zamka. Kiedy Maria podeszła, zrobił jej miejsce i zaprosił gestem do środka. – Śmiało, śmiało! – rzucił. – A Arek nie wejdzie?

Partnerka zaprzeczyła.

– Czemu?

– Chciał się przejść – powiedziała, wchodząc do salonu.

– Chyba przejechać?

– Na jedno wychodzi. Nie widział jeszcze przyczółka przeprawy promowej, a uznał, że warto. Bo to gdzieś tu obok, nie?

– Byłoby stąd widać, gdyby nie drzewa – wskazał za okno. – Ale, jak to u nas, przyczółek jest, prom cumuje na drugim brzegu, ale łacha na środku Wisły pokazała wszystkim wała – zaśmiał się.

Przestronne pomieszczenie tonęło w promieniach dogasającego słońca. W salonie, urządzonym zgodnie z obowiązującymi trendami w projektowaniu wnętrz, w którym jasne drewno i biel rywalizowały o względy z rustykalną cegłą, unosiła się pomarańczowa poświata.

W tle grała muzyka. Herman rozpoznała rockowe brzmienie Bon Jovi.

– Siadaj, gdzie ci wygodniej – zaproponował Borewicz.

Zajęła beżowy skórzany fotel, który zaskrzypiał cicho pod jej ciężarem.

– To nowe miejsce dla ciebie czy twojego... – zawiesiła głos, bo niespecjalnie wiedziała, jak to ująć. Wprost czy jednak na okrętkę. Postawiła na to drugie rozwiązanie. – Twojego hobby – dokończyła, nie chcąc urazić partnera.

Zero Siedem przysiadł na grubym podłokietniku sofy. Jedna stopa zwisała, drugą opierał o błyszczące jasne kafle na podłodze. Złączył dłonie i pochylił się w stronę Marii.

– A co? Chciałabyś wpaść na sesję? – zażartował.

– Nie stać mnie.

– Szczerze mówiąc, mnie też nie byłoby stać.

– Ale ten dom mówi co innego.

– No bez jaj. Przecież go nie kupiłem – zapewnił, rozkładając ręce. – Wynająłem tylko. Zapłaciłem za trzy miesiące z góry.

– Czyli jednak przejąłeś biznes po Szczerbskim? – przypomniała sobie ich niedawną rozmowę.

– A przejąłem. I teraz pan Olgierd „Zero Siedem” Borewicz będzie niepodzielnym królem zabaw na najwyższym poziomie – zatarł ręce z radością.

– Kłopoty po nim też bierzesz na siebie? – zapytała Maria z troską i sięgnęła po coś do plecaka.

– Kłopoty? – partner zmrużył oczy.

Herman podała mu zadrukowaną kartkę i dobry nastrój Olgierda prysł.

Od dwóch tygodni Borewicz przebywał na zwolnieniu lekarskim i nie odpowiadał na esemesy Marii. Dopiero dwa dni temu zaprosił ją do – jak to określił – nowego lokalu. W mailu znalazła dokładny adres wraz z mapką dojazdu i informację, że chciałby pogadać.

Ostatni raz rozmawiali po aresztowaniu Chudzińskiego i Pilewskiej. Musieli tę sprawę odregulować, bo jej finał sprawił, że coś w nich obojgu pękło. Jeszcze nigdy do tej pory nie spotkali się z tak perfidnym zabójstwem dziecka.

Marię przerażała Pilewska, młoda kobieta, która sądziła, że dokonała zbrodni doskonałej na rocznej córce kochanka, a potem urodziła mu dziecko. Herman nie mogła tego pojąć. Nie rozumiała też, jak to się stało, że Chudziński dał się jej omotać i zupełnie zatracił trzeźwy ogląd rzeczywistości. Mężczyzna wyznał, że uważał małżeństwo z Moniką Sikorską za zupełnie nieudane. Jego żonie zdarzało się romansować i podjudzany przez kochankę, wierzył w to, że Zuzanna nie była jego biologicznym dzieckiem.

Dlatego Herman i Borewicz, mimo sukcesu śledztwa, nie wyglądali na zadowolonych z zakończenia. Gnębił ich smutek, żal sączył się do żył, bo Monika Chudzińska i jej córka musiały zapłacić najwyższą cenę za szczęście pary psychopatów.

Pewnego wieczoru, na krótko przed zmianą pogody, Olgierd odwiedził Marię w jej domu na Wrzosach. Przyniósł butelkę whisky, którą popijali na tarasie, wpatrując się w gwiazdy. Mimo-

chodem wciąż wracali do tragedii, która wydarzyła się w Kaszczorku. A potem naturalnie przeszli do rozmowy o swoich prywatnych problemach.

Właśnie wtedy Olgierd opowiedział jej o Szczerbskim, o tym, co zdarzyło się w Rogówku i o roli Legnera, którego Borewicz krył. A po kilku kolejnych porcjach trunku zdecydował się wyznać Marii swoją najgłębszą tajemnicę. Sprawę z przeszłości, tkwiącą w nim jak zadra, która – jak sądził – nie pozwalała mu być naprawdę sobą. Jakby tamto zdarzenie z dzieciństwa determinowało całą przyszłość. Wryło się w jego kod genetyczny i sterowało zachowaniami, nie dając mu szansy na wyrwanie się ze szpon nałogu. Chociaż on oczywiście nie traktował seksoholizmu jako uzależnienia.

– Próbowaleś o tym rozmawiać z psychologiem? – zapytała Maria, zaciągawszy się chesterfieldem. W oczekiwaniu na odpowiedź wodziła wzrokiem po nieboskłonie, usianym jasnymi gwiazdami. Kątem oka dostrzegła, że Borewicz się skrzywił, topiąc wzrok w bursztynowym płynie.

– Leczyłem się latami.

– Zawsze warto spróbować ponownie.

– Nie wszystkim się udaje.

– Wiem.

– Nie wiesz. Tobie udało się za pierwszym razem, a ja...

– Dobrze wiesz, że to nie jest zamknięta sprawa – Herman upomniała partnera. – Każde z nas siedzi na bombie, z tą różnicą, że ja nie gmeram przy kabelkach. Po prostu nauczyłam się żyć i patrzeć na nie. Nie korcą mnie jak dawniej.

Olgierd podniósł rękę, żeby dała mu dojść do głosu.

– Ej, ej! Zaraz! Chyba zaszła tu drobna pomyłka. – Czknął. – Przecież ja nie jestem uzależniony.

– Nie? To dlaczego z tym nie skończysz?

– Bo nie chcę? – odpowiedział pytaniem na pytanie i dorzucił kolejne: – Bo to daje mi wolność? Bo dobrze mi z tym?

Maria poprosiła, by na nią spojrział, a kiedy Olgierd to zrobił, wyartykułowała poważnie:

– Bo nie możesz. Taka jest prawda. I właśnie na tym polega problem.

– Mogę.

– Nie możesz.

– Oj tam, oj tam.

– Seksoholizm, bo tak to się nazywa, cię zniewala. Zrozum to wreszcie. Zrozum i zacznij się leczyć.

– Niech mamusia się nie denerwuje, bo się mamusi zmarszczki porobią. – Pociągnął łyk whisky.

– Masz żonę i córkę – zbyła jego sarkazm. – Powinieneś o nie zawalczyć.

Uśmiechnął się smutno i zakotyssał trunkiem. Kostki lodu zagrzechotały o ścianki naczynia.

Gwiazdy mrugały do nich z oddali, gdzieś na granicy kręgu światła padającego z tarasu na wysuszoną trawę przebiegł czarny kot.

– Chyba raczej miałem – wyszeptał, a potem opowiedział Marii o swojej sytuacji.

Herman po telefonicznej rozmowie z Kingą, do której zadzwoniła wprost ze szpitala, była przekonana, że małżonkowie mimo napiętej sytuacji dojdą do porozumienia. Chociażby dla dobra córki. Takim sygnałem były na pewno odwiedziny Kingi wraz z Amelką na oddziale. Kiedy Maria kolejny raz przyszła do partnera i już miała chwycić za klamkę, usłyszała dochodzący zza drzwi głos żony Borewicza i radosny śmiech ich dziecka. Bezszelstnie się wycofała

i wróciła dopiero następnego dnia. Partner, chociaż w zdecydowanie lepszym nastroju, nie wspomniał o odwiedzinach bliskich, mimo że próbowała to od niego wyciągnąć. Jego dobre samopoczucie kazało jej przypuszczać, że między małżonkami wszystko wraca do normy.

Najwyraźniej było inaczej.

Herman oparła głowę na leżaku i sączyła whisky. Szukała wzrokiem gwiazdozbiorów, które w dzieciństwie nauczył ją rozpoznawać ojciec; kiedy odnalazła konstelację Pegaza, zapytała:

– To wina teściów?

– Czy ja wiem? – Borewicz podrapał się po wnętrzu dłoni. – Jasne, zięć od początku im nie podszedł. Ale prawda jest taka, że Kinga ma rację. Przez robotę i... No, przez to wszystko, wiesz, co mam na myśli, w domu jestem tylko gościem.

– Więc zacznij się leczyć.

– Chryste, Maria, daj już spokój! – jęknął.

– Kinga ma rację. Musisz wybrać.

– Wiem, kurwa, że muszę – syknął, po czym wypił whisky do dna.

Herman wróciła do rzeczywistości. Rozejrzała się po estetycznych wnętrzach dużej willi nad Wisłą. Już wiedziała, jakiego wyboru dokonał Olgierd. Ale nie o tym chciała z nim rozmawiać.

Odczekała, aż partner przeczyta informację z kartki, którą mu podała.

– Skąd to masz? – Borewicz potarł płatek ucha.

– Od Grzegorza Lipskiego. Odwiedził mnie w biurze.

– A on skąd to wie?

– Może Legner mu powiedział?

– Wykluczone. Musiały się przyznać do postrzelenia faceta. Odpada.

Maria zastanowiła się nad tym.

– No to może po prostu Lipski się zorientował, że Szczerbski jest na wolności, i miał go na celowniku.

– I co? Zabiłby go? – Borewicz uniósł kartkę.

– Nie mam pojęcia. Po prostu uznałam, że będziesz chciał wiedzieć, że facet nie żyje.

Chciał, widziała to po jego minie.

– Ale skoro zmarł niedawno – zauważył Olgierd – to raczej nie z powodu postrzału.

– Więc może jest ktoś jeszcze. Może nie tylko ty i Legner potrzebowaliście wyrównać rachunki krzywd.

Borewicz wyduł wargi i podrapał się po głowie.

– Cholera wie. – Zapatrzył się na kartkę.

Herman też zerknęła, chociaż tekst znała na pamięć.

Znany przedsiębiorca Adam Szczerbski brutalnie zamordowany, krzyczał tytuł artykułu wyrukowanego z internetu.

Ale najgorsze były ostatnie słowa reportażu.

Sprawca zbrodni pozostaje na wolności.

Pogadali jeszcze chwilę, po czym Maria uznała, że powinna już jechać. Następnego dnia rano czekało ją spotkanie z przedstawicielem biura nieruchomości i pierwszym potencjalnym kupcem.

Podeszła do furtki i zerknęła w kierunku lasu. Groch dreptał nerwowo wokół nissana patrola. Daleko na horyzoncie zbierały się ciemne obłoki.

Trudno będzie ten dzień zaliczyć do udanych, pomyślała.

– A gdzie Kluska? – Zainteresowała się, dopiero zdając sobie sprawę, że nigdzie nie widziała labradora ani nie słyszała jego szczekania.

– Zaraz po niego jadę. Jest w klinice. Miał płukanie kanalików łzowych.

– I co dalej?

– Na jakiś czas powinien być spokój.

– Pytam o Kluskę, nie o kanaliki.

– Jak to, co dalej? Będzie tu mieszkał razem ze mną.

– A potem?

– Kiedy potem?

– Jak wrócisz do pracy.

Spuścił wzrok i wypchnął językiem policzek.

– Szczerze? – Zmarszczył się. – To powód, dla którego chciałem się z tobą spotkać.

Herman zastygła na chwilę. Spojrzał na nią, ale ponieważ raziło go zachodzące słońce, podniósł dłoń do czoła i uformował z niej daszek.

– Nie wiem, czy wrócę – oznajmił.

– Jak to? Mówisz poważnie? – Zaniepokoiła się, czując, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

Policjant napełnił płuca rześkim powietrzem. Lekki wiatr niósł intensywny zapach lasu.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że codziennie o tym nie myślę.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz? Po tym, co razem przeszliśmy? Po tym, co za sobą ciągniemy?

Partner pokiwał głową.

– Chciałem wcześniej, ale... Po prostu nie było dobrego momentu – wyjaśnił i ponownie nabrał powietrza. – Mam już dość tego bagna.

Herman nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Wyszła za ogrodzenie i skierowała się do nisana. Arek Groch stał przy samochodzie z założonymi rękoma.

– Maria – rzucił za nią Borewicz.

Przyspieszyła kroku.

– Maria! – krzyknął, a ona zaczęła biec.

Kilkanaście minut później siedziała na fotelu pasażera w terenówce Grocha i patrzyła bezmyślnie przez boczną szybę. Droga uciekała za plecy, las, wzdłuż którego jechali, zlewał się w zielonobrazową masę.

Poprzedniego dnia podobne obrazy widziała z taksówki. Dotarła nią do podtoruńskiej siedziby MOD21. Sikorski chciał ją odwiedzić na komendzie w Bydgoszczy, ale dała mu znać, że wybiera się do Torunia. Uznała, że skoro chciał się spotkać, nie odmówi mu chwili rozmowy.

Dyrektor działu HR przywitał ją cały na czarno, w marynarce i gustownej koszuli ze stójką. Wrażenie, jakie wyniosła z niedawnego pogrzebu jego córki, potwierdziło się. Mężczyzna schudł jeszcze bardziej, jakby zupełnie zapomniał o jedzeniu. W zapadniętych policzkach układał się upiorny cień.

Usiedli w jego gabinecie.

Herman obserwowała pogrzeb Moniki Chudzińskiej z daleka. Uznała, że nie powinna zakłócać swoją obecnością rodzinnej uroczystości. Dlatego kwiaty złożyła na grobie dopiero następnego dnia rano.

– Chciałem pani podziękować – odezwał się mężczyzna i zaszkliły mu się oczy.

- To nie tylko moja zasługa - zastrzegła.

Sikorski skinął głową, że to rozumie, i kontynuował:

- Jakkolwiek ból z powodu straty córki jest niewyobrażalny - zadrżała mu dolna warga - mimo wszystko jestem pani wdzięczny, że mogłem złożyć Monikę do grobu Zuzki. Przynajmniej teraz obie są razem.

- Tak - odezwała się Maria, żeby powiedzieć cokolwiek.

- Nie zasłużyła na to, co ją spotkało.

- Nie - potwierdziła policjantka.

- Ani moja córka, ani moja wnuczka. - Ciałem mężczyzny wstrząsnął krótki szloch.

Szybko się opanował.

- Ma pan rację - wydusiła Herman.

Wiedziała, że emocjonalne angażowanie się w sprawy, nad którymi się pracuje, jest nieprofesjonalne, ale kiedy łzy pociekły po policzkach Sikorskiego, z trudem się opanowała. Zapięko ją pod powiekami.

- Powinnam już iść. - Wstała, a Sikorski wytarł nos chusteczką.

- Niech pani poczeka. - Sięgnął do teczki i wyjął z niej płytę CD z pomarańczową tekturą okładką, przez którą przebiegały po skosie dwa równoległe białe paski. - Proszę, to dla pani.

- Co to jest? - Nie kryła zaskoczenia.

- Jedna z ulubionych płyt mojej córki. Ta najcenniejsza, bo z autografami muzyków - wyjął i dodał: - Wydawało mi się, że wtedy, kiedy podwiozłem panią do Torunia... Że ten ciężki metal też się pani podoba... Tak jak Monice.

- Tak, ale nie wiem, czy...

- Niech ją pani po prostu weźmie - przerwał jej. - Monice byłoby przykro, gdyby pani odmówiła.

I teraz, wracając od Borewicza, słuchali oboje z Grochem ciężkich dźwięków i barytonu wokalisty wyśpiewującego niemieckie frazy. Maria wsłuchiwała się w marszową muzykę, którą tłumił nieco szum silnika i pęd wiatru, napierający na samochód i gwizdzący w szczelinach karoserii.

Powiedziała Grochowi o tym, że Olgierd zamierza odejść z policji i że jej zdaniem to zwykła próba ucieczki od problemów. Kierowca przez dłuższy czas nic nie mówił, ale poglądził ją pocieszająco po udzie. Doceniła ten gest. Popatrzyła na Arka ciepło. Prowadził pewnie, ale ewidentnie coś go trapiło. Od chwili, gdy po nią przyjechał, wyglądał na spiętego. Bębnił nerwowo palcem na kierownicy. Wtedy dotarło do niej, że Groch zawsze jest pomocny, za to ona rzadko, jeśli w ogóle, interesowała się zmartwieniami przyjaciela.

Uznała, że to dobry moment na zmianę.

- A ty z czym się mierzysz? - spytała, ale Groch nie odwrócił wzroku od drogi.

- Ja? - odpowiedział po chwili.

Herman ostentacyjnie zerknęła na tylną kanapę.

- Oprócz nas nikogo tu nie widzę - powiedziała, a on uśmiechnął się półgębkiem.

- No więc? - ponowiła próbę. Czy on też zamierzał dokądś uciec?

Arek przygryzł wargę i przeczesał potężną dłonią rozczochrane kędziory. Wyprzedził dostawczaka i zjechał na swój pas.

- To może poczekać - stwierdził.

- Jeśli poczeka jeszcze chwilę, to eksplodujesz, a ja utonę w girlandach twoich jelit. - Maria starała się rozładować napięcie i to jej się udało.

Groch w końcu się zaśmiał, ale nader szybko spowaźniał. Przełknął ślinę i grdyka na masywnej szyi przesunęła się w górę.

– Odszedłem od Baški – wyznał cicho i dalej gapił się na drogę.

Policjantka nie od razu pojęła sens tych słów. Docierał do niej powoli, dlatego dała sobie czas i odwróciła się do bocznej szyby. Nieznośne milczenie długo wypełniało kabinę. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Paliły ją policzki i coś ścisnęło w brzuchu.

– Może to i dobrze – odparła, nie wierząc, że naprawdę wypowiedziała te słowa.

A jednak tak się stało.

Tym razem to ona zdecydowała się położyć dłoń na potężnym udzie Grocha, choć obawiała się, że mężczyzna wyczuje, jak drży. Bo Herman, mimo tłęcej się w niej radości, bardziej bała się tego, co czekało na najbliższym zakręcie. Arek przecież prawie jej nie znał. A na pewno nie wiedział o jej mrocznej tajemnicy, którą wspólnie z Olgierdem wywiozła z Grudziądza. Czy miała prawo angażować się w związek, zachowując ten sekret dla siebie? Gdyby tak zrobiła, wspólna przyszłość z Grochem mogła mieć atramentową barwę chmur przyczajonych na horyzoncie. Ciężkich i złowrogich.

– Nie boisz się? – spytała Maria, wciąż patrząc w niebo.

Chwilę zajęło, nim usłyszała odpowiedź.

– Boję – odpowiedział Groch niskim głosem.

Wtedy na ustach Marii pojawił się lekki uśmiech, bo paradoksalnie ją to uspokoiło.

Po prostu wierzyła, że strach łatwiej pokonać we dwoje.

PODZIĘKOWANIA

Śledztwa Marii Herman i Olgierda Borewicza wyglądałyby ubogo jak dieta Zero Siedem, gdyby nie wsparcie życzliwych mi osób.

Bardzo dziękuję:

Dr. n. med. Bartoszowi Burchardtowi z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu za szczegółowe rozmowy o hipertermii i jej skutkach, a także o wszelkich innych przypadkach medycznych, w tym o pewnym leku (który na pewno nie nazywa się Fenegotal, ale z oczywistych względów nie przytaczam w *Urwisku* jego nazwy handlowej).

Dr. n. med. Maciejowi Klimarczykowi, psychiatrze, ale też autorowi znakomitego thrillera psychologicznego *Śpiewaczka*, za to, że pomógł mi wyruszyć w tę literacką podróż, pozwalając zrozumieć mechanizmy związane z urazem psychicznym, a ponadto wydatnie wpłynął na rys psychologiczny zaginionej Moniki Chudzińskiej.

Dr. Pawłowi Leśniewskiemu, adiunktowi w Katedrze Kryminalistyki Akademii Nauk Stosowanych im. Stanisława Staszica w Pile, za ważne konsultacje z zakresu entomoskopii sądowej, bo bez owadów ta historia nie miałaby właściwego zakończenia.

Tadeuszowi Zymanowi, prokuratorowi w stanie spoczynku, za to, że bacznie przyglądał się wszelkim aspektom prawnym tej powieści i z ogromną cierpliwością wyjaśniał mi zawilości prawa karnego, a także rolę prokuratora w tym szczególnym, opisanym w powieści, przypadku.

Podziękowania za niezwykle trafne uwagi do fabuły niech przyjmą także moja znakomita redaktorka Ewelina Korostyńska oraz Waldemar Popek, zastępca redaktor naczelnej Wydawnictwa Literackiego.

Kłaniam się Pani Annie Milewskiej za dbałość o sferę językową tej powieści.

Za uwagi dziękuję również moim stałym czytelnikom: Joannie i Marcinowi Żyndom, Sylwii Janowicz i Rafałowi Żukowi, a także Uli z profilu *Życie hazardzistki* – za dbałość o wiarygodne zachowania Marii Herman. Bartosz Szczygielski pomagał mi – odrywając się od swojej literackiej twórczości – w kilku sprawach dotyczących aplikacji i telefonów komórkowych. Podobno się na tym zna. Albo tylko tak mówi. W każdym razie, jeśli znajdą Państwo w *Urwisku* jakikolwiek błąd z tego zakresu, będą Państwo wiedzieć, do kogo mieć pretensje.

Dziękuję Michałowi Kadlecowi za pewną letnią wycieczkę po toruńskich (i nie tylko) urwiskach. To była świetna wyprawa; bardzo się cieszę, że pokazałeś mi zwirowisko w Kaszczorku i tamtejszy kręty odcinek Drwęcy.

Dziękuję też artystce i tatuażystce w jednej osobie, Pani Julii „Jay Elpis” z toruńskiego studia Kolektyw Bodyfikacje za możliwość wykorzystania pięknego wzoru tatuażu, który znalazł się na ramieniu Moniki Chudzińskiej. Jeśli kiedykolwiek zapragnę mieć dziarę, ustawię się do Pani w kolejce.

Chylę czoła przed Marcinem Baniakiem, dyrektorem ds. promocji Wydawnictwa Literackiego, a także przed niestrudzoną Anią Kędzierską i całą ekipą wydawnictwa, która pracuje na sukces moich powieści. Przyjmijcie, proszę, moje najwyższe wyrazy uznania.

Chciałbym również podziękować Marcinowi Kasprzakowi, dyrektorowi ds. komunikacji i PR w firmie Erbud oraz Maciejowi Wróblewskiemu, dyrektorowi administracji MOD21, mojemu serdecznemu koledze z czasów szkoły podstawowej, za oprowadzenie po fabryce obiektów modułowych i miłą rozmowę.

Bardzo serdecznie pozdrawiam moje znakomite koleżanki i kolegów po fachu: Julię Łapińską, Martę Matyszczak, Annę Rozenberg, a także Ryszarda Ćwirleja, Przemka Semczuka, Marka Stelara, Marcela Woźniaka i Przemka Żarskiego.

Kłaniam się nisko mojemu mistrzowi Mariuszowi Czubajowi oraz serdecznemu przyjacielowi i wybitnemu autorowi powieści sensacyjnych Maciejowi Siembiedzie.

Pozdrawiam redaktora Adama Szaję ze smakksiazki.pl i dziękuję za wiele wspólnych działań, uśmiech i wsparcie. Kłaniam się także wszystkim blogerkom i blogerom, którzy za pośrednictwem swoich profili w social mediach pomagają mi docierać do Państwa z moimi książkami. Jesteście wielcy!

Tradycyjnie dziękuję też moim kochanym rodzicom i teściom, mojemu bratu Jarkowi i jego żonie Sylwii, a także bratankowi Arturowi i Klaudii Zielińskiej.

Jak zawsze podziękowania składam moim ukochanym: żonie Kasi i synowi Maksowi, bez których całe to moje pisanie nie miałyby sensu. Jesteście dla mnie najważniejsi i dziękuję, że zawsze mogę na Was liczyć! Kocham bardzo!

I wreszcie kłaniam się moim wspaniałym Czytelniczkom i Czytelnikom. Kiedy czytacie te słowa, piszę już dla Was kolejną powieść.

Robert Małecki

www.facebook.com/robertmalecki.autor

www.instagram.com/robertmalecki.autor

www.robertmalecki.pl

Warto czynić dobro i wykorzystywać każdą szansę, by pomagać. Ta idea przyswieceła Robertowi Małeckiemu, firmie MOD21 i Wydawnictwu Literackiemu, gdy podejmowali wspólną inicjatywę na rzecz dzieci z Hospicjum Nadzieja.

Akcja cyklu kryminalnego o Marii Herman i Olgierdzie Borewiczu rozgrywa się w Toruniu i okolicach.

W rzeczywistości pozaliterackiej na tym terenie działalność prowadzi MOD21 – start-up grupy ERBUD – firma budowlana wywodząca się z Torunia. W związku z tym narodził się pomysł, by do fabuły drugiej części nowej serii kryminalnej – czyli do powieści *Urwiszko*, którą właśnie trzymasz w rękach – wprowadzić firmę ERBUD. Robert Małecki i Wydawnictwo Literackie przyjęli propozycję, chcąc wykorzystać publikację książki w celach charytatywnych.

Całość wynagrodzenia za lokowanie produktu MOD21 w fabule *Urwiszka* przekazano na rzecz dzieci z Hospicjum Nadzieja w Toruniu. Na konto fundacji prowadzącej hospicjum trafiło 50 000 złotych. Dodatkowe 21 000 złotych w imieniu pracowników wpłacił MOD21.

Jeśli również chcą Państwo wesprzeć działalność hospicjum, potrzebne informacje znajdziecie na stronie internetowej hospicjumnadzieja.pl.

